

Stanisław Milewski

# Niezwykli klienci Temidy

Wydawnictwo Iskry  
Warszawa 2013

## Spis treści

Od autora  
CZEŚĆ I Czasy przedrozbiorowe  
Facjendy Xięcia Pana  
Afera trucicielska Dogrumowej  
CZEŚĆ II XIX wiek  
Spór o spadek po Chopinie  
Proces hrabiny o wiślane piaski  
Koleje i sądy  
Eskulap i Temida  
Austriacka Temida i polscy literaci  
Kraszewski przed Sądem Rzeszy  
Język polski na wokandzie  
Otello z ulicy Długiej  
Sprawa hrabiego Ronikiera  
Zbrodnia z wyższych sfer  
CZEŚĆ III Polska międzywojenna  
Zabójstwo prezydenta  
Zbrodnie w obronie honoru  
CZEŚĆ IV Czasy PRL  
Sądowe rozliczenia kolaborantów  
Proces Giedroycia *per procura*  
Specjalność PRL: przemyt  
Kara „podzwyczajna” profesora T.  
Temida z socjalistycznym mieczem  
Zbrodnia z banalnych motywów  
Metryczka książki

## Od autora

Niezwykli klienci Temidy: sprzedawczyk książę Adam Poniński, aferzystka z dworu króla Stasia – Dogrumowa, spadkobiercy Chopina, hrabina Janina Potocka procesująca się o wiślane piaski, hrabia August („Gucio”) Potocki handryczący się z koleją o spóźniony pociąg, Władysław Reymont dochodzący na sądowej sali odszkodowania za kolejowy wypadek, pierwsi lekarze przed sądem, Wincenty Pol i Aleksander Fredro – ofiary austriackiego wymiaru sprawiedliwości, Józef Ignacy Kraszewski skazany za szpiegostwo na rzecz Francji przez Sąd Rzeszy, szewc Stanisław Hiszpański, hrabia Ronikier i baron Bisping skazani za zabójstwo – oto niektórzy bohaterowie z XVIII, XIX i początków XX wieku tego historycznego pitawała.

Następni nie mniej głośni stawali już przed sądami Polski międzywojennej, a potem komunistycznej. Procesy z tego ostatniego okresu, bardziej znane, które obrosły literaturą, zostały w tym zbiorze pominięte.

Autor starał się przedstawić różnorodne sprawy sądowe: zarówno cywilne, jak i polityczne oraz kryminalne. Miał przy tym nadzieję, że właśnie dzięki tej różnorodności osób i spraw, a także rozstrzygnięć sądowych, uda mu się pokazać funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości w różnych okresach. Procesy te wydawały mu się jako wieloletniemu sprawozdawcy sądowemu o zacięciu historycznym frapujące ze względów obyczajowych, jurydycznych czy też po prostu godne przypomnienia jako niezwierteżale do dziś sensacje sprzed lat.

Nie jest to bynajmniej jakiś całościowy pitawal, wybór procesów jednorodnych czy zbliżonych tematycznie. Jest to po prostu pitawal całkowicie subiektywny. Niektóre procesy autor obserwował z prasowej ławy; większość została zrekonstruowana na podstawie czasopism fachowych, takich jak „Gazeta Sądowa Warszawska” (1872–1914), codziennych gazet lub historycznych opracowań. Jeśli ten wybór również Czytelnikowi wyda się trafny i interesujący, satysfakcja będzie obustronna.

CZĘŚĆ I  
Czasy przedrozbiorowe

## Facjendy Xięcia Pana

ZA CZASÓW STAROPOLSKICH – jeszcze nim żarłoczni sąsiedzi rozgrabili między siebie nasze ziemie i podzielili się jak tłustym kąskem słabą wewnątrz Rzecząpospolitą – najgłośniejszą i najbardziej sensacyjną ucieczką z więzienia popisał się Adam książę Poniński. Jego schwytanie, a później proces przed Sądem Sejmowym długo trzymały w napięciu całą Warszawę.

Był to magnat odpowiedzialny za podżyrowanie przez nasz sejm aktu pierwszego rozbioru, dzięki niemu i innym sprzedawczykom pozornie przynajmniej nabral on znamion legalności. Człowiek całkowicie zaprzędany obcym dworom; to dzięki księciu i podobnym mu kreaturom – często zwerbowanym z jego właśnie poręki – realizowały one w Warszawie własną politykę i krok po kroku doprowadziły do takiej anarchii w Polsce, że mogły ją otrzymać podaną niemal na złotym półmisku.

Poniński trafił do więzienia w dobie Sejmu Wielkiego zwanego inaczej Czteroletnim. Wtedy to właśnie na co świątlejszych Polaków przyszło opamiętanie – jeden z posłów mógł wreszcie donośnie zawołać na sesji 4 czerwca 1789 r. przed obradującymi Najjaśniejszymi Stanami: „Już przyszła minuta, że złość i występki na jaw wychodzą i że mozem pokazać, jaką mają zapłatę zdrajcy ojczyzny”.

Zanim to nastąpiło, żył sobie jaśnie oświecony książę jak pączuszek w maśle w zbiedniałym i słabowitym kraju. Im gorzej żyło się wszystkim, tym on miał się lepiej, żył bogaciej i barwniej; rzecz jakże częsta w latach kryzysów, chaosu i anomii, gdy człowiek obdarzony sprytem, a pozbawiony wszelkich skrupułów, zaczyna robić śmiałe i ryzykanckie interesy. Fortunę zdobył ogromną, ale uzyskane drogą różnych „facjend” pieniądze topniały mu w rękach jak śniegi pod marcowym słońcem.

To on niewątpliwie dostarczył Fryderykowi II – którego my przynajmniej nie powinniśmy nazywać Wielkim – najbardziej wyrazistego przykładu do uogólnienia, że Polacy „gotowi są dopuścić się największej podłości, aby dostać dukata, a zaraz potem tego dukata wyrzucą przez okno”. Tacy właśnie jak on dawali mu też asumpt do aforystycznej wręcz konstatacji, iż „za złoto można wszystko w Polsce zdziałać” i ten stary kutwa w koronie, z którego sknerstwa śmiała się cała Europa, że rosół od gotowanych jajek zwykł był rozdawać ubogim, dla księcia podskarbiego kilkakrotnie potrząsnął sakiewką i wysuptał złote dukaty, bo rachować jednak potrafił i wiedział, że ta inwestycja – akurat w tego człowieka – w przyszłości opłaci się stokrotnie. Nie miał dla niego jednakże ani względów, ani nie czuł sympatii, bo gdy Ponińskiemu zaczął się w rodzinnym kraju palić grunt pod nogami i czynił pewne kroki, by zostać pruskim poddanym, umknął mu swej łaski, mimo że akurat w tym czasie książę obwieś był przy sporej gotówce i majątkach.

„Jest toto jedyna osobistość w Warszawie, którą się brzydzą” – taką opinię o Adamie Ponińskim zostawił w swych *Dziennikach* Ernest von Lehndorff, szambelan dworu pruskiego często przebywający w Polsce. Nie wszyscy wszakże byli o nim tak złego zdania, bo choć podskarbi zwiódł wielu i dla pieniędzy gotów był się podjąć największego świństwa, nie bacząc na wcześniejsze zobowiązania, jeden z rezydentów carycy przy dworze Stanisława Augusta wystawił jak najlepsze świadectwo jego stałości, podkreślając z uznaniem, że interesów rosyjskich nie zawiódł ani razu. Płacono mu więc z tamtej strony miesięcznie pensję w złotych dukatach i okolicznościowe gratyfikacje za różne zlecenia ekstra bez żadnej zwłoki

i skrupulatnie, od czasu gdy ambasador Soldem uzyskał od niego *Cyrograf bezwzględneho posłuszeństwa* z datą 8 czerwca 1772 r. W wielu przypadkach te właśnie pieniądze – gdy książę przegrał w karty lub przefrymarczył w inny sposób posiadane pałace, majątki i inne klejnoty – były jedynym jego „sposobem do życia”. Mógł więc z czystym sumieniem mówić, że uczciwie zarobił te dukaty, bo uczciwie mu je wypłacono.

Rodacy wszakże nie byli tego zdania i gdy tylko nastąpiły sposobne do takich rozrachunków dni, książę Adam trafił do więzienia. Myliłby się jednak ten, kto by przypuszczał, że zamknięto go w więzieniu „prawdziwym”. Warszawa nie miała w tych latach zakładu karnego godnego tak wysokiego dostojnika, choć mitra książęca, którą się szczylił, była jeszcze całkiem zielona, bo dostał ją dopiero od sejmu rozbiorowego w „uznaniu zasług”, które wówczas położył. W Domu Poprawy, czyli Cuchthauzie przy ul. Pokornej, zamykano wtedy ówczesnych pasożytów, ale biednych; do Prochowni przy ul. Mostowej trafiały głównie miejskie szumowiny; w ratuszu trzymano różnych kryminalistów późniejszego formatu, a wieża marszałkowska przeznaczona dla szlachty była zrujnowana. Poniński był więźniem stanu i mógł zostać zamknięty albo w Zamku, albo w pałacu Krasińskich, bo tam, na dole, po prawej stronie, miał swe lokale Departament Jurysdykcji Marszałkowskiej.

Tak oto podskarbi koronny ze swego pałacu przeniósł się do Pałacu Rzeczypospolitej, bo tak powszechnie nazywano pałac Krasińskich, gdy został odkupiony na potrzeby instytucji rządowych. Nie tylko dostał tu mieszkanie; Rzeczpospolita, którą przez całe lata ograbił i łupił, aż w końcu zaprzedał część jej terytoriów, dawała mu – niewątpliwie doskonały i godny rangi – wikt, chociaż wobec pospolitych kryminalistów stosowano zasadę, że w więzieniu musieli się utrzymywać własnym sumptem.

Nie było to pierwsze uwięzienie Adama Ponińskiego; w 1778 r. aresztowano go w Berlinie i zamknięto w więzieniu za długi. Był to jego chudszy okres, gdy zaciągnął tyle zobowiązań finansowych wśród swoich i obcych, że mimo ogromnej inwencji, jeśli chodzi o wyciskanie zewsząd pieniędzy, w stolicy Prus dopadli go tamtejsi wierzyciele.

Lata największej prosperity miał już właściwie za sobą. Urodzony w 1732 r. karierę finansową i polityczną zaczął przed trzydziestką; wtedy to został posłem na sejm i tak od początku pilnował swoich interesów, że za straty poniesione „z tytułu przemarszu obcych wojsk” wycisnął od sejmu całkiem okrągłą sumkę. Nawet na swym ożenku zrobił zupełnie niezły interes, ponieważ poślubienie panny z dobrze ustawionej rodziny pozwoliło mu dostać się między dygnitarzy, uzyskać tytuł kuchmistrza koronnego. Wkrótce został wynagrodzony orderem Orła Białego, a jego dalsza kariera przedstawiała się bardzo obiecująco, bo za posłuszne wykonywanie rozkazów kolejnych mocodawców i patronów – a zmieniał ich dość często – szedł coraz wyżej. Dochrapał się nawet funkcji podskarbiego koronnego, a więc ministra skarbu, co przy jego pazerności stało się natychmiast egzemplifikacją porzekadła o wpuszczeniu wilka do owczarni. Sejm ciągle go „obdarowywał” jakimiś dobrami „w uznaniu zasług”, choć już w latach 60. – jak odnotowała autorka jego biografii – „figuruje jako jeden z najpoważniejszych jurgieltników” Repnina.

W połowie następnej dekady – gdy wydawało się, że zyskał już na zawsze względy fortuny – wystawił na Faworach kosztowny pałacyk przy ul. Czujnej, angażując do zaplanowania tego sześciobocznego budynku jednego z bardziej wziętych ówczesnie architektów – Efraima Schroegera. Już samą nazwą tego obiektu: Sans Gêne (bez skrępowania, bez żenady), zaakcentował właściciel jego charakter; tu zamieszkiwała jego kochanka, Piekarczanka, którą wydał za jednego ze swych fagasów; tu też urządził głośne w całym mieście hulanki.

Jeszcze bardziej niż ziomkom imponował odwiedzającym Warszawę cudzoziemcom. Johann Bernoulli, uczony Szwajcar, taki pozostawił opis tego pałacu: „Na dole. Jeśli się nie mylę, niżej poziomu ziemi naokół domu znajduje się wielka, niby to dzika grotta, dzieląca dwa śliczne pokoje, z których jeden ma łazienkę i ozdobiony jest kosztownymi muszlami i morskimi roślinami. Nad grotą mieści się okrągły salon, który dzięki wiszącym tu perspektywicznie malowanym krajobrazom i przyciętym drzewom sprawia wrażenie nader przyjemnego gajku. Widziałem w nim kilka pięknych marmurowych popiersi, kilka urn i dwie rzeźbione grupy. Nad jednym z dwóch małych dolnych pokoi znajduje się sypialnia w kształcie tureckiego namiotu, nad drugim – również sypialnia, cała wyłożona zwierciadłami ozdobionymi liśćmi i zabezpieczonymi pomalowanymi na zielono kratkami. Z okrągłego, wyobrażającego gajk pokoju prowadzą w górę schody do znajdującej się nad nim niszy czy galerii dla orkiestry, a stąd jeszcze bardziej w górę, aż na blaszany dach domu, z którego obejrzeć można ogród i piękną okolicę”.

W tym samym czasie stał się Poniński właścicielem Wielkiej Woli; przy okazji tej transakcji mocno nadwerzęzył skarb koronny. Miał też pałac na Nowym Świecie, dworek przy Mokotowskiej i jeszcze jakieś nieruchomości. W związku z tym „lokalnościami” warsawianin podkreślają jedną przynajmniej zasługę tego magnata: oto chcąc wytwornie umeblować swe domy, sprowadził z Neuwied w Nadrenii kilku znakomitych stolarzy, którzy dali początek najbardziej wziętym firmom meblarskim w mieście. Jak więc widzimy, czasem i z egoizmu i rozrzutności może mimowolnie wynikać coś pożytecznego.

Ponińskiego ciągle nie zadowalał stan posiadania, wznosił więc na Woli jeszcze jeden pałac, zaprojektowany przez znanego budowniczego i mistrza sztuki ogrodniczej – Szymona Zuga. By przysporzyć sobie dochodów, wynajmował ten pałac na elitarne przyjęcia. Tu ulokował na jakiś czas wracającego z Petersburga głośnego alchemika i szarlatana – Józefa Balsamo, znanego jako hr. Cagliostro, rozślawionego w późniejszych latach przez Aleksandra Dumasa (ojca). W tym czasie, a był to rok 1780, Poniński mocno cierpiał na brak gotówki, łatwo więc dał się złapać na obietnicę wyrobu sztucznego złota. „Cagliostro – drwił potem Antoni Magier – smerglił w tygielkach z panem; sam wyjechał z pieniędzmi, a panu bogactw nadzieję zostawił”. Można sobie wyobrazić, jak śmiała się Warszawa, gdy włoski naciągacz wyjechał do Paryża, wyciągnąwszy od miejscowego naciągacza parę tysięcy prawdziwych złotych dukatów.

Pierwsza połowa lat 70. to lata najbujniejszego rozkwitu jego podejrzanych interesów. Wymyślił wtedy, jak można przeczytać w *Pamiętniku anegdotycznym z czasów Stanisława Augusta* L. Cieszkowskiego – nowy sposób „handlowania dobrami i kupowania majątków bez pieniędzy, na facjendy”. To tajemniczo brzmiące słowo do dziś znane jest w przestępczym slangu, do którego trafiło z łaciny przez język włoski i oznacza złodziejską zdobycz; w tym samym sensie było używane już za czasów staropolskich i najlepiej określa charakter interesów księcia, który posługiwał się na równi podstępem, jak i oszustwem.

„Był to – zapisał inny kronikarz warszawskiej codzienności, cytowany tu już Antoni Magier – wyraz wynikły z technologii ks. Ponińskiego, podskarbiego koronnego, znanego ze swej doświadczonej w zwykłym przez siebie używanym handlu na dobra, sumy i inne posiadłości bez żadnej hipoteki, bo w cudzych nawet rękach jeszcze zostających, z których to w zamian zrazu dla obu stron powabnych takowe później wzrastały zawikłane sprawy, iż bywał to często niewysnowany węzeł dla biegłych nawet prawników”. Nic więc dziwnego, że jak zaświadcza inny już autor, książkę był jednym z najczęstszych klientów staropolskiej Temidy – tyle miał różnych procesów i tylu z niego żyło patronów, jak ówczesnie nazywano adwokatów.

Dobrze mieć u Panów względy,  
gładko idą facjendy,  
co niedawno był gołotą,  
świeci się w kieszeni złoto

– przycinał w jednej z satyr Kajetan Węgierski, przyglądając się najpewniej karierze tego właśnie człowieka. Ów na pewno nie przejmował się podobnymi przycinkami, ciesząc się, iż może imponować warszawskiej socjecie, co wprost uwielbiał.

Poniński czerpał dochody i z łyżwowego mostu, który wystawił własnym sumptem na Wiśle w zamian za prawo pobierania przez 10 lat opłat (2 grosze od pieszego, 20 od ładownego pojazdu) za przejazd i przechodzenie. Dostawał też jakieś sumy jako udziałowiec monopolu teatralnego. Wchodził nadto do spółki, która założyła klub gier hazardowych w pałacu Radziwiłłowskim – tu jednak jego dochody były niewątpliwie o wiele niższe niż wydatki, grał bowiem w karty niezwykle ostro i był nazywany powszechnie „królem faraona” od jednej z najpopularniejszych gier tamtego czasu. W samym tylko lipcu 1782 r. przegrał do innego księcia obwiesia, także nieprzeciętnego hazardzisty, Marcina Lubomirskiego, o wiele więcej, niż brał rocznie od Stackelberga, ambasadora carycy.

Czyż widząc taką rozrzutność, miał się nie zżymać Fryderyk II? W Warszawie opowiadano o podobnych faktach raczej z nutką zawistnego podziwu niż z przyganą; jedynie biskup Krasicki, chłuszczący ostrą satyrą współczesnych, choć i sam nie był bez grzeszków, przypadek Ponińskiego wykorzystał do nauki rodaków, drwiąc z niego bezlitośnie:

W takie go facjendy wprawił kunszt łotrowski,  
że w rok poszły intraty, i sumy, i wioski.

Od 1782 r. – jak czytamy w życiorysie księcia w *Polskim słowniku biograficznym* – „niewypłacalność Ponińskiego, dłużnika wielu szlacheckich i senatorskich rodzin, a także bankierów polskich i holenderskich, stanowiła jeden z ważniejszych problemów ekonomicznych Rzplitej”.

W sierpniu 1785 r. przyszły na jaśnie oświeconego aferzystę ostatnie terminy: oto Komisja Skarbowa, która do tej pory ograniczała się do nakładania aresztu na różne jego pensje i rekwirowała niektóre dochody, ogłosiła bankructwo Ponińskiego; odebrano mu nadto administrację mostu.

Obwołanie bankrutem miało i wtedy bardzo przykre konsekwencje dla delikwenta, wiązało się bowiem z wieloma uciążliwościami, uniemożliwiającymi niekiedy ponowne „stanięcie na nogi” nawet człowiekowi uczciwemu, nie mówiąc już o prowadzącym swe interesy w sposób podejrzany czy wręcz nieuczciwy. Jak kiedyś podczas kontraktów, czyli zjazdów handlowych – co odnotował pamiętnikarz Jan Duklan Ochocki – „wielki był nacisk u księcia, tak szlachta niosła mu pieniądze”, tak teraz rzucano się tłumnie, by odzyskać choć marne resztki powierzonych oszczędności.

Po roku z górą wystawiono Ponińskiemu finansowy nagrobek – oto Trybunał Lubelski (w stolicy tego typu spraw nie rozpatrywano) swoim dekretem wyznaczył zjazd podziałowy jego majątności. Parę następnych lat trwała procedura podziałowa i porządkowanie zawikłanych spraw majątkowych księcia.

Finansowo był skończony. Rychło miało się okazać, że nie tylko intraty i pałace, ale stracić może znacznie więcej, bo głowę. Choć wiele jego sprawek kwalifikowało się przed trybunały, nikt przedtem nie śmiał go pozwać i wszcząć procesu, a z urzędu w owych czasach postępowania sądowego nie prowadzono. Według prawa staropolskiego delator, czyli



oskarżyciel, ryzykował majątek, a nawet głowę, jeśli sprawa była gardłowa, gdyż w razie uniewinnienia, co w tamtych czasach i sądach zawsze było możliwe, wymierzano mu taką karę, jaka groziła oskarżonemu, a już na pewno nie obyłoby się bez kary więzy.

Gdy patrzy się na koleje losu księcia podskarbiego, dostrzec można wyraźnie, jak razem z pieniędzmi traci się i wpływy, i poparcie możliwych protektorów, zwłaszcza gdy oni sami mają kłopoty lub chcą ich po prostu uniknąć, nie angażując się w obronę człowieka, którym na dodatek gardzą. Księżę oddawał ogromne usługi ościennym dworom i mógł liczyć na ich względy, najbardziej ze strony rezydentów rosyjskich. Jednakże ci mieli większe zmartwienia biorące się stąd, iż wobec zaangażowania się politycznego Rosji na innych terenach zaczął się mocno chwiać jej protektorat nad Rzeczpospolitą i Polska się coraz bardziej emancypowała, dążąc jednocześnie do przeprowadzenia reform i wzmocnienia swej siły.

Poza tym, gdyby to nie było anachronizmem, bo przysłowie o Murzynie, który zrobił swoje, powstało znacznie później – można by tak właśnie powiedzieć o Ponińskim. Największe usługi oddał on w czasie pierwszego rozbioru i tuż po nim; wtedy też ceniono go i chroniono najbardziej. Otto Magnus Stackelberg, Niemiec w służbie dyplomatycznej Rosji, gdy przeprowadzał ratyfikację rozbioru – za co od Józefa II otrzymał tytuł hrabiowski, a od Katarzyny II zaznał wielu łask – nie pożałował świeżo upieczonemu księciu ponad 2000 dukatów miesięcznie na przekupienie posłów i przydzielił mu nawet stały oddział do ochrony osobistej. Teraz myślał przede wszystkim o sobie, bo wyraźnie tracił na znaczeniu u carycy.

Poniński został mocno zaatakowany na forum sejmowym już w 1776 r. Naciski ościennych państw, które nie chciały dopuścić do żadnych rozliczeń stawiających pod znakiem zapytania legalność zaboru naszych ziem, okazały się jednak tak silne, że księżę nie tylko nie poniósł żadnego szwanku, ale został wybrany przez tenże sejm do Rady Nieustającej, co zdumiało wszystkich, a wrogom dało do myślenia.

Krył go także król, przejmując nawet gdzie się tylko dało sejmowe zobowiązania na jego rzecz. Księżę podskarbi ciągle zresztą wyciągał od Stanisława Augusta jakieś sumy, być może szantażując monarchę ujawnieniem wstydliwych tajemnic. Rzecz całkiem możliwa, jeśli się zważy, że deputacja rewizyjna wyznaczona do przejrzenia papierów ambasady rosyjskiej pozostawionych przez Igelströma po wybuchu insurekcji – znalazła i „Imci Króla” w „regestrze” pensji „branych od Moskwy”.

Na początku 1789 r. Poniński zaatakowany został w sejmie skuteczniej niż przed laty. Teraz jego sprawa długi czas absorbowała obradujące stany; niektórzy aż się zżymali, że za bardzo, gdyż hamowało to nawet reformy, a uwaga powszechna odciągana była od problemów stokroć ważniejszych. Wymierzenie mu sprawiedliwości uznano jednak za konieczne, celem oczyszczenia atmosfery i odcięcia się od korupcji i zgnilizny moralnej, jaką uosabiał podskarbi i podobni mu ludzie ze społecznego świecznika.

Początek dał Wojciech Suchorzewski, poseł chełmiński, poruszając na sesji 4 czerwca niejasną sprawę skryptu dłużnego, który spłacić miał skarb państwa zakonowi maltańskiemu (Poniński był jego „prezorem”). W dniu następnym wyszło na jaw, że skrypt ten sporządził Poniński, będący w 1775 r. jednocześnie marszałkiem sejmu i podskarzim, a uczynił to bez zgody posłów i bez ich wiedzy wpisał to zobowiązanie do sejmowych uchwał. Był to przysłowiowy kamyk, który poruszył lawinę; podskarbiego oskarżono o zdradę i korupcję, żądając zawieszenia go w pełnieniu urzędu ministra, a także uwięzienia, jako że księżę nie był w stanie dać zabezpieczenia majątkowego. Znalazł się natomiast delator, który takie zabezpieczenie dawał od strony oskarżającej.

Gdy na początku dnia stanęła sprawa zastosowania wobec Ponińskiego aresztu prewencyjnego, zanim stanie on przed sądem, najenergiczniej przeciw temu oponował Stanisław

August. Powołał się na zasadę *neminem captivabimus nisi iure victum* („nikt nie może być więziony, jeśli nie jest prawem przekonany”), dowodząc, że naruszenie przywileju nietykalności osobistej stać by się mogło niebezpiecznym precedensem. Wtedy też, na sesji 8 czerwca 1789 r., gdy wałkowała się już trzeci dzień ta budząca tyle kontrowersji i namiętności sprawa, wyraził przekonanie: „Gdyby się wygnaniu sam obwiniony poddał, sprawiedliwość stałaby się wyrównującą występкови”. „Rzadko mówię w stanach – wołał dalej król – acz bym się nie zdał chcieć krępować zdań sejmujących. Ale są takie okoliczności, w których gdybym milczał, nie dopełniłbym powinności królewskich w przekonaniu moim. Niech to każdy wyobrazi sobie, co za źródło niechęci i zemst między obywatelami i okropnych konsekwencji i na jak długie czasy wyniknąć może z tego kroku, który wam, przezacne stany, odradzam!”.

Posłowie byli świadomi, że opowiadając się za wszczęciem kroków prawnych przeciw podskarbiemu, otwierają przysłowiową puszkę Pandory, w tym duchu bowiem co król przemawiali i inni posłowie. Mimo to podjęto decyzję o wysłaniu warty pod drzwi domu Ponińskiego przy ul. Długiej. Rankiem 9 czerwca odwiedzili go marszałkowie sejmowi i po trzech dniach przyszli ponownie. Wśród osób wtajemniczonych mówiło się, że namawiali go do ucieczki, on jednakże nie chciał o tym słyszeć. Prosił natomiast o wyznaczenie obrońców z urzędu, gdyż żaden z miejscowych patronów nie chciał stawać w jego sprawie, co – jak chcą niektórzy – mogło świadczyć o ubóstwie księcia i oczywistości jego zbrodni, a może też – co również jest prawdopodobne – był to wyraz potępienia dla tej marnej postaci i nikt nie chciał z jego nazwiskiem zestawiać swojego. Sprawę tę rozstrzygnięto, wyznaczając pięciu obrońców z urzędu na trzeciej sesji Sądu Sejmowego pod koniec sierpnia 1789 r.

Ale nie uprzedzajmy wypadków, bo jeszcze nim ten trybunał zaczął swe czynności w sprawie księcia Ponińskiego, ów czmychnął z pałacu Krasieńskich, gdzie go zamknięto pod strażą, obawiając się widocznie, że z własnego domu na Długiej księżę łatwo może uciec.

Przebywał tu Poniński niecały miesiąc, oczekując procesu i łudząc się początkowo, że może do niego nie dojdzie; wiedział przecież, że może liczyć na strach osób współwinnych. Rozbudzał go zresztą świadomie i podsycał. „Jeśli mam wisieć – oświadczył z właściwym sobie cynizmem – powinienem być powieszony między tronem i infułą”. Była to aluzja zbyt czytelna, by nie miała dać do myślenia królowi i jego bratu Michałowi – prymasowi – temu, który później, już za czasów insurekcji, „zwąchał linę” i otruł się sam. Dała też do myślenia wielu innym dostojnikom świeckim i kościelnym.

Sąd Sejmowy został wybrany 12 czerwca drogą losowania; nazwiska 4 ministrów, 6 senatorów i 24 posłów wyciągnął chłopiec z sierocińca przy szpitalu Dzieciątka Jezus używany do ciągnięcia losów przez kantor loteryjny. Ironia losu sprawiła, że w składzie sądu znalazł się hetman Ksawery Branicki, łotr wcale nie mniejszy niż były podskarbi. Był on przeciwnikiem reform i zausznikiem Katarzyny II; obdarzony ciętym językiem Franciszek Zabłocki skwitował to natychmiast udaną satyrą:

Cud Boski! Ksawer z łotra dziś mściciel ojczyzny,  
Choć ich wprzód jedną było można mierzyć piędzą,  
Dziś nie tak – Adam więźniem, a Ksawery sędzią!

Jeśli Poniński liczył na względy dawnego komilitona, to szybko został wyprowadzony z błędu, gdy doszło do jego uszu to, co hetman oświadczył kilka dni po wyborze w skład sądu: „Niech Poniński uciecze, jeśli może, póki ja nie wykonam z drugimi sędziowskiej przysięgi, bo jak tylko przysięgnę, to sam pierwszy będę się tego domagał, żeby Poniński został okuty w kajdany”. Podskarbi zrozumiał, że jego sprawa przedstawia się marnie i może zapłacić nawet

gardłem, bo takie zagrożenie przewidywały prawa Rzeczypospolitej za jego zbrodnie.

W nocy z 2 na 3 lipca 1789 r. stało się wreszcie to, czego pragnęło i spodziewało się wielu, a co uwidoczniło wszystkim, że człowieka, którego uwięzienie jest dla jednych niewygodne, a dla innych niebezpieczne, nie sposób utrzymać pod strażą nawet wzmocnioną. Następnego dnia głośno już było w mieście, a wkrótce i w całym kraju oraz po ościennych dworach, że Adam Poniński uciekł z więzienia. „Gazeta Warszawska” donosiła, że „pilnujący oficerowie zostającego pod strażą księcia imci Ponińskiego podskarbiego wielkiego koronnego, widząc, że pomieniony książę dłużej niż zazwyczaj łóżkiem się bawi, gdy do sypialnego jego pokoju weszli, naleźli uformowane tylko podobieństwo człowieka, samego zaś księcia nie naleźli”.

Król zaraz pośpieszył poinformować o tym fakcie Antoniego Debolego, ministra pełnomocnego Rzeczypospolitej w Petersburgu, ciesząc się, że „mniej będzie powoływania i unieszczęśliwiania ludzi wielu”, ów zaś ze swej strony donosił Małachowskiemu i Potockiemu, że fakt ten wywołał wśród dworaków carycy zdumienie i podziw, a samo uwięzienie Ponińskiego było komentowane jako dowód dużej aktywności obozu reformatorskiego.

Najbarwniejszy i chyba najbardziej szczegółowy opis ucieczki Ponińskiego zawierają *Pamiętniki, czyli Historia polska* Jędrzeja Kitowicza. „W pokoju jego sypialnym – czytamy tam – w głowach łóżka była szafka na kształt biblioteki, za tą szafką było okno zamurowane w jedną cegłę, wychodzące do drugiego pokoju, niemieszkalnego, szafka ta nie przytykała do samego muru, ale była cokolwiek odstawiona, tak iż się za nią mógł człowiek wcisnąć. W tym tedy oknie, powoli pracując, któryś z jego ludzi wyświdrował w murze na wylot dziurę. Gdy już robota była gotowa, tego dnia, gdy miał uchodzić, Poniński poszedł spać zawczasu, rozebrano go jak zazwyczaj i zasłoniono firankami. Oficer, który tego dnia wartę trzymał, widząc, że się Poniński położył, usiadł przy stole i wsparty na łokciu, usnął; przedrzemawszy się trochę, wstał, zajrzał w łóżko, i widząc w nim leżącego pod kołdrą, odszedł do stołu. Tak przez całą noc dochodząc do łóżka, widział za każdą razą śpiącego. Nazajutrz, gdy już było około godziny 8 z rana, przyszedł jakiś gość chcący Ponińskiemu oddać wizytę; oficer, zatrzymawszy gościa w przedpokoju, poszedł obudzić Ponińskiego, mniemaniem jego śpiącego; a gdy na zawołanie raz i drugi nie odezwał się mu, oficer, przystąpiwszy do łóżka, pociągnął za kołdrę, lecz bardzo się zmieszał, gdy zamiast Ponińskiego zobaczył bałwan z chust i poduszek na formę człowieka zrobiony, szlafmycą głowę przykrytą mający. Dopiero wówczas domyślił się spojrzeć za ową szafę, a widząc za nią dziurę w murze otwartą, nie wątpili, iż nią Poniński uszedł. Oficer natychmiast poszedł w łańcuszki, szyldwachy wszystkie pod wartę, a Poniński w swoją drogę”.

„Wylazł Poniński dziurą – kontynuuje Kitowicz swoją relację – wsiadł do karety fiakra najętego, już na to czekającego, usiadł na tyle. Wedle niego syn, a na Ponińskim usiadł Kukumus, jego faworyt i rządca domu, aby pana sobą zasłonił; za kareta stanęli służący. Tak przejechał przez most na Pragę mimo wart na moście stojących. U ładu pod Pragą czekała na niego krypa najęta u pisarza mostowego pod zmyślonym imieniem (...) Poniński, wsiadłszy w krypę z ludźmi swymi i synem, płynął cichutko. Szukano go po wszystkich szlakach na łądzie, a na wodzie szukać go nikomu do głowy nie przyszło”.

Jest bardzo możliwe, iż książę dlatego wybrał szlak wiślany, że miał – z racji zawiadywania mostem – rozeznanie wśród ludzi żyjących nad Wisłą i z Wisły. Miał się teraz przekonać na własnej skórze o zawodności wszelkich wyliczeń, gdy w grę wchodzi żądza złota.

Hetman wielki litewski Michał Kazimierz Ogiński odpowiedzialny przed sejmem za pilnowanie więźnia obiecał bowiem tysiąc czerwonych złotych temu, kto przyczyni się do schwywania zbiega. W ten sposób chciał oddalić od siebie wszelkie podejrzenia, gdyż przez parę godzin krył fakt ucieczki, co mogło być interpretowane jako współnictwo. Dzięki tej właśnie

pieniężnej pokusie pogoń wpadła na ślad księcia, żona bowiem jednego z wynajętych przez niego wodniaków doniosła, iż mąż – zanim popłynął krypą – podzielił się z nią podejrzeniami, z kim udaje się w podróż do Gdańska.

Zbiegów schwytano pod Toruniem, gdzie jak twierdzi Jędrzej Kitowicz, Ponińskiemu „jako pijakowi ognistemu zachciało się wódki gdańskiej i pierników toruńskich, dla czego, nie słuchając odradzania swojej kompanii, wysiadł z łodzi z synem i laufrem swoim faworytem”.

Satyrycy, z uwagą śledzący wszystkie etapy afery księcia podskarbiego, by reagować natychmiast dłuższymi lub krótszymi wierszami skutecznie pogrążającymi go w opinii publicznej, nie mogli też przejść do porządku nad faktem tej nieudanej ucieczki. Jeden z nich, czyniąc aluzję do herbu Ponińskiego – Łodzia – natychmiast sprokurował fraszkę, z której śmiało się całe miasto:

Adam Łodzia Poniński, sposobem jak złodziej,  
Wylazł dziurą i uciekł za pomocą łodzi.  
Nie frasuj się o jego ostatecznym zgonie,  
Komu jest przeznaczone wisieć – nie utonie.

Schwytanie Ponińskiego mocno zmartwiło tych, których przedtem ucieszyła jego ucieczka. Król trapił się na nowo, „aby dwory zagraniczne nie myślały, że chce się obalić całe ustawodawstwo Sejmu 1773–1775”. Czyniono wszystko, co możliwe, by nie dopuścić do objęcia procesem innych osób, polityków z okresu sejmku rozbiorowego, do czego zresztą skwapliwie zmierzał sam oskarżony.

Sąd Sejmowy marudził przy rozważaniu spraw porządkowych i proceduralnych, ale dłużej nie dawało się procesowi odwlekać. Wreszcie 24 sierpnia trybunał pod przewodnictwem króla rozpoczął swoje czynności; natychmiast też rozgorzał pierwszy spór: w jakim porządku mają zasiadać sędziowie. Fakt ten najlepiej ilustruje niechęć, z jaką wielu podchodziło do tej niewygodnej sprawy, i sposoby, jakich się chwytano, by rzecz jak najdłużej przewlekać.

W pozwie doręczonym Ponińskiemu – prócz wielu innych zarzutów – oskarżono księcia przede wszystkim o to, iż ważył się „udać do postronnych i usług sąsiednim mocarstwom przeciwko własnej ojczyźnie zapewniwszy, za to zaś nagrody pieniężnej otrzymawszy, zmuszał innych posłów do podpisania aktu rozbiorowego, a ponadto brał niegodziwe pensje”.

Oskarżony wystąpił natychmiast z tzw. pozwem rekonwencjonalnym – przeciw swemu delatorowi, którym był Wojciech Turski, a także wniósł o wyłączenie ze składu sędziowskiego hetmana Branickiego jako współwinnego. Na początku grudnia jego brat Kalikst wystąpił z delacją przeciw 60 współnikom księcia Adama Ponińskiego, czołowym „aktorom haniebnego sejmku”; wnioski te zostały odrzucone.

Dalej rzecz szła normalnym ówczesnie sądowym trybem; rozstrzygnięto wszystkie tzw. akcesoria, potem zajęto się meritum; nastąpiły indukta, ustne oskarżenie delatora, oskarżony wygłosił replikę, znów głos zabrał oskarżyciel i ponownie oskarżony.

Pod koniec marca 1790 r. Poniński został uwolniony z aresztu za poręką majątkową brata i innej jeszcze osoby; odtąd odpowiadać miał „z wolnej nogi”. Gdy odzyskał wolność, raz jeszcze próbował ucieczki – tym razem traktem lubelskim – jednakże i tym razem nie miał szczęścia, bo został rozpoznany i dostawiony na nowo do koszar artylerii, gdzie był więziony po pierwszej ucieczce.

Proces tymczasem toczył się dalej w ślimaczym wręcz tempie. Stronę oskarżycielską poparło ponad 30 świadków, oskarżony natomiast – wzywany do przedstawienia rejestru swoich świadków – ciągle zwlekał, co opóźniało bieg rzeczy, aż wreszcie zrezygnował z nich w ogóle, co ostatecznie rozstrzygnęło jego winę.

Pod koniec sierpnia Poniński wygłosił swe „ostatnie słowo”. Owszem – przyznał – brał

pieniądze, bo nie było prawnego zakazu przyjmowania ich od obcych dworów. Obecny sejm wprawdzie uchwalił takie prawo, ale przecież – dowodził – nie może działać ono wstecz. „Wolnym się widzę – zakończył dramatycznie – od trwogi na swoim sumieniu”.

Wyrok został ogłoszony 1 września; jak czytamy u Kitowicza – oskarżony „tylko o jedną kreskę nie stracił głowy”.

Dekret trybunału uznał Ponińskiego za winnego nielegalnego zdobycia mandatu poselskiego i przywłaszczenia przez gwałt łaski marszałka sejmowego w 1773 r. Uznano w nim też bezprawność działania samozwańczego marszałka wobec Reytana, branie pensji zagranicznych i działanie na szkodę ojczyzny, popełnianie zbrodni przeciw wymiarowi sprawiedliwości, m.in. przez uchylanie za łapówki wyroków sądowych. Dekret obwoływał go zbrodniarzem stanu i nieprzyjacielem ojczyzny oraz odsądzał od godności, urzędów, orderów, książęcego tytułu, szlachectwa, wreszcie i nazwiska, pozostawiając mu tylko imię.

„Kiedy czytano dekret Ponińskiemu – napisał w *Pamiętnikach* Kitowicz – najprzód wspomniano go jaśnie oświeconym księżęciem, potem jaśnie wielmożnym, potem tylko urodzonym, podług stopniów, z których go zrzucano; a na ostatku, gdy go odsądzano od szlachectwa i od imienia Ponińskich, nie mianowano go, tylko człowiekiem Adamem. To tak go upodlono w Warszawie, a za rogatkami tytułowano go i jaśnie oświeconym, i podskarbinem, i generałem, i przeorem maltańskim, i różnych orderów kawalerem, i Ponińskim, i tym wszystkim, czym był przed dekretem”.

Poniński niezbyt przejął się tym wyrokiem; rad był, że wyniósł cało głowę – w mundurze rosyjskim wyjechał z Warszawy. Za czasów Targowicy wyrok Sądu Sejmowego został uchylony; przywrócono mu szlachectwo i wszystkie tytuły oraz odznaczenia. Nie doszedł już jednak nigdy do większych pieniędzy, a nawet cierpiał biedę. Zmarł w 1798 r. w Warszawie, podobno w rynsztoku. Anonimowa fraszka, którą ktoś napisał jako jego „nagrobek”, kończyła się słowami:

Poniński się nazywam, Adam mi z imienia,  
Szubienicę mam łożem i głazem wspomnienia.

## Afera trucicielska Dogrumowej

W CZASACH STANISŁAWOWSKICH największym skandalem, jakim żyła Warszawa – a nawet cała Polska i ościenne dwory – była afera trucicielska sprokurowana przez zwykłą awanturnicę, majorową Dogrumową. Wywarła też ona negatywny wpływ na politykę wewnętrzną, co udowodnił bardzo przekonująco Adam Danielak w niezwykle wnikliwym studium *Afera Dogrumowej a konsolidacja opozycji antykrólewskiej 1785–1786*, opublikowanym w „Kwartalniku Historycznym” w 2004 roku (nr 4).

24 stycznia 1785 roku zebrał się Sąd Marszałkowski Koronny Kryminalny w swej siedzibie w pałacu Krasińskich – zwanym od 1764 roku pałacem Rzeczypospolitej, jako że rząd odkupił go na najważniejsze urzędy. Sąd miał rozpatrzyć sprawę majorowej Dogrumowej, a właściwie cały splot skarg i wzajemnych oskarżeń, które wiązały się z procesem tej zagadkowej kobiety.

O wadze tego kazusu najlepiej świadczy skład owego sądowiczego gremium pod prezydencją samego marszałka wielkiego koronnego Michała Wandalina Mniszcha. Prócz niego za sędziowskim stołem zasiedli: marszałek nadworny litewski, wojewoda mazowiecki, wojewoda rawski, kasztelan czerski, kasztelan mazowiecki, koniuszy koronny, podstoli koronny, pisarz polny koronny i pisarz polny litewski. Byli to więc sami urzędnicy wysokiej rangi i należeli w większości do zwolenników króla.

Zanim poznamy *dramatis personae*, warto już na wstępie zaznaczyć – w ślad za XVIII-wiecznymi autorami, którzy pisali o tym wielce zagmatwanym kazusie – o jakie zbrodnie oskarżały się wzajemnie osoby uczestniczące w procesie. A więc: książę Adam Czartoryski, generał ziem podolskich, zapozwał Franciszka Ryksa, starostę piaseczyńskiego, kamerdynera królewskiego, o chęć otrucia go bądź zabicia żelazem. Tenże książę przypozwał Jana Komarzewskiego, generał-majora przy boku Jego Królewskiej Mości, nie oskarżając go, a jedynie żądając, aby sprawie był przytomny jako do niej przyłączony. Z kolei Ryx zapozwał generała Czartoryskiego o „uczynienie sobie niewinnie zarzutu”. Komarzewski zapozwał księcia o przyłączenie go do tej sprawy. Komarzewski i Ryx razem obaj – zapozwali Dogrumową o rzucenie na nich potwarzy, a wraz z nią kupca angielskiego Taylora „o wpływanie do sprawy potwarzy”. Na koniec Ryx, już sam, oskarżył Taylora o napad z bronią w rękę i przyaresztowanie go, mimo iż był szlachcicem, któremu nie dowiedziono winy. Stanisława Potockiego zaś o zмовę z Taylorem „i przyłożenie się do powyższego Taylorowskiego podstępu”.

Jak z tego widać, sąd miał mnóstwo roboty i wkroczył na zaminowane pole. Rzec toczyła się przecież między najznamienitszymi ówczesnie prominentami. W tle stał jeszcze sam Król Jegomość, który rzekomo w całej tej trucicielskiej aferze miał być przyczyną sprawczą. Dogrumowa złożyła bowiem oświadczenie, w którym napisała, że generał Komarzewski w obecności Ryksa „zaczął ze mną rozmowę od tego, abym go uważała jak samego króla, że mnie prosi o pewną ważną przysługę, za którą mieć będę weksel na tysiąc czerwonych złotych od pana Teppera [ówczesny bankier – S.M.] i kompanii, który pokazał, a przy tym pensję pięćset czerwonych złotych i wieś”.

„Gdym się zapytała – kontynuowała swój donos Dogrumowa – jakiej posługi ode mnie żądał i że chyba podjąć się nie mogę podobnej rzeczy, kończył Komarzewski swoją rozmowę, powiadając, że idzie o złudzenie księcia Adama Czartoryskiego, generała podolskiego, i zgładzenie go ze świata; po czym podał papier z proszkiem, mówiąc do mnie: Daj mu to

połknąć”. Ryx zaś – ciągle cytujemy tu słowa Dogrumowej – w sposób następujący uzupełnił zachętę Komarzewskiego: „Jeżeli księżę nie zechce ani jeść, ani pić, to go przebij puginalem; nieładnie być bardzo bojaźliwą; gdybym ja miał tę sposobność, co pani, zaraz bym go przebił. Moja kochanko, miej tylko serce, twoje szczęście na całe życie przygotowane; a potem weźmiemy cię do dworu i ukryjemy”.

Kim była Maria Teresa Dogrumowa? Typowa XVIII-wieczna awanturka; nawet jej pochodzenie i rodowe nazwisko nie zostały nigdy do końca wyjaśnione (podobno z domu nazywała się de Neri, a z pierwszego męża – Le Clerq). Jedni utrzymywali, że wywodziła się z Holandii, inni mówili o Wiedniu, a jeszcze inni o Włoszech. Nie miało to zresztą większego znaczenia, bo i tak domowe pielesze opuściła we wczesnej młodości, zabierając jako wiano na nowe, samodzielne życie biżuterię matki.

Aby uniknąć licznych wierzycieli, bo długów zawsze miała sporo, zmieniała często miejsce pobytu. W Warszawie, owym rajem dla wszelkich hochsztaplerów, w sumie spędziła dość długi okres swego burzliwego życia. „Znano ją i za granicą – pisze o Dogrumowej autor pierwszego polskiego pitawała, L. T. Tripplin – gdzie dla zysków i nierządnego życia i oszukiwania ludzi, przybierając najznakomitszych rodzin nazwiska, podróże odbywała; aby pod tymi pozorami do litości nad sobą, jako uciśniona przypadkami, a ozdobiona wielkiego rodu zacnością, obłąkane serca pobudziła”.

Do stolicy Polski po raz pierwszy trafiła w 1767 roku; natychmiast też stało się tu głośno o jej „miłosnych koneksjach” z wieloma osobistościami z najlepszego towarzystwa. Biografowie z trudem odtwarzają jej zawikłane losy; wkrótce wyjechała na siedem lat do Rosji i powróciła stamtąd w 1782 roku jako żona majora Ugriumowa. Z tego okresu zachował się jej literacki portret: „niska, chuda, blada, nos pociągły, oczy czarne i żywe, brew gęsta, podstarzałe wdzięki”.

Temperament pchał ją ciągle do intryg; ostrzegała np. króla Stanisława Augusta, że w Grodnie zostanie otruty przez spiskowców. Obiecywała nawet bliższe szczegóły, oczywiście niebezinteresownie. Nie zdołała jednak przyciągnąć uwagi monarchy; na odczepnego dano jej wprawdzie jakąś kwotę, ale gdy ponownie usiłowała dobrać się do królewskiej kiesy, spotkała się ze stanowczą odprawą.

Przez następne półtora roku Dogrumowa znów żyła w cieniu, „kontentując się zwykłym swoim rzemiosłem”, jak to elegancko określił jeden z jej biografów. Miała jednakże pecha: oto francuski kupiec, jej ówczesny protektor, nie dość, że przepuścił w Warszawie cały swój majątek, to jeszcze musiał uciekać przed wierzycielami, zostawiając ją bez grosza i z długami na karku.

W tej rozpaczliwej sytuacji awanturka żyłka pchnęła ją do drugiej intrygi „trucicielskiej”. Odniosła w niej większy sukces, ale tylko chwilowy. Wkrótce bowiem stanęła przed sądem kryminalnym marszałkowskim oskarżona o wymyślenie całej afery, która podzieliła magnaterię na dwa obozy.

Początkowo odpowiadała „z wolnej nogi”, mieszkając w domach możliwych przyjaciół. Często zmieniała zeznania, więc od razu na pierwszej sesji sądu w dniu 24 stycznia 1785 roku zamknięto ją w więzieniu, mimo interwencji rezydenta austriackiego dworu, Benedicta de Caché. Wykazywał on w ogóle nadzwyczajną aktywność, bo – jak przyznał potem – jego dwór tak gorąco zalecał mu całą tę sprawę, „jakby chodziło o zdobycie wielkiej prowincji”.

O aferze, której była bohaterką, wspominają mniej lub bardziej szczegółowo niemal wszyscy historycy zajmujący się czasami Stanisława Augusta. Niektórzy przyrównują Dogrumową do francuskiej aferzystki – hrabiny de la Motte, upamiętnionej na kartach popularnej powieści Aleksandra Dumasa *Naszyjnik królowej*. Nie ma w tym przesady: i w jednym,

i w drugim przypadku zadziwia miałkość intrygi niewspółmierna do wywołanych reperkusji.

W dużym uproszczeniu intryga przedstawiała się tak, że Dogrumowa wspólnie ze swym przyjacielem, angielskim kupcem Williamem Taylorem, złożyła rodzinie Czartoryskich – jak już była o tym mowa na wstępie – poufne doniesienie, że Ryx i generał Komarzewski zwrócili się do niej, by otruła księcia Adama. Obiecać jej mieli za to nadanie wsi, 500 dukatów rocznej pensji i tysiąc dukatów jednorazowej gratyfikacji. Przekazali jej do tego celu – jak twierdziła – jakiś tajemniczy proszek. Dość łatwo dano jej wiarę, zwłaszcza że gdy ów proszek podano w jedzeniu psu – zwierzę natychmiast dostało śmiertelnych konwulsji.

Czartoryscy zażądali jednak dowodów. Dogrumowa zaprosiła więc do siebie Ryksa, z którym od lat łączyły ją różne konszachty. Taylor wraz ze Stanisławem Kostką Potockim ukryli się w sąsiedztwie, by słyszeć rozmowę, którą przebiegła intrygantka miała pokierować w ten sposób, by zamiar otrucia został wyraźnie potwierdzony przez królewskiego kamerdynera.

Nie było potem jasności co do tego punktu, bo rozmówcy kluczyli w sposób następczący liczne wątpliwości. Powiększyła je interwencja Taylora, który – nie czekając na finał rozmowy – wpadł do pokoju i grożąc Ryksowi pistoletem oraz puginałem, odprowadził go do rezydencji księżnej Lubomirskiej, teściowej Stanisława Potockiego.

Stamtąd Ryksa przewieziono do więzienia, a Dogrumowej rodzina Czartoryskich zapłaciła żądane 500 dukatów. Ta w zamian musiała podpisać urzędową skargę, którą sporządził drugi zięć księżnej Lubomirskiej – Ignacy Potocki. Dokument ów przedłożył w urzędzie marszałka wielkiego koronnego. Spodziewano się, oskarżając Ryksa, pierwszego kamerdynera królewskiego, uderzyć w samego monarchę. W takim zaś celu wszyscy niechętni Stanisławowi Augustowi, a było ich wcale niemało, skwapliwie podali sobie ręce.

Ryx, którego cała urzędowa służba polegała na wkładaniu wstęgi orderowej na króla, gdy starszy kamer-lokaj Hoffman kończył ubieranie i zapinanie guzików – nadzwyczaj dobrze pasował do rzekomej roli, jaką mu przypisywano. Wszyscy dobrze wiedzieli, że załatwiał dla swego pana najbardziej poufne i drażliwe zlecenia.

Przeciwnicy Poniatowskiego sądzili, że dzięki procesowi skompromitują, a przynajmniej dobrze splamią znienawidzonego „Ciołka” – jak króla pogardliwie określano od jego herbu. Tymczasem ostrze intrygi zwróciło się na niemożącą dowieść swej wersji Dogrumową. Taką przynajmniej ewentualność przyjmują historycy. A jak było naprawdę?

W każdym razie początkowy bieg sprawy wskazuje, że taki cel właśnie był zamierzony. Chociażby potraktowanie Ryksa, który – jak pisze Tripplin – „siedział na zamku, raczej leżał chory na nogi, lecz nie pod blachą, ale w stancyi na odwachu, a potem na górze w osobnym i oddalonym miejscu, z posługą jednego tylko chłopca, pod wartą podwójną; zabroniono mu wszelkiej z krewnymi i przyjaciółmi rozmowy, tak dalece, że obrońcy jego, bez osoby od sądu przydanej, naradzać się z nim nie mogli, i że nawet pióra i kałamarza do pisania mu nie pozwolono. Sługa i mieszkaniec zamkowy, do tego szlachcic osiadły, na gorącym uczynku nieujęty, nie powinien być więziony przed zaczęciem sprawy i jakiegokolwiek przekonania, a to podług przepisów ówczasowego prawa obowiązującego”.

Z kolei Taylor, za którego dał poręczenie książę Adam Czartoryski, odpowiadał z wolnej stopy. Wstawiał się za nim potem, podobnie jak za Dogrumową, dość natrętnie, a nawet nachalnie ambasador austriacki de Caché. Marszałek wielki koronny Michał Jerzy Mniszech czuł się zmuszony dać mu odprawę: „prawo i dowody są dla sądu, w którym on prezyduje, jedynym prawidłem, a że po ukończeniu procesu objawione będą wszelkie akta i dekreta tej sprawy dotyczące, wtenczas przeto spodziewa się przekonać wszystkich o sprawiedliwości Sądu



Marszałkowskiego”. Nigdy tej obietnicy zresztą nie spełniono.

Chociaż sąd złożony był z wysokich urzędników i w większości ze zwolenników króla, dał on – co do tego wszyscy są zgodni – przykład odpornej na wszelkie wpływy i naciski, bezstronnej sprawiedliwości. Rozprawy przyciągały tłumy ciekawskich. Dogrumową, oskarżoną o wymyślenie i sprokurowanie całej intrygi, potraktowano niezwykle surowo. Dekretem z 15 marca 1785 roku orzeczono publiczne spalenie jej zeznań złożonych przed sądem (szło o pieczęć „wiecznego milczenia” nad aferą), ją natomiast skazano na dożywotnie więzienie.

Wymierzono jej również bardzo dotkliwą karę dodatkową: sąd kazał naznaczyć ją piętnem szubienicy wypalanej na łopatkę jako osobie „na żadną cześć i wiarę niezasługującej”, oraz – jak twierdzi Niemcewicz, bo inni autorzy o tym nie wspominają – na chłostę pod pręgierzem. Jest to o tyle prawdopodobne, że na ogół obie te kary dodatkowe orzekano łącznie. Taylor zaś za samowolne przyaresztowanie Ryksa zapłacić musiał 60 grzywien i odpokutować pół roku w więzy.

Ceremonia publicznego piętnowania Dogrumowej odbyła się 22 kwietnia na Rynku Starego Miasta pod wystawionym tam pręgierzem. Naznaczenie piętnem największej intrygantki czasów stanisławowskich było według *Estetyki miasta stołecznego Warszawy* Antoniego Magiera ostatnią taką egzekucją w tym miejscu; wkrótce bowiem pręgierz ten rozebrano.

Sprawa między księciem Adamem Czartoryskim a Ryksem i Komarzewskim, któremu ci – jak pamiętamy – wytoczyli proces z powodu dania wiary intrygantce, zakończyła się dla pozwanego niepomyślnie. We wspomnieniach senatora i kasztelana Leona Dembowskiego można się doczytać, że dwaj najznakomitsi ówczesni patroni warszawscy, Kasperski i Chrzanowski, odmówili jego obrony przed sądem na skutek nacisków dworu. Książę Adam mimo przeciwdziałania „Familii” zlekceważył „powiastkę” (tak! już wtedy używano tego wydawałoby się Wiechowskiego określenia) i nie stawił się na termin rozprawy. Dopuścił więc do tzw. zaoczności wyroku, co w tym przypadku równało się przegranej. Niektórzy autorzy podają, że proces kosztował ławowiernego księcia blisko cztery miliony złotych polskich; suma ta wydaje się mocno przesadzona.

Bliższy prawdy jest chyba Walerian Kalinka, który w *Ostatnich latach panowania Stanisława Augusta* podaje, że razem „wyrzucono na tak marną sprawę i która wstyd tylko przyniosła, półtrzecią miliona złotych, to jest blisko siódmą część tego, co Rzeczpospolita miała wówczas dochodów”. Autor ten twierdzi, że księżna Lubomirska poniosła koszty w wysokości 70 000 dukatów, generał Czartoryski 36 000, hetman Branicki stracił na tej sprawie 46 000 dukatów, a hetmanowa Ogińska – 46 000; są to wszystko szacunki oparte na ówczesnych raportach.

Książę Adam Czartoryski tak się ponoć przejął całą tą sprawą, że niebawem wyjechał do Karlsbadu, a potem przeniósł się ze stolicy do Puław.

Józef Ignacy Kraszewski w dziele *Polska w czasie trzech rozbiorów*, opartym na bogatej bazie źródłowej, pisze, że ta „ciemna i brudna sprawa” króla, już poróżnionego z Lubomirskimi, Czartoryskimi i Potockimi – ostatecznie i na długo z nimi rozbratała. Twierdzi też, że nie ma najmniejszych wątpliwości, iż książę Adam nigdy nie wierzył w zamach na swe życie. Będąc jednak wplątany w ową aferę, nie mógł się już potem wycofać i tylko celem oczyszczenia się przed opinią publiczną usiłował nadać sprawie cechy prawdopodobieństwa.

Marszałkowa Lubomirska z kolei pragnęła owo prawdopodobieństwo wzmocnić. Oliwiła więc główne sprężyny afery Dogrumowej, przekupując głównych świadków w tej sprawie, wrogów króla, m.in. braci Stanisława i Ignacego Potockich. Ten ostatni dostał od niej ponoć

pałac ceniony na 30 000 dukatów.

Winą za sprokrowanie „afery dogrumowskiej” niektórzy historycy obarczają nie tylko „familijny” obóz Czartoryskich i Lubomirskich, ale i samego króla. Henryk Schmitt w *Dziejach Polski XVIII i XIX wieku osnowanych przeważnie na niewydanych dotąd źródłach* pisze np., że „Król i jego ulubieńcy zawinili ciężko w tej sprawie, ponieważ nie byłoby przyszło do tego skandalicznego procesu, gdyby byli podczas sejmu grodzieńskiego niecną tę wszetecnicę, która im doniosła o spiskach na życie królewskie, pod sąd oddali, nie słuchając jej obrzydliwych donosów. Lecz że chcieli widocznie dokuczyć niektórym osobom, a szczególnie Czartoryskiemu, zawichrzyli całą Rzplitą. Wszyscy bowiem przeciwnicy dworu wystawiali w najgorszym świetle całą tę sprawę nieszczęsną, wmawiając w ziemian, że gdyby sąd nie był w zbytnie bawił się formalności, byłyby się ciekawe powykrywały rzeczy”.

Sąd bowiem – co trzeba jeszcze raz mocno podkreślić – nie dał się wciągnąć we wszystkie te międzyobozowe rozgrywki. Przejawiał w procesie chwalebna bezstronność, biorąc pod uwagę tylko fakty i godnie przeciwstawiając się naciskom z wielu stron, także dworów obcych. W sprawę wdał się bowiem nie tylko Austriak de Caché.

Niektórzy magnaci na najbliższym sejmie robili, co mogli, ażeby ich nazwiska zostały wymazane z kompromitującego wyroku; w paru przypadkach ich starania odniosły nawet pozytywny skutek, zwłaszcza gdy poparła je Katarzyna II.

Wrogom zewnętrznym także ta afery była na rękę. W chwili gdy w Polsce jak nigdy potrzebna była jedność, skutkiem afery było rozbitcie na nienawidzące się wzajemnie obozy. Według historyka Emanuela Rostworowskiego ta prowokacyjna, jak ją określił, sprawa przyczyniła się do konsolidacji opozycji magnackiej i wzrostu wśród niej nastrojów rokoszowych. „Rewelacje tej awanturnicy – pisze ów autor w książce pt. *Ostatni król Rzeczypospolitej* – wywołały burzę polityczną. Szerzono pogłoski, że król i prymas przygotowali trucicielską listę proskrypcyjną, której pierwszą jedynie ofiarą miał paść książę Adam”.

Dalej E. Rostworowski przytacza bardzo wymowny list, który „jeden z główniejszych niegdyś detronizatorów w barskiej generalności” Michał Dzierżanowski napisał do Seweryna Rzewuskiego; jego fragment brzmiał następująco: „Teraz by to należało konfederacją zrobić i powołanych do tak szkaradnego projektu od wszystkich urzędów odsadzić i z kraju wypędzić”. I dalej: „Już nie masz innego sposobu dla spokojnego życia obywatelom cnotliwym, jak się w kuratelę mocnemu jakiemu monarsze oddać”. Czyż potrzeba lepszej ilustracji dla ukazania zamętu myślowego, jaki udało się Dogrumowej wywołać w pewnych kręgach społeczeństwa?

Pewien czas po wyroku Dogrumowa spędziła w warszawskiej Prochowni; nie jest natomiast prawdą, jak podają niektórzy autorzy, że natychmiast odesłano ją do Cuchthauzu w Gdańsku. Z liczb cytowanych przez Józefa Rafacza w monografii dotyczącej Prochowni można wnioskować, że okres pobytu w tym więzieniu nie był tak krótki, by mówić tylko o oczekiwaniu na przetransportowanie do Gdańska.

Koszty bowiem, jakie poniosła na nią jurysdykcja marszałkowska, są zadziwiające i dają wiele do myślenia; ich ogólna suma – blisko 6000 złp. – stawia pod znakiem zapytania sugestię, że pieniądze te pochodziły z kiesy marszałka wielkiego koronnego. Kasa jurysdykcji w tym czasie chronicznie świeciła dnem i brakowało pieniędzy na niezbędne wydatki. Musiał więc ktoś inny pokrywać ekstrawaganckie wydatki Dogrumowej; trudno je inaczej określić, skoro na same pachnidła dla niej wyasygnowano w 1785 roku 300 złotych polskich!

W Prochowni – gdzie kobiet w tym czasie raczej nie więziono – dano tej niezwyklej więźniarce specjalnie dla niej urządzone osobne mieszkanie, kupowano też jej różne medykamenty w stołecznych aptekach. Posiłki przygotowywał jej specjalny restaurator, który musiał złożyć przysięgę, że swe obowiązki będzie wykonywać w sposób należyty. Na potrawy przeznaczano dziennie 6 złp. czyli akurat sto razy więcej niż na skazaną z gminu, bo dla tych stawka dzienna wynosiła w tym czasie 6 groszy.

Dogrumowej, o której Kraszewski napisał w cytowanym już tu dziele, że „używana była przez ludzi do dworu królewskiego należących do różnych intryg miłosnych i szpiegowskich, za które ją wynagradzano”, również w więzieniu gdańskim, gdzie ją przewieziono, musiało powodzić się nieźle. Płacono bowiem na jej utrzymanie za pośrednictwem jurysdykcji marszałkowskiej znaczną sumę 540 złotych polskich rocznie.

Nie można wykluczyć, że otrzymywała jeszcze inne sumy na swoje wydatki. Oto cytowany już historyk epoki Emanuel Rostworowski, pisząc o komisarzy królewskim w Gdańsku, Fryderyku Erneście Hennigu, który wykonywał dla Stanisława Augusta różne tajemne zlecenia, wspomina mimochodem, że król powierzał mu wiele poufnych spraw, „jak komunikowanie się z osadzoną w gdańskim więzieniu słynną awanturnicą Dogrumową”. Z tego wynika, że król nie pozostawił jej samej sobie, jakby się można spodziewać, lecz miał z nią jeszcze jakieś niejasne interesy.

Nie ulega wątpliwości zatem, że działała na dwie strony i brała pieniądze zarówno od Stanisława Augusta, jak i od Czartoryskich. Z więzienia uwolnili ją Prusacy, gdy w 1793 roku zajęli Gdańsk „przy okazji” drugiego rozbioru Polski. Dobrze na ogół poinformowany Leon Dembowski w swych wspomnieniach podaje, że Dogrumowa mimo wyroku dożywotniego więzienia żyła dobrze, bo od księcia Czartoryskiego „brała znakomitą pensję i mieszkała aż do zgonu wraz z małżonkiem w kluczu jarosławskim”.

Wśród współczesnych afera Dogrumowej budziła wielkie namietności, także publicystyczne. Angażowały się w nią pierwsze pióra epoki; np. Adam Naruszewicz wydał anonimowo polemiczną książkę pt. *Sprawa między Xięciem Adamem Czartoryskim generałem ziem podolskich, oskarżającym, a Janem Komarzewskim generałem majorem przy boku J.K.Mci i Franciszkiem Ryksem starostą piaseczyńskim kamerdynerem królewskim oskarżonymi jakoby o zamysł otrucia tego Xięcia*.

Już słówko „jakoby” w tytule świadczy, że autor nie wierzył w rewelacje ujawnione przez Dogrumową; natomiast inny znany luminarz czasów stanisławowskich – „książę mówców” Sejmu Czteroletniego, Stanisław Kostka Potocki, w opublikowanej pod pseudonimem Jan Witt książce pt. *Listy polskie pisane w roku 1785* z kolei oskarżał J. Komarzewskiego i F. Ryksa o to, że faktycznie zamierzali otruć księcia Adama Czartoryskiego.

Czy Ryx, królewski dworak, handlarz orderami i królewszczyznami, oraz Komarzewski – generał „amplojowany”, to jest pozostający przy „boku J.K. Mości”, który swą karierę zawdzięczał ponoć pięknemu piśmieniu, wesołości i dowcipnym żartom – rzeczywiście chcieli otruć zasłużonego komendanta Szkoły Rycerskiej czy tylko poróżnić go z królem, co dzięki tej aferze doskonale im się udało?

Na to pytanie nikt nie był w stanie udzielić wiarygodnej odpowiedzi, bo intryga goniła tu intrygę, a prócz owych „trucicieli” i Dogrumowej zamieszana była w aferę i Elżbieta Lubomirska de domo Czartoryska – siostra księcia Adama, od trzech lat wdowa po zmarłym w sile wieku marszałku wielkim koronnym. Skompromitowała się w tej sprawie tak bardzo, że musiała opuścić kraj już na zawsze.

Przed laty jej kuzyn Stanisław Poniatowski, jeszcze jako stolnik litewski, wielbił z uniesieniem jej piękność, rozum i serce; w późniejszym czasie, gdy został królem, dawna intymna przyjaźń przynajmniej z jej strony zmieniła się w niechęć, a nawet wrogość, którą solidarnie dzielili z nią ulegający jej we wszystkim brat Adam i zięciowie Potoccy.

Nie można też ani na moment przypuszczać, że inna głośna dama – Izabela Czartoryska – żona księcia Adama, później gwiazda Puław, pani niezbyt urodziwa, ale ponętna, o dużej inteligencji, żywe, jak o niej mówiono, uosobienie epoki „króla Stasia”, przyglądała się beczynnie temu, co działo się wokół jej męża. To o niej Joseph Aubert, francuski rezydent, a więc wcale nie purytanin, napisał, że od lat „gorszy swą ojczyznę najswawolniejszym postępowaniem i najbardziej rozluźnionymi obyczajami”. Była też zawołaną intrygantką. Ktoś napisał, że kobiety zgubiły wówczas Rzeczpospolitą i chyba był bliski prawdy; nigdy bowiem tyle co w tym czasie nie zmarnowano energii na puste intrygi i koteryjne rozgrywki.

Nie ulega wątpliwości, że cała ta sprawa miała drugie dno. Banalne fakty, które składają się na fabułę historyjki sprokurowanej przez ową międzynarodową aferzystkę, nabierają zgoła innego wymiaru, jeśli uwzględni się tło, na którym rzecz się działa.

Rozplotkowany dwór, roznamiętnione arystokratki usiłujące umocnić albo utrzymać wpływy swoich mężów bądź kochanków, krzyżujące się interesy kamaryl i stronnictw, knowania rezydentów dworów ościennych zainteresowanych destabilizacją Polski – oto ogień, przy którym owa osóbką „niegardząca intrygą ani nierządem”, jak o Dogrumowej piszą pamiętnikarze – upiekła pasztet, który nie smakował nikomu, zaszkodził wszystkim, a nawet jej samej nie wyszedł na zdrowie.

CZEŚĆ II  
XIX wiek

## Spór o spadek po Chopinie

JEDEN Z NAJGENIALNIEJSZYCH kompozytorów wszech czasów, jakim był bezsprzecznie Fryderyk Chopin, zyskał dzięki swej muzyce nieśmiertelną sławę. Jeżeli natomiast chodzi o wartości dające się wymierzyć w środkach płatniczych, to mimo że żył na bardzo wysokiej stopie, zarobił chyba mniej niż niejeden instrumentalista lub aranżer żyjący z przetwarzania cudzych utworów. Niewiele też miała z jego muzyki najbliższa rodzina; nawet proces, który wytoczyli jego spadkobiercy znanej firmie wydawniczej Gebethner i Wolff, nie przyniósł im ani grosza.

W czerwcu 1882 r. adwokat przysięgły Józef Brzeziński za pośrednictwem rejenta wezwał wydawców Gebethnera i Wolffa do wstrzymania sprzedaży dzieł Chopina i do zdania rachunków z rozprzedanych dotychczas egzemplarzy. Ponieważ żądanie to pozostało bez echa, wystąpił w imieniu swych mocodawców – spadkobierców kompozytora: Antoniego i Henryka Jędrzejowiczów oraz Ludwika Ciechomskiej – na drogę sądową. W ten sposób na wokandzie Sądu Handlowego znalazła się 25 października 1882 r. jedna z nielicznych w tym czasie spraw z zakresu prawa autorskiego, a pierwsza w Królestwie Polskim, której przedmiotem były prawa rodziny do spuścizny artystycznej sławnego antenata.

Przepisy regulujące kwestie własności literackiej i artystycznej obowiązywały wówczas ledwie od 12 lat, dopiero bowiem w 1860 r. (z mocą obowiązującą od 1870 r.) narzucona została pospiesznie Królestwu przestarzała rosyjska ustawa o cenzurze z 1828 r., która dotyczyła także tej materii.

Prawo autorskie zaczęło się wykształcać w Europie w końcu XVIII w., a więc wówczas gdy Polska traciła państwowość. Za czasów Księstwa Warszawskiego razem z wojskami Napoleona przyszedł do nas jego kodeks; nie obejmował on jednak prawa autorskiego, które we Francji zostało uhonorowane kilkanaście lat wcześniej odrębnym aktem prawnym wydanym w okresie rewolucji.

Ożywienie legislacyjne w pierwszych latach istnienia Królestwa Polskiego, a także wzrost w tym samym czasie zainteresowania literaturą piękną sprawiły, że dość szybko zdano sobie sprawę z owej luki w prawie. Karol Boromeusz Hoffman, mąż znanej literatki Klementyny z Tańskich, współzałożyciel pierwszego u nas naukowego czasopisma prawniczego „Themis Polska”, konstatował na łamach tego periodyku w 1829 r.: „Przy tak rozszerzającym się obrębie własności literackich daje się czuć potrzeba ich zabezpieczenia i ściślejszego określenia przedmiotu, który był prawie nietkniętym”. Apel ten nie miał jednak szans na realizację. Powstanie listopadowe odsunęło cały problem na wiele lat. Okres po jego upadku nie sprzyjał ani rozwojowi rodzimej myśli prawniczej, ani krajowej literaturze.

W sferze niezrealizowanych zamierzeń pozostał również paragraf 91 ustawy o cenzurze z 1842 r., zapowiadający, że „prawa autorów, tłumaczy i wydawców książek objęte będą w osobnym postanowieniu”. Doszło natomiast do dziwnej anomalii: w nieuregulowaną cywilnymi przepisami ani w zakresie praw osobistych, ani praw rzeczowych domenę ludzkiej twórczości wkraczało ze swoimi sankcjami prawo karne. Kodeks kar głównych i poprawczych, wprowadzony w Rosji w 1845 r., a obowiązujący w Królestwie Polskim od 1847 r., zawierał art. 1193 i nast. przepisy dotyczące ścigania za przestępstwo przywłaszczenia cudzej własności literackiej i artystycznej. Przepisy te mogły chronić, oczywiście, jedynie przed ewidentnym plagiatem, cała natomiast sfera praw osobistych i rzeczowych autorów i ich spadkobierców

pozostawała nadal białą plamą.

„Wydawcy nasi, zwłaszcza krajowi – twierdził w „Ekonomiście” w 1867 r. Seweryn Markiewicz – nie korzystają z braku przepisów; dotychczas przynajmniej nie wyprowadzali dla siebie z milczenia pracodawcy dowolnego prawa przedrukowywania utworów i wydawnictw”. Nie ulega wątpliwości, że była to w zamierzeniu uwaga złośliwa. Zastanawiając się bowiem nad przyczyną tego stanu rzeczy, autor ów pytał z ironią, czy jest to skutek wysokiej moralności naszego handlu, czy też raczej oplakanego stanu naszej literatury, która „nie wydaje nic takiego, co by aż do samowolnego przedruku nakłonić mogło”.

Owo studium prawnoporównawcze w „Ekonomiście” zasługuje na uwagę szczególną, nie tylko jako pionierskie dla tematu. Trzeba bowiem powiedzieć, że niewielu publicystów zajmowało się przed Markiewiczem tą skomplikowaną dziedziną cywilistyki. Wspomniany tu już Hoffman tylko minimalnie wyszedł poza relacje z trwających wówczas dyskusji nad prawem autorskim we Francji. Dla porządku jedynie – bo nie ze względu na wartości treściowe – można wymienić rozprawkę *O własności literackiej i artystycznej*, autorstwa F. S. Dmochowskiego, krytyka, pisarza i tłumacza.

Seweryn Markiewicz – prawnik wykształcony w Petersburgu, Paryżu i Heidelbergu, przyjaciel Żmichowskiej, uczestnik powstania styczniowego – opracowanie dotyczące prawa autorskiego nadesłał do Warszawy z Włoch, gdzie leczył gruźlicę płuc, której nabawił się na zesłaniu w guberni kazańskiej; zmarł zresztą wkrótce w pełni rozwoju nieprzeciętnych zdolności. Znać w jego dysertacji ślęczenie po dobrze wyposażonych bibliotekach, ale są też w niej przemyślenia własne, oryginalne, przede wszystkim zaś uderza trafnością ekonomiczno-społeczne spojrzenie na problem. „Chociaż jest to dziedzina prawa – pisał Markiewicz – większy może jednak przedstawia interes dla nauki, literatury, sztuki i przemysłu, aniżeli dla prawnictwa w ścisłym tego słowa znaczeniu”, i postulował, by prawa autorskie, jako zupełnie odmienne od prawa własności, zostały jak najszybciej uregulowane w odrębnej ustawie.

„Niepewność ostatecznego rezultatu procesu, z milczeniem prawa połączona, odstręcza po większej części strony nawet pokrzywdzone od poszukiwania przed sądem satysfakcji” – ubolewał Markiewicz, widząc w owej potulności autorów i braku inicjatywy w broniении swych interesów hamulec dla rozwoju jurysprudenckiej. Brak zaś orzecznictwa sądowego to brak przykładów, wzorów, a więc i impulsów do wszczynania sporów torujących drogę doktrynie prawa.

Jako też wyjątkowa panowała tu posucha. Annały sądowe odnotowały tylko dwa procesy, w których Senat Rządzący – najwyższa instancja sądownictwa tego okresu – wypowiedział się w delikatnej materii praw autorskich. W jurysprudenckiej Senatu z 1860 r., opublikowanej w „Roczniku Sądowym” z 1864 r., znalazła się sprawa z powództwa rzeźbiarza Święcickiego wytoczona sztukatorowi Morgantiemu o to, iż ów dokonał samowolnego odlewu statuetki Mickiewicza wykonanej przez powoda. Rzecz szła, oczywiście, o udział w zyskach ze sprzedaży mającego wzięcie bibelotu.

Senat, do którego sprawa trafiła w wyniku apelacji od wyroku Trybunału Handlowego (po reformie sądownictwa w 1876 r. zmieniono nazwę tej instytucji na Sąd Handlowy), wyszedł z założenia, że chociaż kodeks cywilny nie zawiera przepisów w tym względzie, to jednak „brak takich przepisów nie zmienia natury rzeczy”, i uznał, że odlewanie dzieła autora, a następnie sprzedawanie go bez jego upoważnienia jest czynem wyrządzającym mu szkodę. To zaś już na podstawie odpowiedniego artykułu kodeksu cywilnego pociągało za sobą obowiązek jej naprawienia, co też orzeczono.

Sprawa ta, skądinąd interesująca, nie mogła stanowić precedensu w procesie wytoczonym przez spadkobierców Chopina, nic więc dziwnego, że w jego toku nikt o niej nawet nie

wspomniał. Powoływano się natomiast – ale w bardzo ograniczonym zakresie – na proces o przedruk *Pracowników morza* Wiktora Hugo toczący się w 1867 r. między „Gazetą Polską” a „Kłosami”. Tu z kolei rzecz była bardziej skomplikowana. „Gazeta Polska” nabyła od francuskiego wydawcy na okres 12 lat prawo do druku *Pracowników morza*, ale w tłumaczeniu tej powieści ubiegła ją redakcja „Kłosów”. Wówczas to „Gazeta Polska” zażądała zasądzenia od „Kłosów” po 300 rs za każdy arkusz druku, zaprzestania publikacji, wynagrodzenia szkody i wyrównania utraconych korzyści. Trybunał Handlowy częściowo powództwo uznał, natomiast Sąd Apelacyjny jako II instancja uchylił ten wyrok i powództwo oddalił. Zapatrywanie to podzielił następnie Senat Rządzący, który uznał, że wobec braku u nas przepisów prawa autorskiego regulującego kwestię przedruków zagranicznych nie można stawiać w lepszym położeniu autorów rodem z Francji niż pochodzących z Królestwa, którym sądy francuskie nie gwarantowały ochrony tłumaczeń ich dzieł.

Formalnie od 1891 r. Rosję i Francję obowiązywała konwencja regulująca kwestie praw autorskich. W roku następnym podpisano także umowę z Belgią. Autorzy z tych krajów byli więc na obszarze całego imperium rosyjskiego otoczeni opieką prawa, podobnie jak pisarze – poddani rosyjscy na terenie Francji i Belgii. Wyrok Senatu można więc odczytać jako podkreślenie odrębności Królestwa Polskiego, chęć zaakcentowania samoistności jego praw.

Zobowiązania konwencji na obszarze Królestwa Polskiego długo nie były egzekwowane. Dopiero w 1882 r. Francuskie Towarzystwo Literackie upoważniło księgarza petersburskiego Micheleta do sądowego ścigania na całym obszarze rosyjskiego imperium – z podkreśleniem, że dotyczy to również terenów zaboru – wszelkich przedruków, przekładów i przeróbek dokonanych bez porozumienia z Towarzystwem. Nad Wisłą odczuto to bardzo boleśnie jako nietakt polityczny. Bolesław Prus określił tę praktykę jako „rodzaj kopytkowego dla płodów francuskiej muzy, i to wprowadzonego akurat wówczas, gdy muza ta nie wносиła nic pozytywnego i ciekawego. Jeżeli który autor – pisał sardonicznie – zechce bogacić się kosztem ubogiego narodu, niech sobie honorarium potraci z owych sum, jakie po wojnach napoleońskich przyznała nam Francja”.

W ten sposób – wprawdzie nie wprost, ale pośrednio – Prus wypowiedział się za swobodnym, bez żadnych rozliczeń finansowych, przepływem przez granicę twórców ludzkiego talentu. Gdyby nawet potraktować tę jego wypowiedź jako ulotną, zgłoszoną pod presją aktualnej potrzeby opinię felietonisty, a nie zdanie wielkiego pisarza, to i tak nie byłby w nim odosobniony. Wówczas, w drugiej połowie XIX w., gdy kształtowało się już współczesne prawo autorskie, padały głosy jeszcze bardziej skrajne, kwestionujące same podstawy tego prawa, podające w wątpliwość sens jakiegokolwiek ochrony prawnej dzieł literackich i artystycznych. Twierdzono, że są one częścią dorobku ogólnoludzkiego, korzystającego obficie z pomysłów, wątków i motywów eksploatowanych już od wieków. Przypomniano głośne zdanie Woltera, odnosząc je nie tylko do literatury, ale do wszystkich dziedzin twórczości: „Z książkami jest jak z płomieniem: bierze się go u sąsiada, zapala u siebie, udziela innym i należy on do wszystkich”.

Podobnie negatywne opinie wypowiedziano na temat praw rodziny do spuścizny literackiej i w ogóle artystycznej po przodkach, twierdząc, że pracowali oni dla całego społeczeństwa, a ich dziedzicami są przyszłe wieki. Krytykując „system wieczystych opłat na rzecz rodziny”, podnoszono nawet, że wieczystość owego monopolu wręcz szkodziłaby interesom moralnym twórców i ich sławie, bo nad ich grobami trwałyby niskie przetargi, a rodzina miałaby na względzie przede wszystkim własne korzyści, a nie swobodne rozpowszechnianie dzieł sławnego przodka.



Z drugiej jednak strony słyhać było głosy oburzenia na krzywdę potomstwa twórców. Przypominano, że wnuczki Milтона zebrały przed teatrem, w którym wystawiano sztuki ich sławnego dziada i że spadkobiercy Racine'a oraz Corneille'a cierpieli nędzę, podczas gdy wydawcy obu tych autorów zbili fortuny. Zdanie, jakie wypowiedział znany warszawski adwokat Maksymilian Glückberg na odczycie poświęconym „prawom autorów i artystów”, wygłoszonym 13 marca 1875 r. w sali Ratusza, było w tym czasie powszechnie uznawane. Twierdził on, że konieczne jest „ustępstwo w interesie rodzin autorów i artystów do zabezpieczenia dzieciom tych sławnych ludzi użytkowania dochodów z wydawnictwa ich dzieł pochodzących, chociaż to ustępstwo nie wynika z natury praw przysługujących ich spadkobiercom”. Na dotyczącym prawa autorskiego międzynarodowym kongresie w Brukseli w 1858 r., a szczególnie na drugim kongresie w 1861 r. w Antwerpii wiele uwagi poświęcono okresowi trwania praw majątkowych spadkobierców i odrzucono ostatecznie wieczystość tych praw 56 głosami przeciw 36.

Praktyka pod tym względem kształtowała się różnie w różnych krajach. W Rosji np. okres obowiązywania praw autorskich przedłużono w 1857 r. do 50 lat (w Królestwie Polskim uregulowanie to weszło w życie w 1870 r.), podobno ze względu na spadkobierców Puszkina i Karamzina, gdyż właśnie wówczas zbliżał się termin wygaśnięcia ich praw. We Francji taki sam okres ustalono w 1866 r.

Firma wydawnicza Gebethner i Wolff, specjalizująca się także w wydawaniu nut, zawarła w 1873 r. umowę na wydawanie utworów Chopina z Izabelą Barcińską z domu Chopin, siostrą kompozytora. Druga siostra, Ludwika Jędrzejowiczowa II voto Ciechomska, o trzy lata starsza od sławnego brata – uczyła go pierwszych palców na klawiaturze fortepianu i na jej rękach Fryderyk zmarł – oraz jej synowie zostali pominięci; prawdopodobnie z dużym opóźnieniem dowiedzieli się o owym układzie z warszawskim edytorem.

Występując z powództwem, adwokat Józef Brzeziński zastrzegł się od razu, że gdyby strona pozwana powoływała się na ową umowę, to akt ów odnosić się może jedynie „do 3/8 części spadku po mistrzu, a nie całości praw po nim pozostałych”. „Sukcesorom nic do tego – pisał w skardze – że firma Gebethner i Wolff dopuściła się zaniedbania i nie sprawdziła, czy p. Barcińska działała na własną rękę, czy w porozumieniu z innymi spadkobiercami”.

Zresztą Józef Brzeziński, którego nawet przeciwnik w tym procesie – Aleksander Kraushar, kolega ze Szkoły Głównej – skomplementował w swych wspomnieniach o warszawskiej palestrze, iż cechowała go „głęboka wiedza prawnicza skojarzona z prawowitością i wyjątkowym krasomówstwem”, uprzedzał też drugi spodziewany zarzut: iż spadkobiercy przez zbyt długi czas nie powoływali się na swe prawa i wcześniej nie żądali udziału w zyskach z edycji dzieł Chopina przez firmę Gebethnera i Wolffa. „Nie ma to żadnego znaczenia – dowodził – gdyż prawa autorskie według obowiązujących przepisów podlegają przedawnieniu dopiero po 50 latach, a że Chopin zmarł w 1849 r., łatwo obliczyć, iż czasu do wystąpienia z akcją jest jeszcze aż nadto”.

Żądając wynagrodzenia strat wyrządzonych spadkobiercom kompozytora, pełnomocnik strony powodowej powołał się przede wszystkim na art. 724 kodeksu cywilnego, na którego podstawie – jak twierdził – powodowie, jako w prostej linii sukcesorzy Chopina, są jedynymi i wyłącznymi właścicielami praw do jego dzieł i że prawa te odnoszą się „do dzieł gdziekolwiek wydanych bez porozumienia z nimi”.

Określając tak maksymalistycznie, a jednocześnie dość ogólnikowo prawa i żądania strony powodowej, Brzeziński nie dostrzegł chyba przyszłych trudności i nie doceniał swego przeciwnika procesowego, który wykazał znacznie większą aktywność i zadał sobie dużo trudu,

by dowieść, że pretensje finansowe spadkobierców są nieuzasadnione.

Aleksander Kraushar reprezentujący interesy firmy wydawniczej Gebethner i Wolff wykazał się w tym procesie ogromną pracowitością; ta jego cecha w późniejszych latach miała zaowocować mnóstwem monografii historycznych i prac przyczynkarskich, opartych w głównej mierze na gruntownych studiach archiwalnych i niezwykle bogatym materiale dokumentacyjnym. Na pewno nie bez znaczenia dla procesu był także fakt, że właśnie Aleksander Kraushar miał świetne przygotowanie z zakresu prawa autorskiego. Rok przed procesem zamieścił w kilkunastu kolejnych numerach „Gazety Sądowej Warszawskiej” wieloodcinkową publikację *O własności literackiej i artystycznej*. Wprawdzie nie była to praca oryginalna, bo prezentował w niej jedynie dzieło francuskiego autora E. Delande’a *Étude sur la propriété littéraire et artistique* (Paris 1879), niemniej stanowiła ona przegląd aktualnej wiedzy i poglądów na ten temat.

W toku procesu unikał jednak popisów erudycyjnych i zastosował taktykę prostą może, ale za to – jak się potem okazało – nader skuteczną.

Tylko jedno jego pociągnięcie może budzić niejakie zdziwienie. Wnosząc, by Sąd Handlowy oddalił pretensje powodów jako bezzasadne, zaczął od tego, że mógłby „postawić kwestię co do legitymacji sukcesorów, lecz ustępuje na tym punkcie i chce uważać za sukcesorów tych, którzy mienią się nimi i bez należytych dowodów”. Do czego mu była potrzebna owa podejrzana wspaniałomyślność, skoro i tak w konkluzji dowodził, że nie ma się czym dzielić, bo prawa do wszystkich swoich dzieł Chopin odstąpił zagranicznym wydawcom?

Przedmiot spadku po Chopinie – kontynuował następnie Kraushar – nie jest ściśle, jak powinien być, określony. Rzeczywiście tak było, bo trudno uznać za porządną testament ów spis rzeczy osobistych dokonany pod koniec października 1848 r. w Edynburgu, dokąd Chopin niespodziewanie wyjechał mimo choroby i złego stanu nerwów. Sporządził tam, jak potem to określił w liście do przyjaciela, „rodzaj porządku z moimi gratami do zrobienia w przyszłości, gdybym gdzieś zdechl”. Kraushar wyręczył więc spadkobierców i z właściwym sobie drobiazgowym szperactwem zestawiał wszystkie utwory, dzieląc je na dwie grupy, w ten sam zresztą sposób, w jaki usystematyzowano je w wydaniu narodowym dzieł kompozytora w 1974 r.

Z zestawienia tego (nie będziemy go tu przytaczać, gdyż mogłoby to interesować tylko chopinologów), opartego na listach i katalogach, a także numeracji, według której kompozytor „oznaczał swoje prace w świat księgarski idące”, wynikało, że część utworów sprzedał firmie wydawniczej Breikopf i Haertel z prawem na wszystkie państwa (w jednym z listów sprecyzował następnie, że „dotyczy to, rozumie się, także Rosji”), z wyjątkiem Francji i Anglii, gdzie zawarł oddzielne umowy; pozostałe zaś utwory sprzedał kilku innym wydawcom. Natomiast utwory pośmiertne – przygotowane i uzupełnione ogromnym nakładem pracy przez ucznia i przyjaciela Chopina, Juliana Fontanę, a następnie przekazane przez niego matce kompozytora, zostały przez nią na podstawie umów z 12 kwietnia i 1 czerwca 1855 r. sprzedane wydawcy berlińskiemu Schlessingerowi z prawem wydawania tych kompozycji we wszystkich państwach, z wyjątkiem Francji i Belgii.

Sąd Handlowy, opierając się na art. 347 ustawy o cenzurze obowiązującej w Królestwie Polskim na mocy carskiego ukazu z 19 września 1869 r., który to artykuł stanowił, że wyłączne prawo drukowania i sprzedaży dzieł muzycznych należy do autorów, ich następców albo tych osób, które prawa do nich nabyły legalną drogą, wyrokiem z 30 października 1882 r. roszczenia

powodów, jako bezzasadne, oddalił. Nie udowodnili oni bowiem – jak stwierdzono w wyroku – ażeby im służyły jakiegokolwiek prawa do dzieł Chopina. Natomiast prawa te – co zostało dowiedzione w toku procesu – zostały przez samego kompozytora bądź przez jego spadkobierców przelane na osoby trzecie.

W końcowej części wyroku, niejako na marginesie sporu, sąd wypowiedział się jeszcze o ówczesnych praktykach księgarskich. „Dla braku żądania ze strony osób legalnie używających praw autorskich Fryderyka Chopina – czytamy – byłoby niewłaściwe wchodzić w ocenę znaczenia konwencji międzynarodowych i prawności czynów domu handlowego Gebethner i Wolff co do wydawnictwa i rozprzedaży dzieł Chopina, natomiast ocenianie moralnego znaczenia ogłoszeń rzeczzonego domu, że jest on właścicielem wszystkich dzieł muzycznych Chopina z prawem publikowania takowych w granicach Królestwa i Cesarstwa, nie może być przedmiotem orzeczenia sądu”.

Jak wynikało z wypowiedzi Kraushara w toku procesu, wszystkie zagraniczne firmy wydawnicze, które nabyły prawa wydawania utworów Chopina, przekonały się „po wyczerpaniu przedtem jeszcze długich korespondencji i licznych zakazów z tutejszymi firmami”, że jego dzieła stały się już własnością ogółu. Wynika z tego, że dorobek artystyczny naszego wielkiego muzyka był publikowany i wykonywany bez żadnych ograniczeń znacznie wcześniej, niż umożliwiały to przepisy prawa.

Cała ta sprawa miała – jak można sądzić – wydźwięk niezbyt przyjemny dla zasłużonego domu wydawniczego, który poczuwał się przecież także do mecenatu nad twórcami i na pewno nie chciał stwarzać wrażenia, że krzywdzi rodzinę wielkiego kompozytora. Musiał to odczuwać także Kraushar, bo w zakończeniu jego odpowiedzi na pozew znalazło się takie oto jakby usprawiedliwienie: „Firma Gebethner i Wolff, która nabyła prawo wydawnictwa, gdy jednocześnie korzystali z niego inni księgarze tutejsi, zagraniczni i z Cesarstwa, jest w zupełnym porządku. Przez poszanowanie pamięci wielkiego kompozytora zrobiła ona więcej, niż obowiązana była względem rodziny po Fryderyku Chopinie”.

Na wyroku Sądu Handlowego rzecz się chyba skończyła, bo nie ma nawet śladu apelacji. W niecały miesiąc później wydawnictwo Gebethnera i Wolffa obchodziło 25-lecie swojej działalności. W wielkiej sali Resursy Obywatelskiej wydawcy podejmowali ponad 150 zaproszonych gości, wśród nich licznych pisarzy. Kilkunastu mówców słało zasługi firmy, jako jeden z ostatnich przemawiał mecenas Aleksander Kraushar. O niedawnym procesie, chociaż wygranym, taktownie nie wspominał. W dziejach spółki wydawniczej był to epizod, który pokryło milczenie. Nie wracał do tej sprawy także później, chociaż liczne procesy, w których stawał jako reprezentant jednej ze stron, opisał w swych pamiętnikach bądź innych pismach. Może wolałby, inaczej, niż wyznaczył mu los, bronić raczej interesów rodziny Chopina? Ciekawe, jak potoczyłyby się wtedy losy tej sprawy.

## Proces hrabiny o wiślane piaski

W 1880 ROKU PRZEDSTAWICIELE wszystkich trzech zaborców zjechali się na konferencję poświęconą regulacji Wisły. Uzgodniono wówczas pewne zasady, ale do konkretnego działania doszło nieprędko. Tymczasem ze względu na skanalizowanie Warszawy trzeba było szybko wykonać prace regulacyjne w rejonie miasta. Ministerium Komunikacji wyjednało na ten cel pieniądze od Skarbu i w 1885 roku rozpoczęto prace nad uregulowaniem koryta rzeki na długości 11 wiorst (nieco ponad 11 km) od wsi Kępa Gocławska do Cytadeli.

Regulacja polegała na zwężeniu i jednocześnie wyprostowaniu koryta. Piasek i muł osadzający się w ciągu lat między ostrogami zmieniał się stopniowo w grunt stały, który wzmocniano sadzonkami wierzbiny. W ten sposób potworzyły się znaczne przestrzenie ziemi przedstawiające dużą wartość, gdyż wiklina stanowiła ważne źródło dochodu. Grunty te zarząd okręgu komunikacji uważał za własność Skarbu; taką opinię reprezentowała również Prokuratoria Królestwa Polskiego. Ziemię odebraną Wiśle władze miejskie oznaczyły więc kopcami i zaczęły z niej korzystać.

Wywołało to akcję sądową niektórych właścicieli gruntów przybrzeżnych. Jako jedna z pierwszych wystąpiła w obronie swych praw hrabina Janina Potocka, wnosząc do Sądu Okręgowego skargę powodową. Dowodziła w niej, że do dóbr Czerniaków, będących jej własnością, zalicza się pas ziemi na lewym brzegu Wisły, ograniczony z jednej strony rzeką, z pozostałych zaś stron pastwiskami należącymi do włościan ze wsi Siekierki i gruntami wchodzącymi w skład dóbr siekierkowskich. Taki bowiem obszar został uznany za jej własność postanowieniem Komisji do spraw Włościańskich guberni warszawskiej, które zapadło w 1871 roku w sporze, w jaki była uwikłana z niektórymi sąsiadami wieśniakami.

Z pomiarów wówczas przeprowadzonych wynikało, że w skład owego pasa wchodziło ponad 70 mórg gruntu pochodzącego z przymuleń, który to obszar w następnych latach powiększył się jeszcze wskutek działania Wisły. Inżynierowie kierujący w 1885 roku robotami regulacyjnymi wzdłuż brzegu – pisała hrabina w skardze – zajęli w posiadanie Skarbu część jej gruntu, część tę okopcowali, a następnie odgradzili parkanem, zabraniając prawowitej właścicielce korzystania z tej ziemi. Jest to sprzeczne z prawem, gdyż art. 546 i 547 kodeksu cywilnego wyraźnie stanowią, że właściciel nadbrzeżny staje się właścicielem przymuleń i ustępów tworzących się przy brzegach rzek spławnych i niespławnych.

Hrabina Potocka powołała się przy tym dość sprytnie, niewątpliwie za radą swojego adwokata, a był nim jeden z najwybitniejszych ówczesnie cywilistów, Karol Dunin, na art. 39 instrukcji postępowania przy robotach związanych ze wznoszeniem wałów nadbrzeżnych. Mowa tam była o tym, że trawa rosnąca na ich powierzchni może być zbierana i koszona przez właścicieli. Z tego wynikało, zdaniem powódki, że właściciela nie pozbawia się prawa własności do ziemi zajętej przez wały ochronne.

Z kolei z innego przepisu administracyjnego, również przytoczonego przez powódkę, wynikało, że bez pozwolenia właściciela nadbrzeżnych gruntów nie wolno brać faszyny z odsypów powstałych wskutek robót drogowych.

Przepisy te jasno dowodziły – zdaniem powódki – że jest ona właścicielką gruntów nadbrzeżnych aż do samego koryta Wisły, bez względu na to, czy grunty te powiększyły się wskutek robót regulacyjnych, czy w sposób naturalny. Ponadto hrabina Potocka zgłosiła świadków na dowód, że zarząd okręgu komunikacji zajął również obszar, który istniał już przed

podjęciem prac regulacyjnych.

Prokuratoria ze swej strony wносиła o oddalenie powództwa. W odpowiedzi m.in. stwierdzała, że przed rozpoczęciem robót – jak wynika z planów – cały sporny teren składał się z piaszczystych nasypów zalewanych przez Wisłę nawet przy normalnym poziomie wód. Powołano się na zasadę znaną jeszcze prawu rzymskiemu: *ripa ea putatur esse quae plenissimum flumen continet*. Oznaczało to, że cały obszar zalewany przez wody przy normalnym ich poziomie jest uważany za dno rzeki, które według zasad kodeksu stanowi własność publiczną, pozostającą w rozporządzeniu państwa. Na tym dnie rzeki, stanowiącym niewątpliwie własność państwa, zbudowano tamę podłużną i trzy trawersy, co kosztowało Skarb ponad 75 000 rb. Roboty te wykonano w tym celu, aby przestrzeń między nasypami wypełniła się piaskiem, co też z czasem nastąpiło.

Grunt uzyskany w taki sposób wzmocniono później wierzbina. W ten sposób państwo, inwestując tak znaczny kapitał, z części dna Wisły, będącego jego własnością, utworzyło grunt, który przedtem wcale nie istniał. Jeżeli grunt ten uzna się za przymulenie, to powinien on stanowić własność tego, do kogo należy przedmiot główny; w tym przypadku jest nim dno rzeki, tama i trawersy, na których osadził się muł rzeczny.

Jeśli czas i sposób powstawania nasypów – dowodziła Prokuratoria – były z góry przewidziane i określone przez prowadzących roboty regulacyjne, jeżeli wreszcie powstawały one nie wskutek jedynie przyczyn naturalnych, lecz jako wynik skierowanej do tego celu pracy i kapitału, to nie ulega wątpliwości, że nie są to tworzące się stopniowo i nieznacznie przymulenia, o których mówi kodeks cywilny.

Trzeba stwierdzić, że pracownik Prokuraturii, który przygotowywał to pismo procesowe, zadał sobie wiele trudu, bo sięgnął nawet do motywów, jakimi kierował się prawodawca, formułując art. 556 i 557 kodeksu napoleońskiego. Wynałazł je u komentatorów francuskich, Faure'a i Portalisa, którzy odnotowali, że tzw. prawo przybycia (*alluvion*) zostało ustanowione przez *code civil* na korzyść właścicieli nadbrzeżnych głównie dlatego, że miało im wynagradzać szkody, jakie mogą ponosić na skutek sąsiedztwa z rzeką. Opinia ta, która mogłaby wspierać roszczenia hrabiny Potockiej, została zřęcznie zdyskontowana na rzecz pozwanego. Oto – argumentowała Prokuratoria – zdanie to nie może mieć zastosowania w tym przypadku, gdyż roboty regulacyjne miały m.in. na celu zabezpieczenie nadbrzeżnych właścicieli od klęski powodzi. Powołano się też na zasadę słuszności; grunty sporne – pisano – mają dla Skarbu wielką wartość, gdyż z uprawianej na nich wierzbiny otrzymuje się faszynę niezbędną do ubezpieczenia brzegów i dalszych robót.

Jak z tego bardzo skrótowego przedstawienia argumentacji obydwu stron widać, warszawski Sąd Okręgowy stanął przed zadaniem niełatwym: i tu, i tu były racje nie do odrzucenia. Nie obeszło się więc bez wielu wizji lokalnych, sporządzania planów, zasięgnięcia opinii biegłych sądowych. Pod ich adresem sformułowano pytania: 1) jak daleko dochodzą wody Wisły na spornych gruntach przy średnim poziomie? 2) czy grunty te utworzyły się nagle, czy też stopniowo i nieznacznie oraz kiedy to nastąpiło? 3) w jakim czasie pojawiła się na nich roślinność? i 4) jaki był bieg naturalnego koryta Wisły na spornych gruntach przed rozpoczęciem robót regulacyjnych?

Biegły, profesor geologii Uniwersytetu Warszawskiego Władimir Amalicki, twierdził w swej opinii, że grunty owe tworzyły się stopniowo od 1870 roku przez osiadanie piasków w korycie rzeki; następnie w połowie lat osiemdziesiątych ustalała się ziemia porośla obecnie wyższymi krzakami i drzewami, po 1886 roku zaś zaczął się tworzyć skutek robót

regulacyjnych grunt najniżej położony. Z kolei inny biegły, profesor botaniki Józef Krasuski, wyraził zdanie, że najstarsze wierzby rosnące na spornym terenie mają 8–10 lat.

Wydział III warszawskiego Sądu Okręgowego po dwu latach od wniesienia pozwu, bo pod koniec 1894 roku, uznał w całości pretensje hrabiny Potockiej. Wzięto pod uwagę głównie to, że przymulenie powstawało stopniowo i nieznacznie. „Uznając stopniowe i nieznaczne tworzenie się za jedyne warunki wymagane od przymulenia – pisał sędzia w motywach wyroku – prawo przez to samo odrzuciło inne warunki, a wskutek tego pod art. 556 podpadają wszelkie przymulenia, niezależnie od przyczyn, które je spowodowały, a więc utworzone z przyczyn naturalnych, jako też wywołane umyślnie. Należy więc uznać, że roboty przy uregulowaniu koryta Wisły, jakkolwiek pociągają za sobą bardzo znaczne koszty, nie stanowią jednak dla Skarbu żadnego tytułu prawa własności do przymuleń utworzonych z powodu powyższych robót”.

Literalną interpretację prawa zaprezentował również sąd, rozważając problem własności dna rzeki.

W apelacji Prokuraturii, w której uczestniczył radca prawny Ministerium Komunikacji, poświęcono więc wiele uwagi tej właśnie kwestii, dowodząc, że według kodeksu tylko w rzekach niespławnych i nieżeglownych granicę własności obu nadbrzeżnych właścicieli stanowi linia przeprowadzona przez środek rzeki, natomiast rzeki spławne i żeglowne są własnością państwa.

W dalszym ciągu podnoszono, że przymulenie powstało w korycie rzeki, zakwestionowano też ustalenia biegłych, zarzucając powierzchowność ich ekspertyzom.

W lutym 1897 roku Izba Sądowa uchyliła wyrok I instancji i powództwo hrabiny Potockiej oddaliła w całości. Jakie argumenty przemówiły za takim rozstrzygnięciem?

Przede wszystkim uznano, że nie wchodzi tu w grę przymulenia tworzące się stopniowo i nieznacznie przy gruntach nadbrzeżnych, ale nowotwory – podobnie jak wyspy, wysepki, odsypy – powstające w korycie rzeki żeglownej i spławnej, a więc będącej własnością państwa. Przyjęto więc – inaczej, niż to uczynił Sąd Okręgowy – że grunt będący przedmiotem sporu stanowi przyrost nie do gruntu nadbrzeżnego, ale do koryta Wisły, że tworzył się on nie od brzegu do środka rzeki, lecz przeciwnie – od środka rzeki do brzegu. Dopatrzone się także, że spór z wieśniakami w 1871 roku zakończony postanowieniem Komisji Włościańskiej dotyczył innego, dalej położonego skrawka ziemi. Przeciwno powódce przemawiała teraz i opinia biegłego dendrologa: z protokołów robót plantacyjnych wynikało bowiem, że sadzono drzewka kilkuletnie, a więc w czasie wizji mogły one mieć nawet 10 lat.

Sprawa miała jeszcze dalszy ciąg, ale niewiele się w niej zmieniło, w każdym razie nie na korzyść powódki. Obrońca działający w imieniu hrabiny Potockiej założył kasację od wyroku Izby. Senat Rządzący na posiedzeniu sądowym w pełnym składzie departamentu cywilnego (a więc jakby dzisiejszy pełny skład Izby Cywilnej Sądu Najwyższego), po zapoznaniu się z całością sprawy i pozostając w granicach ustaleń Izby, doszukał się jednak błędu w jej rozumowaniu. Mylnie przyjęto – wytknął Senat – że sporna przestrzeń stanowi przymulenie koryta rzeki żeglownej i spławnej będące własnością Skarbu. Chodziło tu – dowodzono – o nowotwory będące przyrostem do mielizn, które powstały w głównym korycie rzeki. Mielizny natomiast na mocy specjalnego przepisu mającego na względzie interesy handlu i żeglugi są własnością Skarbu, dlatego też za własność Skarbu poczytuje się i to, co jest przyrostem do mielizn aż do samego brzegu, który uważa się za granicę własności prywatnej posiadacza brzegu rzeki żeglownej.

Przy okazji tej sprawy Senat sformułował następującą zasadę prawną: „Grunt powstały w korycie rzeki żeglownej lub spławnej w Królestwie Polskim stanowi własność Skarbu, chociażby wskutek przymulenia przestrzeń ta rozszerzyła się aż do połączenia z brzegiem

należącym do prywatnego właściciela”.

Przyjmując tę zasadę, Senat niewątpliwie chciał uniknąć pływaczni i mieliszni następnym procesów, które z powodu regulacji Wisły inni właściciele jej brzegów mogliby wytaczać Skarbowi.

Kręty bieg Wisły, przesuwanie się jej nurtu powodowały liczne zmiany w konfiguracji terenu; rzeka niejednokrotnie czyniła zamieszanie w stosunkach własnościowych na obu brzegach. Ginęły całe wysepki, zwane na ogół kępami, jak np. Kępa Polkowska (inaczej zwana Syreną lub Zamkową), która przez długie lata opierała się zakusom Wisły i trwała naprzeciw terenu zajmowanego dzisiaj przez zoo aż do wielkiej powodzi w 1813 roku. Od wieków stanowiła własność magistratu, ale wykorzystywano ją najwyżej jako miejsce wykonywania kary śmierci, nigdy zaś pod uprawy.

Przeciwnie, Saska Kępa była użytkowana pod uprawy w XVII wieku przez Holendrów, a w XIX wieku została zagospodarowana przez tzw. kolonistów, którzy ją wydzierżawili od miasta. Kępę tę z czasem wchłonął brzeg praski, ale chociaż niewątpliwie często zmieniała się konfiguracja terenu, nie znajdowało to odbicia w annałach sądowych.

Wielu problemów prawnych dostarczyła natomiast Izbie Sądowej inna kępa leżąca w okolicy podwarszawskiej, w dół brzegu rzeki. Wszystko zaczęło się od tego, że „naczelnik IV dystansu rzeki Wisły” zabronił mieszkańcom kępy ścinania wierzby na przymuleniach powstałych przy wysepce.

Stanowiąca dość duży obszar kępa była od lat zamieszkała przez włościan. Z czasem powierzchnia jej zmniejszyła się znacznie, tak że w chwili uwłaszczenia chłopów w 1864 roku liczyła tylko 150 prętów (1 pręt = 18,66 m<sup>2</sup>). Osada składała się wówczas z dwóch niewielkich wysp, które z biegiem czasu z powodu przymuleń bardzo się powiększyły.

Sąd Okręgowy w 1892 roku przyznał prawo do korzystania z przymuleń wieśniakom. Na nic się zdała apelacja Prokuratorii. Izba Sądowa wyrokiem wydanym w styczniu 1897 roku zatwierdziła rozstrzygnięcie sądu pierwszej instancji. Zaważył na tym – jak można sądzić, chociaż w motywach wyroku nie ma o tym mowy – fakt, że wieśniacy wyspę zamieszkiwali, z czym w okresach gwałtownego przyboru wody wiązało się ogromne ryzyko, a poza tym wiklina była dla nich jednym z niewielu darów natury.

## Koleje i sądy

W POŁOWIE CZERWCA 1845 ROKU uruchomiono u nas pierwszy odcinek Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Pociągi jeździły wówczas z szybkością ok. 30 km/godz.; była to więc prędkość stosunkowo bezpieczna i trzeba było wyjątkowej lekkomyślności, by spowodować wypadek. Kiedy po raz pierwszy na sądowej wokandzie znalazła się sprawa związana z wprowadzeniem tej nowinki technicznej? Spróbujmy odpowiedzieć na to pytanie, przeglądając w tym celu łamy ówczesnej prasy.

Wzmianka o wypadku na przejeździe kolejowym pojawiła się już po dwu miesiącach od otwarcia warszawsko-wiedeńskiej linii. „Kurier Warszawski” w numerze 221 donosił, że 20 sierpnia 1845 roku wieśniaczka wynajmująca się do prac polowych, 60-letnia wyrobnica Eleonora Karnecka, przebiegała pod „barierą żelazną ograniczającą”, czyli – jak to później zaczęto nazywać – pod szlabanem. Pociąg zabił ją na miejscu; w gazecie z niejakim zdziwieniem napisano, że „wagon nie doznał przypadku, a jadący wcale nie odczuli wstrząśnienia”. Była to jej ewidentna wina i nie wydaje się, by rodzina – jeśli ją miała – mogła sądownie dochodzić odszkodowania.

Wkrótce ofiarą wypadku padł pracownik kolei. „Kurier Warszawski” (nr 252) tak o tym pisał za „Gazetą Policyjną”: „Onegdaj o godz. 6-jej wieczorem, na terytorjum Czyste, przez nieostrożność, konduktor przy Kolei Żelaznej Rychter, w czasie biegu pociągu, chcąc przeskoczyć z jednego na drugi wagon, wpadł między takowe i przez zgniecenie życia pozbawiony został”.

Pierwszy pasażer – jeśli wierzyć „Kurierowi”, który dość skrupulatnie odnotowywał wszelkie wypadki – postradał życie dopiero na początku 1853 roku. Stało się to na stacji Radziwiłłowo: jakiś spóźniony podróżny chciał wskoczyć do pociągu będącego już w ruchu. Dostał się pod koła i „rozerwało go na szczątki”. W obu przypadkach akcentowano winę ofiar, rodzina nie miała więc tytułu do roszczeń.

Pierwsza katastrofa kolejowa, zresztą niegroźna, wydarzyła się 22 stycznia 1848 roku, a generał-major Gersfeld, dyrektor Eksploatacji Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, osobiście podał do „Kuriera Warszawskiego” informację na ten temat: „Wyszedł z kolei parochód, pociągnął za sobą furgon z bagażami, a wagon towarowy i jeden osobowy klasy 3-ej, a przebiegłszy około 40 łokci po zamrzniętej ziemi, wyrucił się do znajdującego się obok drogi rowu. W wypadku tak ciężkim prowadzący parochód maszynista Praus i znajdujący się przy nim pomocnik Jastrzębowski, palacz Młodowski i aplikant Hagenmajer nie opuścili miejsc swoich i z wzorową przytomnością umysłu, przez szybkie zamknięcie przepustnicy i zwarcie hamulców, od dalszych złych skutków pociąg ocalili”.

Pierwszy opisany w prasie proces sądowy „na tle kolejowym” nie wiązał się z żadną katastrofą, ale również – jak w przypadku owej nieszczęsnej wyrobnicy, którą zabił pociąg – „z barierą ograniczającą relsy”, jak wówczas mówiono na szyny drogi żelaznej. Zdarzenie będące potem przedmiotem rozpoznania sądu miało miejsce w czerwcu 1873 roku na przejeździe kolejowym nr 102, między stacjami Ostrów i Kowal. Dróżnik opuścił szlaban, bo przez przejazd miały przejechać dwa pociągi, i zatrzymał nim dwie furmanki powożone przez wieśniaków: Józefa Urbańczyka i Józefa Czerwińskiego.



Niebawem przez przejazd przejechał pociąg jadący od strony stacji Kowal: dróżnik wszakże nie podniósł bariery, gdyż otrzymał zapowiedź, że z przeciwnego kierunku również nadjedzie pociąg. Od strony Ostrowa tory kolejowe biegły łukiem, nie było więc widać zbliżającej się lokomotywy z wagonami.

Wieśniacy niecierpliwili się coraz bardziej i zaczęli krzyczeć na żonę dróżnika, która pilnowała przejazdu z ich strony, by podniosła barierę. Stojący na przedzie Urbańczyk wrzasnął wreszcie, co potem jako obelgę odnotowano w protokole: „dozorcy, łajdaki, otwórzta!” – a gdy to nie pomogło, zaciął konie batem i najechał na barierę. Była ona poprzednio dość nadwerężona i dlatego natychmiast się złamała. Jako drugi pojechał Czerwiński. Ledwo oddalili się od przejazdu, gdy w całym pędzie przemknął przezeń pociąg towarowy.

Sprawa ta stała się przedmiotem procesu karnego, jaki obu wieśniakom wytoczono przed Sądem Poprawczym (tak przed reformą sądową nazywał się sąd pierwszej instancji do spraw o niewielkim ciężarze gatunkowym) w Brześciu Kujawskim. Urbańczyk „za samowolny przejazd przez drogę żelazną” został skazany na zapłacenie grzywny w wysokości trzech rubli srebrem na rzecz Kasy Zjednoczenia przy Drodze Żelaznej. Miał nadto zapłacić 6 rubli tytułem odszkodowania za zniszczoną barierę oraz symboliczną kwotę 50 kopiejek za wykrzywane obelgi. Drugi z obwinionych został uwolniony od kary.

Nie wiadomo, kto apelował – może był to Urbańczyk? – sprawa bowiem na tym się nie skończyła. Rozpatrywał ją jako druga instancja warszawski Sąd Kryminalny, który wyrok utrzymał w mocy, z tym wyjątkiem, że uwolnił Urbańczyka od zarzutu obelgi. Miała ona bowiem miejsce – jak to ujęto w sprawozdaniu z procesu – „wobec żony dozorca drogowego, która jako kobieta nie posiadała charakteru straży, jako zaś prywatna skargi nie wniosła”.

W tych latach spraw o odszkodowanie od kolei chyba jeszcze nie było, bo nasza prasa prawnicza opisywała procesy angielskie jako precedensowe (przyznawano ofiarom wypadków kwoty sięgające nawet 2000 funtów). Gdyby się coś takiego wydarzyło u nas, na pewno zwróciłoby to uwagę sprawozdawców sądowych jako nowinka prawnicza.

Można więc nie bez podstaw przyjąć, że pierwszy w Polsce taki proces znalazł się na wokandzie sądu krakowskiego w 1874 roku. Sprawę cywilną o odszkodowanie poprzedziło postępowanie karne przeciwko maszyniście. Wytoczono mu proces przed Sądem Krajowym w Krakowie. Sprawę rozpatrywało kolegium składające się z czterech sędziów zawodowych, a nie sąd przysięgłych, co chyba świadczyło o tym, że uznano ją za możliwą do rozpatrzenia jedynie przez zawodowych jurystów.

Katastrofa będąca przedmiotem procesu wydarzyła się 7 stycznia 1874 roku o godz. 8.00 wieczorem, tam gdzie trakt wiodący z Krakowa do Michałowic przecinał tor kolejowy. Traktem tym podróżował w dwa powozy Konstancy Wielogłowski; w pierwszym jechała służba, natomiast w drugim pan Konstancy, jego żona i przygodnie zabrany urzędnik rosyjskiej komory celnej, niejaki Jakowlew.

Pojazdy natknęły się na zaporę w postaci opuszczonych barier, bo na torze kolejowym przecinającym szosę odbywało się właśnie przetaczanie wagonów. Ponieważ manewry te trwały dość długo i nic nie zapowiadało ich końca, zniecierpliwiony Wielogłowski zażądał od dozorca rogatek, żeby ich przepuścił. Ów podszedł do konduktora, który miał poruczony sobie nadzór nad manewrami wagonów. Konduktor zgodził się, by oba pojazdy przejechały, byleby tylko zrobiły to szybko.

Pierwszy powóz ze służbą przebył rogatkę bez żadnego problemu, natomiast gdy drugi znalazł się na przejeździe, wagony ruszyły prosto na niego, gruchocząc go i odrzucając na bok.

Wielogłowski, chociaż został wyrzucony z powozu, nie odniósł większych obrażeń, natomiast jego żona została ciężko ranna i zmarła po kilku godzinach. Jakowlew doznał złamania obojczyka.

W procesie stanęło dwudziestu świadków, trzech inżynierów i dwóch lekarzy. Powstał problem: dlaczego maszynista nie czekał na sygnał latarką, że może jechać, i dlaczego nie gwizdnął regulaminowo przed wykonaniem manewru? Podsądny utrzymywał, że widział jakies mignięcie latarką i że dał sygnał gwizdkiem, ale do końca nie zostało to wyjaśnione, gdyż świadkowie nie byli co do tego zgodni. Prokurator zażądał dla obwinionego kary według zagrożenia kodeksowego: od pół roku do 3 lat pozbawienia wolności. Sąd skazał go na 7 miesięcy ścisłego aresztu.

Równocześnie z procesem karnym do sądu cywilnego wpłynął pozew przeciwko Towarzystwu Kolei Północnej: Wielogłowski żądał 150 267 złotych reńskich tytułem wynagrodzenia szkód, a Jakowlew 235 000 reńskich odszkodowania za poniesiony uszczerbek na zdrowiu. Niestety, w prasie prawniczej brak informacji, jak została rozstrzygnięta ta sprawa.

W połowie lat siedemdziesiątych XIX wieku – o czym poinformowała „Gazeta Sądowa Warszawska” za jednym z dzienników angielskich – przed sądem prowincjonalnym w Wielkiej Brytanii odbył się bardzo ciekawy, precedensowy proces sądowy. Oto niejaki pan Bik, podróżujący koleją, przyjechał pociągiem do stacji, gdzie miał się przesiąść do innego pociągu, dziesięć minut później, niż to było przewidziane w rozkładzie. Dalszą więc podróż musiał odbyć końmi. Z tej racji wytoczył zarządowi kolei Great Western proces o zwrot kosztów najęcia powozu. Sąd stanął na stanowisku, że tylko gęsta mgła lub śnieżna zamieć mogą usprawiedliwić opóźnienie pociągu – a ponieważ nie miało to miejsca, uznał roszczenie powoda.

Podobna sprawa wpłynęła rok później na wokandę warszawskiego Sądu Handlowego: hrabia August Potocki przeciw zarządowi Warszawsko-Wiedeńskiej Kolei Żelaznej. Być może dziedzic Jabłonny zainspirował się owym precedensem wyspiarzy, jako że pilnie czytywał angielskie czasopisma. Bardziej prawdopodobne jest jednak, że pan hrabia chciał być w tym przypadku oryginalny, gdyż cieszył się opinią panicza z fantazją.

Szło o to, że pan hrabia wybrał się do Galicji, miał jednakże pecha. Pociąg, którym wojażował do granicy Kongresówki, spóźnił się dwie godziny. Austriacki dawno już odjechał. Nasz jaśnie wielmożny wykazał jednak więcej fantazji niż pan Bik. Wynajął pociąg specjalny i dojechał tam, gdzie zamierzał, za co uiścił 121 guldenów i 81 centów w walucie austriackiej. Po powrocie wytoczył proces o zwrot równowartości tej kwoty, czyli o 79 rubli i 27 kopiejek.

Sąd Handlowy przyjął, że kolej musi wyrównać każdą dowiedzioną stratę wynikłą ze spóźnienia pociągu, chyba że opóźnienie to nastąpiło z powodu nieprzewyciężonej siły wyższej, takiego zaś dowodu pełnomocnik pozwanego nie przeprowadził. Natomiast powoływanie się przez niego na wewnętrzną instrukcję kolei, która uchylała odpowiedzialność przed pasażerami za nieprawidłowy ruch pociągów, nie ma żadnego znaczenia dla sprawy, gdyż instrukcja ta nie jest zgodna z zasadami prawa cywilnego.

W tym konkretnym przypadku jednakże nie znaleziono podstawy roszczeń hrabiego. Poniesione przez niego koszty nie miały, zdaniem sądu, cech szkód i strat; powinien był on dowieść – a tego nie zrobił – że wskutek spóźnienia się pociągu musiał wziąć oddzielny, nadzwyczajny pociąg, żeby nie ponieść materialnej straty, która wprost i bezwarunkowo była związana ze spóźnieniem się pociągu.

Obydwie strony odwołały się do Izby Sądowej jako drugiej instancji. Ta przyjęła, że rozkład jazdy nie zawiera elementów umowy, lecz jest raczej instrukcją dla obsługi pociągu,

ażeby dany skład nie przebywał dłużej w drodze, i wskazówką dla publiczności, ażeby mogła korzystać z usług kolei w oznaczonym czasie. W konkluzji Izba Sądowa uznała, że hrabia Potocki nie miałby podstawy prawnej do żądania odszkodowania, chociażby nawet przedstawił dowody szkód i strat „poniesionych wskutek nieznacznego w porównaniu z rozległością i czasem oznaczonym rozkładem opóźnienia się pociągu”.

Tak więc sławny hrabia Guccio do kwitu za wynajęcie pociągu musiał dodać koszty przegranego procesu, co go niewątpliwie niewiele obeszło. Chodziło mu raczej o zasadę, a nie pieniądze. To właśnie on był autorem maksymy, którą trochę ze zgorszeniem, lecz bardziej z podziwem powtarzano w Warszawie: „Wszystko jedno, na co się grosz traci, a tracić go przecież i tak trzeba”. Gwoli sprawiedliwości trzeba dodać, że tracił go nie tylko na wyścigach i przy zielonym stoliku, ale nie oszczędził tego grosza również na cele dobroczynne, co kilkakrotnie zapisał na jego dobro sam Bolesław Prus w swoich cotygodniowych kronikach.

Udało się natomiast wygrać z koleją innemu warszawiakowi, którego do wstąpienia na drogę sądową skłoniła nie fantazja, ale raczej wściekłość. Wytoczył on na początku XX stulecia powództwo przeciw Kolei Nadwiślańskiej o zwrot 48 kopiejek!

Ponieważ wykupił w Falenicy bilet II klasy, a z powodu ogromnej ciasnoty musiał z żoną i córką stać na korytarzu, uznał, że spędził podróż w warunkach IV klasy i zażądał zwrotu różnicy w cenie biletów.

Nie pomogło tłumaczenie dyrekcji, że „koleje w czasie wakacji chorują na brak wagonów”. Sędzia pokoju, stojąc na gruncie prawa cywilnego, powództwo uwzględnił i zasądził 5 rubli na rzecz poszkodowanego, doliczając zwrot kosztów procesu. Druga instancja odrzuciła skargę kasacyjną kolei i wyrok utrzymała w mocy.

Perypetie sądowe autora *Chłopów* trwały właśnie wówczas, gdy pisarz ukończył swą wiejską epopeję, która w 1924 roku miała mu przynieść literacką Nagrodę Nobla. Były związane z wypadkiem kolejowym, który dotknął go bezpośrednio. Katastrofa nastąpiła 13 lipca 1900 roku, gdy przyszedł noblista wracał na wieś z Warszawy. Jego sytuacja finansowa była wówczas tak krytyczna, że był zmuszony zwrócić się do brata, by ów pożyczył mu kilka rubli na ową feralną podróż.

Ledwie pociąg wyjechał z Warszawy, gdy pod Włochami wpadł na jadący z przeciwka skład pasażerski z Sosnowca. Stało się to około godz. 11.00 przed południem. „Zapaliłem papierosa, gdy naraz rozległ się straszny huk... pociąg się zatargnął gwałtownie i runął w coś całą siłą... wagon podskoczył i stanął jak koń... padłem na ziemię, a gdy się zerwałem, nieszczęście już się stało, już ściany szły na siebie... podłoga się zapadała... dach pękał i walił się na głowy... szkło sypało się gradem... już się wszystko łamało z dzikim krzykiem chaosu, pękało w zgrzytach, w niesłychanym tumultcie... kurz przysłaniał... zawył w piersiach przerażenie, waliły się ściany... przelatywały walizy, ławki podruzgotane, drzwi, szmaty blach, strzępy żelaza”.

Tak opisał Reymont katastrofę kolejową w utworze *Senne dzieje* opublikowanym w 1908 roku w „Kurierze Warszawskim”. Nie była to niewątpliwie fikcja literacka, ale wspomnienie owego momentu grozy, który przeżył osobiście. Wspomnienie – dodajmy – które bohatera będącego porte-parole autora (z francuskiego – narrator lub postać literacka wyrażająca poglądy samego autora – przyp. red.) prześladowało ciągle w snach.

Cudem uszedł z życiem, wagon bowiem, którym jechał, zapalił się od wybuchu zbiornika z gazem. Pisarz jechał drugą klasą w towarzystwie redaktora „Gazety Polskiej” Jana Gadomskiego i jego siostry. Żurnalista miał szczęście i wyszedł z wypadku bez większych

obrażeń, ale jego siostra zginęła na miejscu, podobnie jak kilka innych osób – ponad dwadzieścia odniosło lżejsze i cięższe obrażenia. Tych ostatnich w pierwszej kolejności pogotowie zabierało do szpitali.

Zakrwawiony od odłamków Reymont trafił do szpitala na Pradze. Chociaż początkowo czuł się nie najgorzej, na miejscu okazało się, że ma pękniętych kilka żeber, złamane obie nogi i jest potłuczony; w najgorszym stanie okazały się jego nerwy. W szpitalu miewał ataki nerwowe, a chwilami tracił świadomość.

„Kurier Warszawski” informował dwa dni po wypadku: „Najwidoczniejsza jest rana głowy. Musiał o coś silnie uderzyć, ale o co, nie pamięta. Bóle wewnętrzne dały się odczuć nie od razu. Okazało się, że uległ silnemu zgnieceniowi klatki piersiowej, stłuczeniu kręgosłupa, co może niekorzystnie odbić się na jego zdrowiu, zwłaszcza na systemie nerwowym. Tego rodzaju wstrząśnienia nerwowe nie mijają bez złych skutków, choćby nawet nie zostawiły śladu zewnętrznego. Jedni wariują, innym pozostaje rozstrój i trzeba pamiętać, że tu chodzi o nerwy i umysł artysty – pisarza, którego twórczości wypadek taki może wiele zaszkodzić”.

Było to jakby przygotowanie pola pod przyszły proces o odszkodowanie, który Reymont wytoczył Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Na razie kurował się na koszt kolei otoczony wianuszkami najlepszych lekarzy. Zamawiał ponoć jakieś frykasy w delikatesowych sklepach, niektóre gazety bowiem oburzały jego „nienasycony apetyt”, co z kolei denerwowało elitarną „Chimerę” Zenona Przesmyckiego, która pilnowała interesów Reymonta „jako współbrata w sztuce”. Po opuszczeniu szpitala – znowu na koszt kolei – pisarz udał się na trzymiesięczną kurację do Włoch.

Powództwo cywilne przeciwko kolei wniósł za pośrednictwem adwokata przysięgłego Napoleona Hirszbanda, znanego doskonale w literackim świecie krytyka występującego pod nazwiskiem Cezary Jellenta. Swoje pretensje wycenił na 100 000 rubli; inny ranny w katastrofie – dr Maksymilian Flaum – na 85 000. Suma, której żądał Reymont, niektórym gazetom wydała się mocno przesadzona.

Znowu jego interesów broniła „Chimera”. „Reymontowi – czytamy w tym periodyku literackim – należą się stracone korzyści nie tylko w stosunku do dzisiejszego jego stosunku w literaturze, ale i do dającego się w przewidywaniach obliczyć rozwoju jego wielkiego talentu i – co za tym idzie – wzrostu uznania i poczytności. Wobec tego suma okazałaby się raczej za mała niż za wielka. Nie należy zapominać, iż gdyby dziś Sienkiewicz w podobnym wypadku zażądał miliona, nikomu by się to nie wydawało przesadzonym. A co by było, gdyby przed 20 laty zażądał był 100 000 rb? Przyszłości artystów nigdy na pewno obliczyć nie można, a prawo nakazuje rozwiązywać wątpliwości na korzyść poszkodowanego”.

Niewątpliwie „współbraciom w sztuce” szło o zmiękczenie kolei, która od początku nie zamierzała wypłacić odszkodowania w żądanej wysokości. W Sądzie Okręgowym jej radca podnosił, że brak oznak widocznego kalectwa lub stałego uszkodzenia organów wewnętrznych. Dowodził, że „komunikowane przez pacjenta objawy takie, jak bezsenność, lęk, zaburzenia równowagi, bóle głowy, niezdolność do pracy umysłowej, mogą być prawdziwe lub nieprawdziwe”.

Ostatecznie pełnomocnik pisarza ugodził się z koleją na 40 000 rubli i taką też kwotę przysądzono. Była ona znaczna, skoro – przypomnijmy – kamienica Łęckiego znana z *Lalki* Prusa warta była dwa razy tyle. Reymont mógł spłacić swoje spore przecież długi i wreszcie ożenić się z panią Aurelią, która w szpitalu co dzień go odwiedzała.

Sporo kosztował go też adwokat, skoro zalił się w jednym z listów: „Cezary Jellenta prowadził mi tę sprawę z koleją – w imię koleżeństwa i przyjaźni obłupił mnie ze skóry! Pocieszam się, że tylko pięć tysięcy rubli kosztowało mnie to złudzenie – mogło wypaść jeszcze

drożej – i boleśniej”.

Wypadek ciężko odbił się na jego zdrowiu. „Z trudem znoszę zrosnięte żebra i przetrącone nogi” – żalił się Reymont w liście pisanym z zagranicznej kuracji do swego wydawcy. Skarżył się też przyjacielowi: „A teraz dopiero widzę, jak mocno mnie zmiędlila ta katastrofa. Bo nie mówiąc już o cierpieniach fizycznych, jakie mnie wciąż gnębią – jestem zupełnie rozbitym wewnątrz – zupełnie. Ani mowy jeszcze o pracowaniu. Zwykły list przedstawia dla mnie teraz tyle trudności, że często nie mogąc ich przewyciężyć, daję spokój pisaniu”.

Ile na tym wypadku kolejowym straciła literatura, tego żaden proces sądowy nie był w stanie wymierzyć. Złośliwi powiadali, iż Reymont, aby udowodnić przed sądem, że katastrofa ograniczyła jego zdolności twórcze, ogłosił w tym czasie utwór pt. *Z pamiętnika panny Hali*, który okazał się niewątpliwym knotem.

Pierwszy bodaj na ziemiach polskich proces sądowy o odszkodowanie za pożar spowodowany iskrami z parowozu został wytoczony w 1895 roku przez właściciela lasu leżącego obok torów kolejowych, Wincentego Grodzickiego. Pozwanym był Zarząd Drogi Żelaznej Nadwiślańskiej jako posiadacz parowozu, od którego isker las w dużym stopniu spłonął. Swe straty powód wycenił na 3000 rubli srebrem.

Sąd Okręgowy w Lublinie, który rozpatrywał sprawę w pierwszej instancji, uznał za dowiedziony fakt, że pożar spowodowała iskra, która wyleciała z parowozu. Wydawało się więc, że Grodzicki ma sprawę wygraną. Powództwo wszakże zostało oddalone, a to z tego względu, że – jak napisano w wyroku: „Nie zostało dowiedzione, ażeby Towarzystwo Drogi Żelaznej dopuściło się nieostrożności lub niedbalstwa przy prowadzeniu parowozu”. Koniecznością dowiedzenia tego faktu obciążono więc powoda, praktycznie zamykając sprawę, bo niby jak miałby on to zrobić?

Grodzicki wszakże odwołał się do Izby Sądowej i tu odniósł sukces, mimo że interesy kolei reprezentował jej radca prawny, cywilista wysokiej próby, adwokat przysięgły Henryk Konic, znany z wielu wygranych spraw. W drugiej instancji uznano powództwo, gdyż tok rozumowania sędziów – dobrych, jak to wówczas bywało w Izbie, znawców wszystkich tajników prawa cywilnego – był ściśle jurydyczny, w przeciwieństwie do sędziów Sądu Okręgowego. Ci bowiem, jak można nie bez podstaw przypuszczać, mieli raczej na uwadze interesy kolei, którą masowo mogliby skarżyć właściciele lasów przylegających do torów w każdym sezonie letnich upałów.

Grodzicki i Towarzystwo Drogi Żelaznej – wywodziła Izba – są właścicielami sąsiednimi. A więc każdy z nich – na zasadzie art. 544 kodeksu cywilnego – korzysta ze swej własności, a tym samym żaden z nich nie ma obowiązku ponoszenia szkód wyrządzonych przez czyn swego sąsiada. Towarzystwo, puszczając po swoim gruncie pociągi z parowozami, jest zobowiązane przedsięwziąć takie środki ostrożności, które zapobiegłyby wybuchowi pożaru u sąsiada z isker parowozu. Fakt, że pożar wybuchł w taki właśnie sposób, dowodzi, że winę ponosi pozwany. Wina ta polega na tym, że nie podjęto należytych środków zapobiegawczych.

Była to polemika ze stanowiskiem radcy prawnego, który twierdził, że przedsięwzięto wszystkie możliwe środki ostrożności. Izba nie chciała nawet dochodzić tego, jakie one były. Sam fakt pożaru – stwierdzono – dowodzi, że były one niedostateczne. Wina Towarzystwa – konsekwentnie wywodziła Izba – pociąga za sobą konieczność wynagrodzenia szkód i strat, bo do tego zobowiązuje art. 1382 kodeksu cywilnego. Mogłoby być ono wolne od tego obowiązku, ale tylko wówczas, gdyby dowiodło, że pożar był następstwem siły wyższej (*vis maior*) lub też że

zwalnia go od odpowiedzialności umowa bądź ustawa.

W pierwszej instancji mecenas Konic wywodził wprawdzie, że w grę wchodziła siła wyższa, gdyż pożar powstał w wyniku wichru i suszy, a więc zjawisk elementarnych. – To nie ma nic do rzeczy – usłyszał teraz w Izbie. – Wicher i susza stanowią zwykle zjawiska natury, z którymi zawsze należy się liczyć; nie mogą one zwalniać od odpowiedzialności za szkody.

W tej sytuacji radca prawny kolei wyciągnął ostatniego asa: oto – dowodził – Grodzicki prowadził złą gospodarkę leśną i wbrew ustawie kolejowej sadził nowe drzewa w bliskości „plantu kolei żelaznej”. Nic jednak nie wskórał, gdyż Izba uznała, że to nie zostało dowiedzione, a powód oświadczył, że spalił się las i młody, i stary, bo na przestrzeni, która zgorzała, istniał już las przez położeniem torów. Był on urządzony według planu i zgodnie z zasadami gospodarki leśnej, skutkiem czego niektóre drzewa wycinano, a następnie poręby zadrzewiano w sposób sztuczny bądź naturalny.

Przepisy kolejowe – podkreślała Izba – nie zabraniają prowadzić takiej gospodarki. Rzeczą Towarzystwa było śledzenie, czy sąsiedni właściciele zadrzewiają teren w sposób prawidłowy; powinni też być uprzedzeni o konsekwencjach, jeśli robią to niezgodnie z przepisami.

Wzięto też pod uwagę dokumenty złożone przez powoda: plany i mapy, które dowodziły, że las rósł już wówczas, gdy pas terenu sprzedano pod linię kolejową. Plan gospodarstwa leśnego dowodził, że las był już zdatny do wyřębu. Mając to wszystko na względie Izba uznała, że Towarzystwo Kolejowe „winne odpowiadać za zrzędzone szkody i dozwoliła poszukiwania szkód i strat w drodze wykonawczej”.

Radcy prawnemu kolei pozostała już tylko ostatnia droga: złożył podanie do Senatu Rządzącego o uchylenie wyroku Izby Sądowej. I tu też poniósł klęskę, bo ukazem z 10 października (nr 5539) jego prośbę pozostawiono bez skutku.

## Eskulap i Temida

PRZEGLĄDAJĄC DZIEWIĘTNASTOWIECZNE gazety, rzadko można się natknąć na relacje ze spraw sądowych wytaczanych lekarzom. Widocznie nie było ich tak wiele, bo inaczej prasa – zawsze tak czuła na różne sensacje – nie przepuściłaby podobnej gratki.

W XIX-wiecznych rocznikach „Gazety Sądowej Warszawskiej”, czasopiśmie prawniczego polującego na wszelkie precedensy, można się dorachować trzech procesów, których negatywnymi bohaterami byli – jak to górnolotnie określano – słudzy Eskulapa.

Pierwszy proces „lekarski” odbył się w 1882 r. Oskarżono w nim lekarza, który zlekceważył wezwanie do położnicy i nie udzielił jej pomocy w porę, a dopiero następnego dnia, mimo iż został poinformowany, że chora znajduje się w stanie ciężkim na skutek działania domorosłej akuszerki. Medyk został skazany w pierwszej instancji na dwa miesiące więzy; wyrok najprawdopodobniej utrzymał się w mocy.

Bardzo surowo, bo na 4 lata ciężkich robót i osiedlenie na Syberii, został skazany w 1897 r. za spędzenie płodu lekarz Zajdowski. Podobny czyn wszystkie XIX-wieczne prawodawstwa traktowały z niezwykłą surowością. Sądono go przy drzwiach zamkniętych, dlatego o przebiegu procesu prasa nie pisała nic, ograniczając się do ogólników.

Prawdziwą natomiast sensację wywołał proces toczący się przez trzy dni maja 1899 r., a wytoczony dwóm lekarzom, którzy operowali chorą i pozostawili w jej ciele dwie pincety.

„Głośna sprawa, wielkie zainteresowanie, wstęp do sądu publicznego za biletami!” – ekscytowała się „Gazeta Sądowa Warszawska”. Nawet od przedstawicieli palestry – czytamy dalej w tym tygodniku – liczna straż przy wejściu żąda okazania biletów. W samej sali pierwszego wydziału Sądu Okręgowego widać między publiką dużo „dam sądowych” w „okazałych toaletach”. Warto tu dodać, że w tych latach salę sądową traktowano jak teatr, a procesy jak przedstawienia i za bilety upoważniające do wejścia ówczesne „koniki” brały niekiedy kilkadziesiąt rubli.

Jak wynikało z aktu oskarżenia, Golda Katz, z pierwszego męża Aronowiczowa, właścicielka pralni przy ul. Dzielnej 45 w Warszawie, cierpiąca od kilku lat na torbiel lewego jajnika, zachorowała w grudniu 1897 r. na miejscowe zapalenie otrzewnej spowodowane skręceniem szypuły torbieli. Gdy zapalenie minęło, Katzowa za poradą swego lekarza domowego, Frenkla, udała się do prywatnego zakładu leczniczego doktora Ignacego Solmana w Warszawie i tam poddała się 22 grudnia 1897 r. operacji usunięcia torbieli.

Operację przeprowadził wieloletni profesor warszawskiego uniwersytetu dr Julian Kosiński wraz z doktorem Solmanem w obecności doktora Zembrzuskiego, który był zajęty chloroformowaniem chorej, i felczera Wawrowskiego. W kilka dni po operacji chora zaczęła gorączkować; temperatura jej się gwałtownie podwyższała i równie gwałtownie spadała, co wskazywało na obecność jakiegoś procesu gnilnego. Jednocześnie zjawilo się klucie w lewym boku około biodra i w dolnej części brzucha, obok operowanego miejsca.

Zawiadomiony o tym przez doktora Zembrzuskiego prof. Kosiński kilkakrotnie oczyszczał ranę z gromadzącej się tam ropy, lecz bóle i gorączka nie ustawały. Prof. Kosiński, przypuszczając, że utworzyło się wewnątrz ropienie, w drugiej połowie stycznia 1898 r. przeprowadził przy udziale doktora Solmana ponownie operację. Po głębokim nacięciu ciała po linii poprzedniej rany ogniska ropienia jednak nie znaleziono.

Synowie chorej, Józef i Szymon Aronowiczowie, nie byli zawiadomieni o drugiej

operacji. Dowiedziawszy się, że i po niej temperatura chorej nie opada, zaczęli rozpytywać doktora Solmana, co się stało. Ten oświadczył im, że stan chorej jest beznadziejny i że może ona umrzeć w ciągu kilku dni na zapalenie otrzewnej. W tej sytuacji zostało zwołane konsylium składające się z pięciu lekarzy.

Konsylium – jak czytamy w akcie oskarżenia – uważając gorączkę chorej i męczące ją bóle za objawy niekorzystne wobec upływu kilku tygodni od operacji i nie znajdując dostatecznych przyczyn tych objawów, uznało stan chorej za poważny, lecz niezbyt niebezpieczny. Doszło do wniosku, że prawdopodobnie utworzyło się w jamie brzusznej ropienie, które trzeba będzie usunąć drogą kolejnej operacji, z chwilą gdy wyraźniej zaznaczy się jego miejsce.

Po konsylium zdrowie Katzowej poprawiło się znacznie, potem jednak bóle w boku zaczęły występować na nowo. Tymczasem w lecznicy zorientowano się już dawno, że brakuje dwu pincetek i skojarzono ten fakt z bólami pacjentki. Chorą odwiedził Zembrzusi, który jak pamiętamy, asystował przy owej pierwszej, fatalnej dla niej operacji. Teraz zaczął ją namawiać, by udała się do lecznicy doktora Solmana, gdzie dr Kosiński wykona jeszcze jedną operację.

Katzowa udała się do Solmana, który mimo że nie skonstatował nagromadzenia się ropy, nalegał na operację wobec niebezpieczeństwa skrętu kiszek. Chora wszakże straciła już do niego zaufanie. Za poradą synów udała się do innego lekarza, który stwierdził, że nie ma co się śpieszyć z operacją, i poradził, by Katzowa wyjechała na kurację do Ciechocinka. Takiej samej rady udzielił inny lekarz.

Na początku maja 1898 roku chorą ponownie odwiedził dr Zembrzusi i wyraził zdziwienie, że nie przybyła jeszcze do lecznicy doktora Solmana, gdzie przygotowano dla niej pokój i dr Kosiński czeka z operacją. Katzowa oświadczyła, że jeśli jej sążone iść po raz trzeci pod nóż, zrobi to gdzie indziej, być może za granicą, bo już straciła zaufanie do tej lecznicy.

Za zgodą lekarza domowego Katzowa udała się do Ciechocinka, gdzie czuła się bardzo dobrze. Dopiero w drodze powrotnej dostała krwotoku. Chorą umieszczono w klinice doktora Wawelberga i prześwietlono promieniami Roentgena, zrobiono to jednak chyba dość nieudolnie, bo nie stwierdzono żadnych ciał obcych. Zwołano wówczas konsylium, na którym lekarz domowy poinformował kolegów o owych pincetach, być może znajdujących się w ciele chorej.

Konsylium uradziło, że jedynym wyjściem jest szybka operacja. Podczas niej natknięto się wreszcie na mocno zardzewiałe pincety; usunięto je, ale chora po paru minutach zmarła. Sekcja ujawniła zapalenie otrzewnej w okolicy małej miednicy; miało ono związek z jednej strony z zapaleniem tkanki łącznej ślepej кишки, z drugiej zaś z uszkodzeniem arterii biodrowej.

Na podstawie wyników sekcji oraz badania pod mikroskopem wnętrza Katzowej biegli doszli do wniosku, że uszkodzenia te powstały wskutek długotrwałego podrażnienia tkanki pnia arterialnego oraz ścian кишки. Uszkodzenie to pochodziło od nacisku wywieranego na nie przez siłę mechaniczną pod postacią znalezionych w okolicy małej miednicy dwóch pincet hemostatycznych. Mogły one, znajdując się przez czas dłuższy w brzuchu chorej, spowodować obserwowane za jej życia objawy chorobowe, takie jak: bóle miejscowe, wzrost temperatury i naciek zapalny koło macicy.

Te uszkodzenia wewnętrznych organów były też, zdaniem biegłych, przyczyną niebezpiecznych dla życia Katzowej krwotoków, które wystąpiły w ciągu trzech ostatnich dni jej życia i stały się przyczyną śmierci. Zdaniem dwu biegłych profesorów medycyny wydobyte we



właściwym czasie dwu pincet mogło zapobiec stwierdzonym podczas sekcji uszkodzeniom pnia arterialnego i ściany kiszek.

Wdrożono śledztwo i przesłuchano wielu świadków; na podstawie stwierdzonych faktów w stan oskarżenia zostali postawieni: profesor uniwersytetu warszawskiego dr Julian Kosiński i wolno praktykujący lekarz Ignacy Solman. Obwiniono ich o to, że podczas wspólnego dokonywania operacji usunięcia torbieli, połączonej z otwarciem jamy brzusznej, „nie przekonali się należycie o liczbie wszystkich instrumentów użytych do tej operacji i wskutek tak jawnej nieostrożności pozostawili w brzuchu chorej dwie pincety hemostatyczne, które, znajdując się tam przeszło pół roku, spowodowały nienormalne objawy chorobowe, jako to: bóle miejscowe, podniesienie się temperatury ciała chorej i naciek zapalny około macicy. Kosiński i Solman, wiedząc zarówno o istnieniu tych objawów chorobowych, jak i o ich przyczynie, nie przedsięwzięli pomimo to odpowiednich środków ostrożności, mianowicie nie oznajmili Katzowej ani jej rodzinie o konieczności dokonania operacji dla wydobycia owych 2 pincet. Następstwem tego było to, że owe dwa narzędzia naciskiem swym spowodowały ciężkie uszkodzenie lewej tętnicy ślepej кишки powodujące obfite krwotoki dnia 6 lipca 1898 roku, po których w dwa dni potem nastąpiła śmierć Goldy Katzowej”.

Przestępstwo to zakwalifikowano z art. 1468 k.k. Artykuł ten przewidywał odpowiedzialność za „oczywistą nieostrożność”.

Sprawa ta nasuwała wiele wątpliwości. „Kwestii żadnej ulegać nie może – pisał sprawozdawca «Gazety Sądowej Warszawskiej» – że śmierć Katzowej była w związku z czynnościami lekarskimi całego szeregu lekarzy. Który jednak moment tego leczenia można by uznać za nieostrożną przyczynę tej śmierci i to przyczynę konieczną i niewątpliwą? Czy pozostawienie obcych ciał, które znaleziono we wnętrzościach? Czy niedokonanie powtórnej operacji, która by pozbawiła organizm owych obcych ciał? Czy niewyczucie obcego ciała, co pozwoliło na przepisanie kuracji nieodpowiedniej w stanie, w jakim znajdowała się Katzowa? Czy niedokonanie szybkiej i bezzwłocznej operacji przy pojawieniu się krwotoku w celu jego zatamowania, przy czym jednocześnie można by wyjąć ciała obce? Czy nareszcie sama przez się, ostatnia operacja tamowania krwotoku, która mogła być dokonana nieodpowiednio? Oto szereg pytań, trudnych, spornych, wymagających niezwyklej znajomości prawa i medycyny, a przede wszystkim naukowych wiadomości z chirurgii, z którymi do czynienia miał sąd przy rozstrzygnięciu tej niezwyklej sprawy”.

Mając te wszystkie wątpliwości na względzie, zaoszczędzono obydwu lekarzom zasiadania na ławie oskarżonych, lecz posadzono ich przy oddzielnym stole razem z obrońcami. Skład sądu został powiększony – sprawę rozpatrywało nie trzech, ale czterech sędziów; ten dodatkowy miał wykształcenie medyczne. Powołano sześciu biegłych lekarzy anatomopatologów i chirurgów, z których jeden został ściągnięty przez urząd prokuratorski aż z Petersburga.

Na podstawie wyjaśnień samych oskarżonych oraz zeznań składanych przez świadków kolegium sądowe doszło do przekonania, że operacja została wykonana *lege artis*, a pincetki pozostały w ciele na skutek wypadku, co się zawsze może zdarzyć. Chirurg – jak uznano – podczas operacji jest skupiony tylko na niej i dopełnił wszystkiego, czego wymagały od niego sumienie i reguły sztuki. Jeśli zaś chodzi o działanie po operacji, to wzięto pod uwagę, iż prof. Kosiński nie miał absolutnej pewności co do przyczyny ciągle trwającej choroby Katzowej; mógł jej tylko proponować operację, nie wskazując powodu.

Prasa fachowa czyniła biegłym zarzut, że nie pomogli sądowi w rozstrzygnięciu kwestii, czy istniał bezpośredni związek między pozostawieniem pincetek a śmiercią pacjentki.

Zapatrywali się natomiast bardzo krytycznie na ostatnią, trzecią operację, wykonaną przez dwu lekarzy, po której Katzowa natychmiast zmarła. Sąd przyjął, że nie zostało dowiedzione, że śmierć była bezpośrednim następstwem zaniedbań ze strony oskarżonych chirurgów. Przeciwnie, na zasadzie danych śledztwa sądowego i orzeczeń biegłych Sąd Okręgowy doszedł do przekonania, że aczkolwiek pozostawione w jamie brzusznej pincetki wywołały krwawienie wewnętrzne, to jednak następna operacja, w której oskarżeni nie brali udziału, mogłaby uratować życie pacjentki. Chirurgowie podczas tej ostatniej operacji, wiedząc już niewątpliwie o pincetach w ciele i widząc miejsce, w którym się one znajdują, powinni byli skierować swe działanie przede wszystkim na zatamowanie krwotoku powstrzymanego do pewnego stopnia zatknięciem arterii przez owe pincetki. Gdyby podwiązaniem arterii lub uciskiem na aortę powstrzymano krwotok na czas wydobywania utkwionych we wnętrzościach narzędzi, to wynik operacji, czego dowiedli biegli, mógłby być dobry. Tymczasem – jak napisano w motywach wyroku – bez odpowiedniego przygotowania do powstrzymania znacznego upływu krwi schwycono i wyciągnięto utkwione narzędzia, które były rodzajem korka ochronnego przy krwotoku brzuszny. Korek gwałtownie wyciągnięto, krew natychmiast się polała i razem z nią uszło życie.

Sąd Okręgowy uniewinnił obu lekarzy, a akcję cywilną rodziny żądającej odszkodowania pozostawił bez rozpoznania.

Z prawa apelacji skorzystał i prokurator, i przedstawiciel akcji cywilnej. W skardze apelacyjnej dowodzono, że do bytu przestępstwa z art. 1668 k.k. nie jest konieczna „oczywista nieostrożność” w ogóle. Zarzucano także prof. Kosińskiemu, że wyraźnie nie powiedział o pozostawionych w ciele chorej pincetach i dlatego zwołane przez rodzinę konsylium nie dostrzegło konieczności operacji. Podnoszono nadto fakt, że ostatnia operacja została przeprowadzona w sposób właściwy.

Izba Sądowa nie podzieliła tych argumentów i 12 listopada 1899 r. zatwierdziła wyrok pierwszej instancji. Spotkało to się z akceptacją świata lekarskiego i prawniczej prasy. „Gazeta Sądowa Warszawska” pisała: „Dzięki jawnej i publicznej rozprawie sądowej zrehabilitowano nie tylko znakomitego chirurga, ale i cały dział medycyny praktycznej, chirurgię operacyjną, której w przekonaniach ogółu miały zadać szwank dwie pincetki pozostawione we wnętrzościach Katzowej”.

## Austriacka Temida i polscy literaci

DWÓCH NASZYCH LUDZI PIÓRA, których sława przetrwała ich czasy i dzięki swej twórczości są żywi po dziś dzień – mianowicie Wincenty Pol i Aleksander hr. Fredro – władze austriackie podejrzewały o działania antyrządowe. Mało tego, wytoczono im nawet procesy karne, a pierwszy z nich spędził jakiś czas w więzieniu.

Stało się to w okresie, gdy tropienie spisków, a także represje karne wobec osób o nie podejrzewanych nie ustępowały w Galicji tym, które rosyjski zaborca rozpełtał na ziemiach Królestwa Polskiego. „Diabeł w stosowanym kapeluszu”, jak Aleksander Fredro obrazowo określił urzędnika w służbie Habsburgów – za co wytoczono przeciw niemu całą machinę sądowno-biurokratyczną – bynajmniej nie ustępował pola carskim czynownikom w tępieniu przejawów tęsknoty do niepodległości.

Wincenty Pol w latach swej młodości był i żołnierzem, i konspiratorem. Walczył w powstaniu listopadowym pod dowództwem generała Dezyderego Chłapowskiego jako podchorąży 10. Pułku Ułanów Litewskich; przyniosło mu to ranę, krzyż za waleczność i stopień podporucznika. Zjeździł potem jako agent generała Bema szmat Europy, a następnie jako członek tajnego Związku Dwudziestu Jeden – z cudzym paszportem, często tylko dzięki zmyślnemu przebraniu unikając carskiej policji, przemierzył Wołyń, Ukrainę i Podole z zadaniem zapobiegania aresztowaniom związanym ze źle przygotowaną partyzantką Zaliwskiego.

Wędrował potem z Sewerynem Goszczyńskim, poetą, niewiarygodnym mistrzem kamuflażu i specjalistą od wyprowadzania w pole żandarmów i tajniaków; miał także styczność z „węglarzami”. Wkrótce po upadku powstania zostały wydane w Paryżu (bezimiennie) jego patriotyczne *Pieśni Janusza*, które zyskały w kraju ogromną popularność. Nucono je po dworach i pod strzechami.

Wędrownie, konspiracyjne życie skończyło się w 1836 roku, gdy dobiegający trzydziestki Pol wziął w dzierzawę majątek Kalenica w Sanockiem, a w rok później ożenił się z Kornelią Olszewską. W 1840 roku był już właścicielem majątku w Marypolu pod Bieczem.

Coraz mocniej ciągnęło go życie osiadłe, a także twórczość naukowa i literacka. W 1835 roku napisał *Pieśń o ziemi naszej*, bardziej jednak zajmowała go w tym czasie geografia rodzinnego kraju, który dobrze poznał w okresie swych konspiracyjnych wędrówek. Na kartach jego pamiętnika widać wyraźnie znużenie koteryjnymi i partyjnymi rozgrywkami na emigracji i w kraju. Był wówczas typowym człowiekiem środka, pełnym wiary w Mickiewiczowskie jednoczące hasło „kochajmy się” w imię czystego patriotyzmu; wszelkie „rozdawanie” narodu uważał wręcz za zbrodnię.

Nie były to czasy przychylnie takim postawom i myśleniu. Nie można było dążyć do zmian i jednocześnie szukać inspiracji w przeszłości. W całej Europie aż wrzało, na ziemiach polskich zaś słowo „demokracja” było używane równie często jak „niepodległość”, a metody walki o jedno i o drugie wywoływały wiele kontrowersji i zacierzwienia.

Pol czuł się w tych wszystkich rozgrywkach i kłótniach zagubiony. Najbardziej oburzały go skrajności; uważał je za bardzo szkodliwe dla sprawy narodowej. „W jednym – pisał sarkastycznie we wspomnieniach – wyprzedziliśmy całą Europę, tj. w zelozji [w fanatyzmie] nieprzejednanych, którzy już od początku tej ery utrudniają i uniemożliwiają posłannictwo narodowe”.

Wyraźna rezerwa wobec haseł rewolucyjnych, niewiara w możliwość jednoczesnego

wyzwolenia ziem polskich spod panowania trzech zaborców, nawoływanie do umiaru, do długotrwałej i wytężonej pracy przygotowawczej, do budowania świadomości narodowej wśród ludu – wszystko to wyrobiło Wincentemu Polowi markę konserwatysty. Stracił mir i szacunek demokratów, nie zyskał natomiast poważania w obozie arystokracji. W niektórych kręgach odnoszono się do niego nawet nieufnie, podejrzewając o współpracę z policją w tropieniu emisariuszy Centralizacji w imię zachowania *status quo*.

Także policja patrzyła na niego podejrzliwie. Znikał bowiem na całe miesiące, był podejrzanie ruchliwy i chociaż od czasu powrotu do kraju objęto go nadzorem policyjnym, faktycznie sprawowano go nad nim, dopiero gdy osiadł w Kalenicy. Najbardziej ciążyło poecie umieszczenie go na liście osób szczególnie podejrzanych. Utrudniało mu to bowiem także kontakty naukowe, nawet w granicach Galicji, co przy jego coraz wyraźniejszych zainteresowaniach geograficzno-przyrodniczych było na dłuższą metę nie do zniesienia.

Nie mając innego wyjścia, Wincenty Pol wybrał się do samego prezydenta gubernium lwowskiego, barona Kriega, i oświadczył, że nie ma najmniejszego zamiaru uczestniczyć w żadnych spiskach czy konspiracjach. Pragnie tylko pracować naukowo, nie widzi więc powodu, by dalej utrzymywano wobec niego nadzór policyjny i odmawiano mu paszportu.

Ta deklaracja lojalności – z której poeta nie robił bynajmniej tajemnicy, a nawet fakt ten rozgłaszał – nie zobowiązywała właściwie do niczego i była czymś zwyczajnym w tych czasach. Bardziej, jak się wydaje, zaszkodziły Polowi w oczach ziomków kontakty z dyrektorem lwowskiej policji – Leopoldem Sacherem-Masochem. Był to nie tylko wysoki funkcjonariusz policyjny, ale jednocześnie człowiek dużej wiedzy, kolekcjoner rzadkich okazów przyrodniczych. Nosił się nawet z zamiarem utworzenia we Lwowie muzeum przyrodniczego; w planach tych pomocny był mu Pol – krajoznawca, etnograf, entuzjasta.

Jak wspominał w liście do innego literata powieściopisarz i publicysta Jan Zachariasiewicz, Sacher „był to człowiek niepospolitej inteligencji, w naukach przyrodniczych bardzo biegły. Wynałazł nawet pewnego chrząszcza, który dzisiaj u wszystkich przyrodników Europy figuruje jako: *Scarabeus Sacheri*. Otóż tenże Sacher zbliżył się do Pola nie jako dyrektor policji, ale jako uczyony przyrodnik i oczarował go swoją nauką. Pol często o nim mówił i dziwił się tylko, że taki człowiek jest policjantem, a nie profesorem uniwersytetu. Sprytny dyrektor policji umiał nową swoją znajomość z popularnym narodowym poetą dobrze dla siebie spieniężyć. Uczynił to w ten sposób, że gdy na rynku lub w miejscu najpopularniejszym Pola spotkał, biegł ku niemu, ścisnął go przyjacielsko jego rękę, a ujawszy go pod ramię, przechadzał się z nim wśród gapiących się tłumów. Poeta pocił się w tak nieprzystojnej dla siebie pozycji, ale jako człowiek towarzyskiej ogłady nie mógł w sposób obcesowy uwolnić się z takiego uścisku”.

Tak rzecz widział bezstronny świadek, ale sam Pol, choć zaklinał się zawsze, że łączyły go z Sacherem jedynie zainteresowania i sprawy naukowe, to jednak swoje racje podobno przedstawiał tak niezgrabnie, iż nie dawano mu wiary. Tak więc i dla policji pozostawał nadal osobnikiem mocno podejrzanym, a stał się nadto niepewny dla swoich.

Lata powojenne – zwłaszcza niezręczna, nieprzemyślana, wręcz stracona akcja partyzancka Józefa Zaliwskiego, tak tragicznie zakończona licznymi wyrokami śmierci, długoletnimi pobytami w lochach Kufsteinu i Spielbergu najgorliwszych spiskowców i represjami majątkowymi wobec sympatyków – unaocznily Wincentemu Polowi daremność zrywów do walki orężnej. Uważał nadto, że mieszkańcy naszych ziem nie dojrżeli jeszcze do zorganizowania przewrotu społecznego i politycznego wróżącego powodzenie.

Od czasu gdy zaczął życie osiadłe, założył rodzinę i dochował się trojga dzieci, zerwał

całkowicie z dawnymi dążeniami. Zaczęła mu nawet ciążyć sława „wieszczki narodowej”, którą zyskał głównie dzięki śpiewanym powszechnie pieśniom, jak np. *Grzmia pod Stoczkiem armaty...*

Gdy pod koniec 1845 roku do jego zaciszego i spokojnego dworku otoczonego starodrzewem dotarli emisariusze Edwarda Dembowskiego i jako byłemu wojskowemu zaproponowali mu objęcie dowództwa nad oddziałem spiskowców z Jasielskiego, poeta pokazał im w odpowiedzi kreślone właśnie mapy i przygotowywany do druku okazały manuskrypt pierwszego tomu geografii Polski. O sprawie, z którą przyszli, nie chciał nawet słyszeć.

Chociaż majątek, w którym gospodarzył twórca *Pieśni o ziemi naszej*, znajdował się na uboczu, docierały jednak do niego wieści z szerokiego świata. Pol wiedział, co się dzieje, i nie miał najmniejszych wątpliwości, że nadchodzi niepewny czas. Nie chciał znaleźć się w oku cyklonu. Bał się, że gdyby doszło do rozruchów – niezależnie od zajętego przez niego stanowiska – władze łączyłyby jego osobę z ruchem rewolucyjnym i konspiracją.

Postanowił więc wyjechać do Wiednia przez Lwów, nie mając bowiem paszportu, spodziewał się uzyskać go w urzędzie gubernium. Załadowawszy na dwie bryki i dwie fury materiały, mapy i notatki potrzebne do pracy nad geografiami Polski, 21 stycznia 1846 roku poeta wyruszył z całą rodziną w podróż. Po drodze dołączył do nich brat z żoną – lekarz zamieszkały w Krośnie – i wszyscy razem dotarli do Polanki, majątku Tytusa Trzecińskiego, przyjaciela, u którego poeta zazwyczaj zatrzymywał się na noc, gdy wybierał się w dwudniową podróż do Lwowa.

Tymczasem spadł śnieg i drogi stały się nieprzejezdne. Do Polanki nie docierały żadne wieści i dopiero następnego nocy podróżni mogli się zorientować, że dzieje się coś złego: wokół widać było chłopów uzbrojonych w widły, cepy i siekiery. Mężczyźni, którzy wyszli na ganek dopytać się, o co chodzi, i uspokoić wydającą wrogi okrzyki ciżbę, zostali zwaleni z nóg, a następnie pobici. Najwięcej dostało się Wincentemu Polowi, zupełnie nieznanemu tutejszym chłopom, tym bardziej że poeta zawzięcie milczał.

Dwór w Polance został zrabowany, chłopcy wypili znalezione wina i wódki, a potem spalili papiery z wozów Pola. Tak został zaprzepaszczony plon jego kilkuletniej pracy naukowej i twórczej. Dopiero po południu nadciągnął oddział huzarów; ci jednak ani myśleli ująć się za poturbowanymi. Zdaje się, że poeta jeszcze w ich obecności był bity. W końcu jednak trzech mężczyzn skrupowani sznurami zostali wrzuceni na wóz drabiniasty i przewiezieni do Jasła. Tu wtrącono ich do aresztu przy urzędzie cyrkularnym pomiędzy dwudziestu paru podobnych nieszczęśników.

„Kilka tygodni zeszło Wincentemu – pisał w biografii poety Maurycy Mann – jak pasmo nieustających tortur, w przepelnionej więźniami celi, która była wilgotną i ciemną piwnicą; ciasnota, jadło wstrętne, ból fizyczny, jętrzenie się ran, przy tym brak wszelkiego wyobrażenia o przyszłym losie, brak bodaj najdrobniejszej wiadomości o garstce najdroższych”.

W połowie marca przewieziono go do Lwowa razem z kilkoma innymi więźniami. Budynek pokarmelicki był w tym czasie przepelniony, trafili więc do tzw. Małych Koszar, inaczej określanych jako koszary krakowskie, które jeszcze w 1833 roku tutejszy gubernator kazał przerobić na więzienie. Pol został umieszczony w małej, ciemnej i brudnej celi razem z innym więźniem politycznym – Władysławem Siemiońskim.

Tu dopiero dowiedział się o losie żony i dzieci; przygarnęła ich zaraz po jego aresztowaniu księżna Karolowa Ponińska. Mógł się zresztą wkrótce zobaczyć z żoną, gdyż pani Kornelia uzyskała zgodę na widzenie. Zezwolono też na dostarczenie więźniowi bielizny, książek i różnych drobiazgów, przemycano nawet – mimo zakazu palenia – trochę tytoniu.

Nadszedł środek lata, a Pol ciągle przebywał w więzieniu i nic nie wskazywało na to, aby wkrótce miał się doczekać procesu czy też uwolnienia. W początkach lipca w jego celi zdarzyło się coś banalnego, wydawałoby się zwyczajnego, niegodnego uwagi: oto ni stąd, ni zowąd pękł dzban fajansowy, w którym stała woda. Jednakże w więzieniu fakt taki wykraczał poza kategorię zwyczajności. Stary więzień kryminalny uświadomił poecie, że dzban pękający w celi oznacza rychłą swobodę. Czy jednakże nieszczęsny więzień „Karmelitów” mógł żywić taką nadzieję?

Od pierwszego przesłuchania 12 marca 1846 roku przed komisją sądu karnego we Lwowie Wincenty Pol zdawał sobie sprawę, iż jest obwiniony „o zdradę główną zagrożoną karą najwyższą”. Gdyby więc nawet nie dowiedziono mu, iż przedsiębrał „kroki w zamiarze gwałtownego przekształcenia rządu przez spisek, knowanie”, to pozostawało jeszcze współnictwo, że „o wiadomym sobie winowajcy zdrady głównej zwierzchności nie doniósł”, za co groziło dożywotnie więzienie.

Z tak poważnym oskarżeniem wiązały się też ogromne obostrzenia proceduralne; sędzia śledczy nie informował przesłuchiwanego nawet, o co jest oskarżany. „Tyle mu tylko przedstawione być powinno – jak o uprawnieniach obwinionego mówiła ustawa – iżby o obwinieniu siebie uświadomionym został”. Nie miał też możliwości skorzystania z pomocy adwokata, gdyż § 337 obowiązującego jeszcze od początku XIX wieku prawa procesowego stanowił, że obrona niewinności inkwizyta jest poruczona z urzędu sądowi karnemu, przed którym oskarżony odpowiadał.

Sędzia śledczy nie stosował wprawdzie środków przymusu, ale przewlekłość postępowania i niepewność tego, co zeznają współoskarżeni, robiły swoje; było to widać na przykładzie innych śledztw, gdy spiskowcy załamywali się dość szybko i obciążali samych siebie oraz inne osoby. Pol natomiast był konsekwentny i jednolity w swoich zeznaniach; zaprzeczał jakimkolwiek kontaktom z konspiracją.

Podczas pierwszego przesłuchania, gdy przez blisko trzy godziny dyktował do protokołu zeznania, nie mówił – choć był o to pytany – zbyt wiele o swojej znajomości z Franciszkiem Wolańskim, którego w czasie poprzedzającym aresztowanie zatrudnił był u siebie. Po przemyśleniu tej sprawy widocznie doszedł do wniosku, że popełnił błąd, i zwrócił się do komisji śledczej o pozwolenie złożenia dodatkowych zeznań.

Jak można domniemywać z całości sprawy, właśnie kontakt z Wolańskim najbardziej obciążał Pola; zresztą ten pełniący u niego obowiązki sekretarza, młody, dobiegający dopiero trzydziestki człowiek – w swoich zeznaniach składanych w więzieniu – bynajmniej nie osłaniał swojego chlebobdawcy. Sam był mocno zaangażowany w wydarzenia 1846 roku, bo jako wieloletni spiskowiec pełnił urząd komisarza powiatowego; wkrótce – już gdy Pol opuścił więzienie – miał zostać skazany na karę główną. Wolański podczas wcześniejszego (1840) pobytu w więzieniu „wrył na kawałku płótna z pamięci różnobarwnymi wytroczkami bardzo dokładną i pięknie zrobioną mapę całej przedrozbiorowej Polski. Ta mapa obiegała całe miasto i zjednała względy dla niego i jego żony, potrzebujących wsparcia”.

Tą mapą posłużył się poeta, aby uprawdopodobnić przypadkowość spotkania z Wolańskim. Oto, co zeznał do protokołu: „Ponieważ stosunek mój do Franciszka Wolańskiego może użyty być przeciw mnie jako powód do podejrzenia, dlatego chcę tę rzecz bliżej wyjaśnić. W zimie 1845 roku przekazano mi haftowaną mapę geograficzną, a na pytanie, kto ją wykonał, powiedziano, że – dotąd zupełnie mi nieznaną – Franciszek Wolański podczas uwięzienia za zdradę stanu. Wnosząc z tego o zamiłowaniach Wolańskiego do geografii, a potrzebując przy swoich pracach geograficznych człowieka do pomocy, postanowiłem zapoznać się z nim. Ponieważ dzieł swoich sam nie piszę, lecz zazwyczaj dyktuję, zdecydowałem się przyjąć go na próbę. Zatrudniłem go tu we Lwowie od marca do sierpnia czy września zeszłego roku za

renumeracją około 20 złotych reńskich miesięcznie, a Wolański robił mi wyciągi z ksiązek statystyczno-geograficznej treści i wykonał kilka map.

Przekonawszy się, że da się do tych prac użyć – kontynuował swe zeznania poeta – postanowiłem przyjąć go po formie, a pragnąc ubezpieczyć się pod względem jego przeszłości, doniosłem o tym zamiarze dyrektorowi policji i radcy gubernialnemu von Sacherowi z zapytaniem, czy ten stosunek mój z Wolańskim nie zaszkodzi mi w opinii wysokiego rządu. Gdy mi pan radca gubernialny powiedział, że mogę to bez wahania uczynić, a nawet jest do życzenia, aby takich ludzi zająć, spodziewa się bowiem po Wolańskim, że będzie na przyszłość rozumniejszym, uważałem sprawę za załatwioną...”.

Wincenty Pol nie mógł wiedzieć, że w tym czasie w jego aktach znajdowało się już doniesienie napisane przez starostę Stanisława Przybilskiego, datowane w Jaśle 23 lutego 1846 roku. Stawiało ono jego stosunki z Wolańskim w zupełnie innym, złowrogim dla poety świetle: „Za zdradę stanu skazany na śmierć i ułaskawiony Fr. Wolański – pisał ów zniemczony Polak – przyjęty został przez W. Pola rzekomo do pomocy w jego pracach literackich, w istocie działał on jako komisarz rządu rewolucyjnego przy organizacji powstania pod kierunkiem tegoż poety, zostającego w stosunkach z Poznaniem. Pol był nie tylko uświadomiony o czynnościach rewolucyjnych Wolańskiego, mieszkającego z nim pod jednym dachem, ale kierował nim jako podwładnym w przygotowaniach do powstania. Szlachta ufna w odbudowanie Polski przeznaczyła Polowi powszechnie uważanemu za naczelnika powstania godność senatora w Królestwie Polskim”.

Mimo iż w śledztwo zaangażowano wiele urzędowych osób – m.in. z polecenia urzędu cyrkularnego komisarz obwodowy przeprowadził gruntowną rewizję w domu poety – nie znaleziono dowodów obciążających Pola. Nie znaleziono też zbyt wielu punktów zaczepienia w zeznaniach innych osób, które miały coś do powiedzenia w jego sprawie.

Nie dowierzano jednak słowom samego obwinionego, który napisał obszerny memoriał autobiograficzny, wyraźnie starając się, aby w sumie powstał obraz obywatela mającego wprawdzie pewne grzeszki młodości na sumieniu, ale wiernego i lojalnego (o przystąpieniu do powstania w Wilnie tak pisał: „znalazłem się jako obcokrajowiec w takim położeniu, iż miałem tylko do wyboru zostać polskim lub rosyjskim żołnierzem; wybrałem to pierwsze”). Powołał się także na zasługi ojca; nie omieszkał nadto akcentować swego pochodzenia, podpisując wszystkie dokumenty jako Poll von Pohlenburg.

W memoriale wiele miejsca poświęcił na udowodnienie, że polska opinia publiczna potępiała go jako antyrewolucjonistę. Przytoczył nawet fragmenty wierszowanych pamfletów, jakie o nim kursowały i w których krytykowano go za serwilizm wobec rządu, a także pogrożki, które skłoniły go do opuszczenia domu.

Sąd karny, prowadząc tzw. dochodzenie przedwstępne, zwrócił się nawet o opinię o Polu do samego dyrektora lwowskiej policji, Leopolda Sachera-Masocha von Kronenthal. Oto najlepsze „świadczenie patriotyzmu”, jakie ów wystawił człowiekowi, z którym chciał zakładać gabinet okazów natury: „Co się tyczy Pola, to podczas pobytu jego we Lwowie nie zdradzał się niczym, co mogłoby usprawiedliwiać podjęcie stanowczych przeciw niemu kroków. Mimo to daleki jestem od tego, abym mógł ręczyć za szczerść jego politycznego zachowania. Ostrożny, jak był zawsze, ale znany ze swych przekonań jako tzw. prawdziwy Polak, pod tą pokrywką mógł być dla sprawy polskiej czynny”.

Tak więc były podejrzenia, ale brakowało dowodów – jeśli nie liczyć wojskowej mapy Galicji i paru zakazanych ksiązek zakwestionowanych w Maryipolu – a bez tych nie było szans

na skazanie Pola za zdradę główną lub współnictwo w jej popełnieniu. Sąd karny musiał wreszcie podjąć jakąś decyzję, bo dopominał się o to sąd apelacyjny, którego prezes – hrabia Krasicki – był z kolei naglony przez rodzinę Polów i ich znajomych, życzliwych poecie.

Wkrótce też sędzia śledczy Keller był zmuszony stwierdzić, że „współdział fizyczny W. Pola w powstaniu nie da się wykazać”; nie omieszkał się jednak zastrzec asekurancko: „czy jako pisarz i poeta nie był moralnie czynnym przed wybuchem powstania – nie może się dowiedzieć”.

W tej sytuacji sąd karny we Lwowie 1 lipca 1846 roku wydał orzeczenie, w którym postanowiono „z braku prawnych znamion zbrodni nie rozpoczynać przeciw W. Polowi karno-śledczego dochodzenia o istotę czynu karygodnego”. W tydzień później poeta został dostawiony z więzienia do dyrekcji policji i chyba jeszcze tego samego dnia znalazł się na wolności.

Nie był to bynajmniej koniec perypetii sądowo-karnych Wincentego Pola. Plonem rozruchów w 1846 roku były w Galicji liczne procesy polityczne i co najmniej w paru z nich zostały ujawnione jego powiązania z powstaniowym kierownictwem. Te nowe okoliczności – zsumowane z dawnymi poszlakami – w pół roku po uwolnieniu Pola skłoniły sąd karny do wznowienia śledztwa w jego sprawie; poetę wszakże pozostawiono na wolności.

Tym razem obciążały go chyba najbardziej zeznania Franciszka hr. Wiesiołowskiego, którego policja od lat miała na oku jako spiskowca demokratycznego. Był on wówczas oskarżony o zdradę stanu i nad nim także wisiało widmo kary śmierci. Wiesiołowski zeznał, iż Pol „uważał, że najodpowiedniejszym dlań stanowiskiem byłoby, aby mógł być pożyteczny jako pisarz”; odnosiło się to oczywiście do przyszłego powstania. „Zgodziliśmy się – powiedział Wiesiołowski przesłuchującemu – że obejmie redakcję mających wychodzić pism periodycznych i rodzaj cenzury nad publikacjami w kraju. Można by porównać to stanowisko z najwyższym kierownictwem oświecenia w kraju”.

Nic więc dziwnego, że lwowski sąd karny powiadomił w czerwcu 1847 roku referenta sprawy Pola, iż jest to „człowiek oddany zupełnie rewolucji”. W parę miesięcy później, w październiku, tenże sąd wystąpił do prezydium krajowego o ponowne wytoczenie Polowi dochodzenia karnego o zbrodnię główną. Wkrótce jednak historyczne wydarzenia przysłoniły sprawę poety. Zaniechano śledztwa przeciw niemu, uznając ważność decyzji sądu karnego z 1 lipca 1846 roku. Niebawem została ogłoszona amnestia i sprawa przestała być aktualna.

Dla Pola czas spędzony w więzieniu był przełomowy. Odbił się również na jego twórczości. Poeta zwrócił się ku hasłom „pielęgnacji cnót domowych”, zalecał „chować stan, obyczaje i modlić się do Boga”. Nie był wprawdzie i przedtem entuzjastycznym zwolennikiem spiskowania, teraz jednak, bojąc się przewrotu rewolucyjnego, stał się konserwatystą. Wydaje się jednak, że bardziej niż epizod więzienny zaważył na poglądach Pola i na jego życiu ów tragiczny fakt skatowania go przez chłopów w Polance. Zabito w nim wówczas wiarę w możliwość szybkiego wprowadzenia w życie ideałów demokratycznych, a nawet postawiono je w ogóle pod znakiem zapytania.

Dochodzenie sądowe przeciwko Polowi dowiodło, że wbrew głośnym deklaracjom w istocie nie stał jednak z boku wydarzeń, a fakt, że nie dał się przygwoździć powolnej, ale jakże sprawnej austriackiej machinie policyjnej, świadczy, że był spiskowcem pierwszej próby i miał mocne nerwy.



Natomiast jeśli chodzi o Aleksandra hrabiego Fredrę, to choć nie trafił za więzienne mury, był tego bardzo bliski. Proces kryminalny, jaki mu wytoczono, obfitował wprawdzie w akcenty humorystyczne, ale naszemu czołowemu komediopisarzowi na pewno nie było do śmiechu. Znalazł się w zainteresowaniu władz sądowych całkiem przypadkowo.

Polowały one – jak można by było napisać w przenośni – na dzika, a ustrzeliły salonowego lwa. To określenie o tyle jest trafne, że hrabia Fredro, chociaż już od wielu lat złamał pióro i przestał być czynny na niwie literackiej, to przecież ciągle zażywał dawnej sławy i powagi obywatelskiej, będąc ozdobą najlepszych salonów Galicji. Opromieniała go też ciągle sława dawnego napoleończyka, rosnąca nawet w miarę upływu lat, gdy zaczęło ubywać ludzi, którzy ongiś przemierzali Europę razem z „małym kapralem”.

W gorącym 1846 roku zyskał nowy liść wawrzynu do wieńca chwały wśród galicyjskich ziomków, złożył bowiem nadzwyczajnemu, pełnomocnemu komisarzowi cesarskiemu, Rudolfowi hr. Stadionowi, memoriał przedstawiający sytuację w prowincji i propozycję jej poprawy z pożytkiem dla Polaków i w zgodzie z interesem Austrii. Odpisy tego dokumentu krążyły od dworu do dworu, urabiając mu opinię statysty i polityka odznaczającego się umiarem i rozważą.

Miał też Fredro pewien udział w życiu publicznym, gdy zaczęła się pamiętna Wiosna Ludów, a z Wiednia do Lwowa dotarły wieści o rewolucyjnych nastrojach w stolicy cesarstwa, o zachwianiu się absolutystycznego porządku i o postulatach ustrojowo-konstytucyjnych. Znaczący poglądy polityczne hrabiego podkreślają jednak, że jego ówczesne wystąpienie „było tylko aktem obywatelskiego akcesu do programu konstytucyjnego, nie oznaczało jednak gotowości do łączenia się ze wszystkimi skrajnymi hasłami tej doby, niezgodnymi zresztą z całym charakterem ani ze sposobem myślenia Fredry”.

Polityka musiała nawet nieco nudzić autora *Zemsty* – w każdym razie nie wciągała go zbyt mocno – skoro jesienią 1848 roku zdecydował się wyjechać na wieś, do swoich dóbr pod Rudkami; było to to samo miasteczko, które wślawił udanym rymem, gdy właśnie tam wrócił z Paryża po kampanii napoleońskiej („Wyjechaliśmy razem z odmiennych pobudek, Napoleon na Elbę, ja prosto do Rudek”).

Miejscowość owa, a właściwie atmosfera w niej panująca i mentalność jej mieszkańców odegrały niewątpliwie zasadniczą rolę w tym niezbyt fortunnym epizodzie życia Fredry, który miał się potem stać przedmiotem drobiazgowego śledztwa. Warto więc za dziennikarzem, który tam był, powtórzyć krótką jej charakterystykę: „Rudki – pisał on – z dwoma lub trzema murowanymi domami wśród chałup wieś przypominających, ze słynnym z błota rynkiem, w pośrodku którego stał drewniany dom gościnny z pompatyczną nazwą ratusza, tak niezawodnie wyglądały, że tylko ślepa wiara w trafność urzędowej nomenklatury mogła im zjednać miano miasta”.

W takim to sztafażu rozegrały się wydarzenia, które przyniosły Fredrze kilka lat utrapień. Miejscowy mandatariusz – jak w tym czasie i na tym terenie zwano urzędnika sądowno policyjnego – Kajetan Krokoszyński bardzo się w tym czasie zaktywizował i z jego inicjatywy została utworzona w Rudkach, za przykładem Lwowa, rada narodowa. Według patentu cesarskiego mogła też tu działać gwardia narodowa, jako że miasteczko wychodziło nieco poza wymagany limit mieszkańców. Wiązało się z tym jednak sporo zachodów i nacisków, bo miejscowi – wśród których było sporo Żydów – ani myśleli gnać się na ochotnika w jej szeregi; podobnie chłopci. Zachęcić opornych do gwardii, a i radzie dodać blasku mógł najlepiej ktoś cieszący się autorytetem.

„Idąc za inspiracją pana mandatariusza – pisał o tym fakcie z życia hrabiego Bronisław Łoziński w *Szkicach z historii Galicji w XIX wieku* – rada narodowa wybrała bawiącego w Bańkowej Wiszni Aleksandra Fredrę na swojego prezesa i przez osobną deputację zaprosiła go do objęcia tej najwyższej w Rudkach godności obywatelskiej. Fredro, chyba dla przerwania nudów wiejskich, na które w danej chwili nie było lepszego antidotum, jak taka bliska obserwacja małomiasteczkowych figur w lansadach wielkiej polityki, przyjął ofiarowaną sobie godność, zjechał do Rudek i wygłosił w radzie narodowej mowę. Dostało się w tej mowie osobliwie znienawidzonej biurokracji”.

Jednakże „huczny karnawał polityczny” – jak niektórzy dziennikarze określali ten okres – skończył się wkrótce bombardowaniem armatnim Wiednia i Lwowa. Do głosu znów doszli ci, którzy – zdawało się – już przegrali raz na zawsze: zwolennicy absolutyzmu i utrzymania stosunków feudalnych, a zdecydowani wrogowie ustroju konstytucyjnego. Zaczęły się rozrachunki z tymi, którzy wyróżnili się w walce ze starym porządkiem.

Na tej „rozliczeniowej” fali wypłynęło sporo donosów do władz zwierzchnich, także na Krokoszyńskiego, który jako urzędnik mający uprawnienia do zamykania w areszcie dominialnym, naznaczający podatki i wyposażony w główny głos przy poborze rekruta, narobił sobie, co oczywiste, wielu zapiekłych wrogów. Naraził się też komendantowi posterunku żandarmerii, nic więc dziwnego, że komenda stanu wyjątkowego skierowała do Rudek (był to już koniec 1852 roku, a więc od wydarzeń 1848 roku minęły cztery lata!) specjalną komisję śledczą, która przesłuchiwała kilkudziesięciu świadków.

W efekcie jednak Krokoszyński – chyba także dlatego, że był nader gorąco oskarżany – zyskał sobie opinię wzorowego funkcjonariusza państwowego, energicznie wykonującego urzędowe polecenia, przysparzającego gorliwie podatków i rekrutów.

Interesując się wszakże również funkcjonowaniem tamtejszej rady narodowej, komisja wydożyła z kilku świadków zeznania na temat mowy inauguracyjnej Fredry, w której znalazło się zdanie o potrzebie wypędzenia „diabła w stosowanym kapeluszu”. Przenosiła ta, jak sądzili niektórzy, mogła się odnosić do samego cesarza. Sporządzając protokół w sprawie Krokoszyńskiego, komisja uformowała pismo stwierdzające, że to, co w Rudkach powiedział publicznie na forum rady narodowej hrabia Fredro, ma znamiona zbrodni stanu i podlega kompetencji lwowskiego sądu kryminalnego.

Na szczęście dla Fredry Galicję pożegnała już policyjno-sądowa administracja wyższego szczebla, która nie tak dawno jeszcze w podobnych sprawach doprowadzała do wymierzania kary głównej, zamienianej potem łaskawie przez cesarza na powolne konanie w lochach Spielbergu czy Kufsteinu. Zmieniła się też akurat w tym czasie obowiązująca dotąd inkwizycyjna procedura karna, niedająca przestępcom politycznym większych szans na obronę.

Jednakże trwały jeszcze represje policyjne; dopiero co stracono spiskowca Juliana Goslara, którego proces dał wątek tyłu nowym śledztwom w Galicji. Dlatego też, choć na sesji lwowskiego sądu kryminalnego większość składu sądującego wotowała za umorzeniem postępowania, wzięwszy za dobrą monetę oświadczenie hrabiego, że wcale nie miał na myśli Najjaśniejszego Pana, ale jego złych urzędników, ministerium sprawiedliwości w Wiedniu zajęło inne stanowisko. Zaalarmowane przez komendę krajową żandarmerii, gdzie trafiły akta Krokoszyńskiego połączone w jedną całość z „odpryskiem” Fredry, przesłało surowy wytyk lwowskiemu sądowi apelacyjnemu, polecając, by tamtejszy sąd kryminalny przeprowadził dalsze wnikliwe dochodzenie.

Tak więc 26 czerwca 1853 roku Fredro ponownie stanął przed obliczem rady Filousa,

sędziego ze starej szkoły Pressena i Wittmana, którzy wyróżniali się ogromną gorliwością w tropieniu spisków w latach trzydziestych i czterdziestych. Z jego ust zdenerwowany poeta, który kilka dni temu obchodził hucznie swe sześćdziesiąte urodziny, usłyszał następujący zarzut: „Ze śledztwa pokazało się, że przybywszy do rady narodowej i przemawiając do włościan rudeckich oraz mieszkańców tamtejszej okolicy, przedstawił im pan hrabia, iż przyszły dla nich pomyślne czasy, aby się od jarzma uwolnili i cesarza w jego stosowanym kapeluszu stąd wykorzenili i do diabła napędzili”. Fredro – jak odnotowano w protokole – „wpadł w niekłamane oburzenie i odpowiedział w uniesieniu”, że chyba byłby głupcem, gdyby do tych ludzi powiedział coś podobnego.

Sprawa jednak zaczynała wyglądać coraz groźniej; sytuację Fredry pogarszał fakt, że jego syn brał udział w kampanii węgierskiej, a potem uciekł za granicę. Nic nie pomagały wyjaśnienia hrabiego, że oskarżono go z zemsty, gdyż odmówił komuś drzewa, a z kimś innym się przemówił. Tłumaczył też, że jego sposób myślenia jest znany powszechnie, że jest jak najdalszy od jakichkolwiek rewolucyjnych haseł itd., itp. Mimo intensywnych starań odmówiono mu pozwolenia na wyjazd do wód, chociaż było to konieczne ze względu na zły stan zdrowia.

We wrześniu 1853 roku zjechał do Rudek radca Summer z całym personelem pomocniczym i aparatem biurowym. Znów, jak kiedyś w sprawie Krokoszyńskiego, po 8–10 godzin dziennie przesłuchiowano cały legion świadków. Bronisław Łoziński, który przeglądał akta tej komisji, tak pisał: „Summer wziął się do rzeczy po amatorsku i z tą ze wszystkich protokołów przezierającą tendencją, że chodzi mu o pochwylenie każdego wątku, z którego dałaby się wysnuć kryminalna interpretacja słów użytych w mowie Fredry. Ten gruby stos protokołów, w Rudkach spisanych, stanowi niejednokrotnie lekturę tak zabawną, że zapomina się o opalach biednego Fredry, a narzuca się natomiast myśl, że humor, który był formalnie niewolnikiem jego w utworach scenicznych, niewolnikiem gotowym na zawołanie do usług serdecznych, także i w tej przykrej dla swojego pana przeprawie figlami swoimi starał się załagodzić jej grozę. Na wszystkich w ogóle świadków padł przestrach wielki, bo nie wiedzieli, czy chodzi tylko o samego Fredrę lub o wszystkich, którzy kiedykolwiek zaszli byli do lokalu rady narodowej (...) toteż wszyscy świadkowie w zabawny sposób starali się ująć natarczywość Summera w dobywaniu zeznań stanowczych, a kiedy wreszcie komu z nich wymknęło się jakie pozytywne twierdzenie, zaraz potem każdy kręcił i odwoływał wszystko, zasłaniając się brakiem pamięci wobec upływu pięciu lat od chwili krytycznej. Summer zapisywał wszystko ze stereotypowym dodatkiem, że świadek w ten sposób chwiejnie zeznający okazał się podejrzanym”.

Wszystkie te wątpliwości nie przeszkodziły temu, że gdy 3 grudnia 1853 roku sprawa Fredry weszła na sesję sądu kryminalnego, „znakomitą większością głosów” zapadła uchwała, iż zostaje on „zakwalifikowanym do postępowania kryminalnego o zbrodnię zdrady stanu i że ma być osadzony w więzieniu na czas dalszego postępowania”.

Tak oto przed hrabią, który był konserwatystą z przekonania i któremu cesarz Austrii w istocie rzeczy bardzo się podobał, stanęło całkiem realne widmo 10–20 lat ciężkiego więzienia, bo takie właśnie było zagrożenie za zbrodnię, którą mu zarzucono. Jego sytuacja była nie najlepsza, gdyż na zasadnicze, ciągle ponawiane pytanie Summera: „Jakim sposobem mógłby pan hrabia udowodnić, że mowę swoją na zgromadzeniu rudeckiej rady narodowej wygłosił w wyłuszczonej przez siebie sensie?” – nie miał już nic do dodania do tego, co powiedział za pierwszym razem.

Uratowało go tylko to, że akurat zmieniły się konstelacje polityczne i zaczęły wiać inne wiatry. Stojący na czele rządu Galicji Agenor hr. Gołuchowski, dążąc do pogodzenia szlachty z cesarzem, wyciszył całą sprawę i w marcu 1854 roku sąd apelacyjny uznał jej przedawnienie.

Autor *Pana Jowialskiego* w ciągu tego przykrego dla siebie okresu, gdy musiał się

tłumaczyć z wypowiedzianego przed paru laty zdania – na pewno nieraz myślał z goryczą, że jedno z przysłów swego bohatera: „słówko wyleci wróblem, a wróci się wołem” – powinien był zamiast wstawiać do sztuki, wypisać wielkimi literami nad biurkiem...

## Kraszewski przed Sądem Rzeszy

NASZ WYBITNY AUTOR NIEZLICZONYCH powieści historycznych i obyczajowych cieszących się do dziś ogromną poczytnością stanął przed Sądem Rzeszy (Reichsgericht) w Lipsku 12 maja 1884 roku (wyrok zapadł 19 maja) jako przestępca stanu (Landesverräter) oskarżony o współpracę z wywiadem francuskim. Dziś wiadomo, że zarzut ten nie był bynajmniej wyssany z palca; sąd jednak nie potrafił mu udowodnić winy w sposób w pełni przekonujący. Mimo to zapadł wyrok skazujący pisarza na trzy i pół roku uwięzienia w twierdzy. Jak do tego doszło?

Z perspektywy czasu widać wyraźnie, że Kraszewski był człowiekiem nieostrożnym, by nie rzec lekkomyślnym. Znamcy jego spuścizny pisarskiej zwracają uwagę, że już w 1873 roku, w ogłoszonych na łamach „Gazety Polskiej” trzynastu *Listach z Niemiec* przytaczał fakty, które bardziej inteligentnemu czytelnikowi dawały wyraźnie do zrozumienia, że muszą być wzięte z nadsyłanych mu meldunków wywiadowczych. Były tam bowiem szczegóły o stanie armii niemieckiej i jej rozmieszczeniu.

„Ze zdziwieniem czytamy – pisał biograf Kraszewskiego, Wincenty Danek – techniczne szczegóły na temat uzbrojenia, fachowe dyskusje na temat rodzajów karabinów i artylerii. Nazwy broni, jak iglicówka pruska Dreysego, Chasseport, Werndl, Berdan, Albini, Sneider, Remington, pruski mauzer wymieniane są ze znawstwem fachowym. Podane są siły wojskowe małych państweczek niemieckich, opisany system twierdz i wydatki na flotę, dalej skład armii Rzeszy w pułkach i rodzajach broni, jej liczebność w stanie pokoju i mobilizacji. Wszystko to umieszczone zostało wśród ostrych, głęboko słusznych uwag na temat zmilitaryzowania ducha społeczeństwa pruskiego i ostrzeżeń o grożącym stamtąd niebezpieczeństwie”. Atakował też często Bismarcka po imieniu, nie szczędząc mu ostrych i niemiłych słów.

Tym bardziej nie powinien był rozdrażniać „żelaznego kanclerza” ani przytaczać szczegółów, które przecież mógł uzyskać tylko na drodze szpiegostwa, że mieszkał wówczas na terenie Rzeszy Niemieckiej, w Dreźnie, a miejscowa policja miała go ciągle na oku. Trzeba tu przypomnieć, że Kraszewski był związany ze stolicą Saksonii od 1863 roku, kiedy to musiał opuścić Warszawę na skutek nacisków wywieranych przez Wielopolskiego.

Wiele wówczas podróżował i przy kolejnym przekraczaniu granicy austriacko-pruskiej cesarsko-królewski żandarm odebrał mu w Mysłowicach paszport rosyjski jako przeterminowany, grożąc nadto odesłaniem do Królestwa Polskiego. Przy pomocy opłaconego przewodnika zdołał się wówczas przedostać przez granicę nielegalnie.

Po utracie paszportu rosyjskiego Kraszewski posługiwał się jakiś czas dokumentem francuskim, wydanym mu przez konsula tego kraju rezydującego w Dreźnie, nim w 1866 roku otrzymał obywatelstwo austriackie, a w dwa lata później – saskie. Wkrótce – jak wiadomo – nastąpiło zjednoczenie Niemiec i nasz pisarz stał się siłą rzeczy poddanym Rzeszy.

Siedemdziesięciodwuletni Kraszewski, którego prasa wszystkich trzech zaborów jednolicie określała dość stereotypowo mianem „nestora pisarzy polskich” i „tytana pracy”, został zatrzymany 13 czerwca 1883 roku pod zarzutem szpiegostwa przez policję w hotelu „Kaiserhof” w Berlinie i podobno dość brutalnie odstawiony do więzienia.

Nie musiało to być dla niego wielkim zaskoczeniem, bo jeszcze w połowie kwietnia, a więc przed wyjazdem na kurację do Pau (corocznie jeździł do różnych uzdrowisk, jako że cierpiał na żołądek i kamicę nerkową oraz chroniczny bronchit), policja przeprowadziła w jego

dreźnieńskiej willi dość gruntowną rewizję. Wiedział więc, że policja depcze mu po piętach w związku z denuncjacją Arnima Adlera, który po zerwaniu współpracy i zaprzestaniu wypłacania mu pieniędzy odgrażał się, że ujawni związki pisarza z wywiadem francuskim i przekaże władzom niemieckim kompromitujące go listy.

Gdyby spodziewał się procesu i wyroku skazującego, byłby niewątpliwie albo pozostał we Francji, albo też – co bardziej prawdopodobne – spróbował urządzić się w Szwajcarii. Odżałowałby swą okazałą, trzypiętrową willę w Dreźnie, zakupioną za fundusze z daru jubileuszowego, a nawet zbiory biblioteczne i archiwa, gdyby rząd położył rękę na jego majątku. Flora Heinitz, niemająca jeszcze czterdziestki wdowa opiekująca się tym wszystkim i jednocześnie wierna do końca przyjaciółka i opiekunka pisarza (niektórzy posądzali ich o związki bardziej intymne), mogłaby przecież do niego przyjechać.

Musiał więc być nader pewny siebie; współcześni widzieli w tym oznakę jego niewinności, dziś – gdy znane są już niektóre fakty – trzeba to ocenić jako lekkomyślne igranie z ogniem. Być może liczył, że wobec mizernih dowodów nikt nie śmie go tknąć, jako że był wówczas u szczytu sławy literackiej i dziennikarskiej. Jubileusz pięćdziesięciolecia twórczości, obchodzony manifestacyjnie w Krakowie parę lat wcześniej, wyniósł go niemal na piedestał i ułagodził nawet dotychczasowych wrogów.

Cieszył się w tych latach międzynarodowym uznaniem i autorytetem, wyrósł też w oczach rodaków ze wszystkich trzech zaborów na żywy symbol „sprawy narodowej”. Napisał już prawie wszystkie ze swych licznych dzieł literackich, naukowych, sprawozdań, korespondencji, utworów dramatycznych i przekładów. Jego dorobek do dziś jeszcze w całości nie jest zsumowany, a pełna bibliografia – jak piszą literaturoznawcy – „pozostanie na długi, bardzo długi czas pragnieniem i marzeniem, jeśli w ogóle nie utopią”.

W Europie dobrze znano twórczość tego giganta pióra, bo przekłady jego dzieł ukazywały się w wielu językach; współpracował też z licznymi czasopismami nie tylko z trzech zaborów, ale i niemieckimi, rosyjskimi, czeskimi, włoskimi, węgierskimi i francuskimi. Uczestniczył w międzynarodowych kongresach antropologicznych i etnograficznych, był członkiem honorowym Akademii Czeskiej i paru innych akademii zagranicznych, doktorem *honoris causa* Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, kawalerem paru najwyższych odznaczeń włoskich, łącznie z komandorią Orderu Corona d'Italia i jego Wielką Wstęgą, był też honorowym prezesem Międzynarodowego Stowarzyszenia Literackiego i Artystycznego. Wyrażana bywa opinia, że gdyby w tych latach przyznawano już Nagrodę Nobla, on właśnie otrzymałby ją niewątpliwie jako jeden z pierwszych.

Mając na uwadze taką sławę pisarza, łatwo można sobie wyobrazić konsternację opinii publicznej po jego zatrzymaniu i osadzeniu w cieszącym się złą sławą Moabicie. Rozpisały się o tym gazety, a „sprawa Kraszewskiego” stała się przedmiotem rozmaitych spekulacji. Prawie cała prasa niemiecka widziała w nim konspiratora, gazety zaś warszawskie, krakowskie i lwowskie – z nielicznymi wyjątkami – oburzały się na bezprawne zatrzymanie, oparte przypuszczalnie na jakimś przykrym nieporozumieniu, które powinno zostać czym prędzej wyjaśnione.

Sam Kraszewski nie był zadowolony z rozgłosu, jakiego nabrało jego aresztowanie. Natychmiast też, gdy ze względu na bardzo zły stan zdrowia został zwolniony z Moabitu za kaucją wynoszącą 30 000 marek, wysłał list do „Kuriera Warszawskiego”. Pisał w nim m.in.: „Potrzebuję za pośrednictwem pisma waszego zgłosić się do dziennikarstwa w ogóle z prośbą, aby jak najmniej mną i tym, co się mnie tyczy, zajmowało się. W wielu położeniach zbytnie

zajmowanie się sprawą, przy najzyczliwszych chęciach, więcej jej zaszkodzi, niż pomaga, nadaje ważność zbytnią i zmusza do tym większej surowości”.

Ten jego apel widocznie wzięto pod uwagę, bo w poważnej prasie warszawskiej niewiele pisano o sprawie Kraszewskiego przed procesem. W lakonicznych doniesieniach i oszczędnych komentarzach widać wyraźnie konsternację i niepewność, jaki ciąg dalszy będzie mieć ta zagadkowa afery. Zarzutu szpiegostwa nikt nie brał poważnie; przypisywano raczej władzom pruskim chęć zdyskredytowania wielkiego pisarza polskiego, a przez to całego narodu, że ciągle konspiruje i stanowi zaczyn niepokojów w Europie.

Poszczególne czasopisma prześcigały się natomiast w stwarzaniu pozorów, że tylko one – z racji stałej współpracy z czołowym pisarzem – w sposób odpowiedzialny i obiektywny pilnują jego interesów. „Przegląd Tygodniowy” gromił na przykład nader kąśliwie „Kłosa” za to, iż redakcja wtrąca się w bieg sprawy i nieproszona usiłuje przez szwagra wydawcy, którym był Aleksander Kraushar, znaleźć dla Kraszewskiego innego adwokata niż on sam sobie upatrzył.

Była to zawiść paskudna, gdyż dalszy bieg sprawy dowiódł niezbicie, że starania Aleksandra Kraushara, błyskotliwego adwokata i historyka w jednej osobie, który specjalnie pojechał do Berlina, by zapewnić postawionemu w stan oskarżenia Kraszewskiemu kompetentnego i zręcznego obrońcę, mogły przynieść znacznie lepszy skutek niż pozostawienie sprawy w rękach dra Brunona Saula, któremu potem nie bez racji – ale już po szkodzie – wytykano nieudolność w prowadzeniu linii obrony.

Tygodnik „Kłosa” nie zasługiwał na złe słowo, tym bardziej iż to sam Kraszewski przysłał z Moabitu do redakcji dość rozpaczliwy list. Skarżył się w nim, że czuje się opuszczony, że brak mu pomocy i porady, „których mu wybrany obrońca dr Saul niedostatecznie zdaje się udzielać”. Kraushar po rozpoznaniu sytuacji na miejscu zlecił obronę mecenasowi Goldschmidtowi, bardzo dobrze ocenianemu przez miejscowych Polaków, którą to decyzję pisarz zaakceptował. Wkrótce jednak Goldschmidt otrzymał urzędowe pismo od sędziego śledczego Brausewettera z informacją, iż Kraszewski wycofał udzielony mu mandat i zażądał, by jego obrońcą był tylko Saul.

To zamieszanie wokół obrony jest nader dziwne, bo Saul, który był znany tylko ze zręcznej obrony głośnego ówczesnie truciciela Stücknera i kilku niebieskich ptaszków, rekomendować miał Kraszewskiemu nadzorca więzienny czy też sędziego śledczy. Pisarz być może mniemał, że spełnienie tej sugestii będzie dobrze widziane i przyniesie mu jakieś bliżej nieokreślone profity, faktycznie zaś zapłacił ogromną kwotę 16 000 marek adwokatowi przeciętnemu, wyraźnie biernemu w newralgicznych punktach procesu. Może władzom chodziło właśnie o to, by bronił go taki „przeciętniak”?

Po zwolnieniu z Moabitu Kraszewski przebywał pod dozorem policji w swojej willi przy Nordstrasse 31 na peryferiach Drezna. Tu też otrzymał 19 lutego 1884 roku akt oskarżenia; opublikowała go potem w przededniu procesu prasa niemiecka oraz niektóre gazety polskie. Zarzucano mu w nim, że przez całe lata siedemdziesiąte przekazywał tajne informacje Francuzom. Mieszkając w Dreźnie – twierdził prokurator – „utrzymywał nader żywą i urozmaiconą korespondencję. W szczególności zwracał także uwagę i na sprawy wojskowe. Aby przyjść w posiadanie pism treści militarnej, utrzymywał rozmaitych płatnych korespondentów. W Berlinie miał ich aż trzech z rzędu. Kiedy pierwszy z nich po mniej więcej jednorocznej czynności okazał się nieodpowiednim, wszedł z Kraszewskim w stosunek literat Adler, mieszkający podówczas w Berlinie. Adler miał znowu pod sobą agenta w osobie współoskarżonego Hentscha (...). Otrzymywane od Hentscha komunikaty doręczał Adler

Kraszewskiemu. W r. 1879 poróżnił się Adler, który wówczas z Berlina przesiedlił się był do Drezna, z Kraszewskim, po czym dnia 1 października 1878 r. przeniósł się do Wiednia. Teraz wszedł Hentsch w bezpośredni stosunek z Kraszewskim, od którego prócz nadzwyczajnych honorariów za osobne roboty pobierał miesięcznie 450 marek”.

Kapitan Hentsch, przeniesiony na emeryturę w 1872 roku, był publicystą wojskowym. Napisał ongiś podręcznik o stosowaniu broni palnej w armii pruskiej i jako znawca techniki wojskowej stał się cennym nabytkiem. Napisał na jego zamówienie za tysiąc marek *Marsz armii niemieckiej ku granicy zachodniej*; opracowanie to zawierało logistyczne dane o składzie i transporcie armii w przypadku jej zmobilizowania i postawienia w stan gotowości bojowej przeciwko zachodniemu sąsiadowi. Dokument ten, a także *Instrukcja dla telefonów polowych*, również przekazana wywiadowi francuskiemu za pośrednictwem Bronisława Zaleskiego, sekretarza Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu, stały się główną podstawą sformułowania zarzutów z § 92 poz. 1 kodeksu karnego.

Brzmiał on, jak następuje: „Kto rozmyślnie tajemnic stanu lub planów albo takich dokumentów, aktów lub wiadomości, o których wie, że utrzymanie ich w tajemnicy wobec obcego rządu jest konieczne dla dobra Związku Północno-Niemieckiego lub dla jednego z państw związkowych, rządowi owemu udziela albo je publicznie ogłasza – podlega karze ciężkiego więzienia nie poniżej 2 lat. Jeżeli zachodzą okoliczności łagodzące, karany ma być zamknięciem w twierdzy nie mniej niż na 6 miesięcy”.

Proces Kraszewskiego i Hentscha wyznaczono na 12 maja 1884 roku o godz. 9.30. Odbywał się w gmachu Trybunału Krajowego Saskiego, gdyż Reichsgericht nie posiadał sali odpowiednich rozmiarów, a miał to być według dyrektyw Bismarcka niejako proces pokazowy. Jako też zebrało się mnóstwo publiczności; wśród blisko dwustu osób, które wpuszczono na salę (chętnych było około trzech tysięcy), przeważali prawnicy, wojskowi i oczywiście dziennikarze z wielu krajów; w sumie doliczono się 28 sprawozdawców sądowych.

Z Warszawy przyjechał specjalnie Feliks Fryze, naczelnny „Kuriera Porannego”, łowca sensacji, który starał się, by jego dziennik dorównywał najpoczytniejszym rewolwerówkom Paryża i Londynu. Stawił się też Grzegorz Smólski, wiedeński korespondent kilku gazet polskich (m.in. „Kuriera Warszawskiego”) i obcych. Miarą zainteresowania procesem było to, że w czasie jego trwania popołudniówki wydawały dodatki nadzwyczajne.

Na salę, jako współpracownik „Przeglądu Tygodniowego”, dostał się też Ludwik Krzywicki, który już czas jakiś bawił w Lipsku, niby to studiując filozofię, faktycznie zaś, by zorganizować druk *Kapitału* w języku polskim. On jednakże długo nie wytrzymał. Tak to opisał w swych *Wspomnieniach*: „Ten starzec przygarbiony, niewielkiego wzrostu, od starości jeszcze niższy, wyraz jego twarzy zrezygnowany, postaci sędziów pełne poczucia swej siły, drwiące uśmiechy publiczności niemieckiej – wszystko to stwarzało dla mnie atmosferę tak ciężką, tak przygnębiającą, iż wołałem się rzec widoku rozpraw”.

Ogromne wrażenie robił sam komplet sędziów: trzynastu radców spośród połączonych departamentów karnych drugiego i trzeciego Najwyższego Trybunału Karnego Związkowego ubranych w czerwone, iście katowskie togi oraz birety. Przewodniczył prezes Senatu Drenkmann, a oskarżali nadprokurator Rzeszy (Oberreichsanwalt) dr baron von Seckendorf i pierwszy wiceprokurator (Staatsanwalt) Treplin.

Oskarżony pisarz, którego głuchy kaszel i świszczący, astmatyczny oddech niósł się od ławy oskarżonych po całej sali, wyglądał – jak zaświadczały dziennikarskie sprawozdania – niezwykle tragicznie. Źle znosił upał sięgający tego dnia 30 stopni i zaduch panujący w tym źle



wietrzonym pomieszczeniu sądowym, zezwolono mu więc mówić na siedząco.

Gdy skończono przesłuchanie kilkunastu świadków oskarżenia, widać było wyraźnie, że dowody zebrane przeciwko pisarzowi są dość wątle i więcej pada ogólników, epitetów i mglistych przypuszczeń niż konkretów. Sensację wzbudziła zwłaszcza opinia porucznika z berlińskiego pułku kolejowego, Friedricha, który jako biegły oświadczył, że elaborat *Marsz armii niemieckiej ku granicy zachodniej* opracowany przez Hentscha, a następnie za pośrednictwem Kraszewskiego przesłany do Paryża, nie zawiera faktów stanowiących tajemnicę wojskową.

Z kolei drugi dokument, też przekazany do Francji – instrukcja dotycząca depeš i obsługi telegrafów – był opublikowany i nie stanowił wielkiej gratki dla wywiadu. Dlatego oskarżenie „o wydanie tajemnicy wojskowej” stawało się coraz bardziej problematyczne. Brakowało najbardziej istotnych znamion przestępstwa z § 92 kodeksu karnego: tajemnicy, świadomości jej istnienia, wreszcie wydania jej obcemu rządowi.

Wszystko więc mogło wskazywać, że sąd – czuły niewątpliwie na to, by nie być posądzony o uleganie naciskom politycznym – może wydać wyrok zupełnie nie po myśli Bismarcka, któremu zdawano codziennie telegraficzny raport z przebiegu procesu. Policja drezdeńska – od lat mająca przybysza z Polski pod tajną obserwacją – wystawiła Kraszewskiemu opinię obywatela lojalnego, o poglądach dalekich od rewolucyjnych. Były co prawda w zakwestionowanej podczas rewizji w mieszkaniu pisarza korespondencji liczne ustępy świadczące o jego zainteresowaniach uzbrojeniem i dyslokacją wojsk, ale oskarżony tłumaczył się, że uzyskane wiadomości z tego zakresu przekazywał redakcjom fachowych czasopism wojskowych, z którymi współpracował, ale nigdy obcym rządowi.

Podczas drugiego dnia procesu zaistniał fakt, o którym gazety pisały potem: „Bomba na sali sądowej!” Oto wstał przewodniczący sądu Drenkmann i ogłosił ni to wniosek, ni to postanowienie: „W tej chwili otrzymałem ważne pismo od księcia kanclerza Bismarcka, dotyczące procesu i o niezwłoczne odczytanie tego listu upraszam” (faktycznie pismo to złożył poprzedniego dnia prokurator z wnioskiem o odczytanie go na rozprawie).

Publiczność – jak donosili potem kurierowi sprawozdawcy – z zapartym tchem słuchała wolno cedzącego słowa członka kompletu, który jednocześnie, jak to się wówczas mawiało, „trzymał pióro”, czyli protokołował przebieg rozprawy: „Ekscelencjo! W sprawie Kraszewskiego mam zaszczyt udzielić następujących wyjaśnień. W Paryżu istnieje stowarzyszenie pod nazwą Towarzystwo Żołnierzy Polskich, liczące trzydziestu członków. Towarzystwo ma na celu zbieranie danych statystycznych co do armii europejskich, tudzież utrzymywanie związku między oficerami tychże. Stowarzyszenie to gotowe jest do uczestniczenia we wszystkich europejskich wypadkach wojennych w interesie swojej idei (...). Wszyscy członkowie stowarzyszenia używani byli przez szefa Biura Statystycznego we francuskim Ministerium Wojny, pułkownika Samuela, celem nawiązania stosunków między oficerami armii (...). Głównym ogniskiem tych robót w Niemczech było Drezno. Kraszewski został agentem na ziemi niemieckiej. Podczas pobytu swego w Pau Kraszewski obcował z bawiącym tamże pułkownikiem Samuelem, który przedstawił go Ferry’emu. Tenże przyrzekł Kraszewskiemu order francuski (...).”

Na sali – jak odnotował „Kurier Warszawski” – zapanowało ogólne osłupienie. „Kraszewski – czytamy w sprawozdaniu sądowym tamże – zrywa się z miejsca i w najwyższym wzburzeniu woła na cały głos: – To jest fałsz absolutny! Nie znam żadnego Samuela! (...) To oburzające! Wszystko jest czystym zmyśleniem! Mogę złożyć przysięgę na to, iż wszystko, co

się tyczy mojej osoby, jest fałszem! Wymówiwszy te słowa, Kraszewski pada na krzesło”.

Znany adwokat warszawski Stanisław Zalewski ogłosił natychmiast, bo jeszcze w 1884 roku, broszurę zatytułowaną *Kilka uwag prawnika o procesie Kraszewskiego*. W broszurze tej zgłosił mnóstwo krytycznych uwag pod adresem mecenasa Brunona Saula. „Jaka była obrona, taki i wyrok” – napisał z właściwą sobie zwięzłą złośliwością. Najwięcej miał pretensji o to, że obrońca nie oponował przeciwko odczytaniu w sądzie listu Bismarcka, co bardzo zaszkodziło jego klientowi. List ten był adresowany do ministra wojny, generała Bronsarta von Schellendorf, a niefortunny obrońca nie wypowiedział się też wcale na temat znaczenia prawnego enuncjacji „żelaznego kanclerza”, który do Kraszewskiego miał zadawnione anse za to, iż ów w ostrych słowach oceniał jego politykę wobec Polaków, a w tej materii adwokat pisarza powinien mieć szczególnie wiele do powiedzenia. „Tym bardziej się oponować należało – zżymał się Zalewski – im większe było mieszanie się władz, które na boku zostać były powinny, pozostawiając wolny bieg sprawiedliwości, im widoczniejszy był nacisk z góry na wolność zdania już i tak źle uprzedzonych sędziów, im wyższe było stanowisko piszącego”. Wytknął też słusznie prezesowi Drenkmannowi, iż ów odczytał elaborat kanclerza, nie spytawszy przedtem o zdanie obrony, mimo iż § 244 prawa procesowego do tego go zobowiązywał.

Broszura Zalewskiego świadczy, że jej autor cieszył się w Warszawie opinią świetnego jurysty i doskonałego znawcy warsztatu obrończego. Można też w jej świetle nie bez podstaw kwestionować kompetencje Saula i przypuszczać, że inny adwokat na jego miejscu poradziłby sobie znacznie lepiej; Kraszewski jednakże – przypomnijmy – zlekceważył taką możliwość.

W piątym dniu procesu prokurator Treppin wygłosił mowę oskarżycielską; w miarę biegu sprawy zredukował wprawdzie niektóre zarzuty przeciwko pisarzowi, niemniej w konkluzji żądał kary pięciu lat ciężkiego więzienia i pozbawienia praw obywatelskich na taki sam okres. Przez półtorej godziny roztrząsał powiązania i różne działania Kraszewskiego, w wielu przypadkach posługując się metodą zaprezentowaną w liście Bismarcka, który to elaborat już wcześniej, bo następnego dnia po odczytaniu, został zdezakwuwany przez agencję Havas jako mieszanina kłamstw i nieścistości.

„Jak się dowiedzieliśmy – powiedział m.in. Treppin – całe towarzystwo polskie ofiarowało Francji swe usługi na rzecz akcji szpiegowskiej. Dla mnie list księcia Bismarcka ma znaczenie wielce wymowne. Żyjemy w ciągłym niebezpieczeństwie, otaczani przez nieprzyjaciół, musimy się strzec przed nimi z całą energią i czujnością. Jednostki dopuszczające się zdrady i uczestnictwa w systemie szkodenia interesom naszego państwa muszą być przykładnie unieszkodliwione”.

„Kto Kraszewskiego – grzmiał dalej dramatycznie – uważa za męża cichego, pracom literackim i poetycznej kontemplacji tylko oddanego, ten go nie zna, ten nie zna w ogóle usposobienia społeczności, do której ten literat należy. W społeczności owej dziecko w kolebce chłonie już w duszę mętne wyobrażenia, które nie pozwalają mu bezinteresownie na świat patrzeć. Gdyby Kraszewski inaczej był usposobionym, nie urządzano by dlań jubileuszu. Nienawidzi on Niemiec, to nienawiść go pożera!”

Z kolei Seckendorf w swojej replice wygłoszonej po mowie obrończej uznał za konieczne ustosunkować się chociaż pośrednio do głosów, które podważały zaufanie do kanclerskiego pisma. „Podniesiono zarzut – stwierdził suchym, apodyktycznym tonem w swym kilkunastominutowym wystąpieniu – że list ten nie może być uważany za dowód rzeczowy. Na to mogę tylko przypomnieć, iż pochodzi od wielkiego człowieka stojącego na straży Rzeszy Niemieckiej i trwałego pokoju w Europie. Prawdziwość treści tego pisma nie może być z tej racji

podawana w wątpliwość”.

Słowa te, po których nastąpiło bardzo mocne podkreślenie, że dla zdrajcy, który nadużył praw gościnnego kraju, nie powinno być okoliczności łagodzących, zaciążyły niewątpliwie nad sędziowską naradą.

Dość zrzęcznie z punktu widzenia kampanii antypolskiej prowadzonej przez Bismarcka zdyskontowano sprawę Kraszewskiego w motywach wyroku, czytanych przez blisko półtorej godziny. Nawet okoliczności łagodzące nabrały tu dość podejrzanego barwy. „Ojczyzną Kraszewskiego – zaakcentował Drenkmann – nie jest Polska, ale Niemcy. Ponieważ jednak Kraszewski wierzył, że nie Niemcy, ale Polska jest jego ojczyzną, musiano mu to wziąć za okoliczność łagodzącą. Oskarżony był właśnie przekonany, że jako Polak działa w sposób zasługujący na pochwałę. To błędne przekonanie wzięto pod uwagę na jego korzyść, ponieważ takie motywy działania nie mają nic wspólnego z niskimi pobudkami Hentscha”. Warto wspomnieć w tym miejscu, że ów kapitan został skazany na 9 lat ciężkiego więzienia i utratę wszelkich praw.

Wyrok skazujący na trzy i pół roku twierdzy, w motywach do którego podkreślono, iż oskarżony nie działał z niskich pobudek (nigdy nie oskarżano go o branie pieniędzy za informacje), został uznany za *justizmord*. Tak określił werdykt sądu lipskiego, rozplakatowany na mieście natychmiast po ogłoszeniu, Aleksander Rembowski w artykule opatrzonym wszystko mówiącym tytułem: *Kiedy zionący na nas nienawiścią...* – który za „Gazetą Polską” przedrukowało następnie wiele czasopism. Uznał, że został on oparty jedynie na podejrzeniach.

„Wyrok Kraszewskiemu ogłoszony – pisał ów znany prawnik i historyk – może być też podług przepisów procedury obowiązującej wyrokiem ostatniej instancji, na sędziów spadną nie tylko awanse i ordery za zjadłość przybraną w pozory sprawiedliwości i za służalstwo rządowi, ale spotka ich również wyrok własnego społeczeństwa, które pod wpływem namiętnego zaślepienia może będzie wtórowało przez czas jakiś aktowi zemsty narodowej, podyktowanemu przez mściwego kanclerza, ale w końcu przyjdzie niewątpliwie do przekonania, że wyrok na Kraszewskiego był aktem hańby dla narodu niemieckiego”.

Końcowy passus swej publikacji Rembowski poświęcił pogłoskom, że Kraszewski zamierza prosić o łaskę; z inicjatywą taką miało się też nosić Koło Polskie w Berlinie. „Nie myślimy z tego kroku – pisał – czynić zarzutów nieszczęśliwemu starcowi, gdyby się ten krok miał sprawdzić; pojmujemy bowiem dobrze, że w tym wieku, przy takim stanie zdrowia inaczej się znosi olbrzymie gromy niż w normalnych warunkach. Co się nas jednak tyczy, to wyrok skazujący Kraszewskiego uważać będziemy tylko za jeden moment polityki, kierowanej zasadą *pro iustitia stat ensis*, i uważalibyśmy za niezmiernie upokarzające odwoływanie się do – takiej łaski”.

Jeśli Kraszewski istotnie zamierzał prosić o łaskę (gazety niemieckie wyraźnie sugerowały, że by mu jej udzielono), to podobne głosy musiały go zniechęcić do podjęcia takiej inicjatywy. I tak mógł przeczytać wiele gorzkich słów (m.in. Elizy Orzeszkowej) za swe lapidarne „ostatnie słowo”, w którym jedynie zadeklarował „zupełne zaufanie do sprawiedliwości niemieckiej”.

Jak widać chociażby z przytoczonej tu wypowiedzi Rembowskiego, wyraźnie antypolskie akcenty w mowie Treplina i w ciągu całego procesu bardzo wzburzały naszą opinię i nastawiały ją nieufnie do wyroku, który oceniano jako bezpodstawny. Bolesław Prus w kronice tygodniowej „proces Kraszewskiego z Niemcami, bo inaczej tego nazwać nie można” określił jako „jedną z najdziwniejszych spraw, jakie widziały nasze czasy”.

Oburzał się zwłaszcza na te gazety, które potępiały Kraszewskiego za to, iż ów ściągnął złą sławę na cały ogół, „który nic wspólnego z tym zajściem nie miał”. „Tylko wariaci – replikował Prus – mogą całe narody oskarżać o zdradzieckie programy, a inni wariaci przeciw temu protestować”. „Był on zawsze – kontynuował swe wywody w kolejnej kronice – pisarzem genialnej twórczości, jedną z podpór naszej literatury; brakło mu jeszcze męczeńskiego wieńca i płaszcza z obelg własnych rodaków. Otóż doczekał się obecnie i jednego, i drugiego, przynajmniej w tych kołach, które z patriotycznego strachu przed najemną prasą niemiecką nie spostrzegły tego nawet, że sąd lipski w sprawie Kraszewskiego wydał wyrok – ale nie na niego”.

Przedstawione podczas procesu dowody nikogo u nas nie przekonały o winie Kraszewskiego, najwyżej obarczano go zarzutem nierozwagi i lekkomyślności w stosunkach z różnymi osobami, które nadużyły jego dobroci i łatwowierności. Myśl tę najlepiej wyraził Stanisław Rzętkowski w „Tygodniku Ilustrowanym”: „Kto zna jego charakter – czytamy tam – kto pomyśli o jego olbrzymiej pracy, niepozwalającej mu wchodzić w szczegóły spraw ubocznych (a taką było przesyłanie niezręcznych korespondencji), kto wie, ile Kraszewski ludziom czynił dobrego, jak skwapliwie załatwiał najdrobniejsze żądania osób sobie nieznanych, z jaką nieograniczoną ufnością przyjmował wszelkie zapewnienia, jak swobodnie dawał się wyprowadzać w pole przebiegłości bliźnich – ten pewnie uwierzy, że i w tej oplakanej sprawie cała wina jego ciąży po stronie serca”.

„Igrałem z ogniem, nie wiedząc o tym” – te słowa Kraszewskiego wypowiedziane w sądzie stanowiły dla wielu klucz do całej tej afery. Czy tak było rzeczywiście?

Były podczas procesu chwile, gdy związki pisarza z wywiadem wojskowym stawały się dość jasno widoczne. W liście do Adlera, którego autentyczności nie zaprzeczył, zwracał się o określenie „siły produkcyjnej fabryk naboju”, w liście zaś do współoskarżonego Hentscha pytał m.in., jak przedstawia się uzbrojenie formacji inżynierów, jakie są konstrukcje i walory pistoletów, w które wyposażono ostatnio pruskich oficerów, jak „wypadły próby karabinów repetujących w Szpandawie” i o inne szczegóły tego typu.

Mimo więc głośnej obrony pisarza przez część gazet, opieranej głównie na przeświadczeniu, że tak szacowny człowiek nie mógł być szpiegiem, bo jest to zajęcie niegodne szlachcica, inni przyjęli ów fakt za udowodniony i Kraszewskiego potępili; czasem czynili to werbalnie, czasem zaś swój ostracyzm przejawiali, wstrzymując się po prostu od popierania go. Ci, którzy bronili Kraszewskiego, powoływali się na jego wypowiedzi, w których głosił bardzo krytyczne sądy o Francji i przestrzegał przed wiązaniem z tym krajem jakichś nadziei politycznych. Wskazywali też, że potępiał on wielokrotnie wszelkie działania konspiracyjne i był wielkim zwolennikiem pracy organicznej.

Sam Kraszewski musiał być świadomy swojej winy i cały czas – zarówno przed procesem, jak i w czasie jego trwania i po uwięzieniu – drżał, by jego sprawa nie zatoczyła szerszych kręgów, by nie wyciągano już więcej dowodów, by skończył się już ów koszmar, przed którym nie było ucieczki. W jednym z listów, napisanym tuż po procesie, załamany skazaniec tak podsumował całą sprawę: „Żaden na świecie obrońca nic by tu nie pomógł, to darmo”.

Oskarżając Kraszewskiego o szpiegostwo, prokuratura niemiecka oparła się głównie na listach, które przekazał jej denuncjator Arnim Adler, kreatura dość dwuznaczna, bo podobno był agent policji berlińskiej, który wkrótce znikł bez śladu. Wprawdzie policja przeszukała następnie co najmniej dwukrotnie mieszkanie podejrzanego, ale bez większego skutku. Można byłoby więc przypuszczać, że Kraszewski zniszczył wcześniej wszelkie kompromitujące go materiały lub ich po prostu nie przechowywał jako świadomy rzeczy agent wywiadu.

Jednakże badacze jego ogromnej korespondencji znajdującej się obecnie w dużej części w Bibliotece UJ ze zdziwieniem odnajdowali w niej liczne dowody zatrudnień wywiadowczych

pisarza, mimo że ów wielokrotnie przestrzegał adresatów, by niszczyli przesyłane sobie listy; sam zresztą miał czynić podobnie z otrzymywanymi materiałami po ich wykorzystaniu. Jeżeli liczył na to, że w tych hałdach papierzysk, które trzymał w domu, zagubi się każdy policjant, nawet gdyby znał język polski – to się nie przeliczył. Wincenty Danek – najlepszy bezsprzecznie znawca spuścizny Kraszewskiego – podejrzewał go raczej o nieostrożność i niestaranność, i chyba miał rację.

Na podstawie listów Kraszewskiego Wincenty Danek potwierdził opinię, że to Bronisław Zaleski (nieżyjący już w czasie procesu), niegdyś żołnierz w karnych batalionach na Kaukazie, „skontaktował pisarza z kierownictwem francuskiego wywiadu wojskowego i politycznego, który od czasu klęski w wojnie z Prusami w r. 1870 bacznie śledził militarny wzrost potęgi Rzeszy Niemieckiej”. Autor ów twierdzi, że Kraszewski „bardzo sprawnie zorganizował siatkę agentów, od których otrzymywał materiały wywiadowcze, porządkował je, często tłumaczył i wysyłał do Paryża”.

Fakt współpracy Kraszewskiego z wywiadem francuskim został potwierdzony również u źródła, w samym Paryżu. W 1961 roku „Nowa Kultura” opublikowała artykuł Jerzego W. Borejszy (zamieszczony następnie w książce *Piękny wiek XIX*), w którym autor ów informował o wynikach swoich poszukiwań w prefekturze policji paryskiej. Przejrzał mianowicie dossier oznaczone sygnaturą B/a 1133, zawierające materiały dotyczące Kraszewskiego. Wynika z nich jednoznacznie, że pozostawał on w latach siedemdziesiątych w służbie wywiadu francuskiego; są tam szczegóły o trybie przesyłania informacji.

Kraszewski pracował bezinteresownie; pośredniczył tylko w wypłacaniu sum swoim współpracownikom. Jak wynika z policyjnych danych, w 1870 roku „prezydent Francji miał go odznaczyć Krzyżem Komandorskim Legii Honorowej, ale Kraszewski dał do zrozumienia Marszałkowi, że nie mógłby przyjąć tego wyróżnienia, nie obudziwszy nieufności rządu niemieckiego; w nagrodę za jego usługi Prezydent Republiki ofiarował mu swoje popiersie i dzieła sztuki z manufaktury w Sèvres”.

W końcu lat siedemdziesiątych Kraszewski „nie tylko czuł się zmęczony, lecz nie podzielał całkowicie poglądów praktykowanych przez Ministerstwo i skorzystał z pretekstu zmiany ministra, aby odmówić dalszego udzielania wiadomości”. Wycofanie ułatwiał fakt, że w tym czasie zmarł Zaleski, na którego ręce przesyłał informacje, a wkrótce potem Francuz, który przekazywał je dalej. Z decyzją pisarza nie pogodził się jednak opłacany przez niego Arnim Adler, ów ciemny typ, który współpracował podobno i z wywiadem rosyjskim, a może jeszcze z tajnymi służbami innych państw. Gdy pisarz przestał płacić, zadenuncjował go w Berlinie. Dla Bismarcka był to istny dar losu – skompromitować wrogiemu sobie pisarza, a wraz z nim wszystkich „polskich konspiratorów”.

Po ostatniej wojnie żaden z piszących o aferze Kraszewskiego nie miał mu już za złe jego „szpiegowskich zatrudnień”. Z czasem zwietrzały namiętności, inne jest też dziś spojrzenie na tę profesję, zwłaszcza jeśli ktoś uprawia ją bezinteresownie i nie szkodzi własnemu krajowi. „As wywiadu” i „nasz człowiek” na obcym terenie, zbierający ważne informacje, to niejednokrotnie cichy bohater wzbudzający podziw i szacunek.

„Usiłowanie oceny uczestnictwa w akcji wywiadu z punktu widzenia norm honorowych wobec tego rodzaju wroga, co Bismarck i wykonawcy jego polityki, uznać trzeba za wręcz niedopuszczalne” – stwierdził zdecydowanie Wincenty Danek. Jerzy W. Borejsza z kolei – podkreślając, że pisarz walczył z niemieckim militarystką, a nie narodem saskim, którego był współobywatel i wśród którego cieszył się dużą popularnością – zwracał uwagę nie tyle na

sam fakt szpiegostwa, ile na to, że przekazywane informacje nie służyły jakoby szeroko pojętej „sprawie polskiej”.

„Tragedia wielkiego pisarza – czytamy w artykule J. Borejszy – polegała na tym, iż pomagał rządowi trzeciej Republiki najmniej przychylniej Polakom, służył pośrednio sprawie reakcjonisty i polakożercy Thiersa. Kraszewski pełen jeszcze dawnych, a tak typowych dla Polaków złudzeń profrancuskich, nie zauważał, jak bardzo obojętna była ministrom paryskim sprawa wolności jego ojczyzny, jak bardzo daleki był rządowy świat polityczny Europy po 1871 roku od kierowania się platonicznymi uczuciami sympatii dla rozdartej Polski. Te same władze, które z honorami podejmowały go w 1879 roku we Francji, wydawały surowe restrykcje ograniczające do minimum swobodę polskich emigrantów”.

Jeżeli się weźmie pod uwagę wypowiedzi jednego z główniejszych ojców naszej powieści historycznej, trudno przypuszczać, by Kraszewski miał jakieś „złudzenia profrancuskie”. Jeżeli podjął się tak niebezpiecznej i dwuznacznej roli, musiał kalkulować z zimną logiką polityka – bohatera swych licznych utworów polityczno-wojennych, dla którego wrogowie naszych wrogów na ogół bywali sojusznikami, niezależnie od różnych animozji oraz kwestii o drugorzędnym znaczeniu. Pomoc w imię osłabienia nieprzyjaciela zagrażającego najbardziej żywotnym interesom własnego narodu – oto jedyny chyba klucz do zrozumienia motywów podjęcia przez Kraszewskiego współpracy z wywiadem francuskim.

Natychmiast po zakończeniu procesu, gdy tylko Kraszewski, ciężko wspierając się na swym obrońcy, opuszczał salę sądową – na polecenie prokuratora zatrzymał go komisarz. Przez najbliższy tydzień skazaniec oczekiwał w magdeburskim więzieniu na dalsze decyzje co do swego losu. Obrońca wystąpił bowiem z wnioskiem, by ze względu na stan zdrowia mógł odcierpieć karę w twierdzy Königstein lub w innej miejscowości o lepszym klimacie niż Magdeburg. Ministerstwo Sprawiedliwości odniosło się jednak do tej prośby negatywnie.

Po piętnastu miesiącach pobytu w Magdeburgu mógł się zdobyć już tylko na rozpacz. W swych zapiskach więziennych notował: „...powoli siły uchodzą, męstwo słabnie, ale jakaś odrętwiałość spokojnie je zastępuje. Tępieję (...). W siedemdziesiątym trzecim roku życia, choremu, mimowolnie narzuca się pytanie: Czy ja to przeżyję? Czy odetchnę jeszcze na swobodzie? Nic smutniejszego nad koniec w tej klatce zimnej, bez ludzi, bez pożegnania, bez uczucia się w pełni praw człowieka, że jest swobodnym”.

Niemieckie władze, jak się wydaje, nie chciały dopuścić do sytuacji, by znany szeroko pisarz dokonał żywota w magdeburskiej twierdzy. A zdawało się, że wszystko na to wskazuje, szczególnie po ataku apopleksji w sierpniu 1885 roku. Odtąd też mieszkańcy pawilonu na terenie twierdzy zaczęły dokuczać silne bóle żołądka, co uznano za objawy postępującego raka. Interwencje w sprawie urlopu zdrowotnego podejmowane przez wiele wpływowych osobistości przyniosły wreszcie skutek: 7 listopada Kraszewski po złożeniu 20 000 marek kaucji i – jak potem wspominał – „podpisawszy cyrografów bez liku”, opuścił więzienie, uzyskując półroczną przerwę w odbywaniu kary.

Gdy minął wyznaczony termin, pisarz przedstawił świadectwo podpisane przez dwu lekarzy niemieckich, że ciężki stan zdrowia nie pozwala mu powrócić do twierdzy. Rząd Rzeszy jednak stanowczo zażądał przybycia do Magdeburga, a prokuratura rozesłała za nim listy gończe.

Kraszewski zmarł 19 marca 1887 roku w Genewie. Pochowano go w Krakowie na Skałce. Zwłoki wielkiego pisarza musiano przewieźć okrężną drogą – przez Wiedeń, gdyż władze niemieckie odmówiły zgody na transport trumny przez swe terytorium. Bismarck okazał się w tym przypadku człowiekiem nie tylko pamiętliwym i mściwym, ale także wyjątkowo

małoduszny.

## Język polski na wokandzie

WIEK TEMU Z GÓRĄ ROZEGRAŁY SIĘ we Wrześni wydarzenia, które stały się następnie przedmiotem rozprawy sądowej w Gnieźnie 14–17 listopada 1901 roku. Proces ten, znany pod nazwą wrzeńskiego procesu szkolnego, odbił się głośnie echem na ziemiach polskich wszystkich trzech zaborów, a nawet wywołał rezonans nie tylko w Europie, ale i w świecie.

O co w nim chodziło i jaki był jego przebieg? Jak trzeba ocenić sam przewód sądowy i wyrok z dzisiejszej perspektywy? Niestety, trzeba stwierdzić od razu na wstępie, że nie była to chlubna karta pruskiego wymiaru sprawiedliwości, który od czasów Fryderyka Wielkiego szczycił się bezstronnością i rzetelnością, a także wyważonym wymiarem kar.

Wielkie Księstwo Poznańskie, które powstało po kongresie wiedeńskim, miało zagwarantowane równouprawnienie języka polskiego z językiem niemieckim. Stopniowo jednak jego mieszkańcy byli poddawani germanizacji, a prawa do używania języka polskiego były ograniczane. Od lat czterdziestych w szkołach wiejskich z przewagą dzieci niemieckich wszyscy byli nauczani w języku urzędowym, a w szkołach elementarnych miejskich – niezależnie od składu narodowościowego.

Nauczanie religii w ojczystym języku było ostatnim bastionem polskości w szkole, a usuwanie go na rzecz języka niemieckiego natrafiało na spontaniczny opór rodziców i dzieci. Tak stało się we Wrześni, miasteczku liczącym na początku poprzedniego wieku ponad 5000 mieszkańców, z których tylko co czwarty nie był Polakiem. Nauczyciele tutejszej szkoły elementarnej uznali, że dzieci znają już na tyle dobrze język niemiecki, że mogą się w nim uczyć także religii; za lekcje te otrzymywali zresztą gratyfikacje pieniężne, co było dla nich dodatkowym bodźcem do takiego rozumowania.

Takiego zdania był też inspektor szkolny Winter. Indagowany w tej kwestii przez sąd, odpowiedział butnie: „Te dzieci, które ukończyły pierwszą klasę, umieją wszystkie bardzo dobrze mówić po niemiecku. Jeżeli tu, przed sądem, nie chcą zeznawać po niemiecku, to jest to z ich strony bezczelność i podłość”. W rzeczywistości zaś dzieci tak słabo znały język urzędowy, że sąd był zmuszony korzystać z pomocy tłumacza.

Wszystko wskazywało na to, że niemieccy pedagodzy na pierwszym planie stawiają nie naukę prawd wiary, ale lekcje religii i kościelnego śpiewu pragną wykorzystać do doskonalenia umiejętności języka urzędowego, aby dzieci uległy pełnej germanizacji. Rozumieli to dobrze rodzice, rozumiały też dzieci. Toteż gdy hakatysta Schölzchen, który miał ich uczyć religii po niemiecku, rozdał w klasie pierwszej i klasach drugich na początku kwietnia 1901 roku (był to początek roku szkolnego) katechizmy w tym języku, dzieci albo ich nie przyjęły, albo szybko zaczęły je zwracać. Na lekcjach religii zaczęły też udzielać odpowiedzi tylko po polsku, co Schölzchena skłaniało z kolei do sięgania po kij, którym miał zwyczaj krzewić dyscyplinę. Chłosta była zresztą w tym czasie jednym z ważniejszych „środków pedagogicznych” w pruskich szkołach.

Był to opór spontaniczny. Hakatyści jednak, którzy rozpętali potem wścieklą kampanię na łamach niemieckojęzycznej prasy poznańskiej, byli zdania, że protest mieszkańców Wrześni przeciwko chłości dzieci nastąpił w wyniku wcześniejszego o pięć dni wiecu, na którym przemawiali polscy posłowie do parlamentu niemieckiego, dr Zygmunt Dziembowski (był on potem obrońcą w procesie) i Józef Głębocki oraz ksiądz Antoni Stychel. Zachęcali na nim „do



legalnej obrony przeciw doznanej niesprawiedliwości”, ale też przestrzegali poważnie przed każdym pochopnym krokiem.

20 maja, który to dzień był potem szczegółowo rekonstruowany w toku procesu sądowego, w szkole już od rana panowała atmosfera przygnębienia. Inspektor szkolny od jakiegoś czasu zapowiadał wymierzanie ciężkich kar za nieposłuszeństwo i teraz się tego spodziewano. Uczniowie niższych klas okazali się bowiem uparci i nie chcieli za nauczycielem religii, Schölzchenem, powtórzyć ani słowa po niemiecku.

Około 10.00 przyszedł wezwany inspektor Winter i polecił dzieciom, by siedząc w szkolnym „areszcie”, nauczyły się po niemiecku słów pieśni *Kto się w opiekę*. Po dwu godzinach powrócił i skazał te, które „trwały w uporze” i „z bezczelną miną oświadczyły, że w ogóle się nie będą uczyć po niemiecku religii” na 6–8 uderzeń kijem; inne – mniej harde – na 2–4 uderzeń.

Dzieci bił Schölzchen, a robił to z taką przyjemnością, że ich krzyki słyhać było na ulicy. W toku procesu ciągle wracano do tej „egzekucji”, warto więc sięgnąć do protokołu sądowego. Oto co zeznał w tej materii lekarz wolno praktykujący dr Krzyżagórski, powołany jako biegły: „Już w początku maja badałem dzieci poddane chłosty. Jeden z ojców chciał zwrócić się do rządu i żądał świadectwa. Stwierdziłem stan rzeczy i znalazłem pręgi w postaci sześciu siniaków na siedzeniu. 20 maja przyszło do mnie 12–15 dzieci do zbadania. Z tych wyodrębniłem czworo, którym wydałem świadectwo, iż względem nich prawo chłosty zostało przekroczone. Szczególnie chłopiec Jerszyński miał sześć do ośmiu sinych pręg długości palca na siedzeniu, nabiegłych krwią. Dziecko było fizycznie bardzo wzburzone i drżało jak w febrze. Troje innych dzieci miało mocne pręgi na rękach i na siedzeniu. Ręce były tak zapuchnięte, że dzieci nie mogły ich zamknąć, ponieważ sprawiało to im silny ból”.

Prokurator usiłował podchwytliwymi pytaniami osłabić wiarygodność doktora, gdyż rzekomo należał on do „partii polskiej” jako członek honorowy związku Sokołów, a kiedyś był członkiem polskiego stowarzyszenia śpiewaczego i przewodniczącym związku przemysłowców. „Pan, zdaje się, posuwa się za daleko” – zgromić musiał prokuratora przewodniczący skład.

Drugi biegły, lekarz okręgowy, doktor Michaelsohn z Wrześni, miał już mniej do powiedzenia na ten temat, jako że wychłostanych dzieci nie badał bezpośrednio. W sądzie był tylko obserwatorem eksperymentu, jaki przeprowadził na sobie inspektor szkolny Winter, niezbyt silnie uderzając się w dłoń o połowę mniejszym kijkiem, niż to miało miejsce w rzeczywistości.

Po obejrzeniu jego ręki dr Krzyżagórski stwierdził – znów ucieknijmy się do protokołu – że „czerwona pręga na ręce Wintera nie może iść w żadne porównanie z tymi pręgami, które widziałem u dzieci. Te ostatnie pręgi były szerokości środkowego palca u ręki, nabiegłe krwią i sine. O bólu, jakie te pręgi sprawiały, Winter nie może mieć wcale pojęcia.

Dr Michaelsohn: Gdyby razy zadawane były taką laską, jaką tutaj przedstawiano i tylko z taką siłą, jak to uczynił Winter, to wtedy nie miałyby miejsca przekroczenie dozwolonego prawa chłosty. Jedynie przy bardzo delikatnej ręce mogłyby nastąpić takie obrażenia, o jakich nam tutaj mówiono.

Dr Krzyżagórski: Ważne jest, czy używany kij był dłuższy lub większy, elastyczniejszy lub bardziej sztywny; czy uderzenia zadawane były z większą siłą, czy też nie. Sam Winter tu powiedział, że kij, którym bito dzieci, był znacznie dłuższy niż ten, który tutaj okazywano.

Winter: Więcej niż dwa razy dłuższy kij być nie mógł (wywołało to powszechną wesołość, bo okazywany kij miał około  $\frac{3}{4}$  metra długości).

Dr Krzyżagórski: Zatem stwierdzam, że im dłuższy jest kij, tym boleśnieszsze są uderzenia.

Adwokat dr Dziembowski: A jeżeli bijący uderza ze szczególną siłą i używa do tego

opisanego tylko co kija, to czy może tu mieć miejsce przekroczenie prawa chłosty?

Dr Michaelsohn: Z pewnością”.

Proces wszakże nie dotyczył przekroczenia prawa chłosty, ale tego, że niepowołane osoby sprzeciwiały się „wykonywaniu czynności urzędowej”, czyli katowaniu dzieci.

Prokurator Langner z Gniezna objął aktem oskarżenia 23 osoby pochodzące z Wrześni. Byli wśród nich: szewc Ignacy Furmaniak, robotnik Franciszek Korzeniewski, 14-letni uczeń Antoni Korzeniewski, żona robotnika Rozalia Pawlicka, terminator szewski Aleksander Wiśniewski, szewc Franciszek Szapulski, żona szewca Stanisława Stachowiak, robotnik Jakub Sierakowski, dwudziestoletnia córka rzeźnika Helena Jędrykiewicz, szewc Jan Zienkowski, takżej profesji Ignacy Balcerkiewicz i Antoni Chojnacki, żona malarza Nepomucena Piasecka, Jan Żołnierkiewicz – krawiec i jego żona, Katarzyna, terminator szewski Franciszek Musielak, szewc Walenty Maciejewski, krawiec Józef Hähnel, szewc Ignacy Jagodziński, Elżbieta Kantorczyk – żona szewca i Jadwiga Jezierska – żona tokarza.

Prawie wszyscy byli oskarżeni o to, że „w dniu 20 maja 1901 roku we Wrześni brali udział w publicznym zbiegowisku, na którym postanowiono za pomocą gwałtów lub gróźb zmusić władze lub urzędników, mianowicie okręgowego inspektora szkolnego i nauczycieli szkoły ludowej katolickiej we Wrześni do zaniechania czynności urzędowej” (tzn. wymierzania chłosty) oraz o to, że „brali udział w tłumnym zbiegowisku, na którym przez rzucanie kamieni i uderzenia kijami dopuszczono się czynów gwałtu na rzeczach, w szczególności zaś na budynku szkoły ludowej” (akurat tu było najwięcej wątpliwości w czasie przewodu sądowego). Ponadto zarzucano niektórym, że gdy „zgromadził się tłum ludzi w celu dokonania czynów gwałtu na osobach i rzeczach, wtargnęli do zamkniętego budynku, przeznaczonego do użytku publicznego”, a także „wywołali hałas i zakłócenie porządku i spokoju publicznego”. Niektórych oskarżono o obrazę przez wydawanie okrzyków: „psiakrew, bijcie łotra”, „psiakrew, psi diabeł, pies niemiecki” itp. oraz o pogrożki w rodzaju: „Ty pasibrzuchu, zabiję cię”; „Ty przeklęty psie, za sto marek chcesz sprzedać dusze naszych dzieci” itp.

Jednym słowem: bunt, zakłócanie porządku publicznego, znieważanie urzędników – w przełożeniu na artykuły kodeksu dawało to zagrożenie karą więzienia nawet do pięciu lat. Langner i tak był pobłażliwy: dla najbardziej obciążonej Nepomuceny Piaseckiej zażądał tylko dwóch i pół roku więzienia! Wzbudziło to ogromną sensację – tak surowej kary nikt się nie spodziewał.

Oskarżonych bronili adwokaci: Türk z Gniezna, Adam Woliński z Poznania i wspomniany już poseł do parlamentu, mecenas Zygmunt Dziembowski, znany z obron w procesach politycznych.

„Chociaż te wydarzenia – powiedział m.in. pierwszy z obrońców – które teraz określone zostały jako bunt i zakłócenie porządku już w dniu 20 maja, jednak aż do 23 maja nie wiadano o nich tutaj w sądzie i u tych władz, które przy takich niebezpiecznych przestępstwach, jak zakłócenie porządku publicznego i bunt zostałyby powołane do natychmiastowego wystąpienia. Dopiero z gazety «Posener Tageblatt» dowiedział się o nich pan prokurator po raz pierwszy i gdy, powołując się na ten artykuł, zwrócił się do landrata we Wrześni, ten powiadomił go, że artykuł ten jest w pewnej mierze nieścisły i przesadzony. Pan landrat zadowolili się tym, że wniósł o ukaranie przeważnej liczby oskarżonych jedynie za nieprzystojne zachowanie się i zbiegowisko”.

„Również i ta okoliczność – ciągnął dalej – że świadek Winter bezpośrednio po wypadkach przy pierwszym badaniu sądowym wyraźnie zrezygnował z żądania kary dla

Piaseckiej i dopiero później namyślił się i wystąpił z tym, że z powodu obrazy wyrządzonej przez tę nieoświeconą kobietę przyłącza się do sprawy w charakterze współoskarżyciela. Okoliczność ta świadczy o tym, że dopiero z czasem nadano wypadkom wrześnieńskim poważnie niebezpieczne znaczenie. Ostatecznie poza kilkoma okrzykami i wymysłami nic więcej nie zaszło i dla utrzymania spokoju nie przedsięwzięto żadnych szczególnych środków”.

„Gdzie dopuszczono się wspólnymi siłami jakiegoś gwałtu lub pogroźek względem nauczycieli? Kto z obecnych na sali sądowej mógłby wskazać ten gwałt, który wspólnymi siłami dokonany został na osobach lub rzeczach?” – pytał dramatycznie w innym miejscu, zbijając krok po kroku dęte zarzuty oskarżyciela. I odpowiadał: „O gwałcie nie mogło być mowy, bo nikomu nawet włos z głowy nie spadł. Pogrożki zaś uważam za nieuzasadnione, nic złego nauczycielom się nie stało, właściwe jednak pogrożki nie zostały udowodnione”.

„Gdyby się to wydarzyło – powiedział w innym miejscu – w ewangelickiej albo żydowskiej szkole we Wrześni, albo gdyby nawet ten fakt miał miejsce na zachodnich kresach naszej ojczyzny, ludzie zbiegliby się również. I gdyby gdziekolwiek dzieci powróciły ze szkoły skatowane, niezadowolenie ludzi musiałyby się głośno objawić. Przeważna ich część mieszkała na tej samej ulicy, przy której stoi budynek szkolny i w małych bocznych uliczkach. I z tego też okazuje się, że było to przypadkowe zgromadzenie się tłumu ludzi, nie zaś ułożone z góry dla osiągnięcia przestępnego celu”.

Jeśli obrońca Türk rozbił oskarżenie w proch i w pył od strony jurydycznej, to drugi zakwestionował je od strony merytorycznej i moralnej. „Przeciw ludziom – stwierdził już na wstępie mecenas Woliński – którzy być może przekroczyli granice prawem dozwolone, ale działali z najszlachetniejszych pobudek, zaproponowane zostały takie kary, jakie zwykle wymierzane są na zwykłych przestępców”. „Jeżeli oskarżeni byli silnie przekonani – ciągnął dalej tę myśl – że udzielanie lekcji religii w obcym języku, nie w ojczystym, sprzeciwia się zasadniczym podstawom Kościoła katolickiego, jeżeli dalej byli tego przekonania, że sposób, w jaki lekcje religii w obcym języku u nas wprowadzono i przeprowadzono, jest niewłaściwy, niedopuszczalny i ze stanowiska moralnego niegodny, to nie może ulegać wątpliwości, że ludzie ci, przy swojej opozycji przeciwko temu, nawet jeśli ta ostatnia tu i ówdzie wykroczyła poza granice prawem dozwolone, we własnym mniemaniu wychodzili ze słusznego założenia i dlatego obca im była świadomość bezprawia w ich postępowaniu”.

„Jest zasadą katolickiego prawa kościelnego – dowodził – że wszystkie przepisy o udzielaniu lekcji religii i wybór odpowiednich książek należy do wewnętrznych spraw Kościoła i podlega wyłącznie jego kompetencji. Sobór trydencki przepisuje wyraźnie, że nauka religii winna być wykładana dla ludu *secundum captum*, to jest według skali pojęć dziecka i *in lingua vernacula, vulgari*, tj. w języku codziennym rodziców”.

Kończąc dłuższy wywód na temat równouprawnienia wszystkich ludów w obrębie Kościoła katolickiego, adwokat Woliński powołał się na list arcybiskupa wrocławskiego Henryka Förstera z 6 kwietnia 1873 roku, w którym ów książę Kościoła napisał te słowa: „Nauka religii wykładana po niemiecku byłaby niezrozumiała dla dzieci mówiących po polsku i pozostawałaby bez wpływu na duszę i wolę, i wówczas młodzież wzrastałaby bez zbawiennego wpływu religii”. Dlatego też polecił on duchowieństwu śląskiemu, ażeby nauka religii była wykładana tylko w języku ojczystym.

Mówca podkreślił z całą mocą, że „ludność polska naszej prowincji zarówno według tradycji Kościoła, jak i wskutek najuroczyściej zastrzeżonych praw i obietnic, czynionych nam aż do najnowszych czasów, rości sobie prawo do tego, ażeby ich dzieciom udzielano nauki religii w ich ojczystym języku”.

Na zakończenie swej długiej i świetnie udokumentowanej mowy mecenas prosił sąd

o uniewinnienie lub o jak najłagodniejsze potraktowanie oskarżonych. „To nie są zwyczajni przestępcy – wołał z emfazą – których można by stawiać jako przykład! Ludzie ci nikomu nie wyrządzili krzywdy; nawet nie zostało dowiedzione, aby ktokolwiek rzucał kamieniami lub kijami na gmach szkolny; Winter i Koralewski domyślają się tylko tego. Oskarżeni chcieli tylko wyrazić swoją niechęć do nauki religii po niemiecku i swoje oburzenie na okrutną chłostę dzieci, czyż za to mają ponieść tak ciężką karę? Przecież przedtem próbowali wszelkich środków przez prawo dozwolonych. Podania rodziców o przywrócenie nauki religii w języku polskim, skargi przeciwko nauczycielom o przekroczenie dozwolonej granicy przy chłości dzieci, wszystko to pozostało bez skutku”.

„Czyż można się dziwić – pytał na koniec – że wobec faktu zbiorowej chłosty i na widok dzieci omdlewających z bólu i płaczących pewna liczba bliskich krewnych zebrała się przed domem szkolnym i wyraziła swoje oburzenie w nieco drastyczny sposób? I sędziowie muszą mieć serce i uwzględniać przy sądeniu psychologiczne momenty”.

Na nic się zdały żadne argumenty, bo wyrok był przesądzony z góry. Świadom był tego trzeci obrońca, poseł do rady państwa, dr Dziembowski, gdy mówił: „Inspektor okręgowy Winter mniemał, że przyczyna całej sprawy wrzesińskiej tkwi w podżeganiu prasy polskiej, która lud podburzyła. Muszę przyjąć, że p. Winter, jako świadek przysięgły, subiektywnie mówił prawdę; tym mniej mogę pojąć, jakim sposobem zdołał pod przysięgą tak ocenić działalność prasy polskiej, jeśli sam zeznaje, że nie rozumie po polsku”.

„Przypuszczam więc – ciągnął z sarkazmem – że p. Winter wyrobił sobie sąd jedynie z nader obiektywnych opowiadań uczciwej, rządowej, lojalnej prasy niemieckiej. Jak podmiotowa jest ta uczciwa prasa względem polskiej – złej prasy, mogę natychmiast uwidocznić: podczas doskonałej mowy kolegi Wolińskiego niektórzy reporterzy opuścili salę, a i teraz ich ławy są puste. Ich sposób postępowania jest dla mnie zupełnie jasny. Mowa prokuratora jest już gotowa do druku, a ogłoszenie polskiej obrony musiałoby rzucić więcej światła na całe zajście”.

Mecenas Dziembowski także, jak Türk, mocno podkreślił, że policja początkowo zakwalifikowała zajścia jako wykroczenie przeciwko porządkowi publicznemu i wyznaczyła nieznaczące kary. Dopiero pod wpływem hakatystowskiej prasy nauczyciele je wyolbrzymili, a prokurator wdrożył śledztwo. „Tak się fabrykuje procesy polityczne!” – stwierdził z całą mocą. „Opis zajść przez żandarmów – dodał – jest z gruntu odmienny od opisu nauczycieli i inspektora okręgowego szkół. Komu mamy bardziej wierzyć? Podług mnie, policja w tym wypadku zasługuje na zupełne zaufanie, nie brała sama udziału, wypełniła swój obowiązek i jest wolna od zarzutu”.

I on dokonał sumiennej analizy prawnej i faktycznej zajść w szkole. Swe długie wystąpienie zakończył słowami: „Patrzcie, panowie, więcej w czyste serca oskarżonych niż na paragrafy i wyroki najwyższego sądu Rzeszy. Gdybyście, panowie sędziowie, mieli karać oskarżonych podług tych ostatnich, to zastanówcie się, że oskarżeni nie pojmą ich kunsztownej i sztucznej konstrukcji, a w razie zatwierdzenia projektowanych wysokich kar odeszliby z wrazeniem żalu, że naprawdę nie zbili nauczycieli, bo wtenczas przynajmniej wiedzieliby, za co mają pokutować!”.

I tak pewnie było, gdy po pięciogodzinnej naradzie sąd ogłosił wyrok. Piasecka została skazana na dwa i pół roku więzienia za to, że – jak napisano w uzasadnieniu – „była pierwszą osobą, która wtargnęła do gmachu szkolnego i tam z podniesionymi rękami przystąpiła do inspektora Wintera; lżyła ona również innych nauczycieli”. Jak na ironię podkreślono okoliczność łagodzącą: fakt, że „nie doszło do czynnych napaści na organy lub mienie rządu”. Innym również „za zakłócenie spokoju ogólnego i bunt” wymierzono kary po dwa lata, rok, a najniżej 4 tygodnie aresztu. Cztery osoby zostały uniewinnione.

Wymiar kary spotkał się z ogólnym zdziwieniem i wywołał liczne protesty; najdonośniej zabrzmiał głos Henryka Sienkiewicza na łamach krakowskiego „Czasu”.

Doktor Krzyżagórski za wystawienie orzeczenia lekarskiego czworgu najbardziej pobitym dzieciom najpierw stanął przed sądem ławniczym we Wrześni, a potem – gdy podczas tego procesu wymierzoną im chłostę nazwał „bijatyką”, a nauczycieli i Wintera „bijakami” – wytoczono mu nową sprawę, tym razem „o obrazę urzędników”. Sąd go jednak uniewinnił. Natomiast fotograf Szymon Furmanek, który wykonał zdjęcie pobitych dzieci wrześnińskich i rozprowadzał je masowo jako pocztówkę, został skazany w kwietniu 1902 roku na karę 200 marek lub 40 dni więzienia. Miejscowy landrat twierdził bowiem, że podtrzymują one w powiecie stan wrzenia, a prokurator był zdania, że gloryfikują przestępców i zachęcają do ich naśladowania.

## Otello z ulicy Długiej

AURA SKANDALU TOWARZYSZYŁA opisywanej tu sprawie od początku; po mieście krążyły różne domysły i plotki, a jeszcze nim trafiła ona na wokandę, tydzień wcześniej, mieszkańcy miasta mogli w jednej z gazet – rzecz bez precedensu – przeczytać cały akt oskarżenia. W ten sposób to wszystko, co dotąd obracało się w sferze przypuszczeń – stało się własnością publiczną, a wszystkie najintymniejsze szczegóły życia prywatnego bohaterów stały się przedmiotem roztrząsań salonów i poddaszy.

Ową wścibską i tak jednocześnie zaradną gazetą był „Kurier Poranny”, od trzech lat ostry rywal innych „kurierków” – znacznie starszego „Kuriera Warszawskiego” oraz wychodzącego od 1865 r. „Kuriera Codziennego”. „Kurier Poranny” założył niezwykle dynamiczny, doświadczony dziennikarz Feliks Fryze, uznawany za króla reporterów warszawskich; „Fryze – jak odnotował jeden z jego współczesnych – był wszędzie, ruchliwości i energii miał za dziesięć, a pod względem pomysłowości chyba z reporterami amerykańskimi porównać by go można”. Jego kłopoty finansowe stały się przysłowiowe; ciągle więc – jak o nim mawiano – „ruszał głową albo czymś innym takim”.

Zdobyć odpis aktu oskarżenia przy jego stosunkach to błahostka, ale wydrukowanie go przy tak skrupulatnej jak wówczas cenzurze było zadziwiające. Nie wiadomo, czy nieuważny cenzor poniósł jakieś konsekwencje. Fryzemu natomiast urząd prokuratorski wytoczył natychmiast proces, co jeszcze pobudziło powszechną ciekawość wokół tej całej mocno sensacyjnej i skandalicznej afery.

Pora wreszcie odsłonić kurtynę i przedstawić osoby dramatu. Główną w nim rolę – niestety negatywną – odegrał 36-letni szewc, a właściwiej byłoby powiedzieć przedsiębiorca obuwniczy Stanisław Hiszpański, „środkowe ogniwo” znanego warszawskiego rodu szewskiego, jako że prowadził firmę po ojcu o tym samym imieniu i przekazał ją synowi, również Stanisławowi, który zginął od hitlerowskich bomb w 1939 r. Tych trzech Stanisławów to wiek cały szewskiego rzemiosła w mieście, rzemiosła – dodajmy – na najwyższym, europejskim poziomie, bo rodzina dla stolicy wielce zasłużona, tworząca najlepszą tradycję solidarności i wysokiego kunsztu.

Ojciec Hiszpańskiego – Stanisław senior – prawdopodobnie wywodzący się, jak można przeczytać w *Sagach warszawskich*, ze związku wielkiego księcia Konstantego z Heleną Lubomirską – był typowym self-made manem w iście amerykańskim stylu. Choć miał protektorów, rzeczywiście wszystko zawdzięczał sobie, swojej pracowitości i wytrwałości. Po odbyciu terminu w renomowanych warsztatach dorobił się dość szybko własnej pracowni, a także, jak powiedzielibyśmy dzisiejszym językiem, salonu obuwniczego przy ul. Bielańskiej oraz kamienicy przy ul. Długiej. Nie tylko zyskiwał majątek, ale w parze z nim zdobywał autorytet w swoim środowisku, wybrano go bowiem na „starszego” Zgromadzenia Szewców.

Dużą popularnością cieszył się w okresie powstania styczniowego, ściślej w pierwszej jego fazie, bo później odsunął się od wszelkiego politykowania, natomiast jak powiedzielibyśmy dzisiaj, działał społecznie wśród braci rzemieślniczej. Zaraz po pamiętnej salwie na placu Zamkowym 28 lutego 1861 roku Stanisław Hiszpański brał udział w nocnej naradzie znamienitszych obywateli w Resursie Kupieckiej i jako przedstawiciel rzemiosła wszedł w skład Delegacji Miejskiej, która następnie pertraktowała z namiestnikiem Gorczakowem. Znalazł się też w składzie Warszawskiej Rady Miejskiej i choć nie odegrał znaczniejszej roli, rzemieślnicy –

szczególnie młodzi, sami tak przecież aktywni w tych gorących dniach – dopatrywali się w nim niemal drugiego Kilińskiego. Ile w tym było przesady, najdobitniej świadczyło potraktowanie Hiszpańskiego przez carskie władze: gdy po wprowadzeniu stanu wojennego w październiku 1861 r. został aresztowany i zesłano go do Wiatki, w maju następnego roku był już w domu.

Stanisław junior miał wtedy 18 lat. Naukę przerwał, nie ukończywszy trzeciej klasy gimnazjum, terminował najpierw w obcej, potem zaś w ojcowskiej firmie, a w czasie owego zesłania głowy rodziny prowadził ją samodzielnie. Gdy ojciec wrócił, wybrał się w zagraniczną rajzę: w ciągu pięciu lat przewędrował przez wiele krajów Europy, dotarł nawet do Stanów Zjednoczonych, przez cały czas utrzymując się z szewstwa i poznając jednocześnie tajniki zawodu. Nawiasem mówiąc, podobnie zrobił później jego syn Stanisław, który po ukończeniu gimnazjum klasycznego i prawniczych studiów przewędrował pieszo Czechy, Niemcy, Szwajcarię i Francję, podejmując pracę w renomowanych zakładach garbarskich i szewskich, by poznać wszystkie tajniki branży. Nie był to bynajmniej jakiś ewenement – w XIX w. wędrowało w ten sposób po Europie wielu rzemieślników.

Wróćmy wszakże do Stanisława „drugiego”, on jest tu bowiem główną postacią. Od 1867 r. pracował w Charkowie, a wiosną 1870 r. ożenił się z chrześniaczką ojca, panną Zofią Kwiatkowską. Obie familie były w jakiś sposób związane towarzysko, ale nie było to małżeństwo satysfakcjonujące głowę rodu, matkę też nieszczególnie. Teść doszedł do większego grosza w miejskiej służbie policyjnej, stając się z czasem właścicielem dwóch szynków, co w tamtych czasach było dość częste, o czym można wnioskować z licznych XIX-wiecznych powieści odsłaniających sekrety podskórnego życia Warszawy.

Zofia Kwiatkowska, parę lat młodsza od 26-letniego pana młodego, była niewątpliwie kobietą piękną i atrakcyjną, jako że Hiszpański junior – czym się nawet przechwalał w gronie przyjaciół – uważał się za „wielkiego zwolennika Wenery i Bachusa”. Posagu znacznieszego nie wniosła, miała natomiast – wynikało to z niektórych wypowiedzi w czasie procesu – dość wysokie mniemanie o sobie, marzyła o brylowaniu w lepszym towarzystwie, grywała na fortepianie, była zalotna i próżna. Nawet jeśli daleko jej było do ideału, to urodziwszy pięcioro dzieci, na pewno nie miała już głowy ani do kokieterii, ani do romansów, o co ciągle podejrzewał ją zazdrosny mąż. Hiszpański zawsze zresztą reagował niezwykle ostro, gdy tylko wpadło mu w oko jakieś zainteresowanie się swojej pani innym mężczyzną; ją rugał od ostatnich, a jemu wypowiadał dom lub wyrzucał z pracy, jeśli akurat dostrzegł jakiś cień zainteresowania żoną u podwładnego.

Młodzi zamieszkali najpierw w Saratowie, gdzie Hiszpański założył duży zakład nastawiony na masową produkcję obuwia, a gdy po kilku latach wrócili nad Wisłę, urządzili się w domu jego ojca przy ul. Długiej. Stanisław junior nie tylko przejmował stopniowo interesy po ojcu, ale został również wybrany do przewodniczenia cechowi szewców. Bardzo aktywnie działał i w tym charakterze, udało mu się nawet uzdrowić gospodarkę finansową zgromadzenia. Interesował się też warunkami, w jakich przebywa czeladnicza młodzież. Nie szczędząc ponoć – co mu nawet niektórzy mieli za złe jako niepożądaną nadgorliwość – własnego zdrowia, angażował się w poprawę sytuacji w tym względzie. Pisywał na te tematy artykuły do „Kuriera Porannego” i gazety dla rzemieślników, w czym mu podobno nawet pomagała żona.

Stopniowo narastała w nim nieufność do małżonki, a w ostatnim czasie przed owym fatalnym zdarzeniem, które zaprowadziło go na ławę oskarżonych – nieufność zmieniła się

w podejrzliwość, ta zaś z kolei w obsesyjną wręcz zazdrość. Odczuwał ją wobec bliżej niesprecyzowanego rywala, brał żonę na męki zeznań, wciągał służbę w jej obserwowanie, szukał dwodów nawet w domu teściowej, gdy Zofia odwiedzała matkę. Wpadał w takich razach niespodziewanie, „przepatrując mieszkanie jak jakiś policjant” – jak powiedziała przed sądem płacząca pani Kwiatkowska. O istnieniu „tego drugiego” wnioskował z zachowania żony, która była rzekomo odpychająca; ta zaś w tym samym czasie uskarżała się, że siłą egzekwował swe prawa małżeńskie, gdy wracał podпиты, nie zważając nawet na stan jej zdrowia, które Zofia stopniowo traciła.

Faktem jest, bo wychodziło to potem wielokrotnie w czasie procesu, że Stanisław junior lubił sobie tego popić. Z niektórych objawów można nawet sądzić, iż robił to dość często, choć sam twierdził o sobie, że pije umiarkowanie. Zeznania lekarzy, którzy go leczyli – był bowiem chyba uzależnionym od alkoholu dypsomanem (tak medycy określają opilstwo okresowe), wyraźnie wskazują, iż według wszelkiego prawdopodobieństwa zabójstwa doktora Kurcjusza dokonał na tle obłądu zazdrości powstałego właśnie w związku z nadużywaniem napojów wysokowych.

Gdy czyta się bardzo dokładne, niemal protokolarne, sprawozdanie z jego procesu, jakie sporządził na sali rozpraw Walenty Miklaszewski, pełniący w tym czasie funkcję kierownika „wydziału kryminalnego” w „Gazecie Sądowej Warszawskiej”, wniosek taki nasuwa się sam. Pierwszy z lekarzy tak opisał objawy zaobserwowane u swego dawnego pacjenta: „czerwony nos, drżenie rąk i języka, gadulstwo, brak apetytu, rozdrażnienie, powiększenie wątroby”. „Doszedłszy do wniosku – stwierdził potem na sali – że choruje on na chroniczne zatrucie spirytualne”. Diagnozę tę potwierdził drugi świadek, także medyk. Dłuższe nadużywanie trunków – oświadczył on swemu pacjentowi – doprowadzi pana do szpitala Jana Bożego; na co ów zapewnił go emfaticznie, że choćby był cięty na kawałki, nie weźmie już więcej wódki do ust.

Lekarze kilkakrotnie zwracali się do sądu o wyłączenie jawności fragmentów ich zeznań, zwłaszcza gdy mówili o dyskretnych schorzeniach Hiszpańskiego, przewodniczący rozprawie jednak był od tego daleki, ucinając zdecydowanie, iż całe posiedzenie odbywa się przy drzwiach otwartych i nie ma takiej potrzeby. Publiczność więc słuchała tych wszystkich szczegółów i nawet nie odstraszał jej fakt, że sesje wieczorne przeciągały się do bardzo późnych godzin nocnych.

Linia obrony bardzo ówczesnie wziętego adwokata Henryka Krajewskiego biegła w zupełnie innym kierunku i potrafił wybronić swego klienta bez wchodzenia na śliski grunt z jednej strony pijaństwa męża, z drugiej – ewentualnej niewierności żony. Adwokat, rzecz można, bronił z taką maestrią, iż składowi sądzącemu – mimo dość twardej opozycji prokuratora – nie pozostało nic innego, jak uznać jego racje.

Obronca ten odegrał w procesie Hiszpańskiego tak znaczącą rolę, że trzeba poświęcić jego sylwetce nieco więcej miejsca, niż robi się to zwykle w sprawozdaniach sądowych. Od czasu wprowadzenia w 1876 roku reformy sądowej Henryk Krajewski – kilkakrotny więzień Cytadeli i aż trzykrotny zesłaniec syberyjski za działalność patriotyczną – uzyskał tytuł adwokata przysięgłego konieczny do stawania w sądach wyższej instancji, choć miał przeciw sobie negatywną opinię miejscowej żandarmerii. Dużo mu wówczas pomogła pozytywna opinia pierwszego po reformie sądowej prezesa warszawskiego Sądu Okręgowego Ignatija P. Zakrewskiego.

Mecenas Krajewski występował w zasadzie przed sądami cywilnymi, dla Hiszpańskiego



wszakże zrobił wyjątek. Czy przeczuwał, że odniesie w jego sprawie sukces, czy też – co bardziej prawdopodobne – uległ prośbom Hiszpańskiego seniora, z którym musiał znać się dobrze na gruncie działalności publicznej? Dziś nie odpowiemy już na te pytania, trzeba jednak stwierdzić, że zabójca dra Kurcjusza miał wyjątkowe szczęście, iż jego los wziął w swe ręce tak wytrawny adwokat. Jeden z kolegów wspominał jego „wspaniałą, iście majestatyczną postać” i pisał, że ów tak łagodny, spokojny, a nawet nieśmiały obrońca „przybierał jak gdyby nową, odmienną fizjonomię (...) Stawał przed nami wtedy człowiek stanowczy i energiczny, walczący i miazdzący, człowiek gorący (...) Zapalał się, walczył i stawał się prawie bezlitosnym”. „Badał stosunki – czytamy dalej w tym wspomnieniu – które miał sam rozwiązywać lub przed sądami wyjaśniać, badał je w najdrobniejszych szczegółach, badał ludzi, których one dotyczyły, badał ich usposobienie, ich życie, ich temperament. Były to badania pod mikroskopem, badania porów, kresek i zmarszczek, badania sumienne, ciężkie i długie”.

To wszystko cechowało mecenasa Krajewskiego zawsze; w sprawie Hiszpańskiego jednakże te predyspozycje i wypracowane metody działania dały o sobie znać w sposób szczególny; po prostu przeszedł samego siebie.

Proces wytoczono Hiszpańskiemu 23 września 1880 r., a więc w parę miesięcy po tym, jak 3 kwietnia udał się do swego domniemanego rywala – lekarza zaprzyjaźnionego z jego domem od wielu lat – i postrzelił go śmiertelnie. Doktor skonał 2 maja po miesiącu cierpień, nie odzyskawszy przytomności. Przedtem Hiszpański a to wypowiadał dom Kurcjuszowi, a to się z nim przeproszał, a to żądał wyjaśnień od niego i żony, a to wyjeżdżał z domu, a to wracał przedwcześnie, słowem miotał się i męczył sam siebie i swoje otoczenie. Doktorowi groził śmiercią kilkakrotnie, nikt jednak nie brał jego deklaracji aż tak poważnie, jak na to zasługiwały; sam Kurcjusz myślał zresztą, że sprawy jakoś się wyjaśnią i znecierpliwiony nawet przyjął Hiszpańskiego w swoim gabinecie, gdy ten po bezsennej nocy i po rannym miotaniu się po mieście stawił się z rana u niego w domu. Strzał padł bez świadków. Gdy wbiegła przerażona służba, było już po wszystkim, a Hiszpański spokojnie oczekiwał na policję, która też niebawem się zjawiała.

Trzyosobowemu kompletowi sędzącemu przewodniczył sam – wspomniany już tu wcześniej jako protektor mecenasu Krajewskiego – prezes Sądu Okręgowego, Zakrewskij, człowiek cieszący się opinią niezwykle uczciwego i kompetentnego. W skład wchodził nadto bliżej nieznaną sędzią Łukomski oraz Aleksander Moldenhawer, wybitny znawca prawa karnego, autor licznych artykułów w prasie fachowej – w przyszłości zrobi karierę naukową.

Świadców wezwano aż 56, nie stawiło się dziesięciu – w tym obydwie żony: ofiary i zabójcy; przedstawiły one zaświadczenia lekarskie, że ich udział w procesie jest niemożliwy. Prócz lekarzy, którzy kurowali Hiszpańskiego lub członków jego rodziny, a także kolegów denata, którzy naświetlali sprawę ze swojego punktu widzenia, w procesie stanęło siedmiu psychiatrów, którzy badali Hiszpańskiego w czasie jego pobytu w więzieniu, gdzie nawiasem mówiąc, był traktowany nader względnie jako człowiek bezsprzecznie chory.

Mecenas Krajewski z faktu, że jako biegli zostali powołani najznamienitsi psychiatrzy, wykuł sobie najbardziej ostry miecz obrony. Po prostu wyłowił sprzeczności w ich opiniach i w swej liczącej blisko sto stron obronie jednych skrytykował, innymi się posłużył, jeszcze innych niemal skompromitował. Poużywał sobie mianowicie na nadętym nieco pyszałku uniwersyteckim, doktorze Kotielewskim, który nie znał ani słowa po polsku i ułatwił mu zadanie,

zabierając głos dość niefortunnie. A że on akurat był największym zwolennikiem uznania podsądnego za człowieka całkiem normalnego, siłą rzeczy można powiedzieć nieco złośliwie, że Henryk Krajewski pobił biegłych ich własną bronią: uczonością i dociekliwością. Po prostu rozebrał krytycznie ich ekspertyzy, zrećźnie wyłowił z nich sprzeczności, poukładał argumenty według swoich potrzeb i przed zdumionym prokuratorem, który oponował do końca – odmalował portret podsądnego według swoich planów.

„Mamy tu do czynienia – wywodził mecenas w konkluzji – przeważnie z chorobą jednoprzecmiotową, odnoszącą się głównie do pewnej tylko sfery stosunków podsądnego, chorobliwie traktowanej przez spaczoną jego wyobraźnię i unicestwioną wolę. Chorobą, odnoszącą się mianowicie do sfery jego stosunków małżeńskich i okoliczności chorobliwie z nimi przez podsądnego szczepionych. Skoro zaś w tej sferze chorobliwość wrażeń, wyobraźni i wniosków podsądnego została udowodniona, nie potrzebujemy już nawet zatrudniać się dyskusowaniem wolności psychicznej w innych sferach działalności podsądnego, wolności, która wszakże i w tych innych sferach okazała się urojoną, a dowodzenie tego o tyle tylko miało znaczenie, że było stwierdzeniem istnienia choroby w najbliższym jej siedlisku i właściwej sferze.

Podług prawodawstwa obecnie u nas obowiązującego do rzędu przyczyn wyłączających poczytalność odniesiona jest nie tylko niemoc umysłu i obłąkanie, ale także choroba przyprawiająca o szaleństwo lub o zupełną utratę przytomności. Samo przez się rozumie się, że utrata przytomności nie może tu być brana w literalnym i ogólnym znaczeniu, gdyż przy zupełnej utracie przytomności i pamięci niepodobnym jest wyobrazić sobie możliwości spełnienia przestępstwa. Zresztą, w myśl prawa tłumaczy się jasno w art. 97, według którego niepoczytalność, oprócz wypadków w art. 92 określonych, stosuje się także do osób, które utraciły władze umysłowe i rozsądek skutkiem starości, jako też lunatyków, którzy w paroksyzmach swego rozstroju nerwowego działają bez należytego rozeznania. Tym sposobem brak normalnej władzy wyrokującej, przy rozstroju nerwowym, jest już dostateczną zasadą do niepoczytalności w obecnym wypadku, którym głęboki rozstrój psychiczny, brak rozsądku i wolnej woli jest także wyraźnie faktami udowodniony.

Oskarżenie – kontynuował obrońca – wnosi o wymierzenie obwinionemu najsurowszej kary głównej. Kara taka względem niego równałaby się wyrokowi śmierci. Widocznym jest zatem dla każdego, że oskarżony, po przebyciu pierwszych stadiów choroby psychicznej, znajduje się obecnie w stanie postępującego upadku sił, otępienia. Prawo karze zbrodnię, ale nie chorobę. Chorego trzeba leczyć, a nie karać. Zamknięcie w zakładzie obłąkanych przyspieszyłoby tylko rozwój jego choroby, zamiast ją uleczyć. Ulgi w swych cierpieniach spodziewać się on może tylko od troskliwej opieki osób najbliższych sobie, a prawo w art. 96 upoważnia sąd do zapewnienia mu tej opieki.

Z tych zasad mam zaszczyt upraszać Sąd Okręgowy, ażeby na podstawie punktu 3 art. 92, art. 96 i 97 kodeksu karnego, tudzież punktu 1 art. 771 ust. post. karn. uznał podsądnego za niewinnego z powodu niepoczytalności zarzucanego mu czynu”.

„Hiszpańskiego niepodobna nazwać nawet oryginałem, ekscentrykiem – powiedział w swym bardzo długim wystąpieniu późnym wieczorem w niedzielę 26 września prokurator A. Markow. – Dużo ekscentryczniejszych ludzi spotykamy często w życiu. Nie! Hiszpański nie wariat, nie ma dlań miejsca w domu wariatów, podsądnego powinna dotknąć przepisana w kodeksie kara. On ją zrozumie i odczuje należycie i dlatego upraszam sąd o przyjęcie za podstawę wyroku konkluzji aktu oskarżenia”.

Następnego dnia mecenas Krajewski wygłosił replikę, a potem znów zabrał głos prokurator Markow. Teraz z kolei poświęcił sporo miejsca odpowiedziom na pytania: Czy

oskarżony miał powody do zazdrości, czy też była ona tylko płodem jego wyobraźni? Zdaje się – stwierdził zgryźliwie, choć część prasy mocno go już przedtem ganiła za niepotrzebne wywlekanie drastycznych szczegółów – materiału do rozwinięcia zazdrości miał aż nadto nie tylko mąż zazdrosny, ale w ogóle każdy mąż dbały o honor swej rodziny i czystość swego ogniska domowego. Dodał też, że oskarżony, „czując całą swoją winę, przede wszystkim usiłuje naśladować przed publicznością wariata, ażeby usprawiedliwić swe postępowanie względem żony i obronić honor żony i swojej rodziny, a jednocześnie uniknąć kary”.

Proces Hiszpańskiego pozostawił wiele znaków zapytania. Dla oskarżonego miał jednak epilog niezwykle korzystny. Sąd Okręgowy skazał go wprawdzie, po pozbawieniu wszelkich praw, na dwuletnie zesłanie do guberni irkuckiej z pozostaniem na Syberii przez 8 lat, jednakże „ze względu na stan chorobliwy, w jakim podsądny popełnił czyn pod wpływem przywidzenia, iż został ciężko obrażony”, skłonił sąd do wystąpienia do cara o zamianę tej kary na zamknięcie przez rok w twierdzy bez pozbawienia praw.

Tak też się stało. Hiszpański po powrocie do Warszawy znów był starszym Zgromadzenia Szewców, oboje małżonkowie żyli jeszcze długo, ale czy szczęśliwie? O tym już historia milczy.

## Sprawa hrabiego Ronikiera

PROCES KRYMINALNY HRABIEGO Bohdana Ronikiera, toczący się przed wszystkimi możliwymi instancjami sądowymi, stał się największym skandalem i jednocześnie – jeśli tak można powiedzieć – „wydarzeniem towarzyskim” w naszej stolicy na początku drugiej dekady ubiegłego wieku. Nawet wybuch pierwszej wojny światowej, który nastąpił wkrótce, nie wywołał takiego napięcia, sensacji i wrzenia nie tylko wśród miejscowej socjety, ale i wśród zwykłych ludzi, rzemieślników, szwaczek i pociejowskich kupców.

A sama zbrodnia byłaby przecież dość banalna, gdyby nie chodziło o hrabiego, którego oskarżono, iż zamordował swego 17-letniego szwagra, Stasia Chrzanowskiego, by otrzymać większy udział w spadku należącym się jego żonie.

Podczas procesu dr Józef Zawadzki, przewodniczący kolegium biegłych, opisał wyjątkowe bestialstwo mordercy, który zadał chłopcu 19 ran w głowę stalowym narzędziem. Słuchało tego mnóstwo ciekawskich, bo było to – jak napisała jedna z gazet – „coś, jak interesująca premiera teatralna”.

Wizji lokalnej sądu przy Marszałkowskiej 112 towarzyszyły tłumy, jezdni była zapchana, wstrzymano ruch kołowy. Wtedy też – jak informowała „Gazeta Sądowa Warszawska” – zwrócono się do sądu z prośbą o sfilmowanie rozprawy, co zdarzało się już w innych krajach, a w Warszawie byłoby precedensem. Władze sądowe jednak odmówiły, chociaż przedsiębiorca filmowy zadeklarował wysoką ofiarę na Czerwony Krzyż.

Zwłoki Stanisława Chrzanowskiego znaleziono 13 maja 1910 roku w hoteliku przy ulicy Marszałkowskiej 112, a właściwie w jednym z „pokojów umeblowanych” cieszących się najlepszą sławą. Wynajmowali je na ogół kochankowie pragnący ukryć swój romans przed światem, podejrzani geszefciarze, a czasem nawet ktoś bez zarzutu. Numerowy, który znalazł ciało, przypuszczał w pierwszej chwili, że chłopiec przybyły poprzedniego dnia otrul się lub zabił.

Władzom sądowo-śledczym ukazał się następujący obraz: na podłodze w kałuży krwi leżały zwłoki młodzieńca ubranego w gimnazjalny mundurek: spodnie miał z przodu rozpięte, a jego głowa była pokryta zakrzepłą krwią. Gdy wygolono ją później w prosektorium, dorachowano się w niej dwudziestu ran, jak przypuszczano, zadanych twardym, trójkątnym przedmiotem, którego jednak nie znaleziono.

Plamy krwi widniały wszędzie wokół: na pelerynie przerzuconej przez krzesło, na dywaniku znajdującym się obok głowy chłopca, wreszcie na meblach i podłodze oraz na dywanie zasłaniającym drzwi do sąsiedniego numeru 2. Numer 1 i 2 razem tworzyły jedno pomieszczenie wynajęte przez „Stanisława Chrzanowskiego, właściciela majątku Tuczapy”, jak głosiły bilety wizytowe znalezione obok ciała. Krwawe rozbryzgi stwierdzono i w korytarzyku obok, a przyległa komórka i klozet też były opryskane krwią. W komórcie znaleziono nadto poplamione krwią prześcieradło, dwa ręczniki i serwetkę.

Gałzka bzu leżąca obok trupa sugerowała, że pokój stał się miejscem miłosnej schadzki. Najbardziej zagadkowy okazał się jednak pięciostrzałowy rewolwer typu Smith & Wesson, też leżący w pobliżu. Znajdowały się w nim dwa naboje oraz dwie wystrzelone gilzy; piąta komora była pusta. W ciele chłopca nie znaleziono jednak żadnej kuli, nie było też żadnych śladów po nich w pokoju. Gdy broń poddano ekspertyzie, okazało się, że nikt ostatnio z niej nie strzelał.

Ponadto znaleziono podpisane przez ojca chłopca zaświadczenie, noszące datę z poprzedniego dnia; zwalniało go ono z zajęć szkolnych na najbliższe dwa dni. Na biurku leżało dwadzieścia rubli, obok kilkanaście pornograficznych rysunków, dwa niepodpisane weksle: jeden

na trzydzieści, drugi na sto rubli, a także oświadczenie na blankiecie „Pokoje umeblowane, Marszałkowska 112” podpisane przez właściciela Feliksa Zawadzkiego: „Otrzymałem od p. Stanisława Chrzanowskiego rubli osiemdziesiąt (80) za pokoje No 1 i 2 na czas od 9 marca do 9 kwietnia 1910 r.; za miesiące następne otrzymywać będę po rb 75”.

Na stoliku leżała otwarta koperta z żałobną obwódką i wykaligrafowanym napisem: „Po mojej śmierci”. Kartka w środku, też pisana kaligraficznymi literami, miała następującą treść: „Powoli zrozumiałem wszystko, niedobrych mam rodziców, bez serca i sumienia, w domu zawsze tylko kłamstwo i fałsz. Lepiej było pozbawić się życia, bo mam już ich dosyć. Staś Chrzanowski”.

Właściciel „pokojów umeblowanych” oraz numerowy od początku płatali się w zeznaniach. Ponieważ dowiedziono im, że byli w wielu istotnych szczegółach niespójne, a nawet kłamliwe, postawiono im zarzut współudziału w zbrodni. Obaj jednak od pewnego momentu zgodnie i konsekwentnie twierdzili, że pod koniec lutego oba przylegające, a mające oddzielne wejścia pokoje (taki był warunek osoby szukającej lokalu) wynajęła dla bogatego obywatela ziemskiego Stanisława Chrzanowskiego jakaś dama, która się nie przedstawiła. Miał on widywać się „z jakąś panią, która nie życzyła sobie, by ją ktoś widział”. Najpierw dała zadatek, a gdy spełniono wszystkie jej warunki dotyczące urządzenia wnętrza – uiściła resztę kwoty, na co został wydany stosowny rewers, znaleziony potem przy zwłokach.

W kilka dni po jej ostatniej wizycie – twierdzili obaj zatrzymani – zjawił się w hoteliku około 40-letni mężczyzna, wysoki, dobrze zbudowany, lekko przygarbiony szatyn o rudawych wąsach, ze śladem po monoklu na policzku i przedstawił się jako Stanisław Chrzanowski. Obejrzał pokoje, pobył w nich trochę i kazał zamiast łóżka wstawić otomanę. Nie pokazywał się potem jakiś czas, a gdy przyszedł ponownie – przyniósł dywan, którym polecił zasłonić drzwi w pokoju nr 1 wiodące na korytarz. Następnym razem już zanocował; rano zamiast niego znaleziono ciało chłopca.

Przepytywani dwaj koledzy, którzy jako ostatni widzieli Stasia Chrzanowskiego 12 maja po godz. 14.00, gdy razem opuścili szkołę, widzieli, że podszedł do niego na rogu Marszałkowskiej i Złotej mężczyzna wysokiego wzrostu, dość silnie zbudowany, ogorzały i przygarbiony, szatyn z monoklem w oku. Był ubrany w ciemnoszare palto i sportową czapkę. Z mężczyzną o podobnym rysopisie, już na Złotej, widzieli go jeszcze dwaj inni koledzy. Z kolei nauczycielka mieszkająca w pokojach umeblowanych Zawadzkiego spotkała chłopca o rysopisie Stasia w towarzystwie mężczyzny ubranego w ciemnoszare palto i sportową czapkę. Osobnik tak ubrany i podobnie wyglądający według opisu wszystkich poprzednich świadków w przeddzień wypytywał paru uczniów o Stasia, próbując ustalić, kiedy i którędy będzie on wracał do domu ze szkoły.

Wszyscy oni potem byli zgodni co do tego, że mężczyzną owym był hrabia Bohdan Ronikier, gdy policja wytypowała go spośród członków rodziny zabitego chłopca jako podobnego do opisu świadków. Palto, czapka, monokl, włosy, sylwetka, wzrost i inne szczegóły – wszystko pasowało. Ronikiera rozpoznali też właściciel „pokoi numerowanych” i numerowy. Mało tego, znaleziono handlarzy „starociami”, którzy nie mieli żadnych wątpliwości, że to właśnie hrabia kupił u nich dywan służący do zasłonięcia drzwi w pokoju nr 1 przy Marszałkowskiej 112.

Ustalono nadto, że hrabia już przedtem próbował znaleźć sposobne do zachowania tajemnicy pomieszczenie w hotelu Lipskim przy ul. Bielańskiej; nie było tam jednak dwóch pokojów przylegających do siebie. Jak z tego widać, policja rozwinęła bardzo szerokie

i intensywne śledztwo, by wyjaśnić tę „zbrodnię w wyższych sferach”. Dotarło chyba do wszystkich świadków, którzy mogli coś powiedzieć. Adwokaci, którzy twierdzili potem, że śledztwo zostało od razu ukierunkowane na hrabiego i nie brało pod uwagę innych wersji, naprawdę nie mieli racji. Po prostu wszystkie poszlaki wiodły do niego, czego on sam się chyba nie spodziewał.

Hrabia bowiem pytany o młodocianego szwagra scharakteryzował go jako młodzieńca zepsutego, lubiącego towarzystwo kobiet, mającego już dosyć zbyt surowego ojca i przemyśliwego o samobójstwie. Wszystko wskazywało na to, że w ten sposób pragnie oddalić od siebie podejrzenia i skierować śledztwo w inną stronę. Koledzy, członkowie rodziny, znajomi i nauczyciele mówili jednak o Stasiu w samych superlatywach, wystawiając mu jak najlepsze świadectwo moralności.

Poszlak wskazujących na hrabiego Ronikiera jako sprawcę zbrodni było jednak tyle, że Urząd Śledczy postanowił go aresztować. Tak to ów hrabia, średniej klasy dramaturg, znalazł się na Pawiaku.

W pierwszej instancji, gdy jego sprawa znalazła się 14 września na wokandzie Sądu Okręgowego, proces nie przyciągał jeszcze takiego tłumu ciekawskich, jak to miało miejsce potem, gdy zadziałała magia hrabiowskiego tytułu i publiczność wypełniała nawet ulice przed Pałacem Sprawiedliwości. Sprawozdawca „Gazety Sądowej Warszawskiej” notował swe spostrzeżenia z sali Kolumnowej pałacu Pacy na Miodowej: „Poza przelotnymi widzami, słuchaczami i słuchaczkami, którzy na parę godzin zawitali na salę głównie po to, aby zobaczyć oskarżonego Ronikiera, widzieliśmy pilnych i gorliwych bywalców, którzy nie opuszczali ani jednego posiedzenia. Było pośród nich kilka dziwnych indywiduów, które nie wiadomo jaką drogą dostawały się na salę i z których wyglądu i zachowania można było wnosić, że chyba nieobce są im bodaj niektóre ciemne strony sprawy i że, być może, stać ich na rzucenie na nie niejakiemu światła. Ale było i wiele osób, które z takim przejęciem śledziły cały przebieg rozpraw, że chodziło im oczywiście o coś więcej niż o zaspokojenie zwykłej ciekawości”.

Wielu spośród tych „dziwnych indywiduów”, o których wspominał adwokat-sprawozdawca sądowy, na pewno mogłoby pomóc rozwikłać tę tajemniczą sprawę, która była – jak czytamy dalej – „tak smutna, że smutniejsza chyba od wszystkich, jakie z ostatnich czasów mamy w swej pamięci”. Woleli jednak milczeć i dlatego wiele jej aspektów nie zostało chyba nigdy do końca wyjaśnionych.

Hrabia Bohdan Ronikier był dobrze znany w Warszawie ze swych ambicji towarzyskich i prac literackich. Redaktorował „Kurierowi Świętecznemu” i napisał kilka mrocznych utworów dramatycznych, obsesyjnie przesiąkniętych zbrodniami i występkami obyczajowymi; niektóre z nich przeanalizował potem przed sądem prokurator, dopatrując się w nich podobieństw i inspiracji do mordu, którego popełnienie zarzucał hrabiemu. Był też człowiekiem zazwyczaj mocno zadłużonym, którego – według słów kogoś, kto go dobrze znał – „cała praca mózgu skierowana była do tego, aby się wzbogacić”.

Już w czasie śledztwa zaczął przejawiać symptomy mogące świadczyć o chorobie psychicznej. Twierdził, że ukazał mu się św. Klemens i polecił założyć zakon „klemensistów”; nie jest zatem hrabią Ronikiem, ale Teodorem – przeorem klasztoru. Skierowano go więc na trzymiesięczną obserwację do Tworek. Tu ciągle się modlił, nosił różaniec i coś w rodzaju workowatego habitu z naszytym krzyżem. Ośmiu psychiatrów orzekło jednak, że udaje wariata i jest całkowicie poczytalny; takim też był w chwili zbrodni.

Ronikier nie przyjął tego orzeczenia do wiadomości i na ławie oskarżonych zasiadł

w owym mnisim habicie; zapuścił też długie włosy i nosił zmierzwioną rudą brodę. Zamiast monokla założył okulary; jak przypuszczano, zrobił to wszystko chyba po to, by utrudnić świadkom identyfikację swej osoby. Razem z nim prokurator oskarżał właściciela „pokoiumeblowanych” i numerowego – obu o współudział w zbrodni.

Przed sądem w ciągu dziesięciu dni przewinęła się blisko setka świadków; wszyscy zgodnie obciążali hrabiego. Liczni – wbrew temu, co mówił oskarżony, że krytycznego dnia przebywał w Lublinie – potwierdzili jego pobyt w Warszawie, lekarze zaś uznali, że hrabia robi wrażenie człowieka działającego z wielkim namysłem i plan zabójstwa oraz korzyści z niego płynące dobrze przemyślał.

W ostatnim słowie hrabia Ronikier nie wyszedł z granej roli. – „Zbrodnia, jak słyszę, popełniona była przed paru miesiącami – powiedział między innymi – a ja siedzę już od kilku lat w więzieniu, dokąd mnie Pan Bóg posłał, abym stał się duszpasterzem nieszczęśliwych. Widząc straszne ich cierpienia, zapominam o własnych. Jeżeli zbrodnię spełnił, niech mnie zaraz Pan Bóg powali. Ale ja nie padnę, bom nie zawinił!”

Wieczorem piętnastego dnia procesu rozpoczęła się narada nad wyrokiem; trwała kilka godzin i sąd ogłosił go dopiero po godz. 22.00. Hrabia został skazany na 15 lat katorgi i dożywotnie osadzenie na Syberii; obaj rzekomi współnicy wyszli na wolność, uniewinnieni.

„Rysunki pornograficzne – napisano w obszernym uzasadnieniu – znalezione w tece zabitego, musiały w każdym, kto znalazł się na miejscu zbrodni, zrodzić myśl, że zabity Chrzanowski był chłopcem zepsutym i rozpustnym. Dwa blankiety wekslowe zdawały się wskazywać, że nieboszczyk potrzebował znaczniejszych kwot pieniężnych, przewyższających zwykłe potrzeby jego wieku i zdobywał pieniądze drogą wystawienia weksli”.

Omówiwszy te wszystkie fałszywe tropy, sąd przyjął, że hrabia Ronikier, będąc w krytycznym położeniu majątkowym, miał zamiar usunąć w osobie Stanisława Chrzanowskiego zaporę do otrzymania części majątku przypadającego jego żonie. Zgodnie bowiem z wolą teścia, Bronisława Chrzanowskiego, za życia Stanisława małżonkowie Ronikierowie mogli otrzymać swoją część dopiero po jego dojściu do pełnoletności.

Sąd wyraził przekonanie, że Ronikier miał początkowo zamiar upozorować samobójstwo chłopca dokonane za pomocą rewolweru. „Powyższego planu – czytamy w uzasadnieniu wyroku – jednak z jakiegoś powodu, być może z obawy, że odgłos strzału mógłby usłyszeć ktoś będący w korytarzu, mordercy nie udało się wykonać, wobec czego zamordował on Chrzanowskiego, zadawszy mu ciosy w głowę jakimś tępym narzędziem, po czym ratował się ucieczką przez schody kuchenne, a drzwi wejściowe zamknął za sobą drugim kluczem, jaki niewątpliwie posiadał”.

„Symulowanie samobójstwa Chrzanowskiego – stanowczo stwierdził sąd – było w danym wypadku korzystne jedynie dla Ronikiera, dla każdego zaś innego mordercy symulowanie samobójstwa, jak w ogóle urządzenie tego wszystkiego, co znaleziono na miejscu przestępstwa, nie miałyby żadnego sensu ani znaczenia”.

Autor! Autor! – zdawałoby się wykrzyknął w tym miejscu sąd po przeanalizowaniu „sztuki” napisanej przez dramaturga, jak publiczność wywołująca go przed kurtynę. On jednakże nie taki przewidywał epilog, nic przeto dziwnego, że złożył apelację do instancji wyższej.

Na wokandzie II Departamentu Karnego Izby Sądowej jego sprawa znalazła się 3 lutego 1912 roku. W pałacu Krasieńskich Ronikier przestał „grać” zakonnik; z poprzedniego wcielenia zostały mu już tylko długie włosy i broda.

Świadkowie (wezvano ich teraz ponad sześćdziesięciu), przepytani przez kilka dni, niewiele nowego wnieśli do sprawy. Sam oskarżony z uporem twierdził, że dzień, w którym został zamordowany Staś Chrzanowski, spędził w Lublinie, gdzie zatrzymał się w hotelu „Victoria”; alibi to zostało już wcześniej zdezawuowane, jako że widziano go w pociągu do Warszawy. Mógł więc mieć pokój w lubelskim hotelu i jednocześnie przebywać w Warszawie.

Gorąco temu zaprzeczał w ostatnim słowie, które nie było już tak zdawkowe, jak w Sądzie Okręgowym, ale ciągnęło się przez kilka dni. Zbijał w nim punkt po punkcie tezy oskarżyciela, ale musiał przyznać, że dywan, który znajdował się na miejscu zbrodni, kupił osobiście i kazał go tam zawiesić. Zrobił to niechętnie, przyciskany przez sędziego przewodniczącego rozprawie, ale odmówił wyjaśnienia powodów; zasłaniał się „korespondencją, która zniknęła bez śladu”.

Izba Sądowa uznała, że dowody zebrane przeciwko hrabiemu są niewystarczające. Postanowiono przerwać rozprawę i wszcząć dodatkowe śledztwo.

Teraz opinia publiczna została doprowadzona do stanu wrzenia, a pytanie: winien czy nie winien? – podzieliło miasto na dwa obozy. Gdy 22 kwietnia 1912 roku proces wznowiono, na ławie oskarżonych zasiadł hrabia Ronikier, który przeszedł kolejną metamorfozę: miał krótko ostrzyżone włosy, zgolił brodę, zostawiając niewielki wąsik. W sumie zabiegi te znacznie go odmłodziły.

Sprawozdawcy sądowi odnotowali, że z nonszalancją wielkiego pana niedbale rozdawał uśmiechy i ukłony ludziom z towarzystwa, którzy licznie przybyli do sądu. Wzbudzał powszechną sympatię, zwłaszcza tych, którzy pamiętali jego sugestywne wystąpienia na poprzednich sesjach sądowych. Tym razem miał świetnych obrońców: miejscowego – Wacława Makowskiego, który w przyszłości miał zabyć jako wybitny profesor prawa karnego, a także petersburskiego – Bobriszczewa-Puszkina, syna; zastąpił on mniej błyskotliwego ojca.

„Gorąco na sali sądowej – notował ktoś z prasowej ławy – doszło do zenitu. Nie było ani jednego kącika wolnego; panie bez ceremonii siadały na parapetach okiennych, robiły sobie wymówki wzajemne z powodu objętości kapeluszy, gdzie indziej znowu użyczały sobie soli trzeźwiących, a zapach perfum przesycił powietrze. Słowem, napięcie dochodziło do punktu kulminacyjnego. Zupełnie jak w teatrze, gdy publiczność intrygą zaciekawioną oczekuje aktu ostatniego, mającego przynieść rozwiązanie zagadki”.

Najspokojniejszy był sam oskarżony: rozluźniony, swobodny, żartujący z adwokatami. „Czy to cynizm gracza, który stawia wszystko na ostatnią kartę i powiada sobie: *va banque!* Czy też swoboda dobrze wychowanego człowieka, pewnego sprawy swej i wyroku uniewinniającego?” – zastanawiał się dziennikarz.

W przyszłości, już po ułaskawieniu, hrabia miał się okazać nieprzeciętnym hazardzistą; był to więc niewątpliwie właśnie „cynizm gracza”.

Obrońcy w swych wystąpieniach snuli różne teorie: a to, że chłopca zamordowała występna kobieta, a to, że została zawiązana jakaś banda z udziałem osób związanych z „pokojami umeblowanymi”, które wynajmował zdemoralizowany Staś Chrzanowski. Żadna z tych teorii, a było ich znacznie więcej, m.in. przewinął się wątek homoseksualny, nie była jednak zbyt przekonująca. Oskarżony znów długo dowodził, że jest niewinny.

Wyrok, który miał być ogłoszony w dniu 12 maja, a więc w drugą rocznicę zbrodni, zgromadził tłumy. Publiczność wypełniła nie tylko sąd, ale i sporą część placu przed pałacem Krasińskich, siedzibą Izby Sądowej. I tym razem jednak nie ogłoszono ostatecznego werdyktu, ale zarządono zbadanie przez biegłych grafologów listu pożegnalnego chłopca. Poprzednio



bowiem został on uznany za falsyfikat, teraz jednak znalazł się biegły, który wyraził opinię, że był pisany ręką Stasia. Po tej rewelacji kilka dam spośród publiczności obrzuciło oskarżonego kwiatami. Oburzona prasa nazwała je „klientkami” hotelarza Zawadzkiego, pokrewnymi duszami zbrodniarza. Dyskutowano także wiele – podczas procesu i w prasie – o grafologii, stawiając pod znakiem zapytania jej przydatność do celów dowodowych.

17 maja ogłoszono wreszcie wyrok: Izba Sądowa uznała, że Ronikier nie jest winien zabójstwa umyślnego ze względów materialnych, lecz zadał ciężkie rany bez zamiaru pozbawienia życia. Został za to skazany na półtora roku rot aresztanckich, po pozbawieniu wszystkich szczególnych praw i przywilejów. Zawadzki – za ukrywanie przestępstwa – miał być osadzony w rotach aresztanckich przez rok. Po złożeniu kaucji: 3000 i 2000 rubli – obaj opuścili więzienie; Ronikier przebywał w nim od 17 maja 1910 roku.

Izba Sądowa uznała, że hrabia na śmierci Stasia zyskałby niewiele, a jego stan majątkowy nie przedstawiał się najgorzej. Zabił przypadkowo, bez premedytacji. Ponieważ dwóch biegłych wypowiedziało się pozytywnie o autentyczności listu – przyjęto ich opinię.

Nikogo to rozstrzygnięcie nie zadowoliło; prokurator, oskarżeni oraz rodzice zamordowanego chłopca podjęli kroki zmierzające do kasacji wyroku. Departament Karny Senatu w Petersburgu rozpatrzył jednak sprawę dopiero w połowie lutego następnego roku. Publiczności przy rozpoznawaniu sprawy przez najwyższą instancję sądową z reguły nie było; tym razem stało się inaczej, bo zainteresowanie było ogromne. Senat wyrok uchylił w całości i przekazał sprawę do ponownego rozpatrzenia przez Izbę Sądową. Hrabia znów znalazł się w więzieniu, bo postanowienie o kaucji także uchylono.

W połowie listopada 1913 roku sprawa została rozpatrzona po raz czwarty. Ronikiera broniło aż czterech adwokatów; trzech z Petersburga, a tylko mecenas Kazimierz Sterling reprezentował warszawską palestrę. Sprawozdawcy sądowi odnotowali, że oskarżony bardzo się ostatnio postarzał. Zapytany przez prokuratora, dlaczego podczas procesu w Sądzie Okręgowym symulował obłąd, najpierw uchylił się od odpowiedzi, a potem niechętnie i z wahaniem odpowiedział: „W strasznym zdenerwowaniu, pod wpływem myśli, która nie może pomieścić się w głowie człowieka tego co ja pokroju, że jestem oskarżony o taką zbrodnię, przyszyła na mnie rozpacz w tej ciasnej celi. Czułem, że gromadzonym przeciw mnie poszlakom trzeba coś przeciwstawić. Szczęściem, Bóg zesłał mi człowieka, który orzekł, iż jedynym moim dążeniem powinno być przewleczenie śledztwa, prowadzonego wówczas z szybkością kinematograficzną, iż dążyć powinienem, aby mnie sądzono nie za pół roku, ale za dwa lata. Im dłużej zwlekać, tym lepiej, bo wówczas przypadek wykryje wiele, wiele rzeczy. Przecież byliby mnie oskarżyli o to, że drugiego brata zrzuciłem w Szwajcarii w przepaść, jak to już mówiono...”

Skądinąd wiadomo, że owym „człowiekiem, którego zesłał Bóg” Ronikierowi, był sławny rzeźmieszek i kasiarz Hipolit Ritter, pseudo „Hipek Wariat”, z którym porozumiewał się przez ścianę celi w Więzieniu Śledczym na Mokotowie. Podobno też i „Hipek” wiele zawdzięczał hrabiemu, bo ten opłacił mu dobrego adwokata, co zresztą niewiele dało, bo Ritter został skazany i trafił na katorgę. I on jednak, wymieniając poglądy i doświadczenia z błyskotliwym sąsiadem przez ścianę, też udoskonalił umiejętność „strugania wariata” z wymiaru sprawiedliwości i w pełni zasługiwał odtąd na swoją ksywkę.

12 stycznia 1914 roku zapadł ostateczny wyrok. Ronikier został skazany na pozbawienie wszystkich praw stanu i 11 lat ciężkich robót, a po odcierpieniu tej kary na dożywotnie osiedlenie na Syberii.

„A jednak jestem niewinny!” – zawołał hrabia, usłyszawszy to orzeczenie.

Izba tym razem przyjęła, że Ronikier chciał upozorować samobójstwo chłopca; zrobił z niego rozpustnika i próbował zastrzelić. Gdy rewolwer zawiódł wskutek zepsucia się sprężyny, zadał mu kilkanaście ran ręką i pięścią, a dobił uderzeniem młotka, który przyniesiono do przybicia dywanu. Dowiedziono, że dywan ów osobiście zakupił, a w dniu zbrodni przebywał w Warszawie.

Zawadzki za usiłowanie skierowania śledztwa na fałszywą drogę został skazany na 10 lat ciężkich robót i dożywotnie osiedlenie na Syberii. Skargi kasacyjne obu skazańców nie zostały rozpatrzone z powodu wybuchu wojny. Do tego czasu hrabia był więziony na Mokotowie.

Gdy zarządzono ewakuację więźniów w głąb Rosji – jego, chyba na skutek przemówienia komuś „do ręki”, przeniesiono do więzienia w Arsenale jako rzekomo chorego na tyfus. W 1918 roku został zwolniony za kaucją i udało mu się uciec do Austrii. Deportowano go jednak do Polski w 1923 roku, a w 1927 roku – na prośbę matki – prezydent Mościcki ułaskawił go, darując pozostałe do odbycia kary dwa lata i osiem miesięcy więzienia.

W 1933 roku hrabia wydał książkę *Dzierżyński – czerwony kat*, parę razy wznawianą i tłumaczoną na angielski. Przynajmniej na początku utrzymywał się z hazardu; otworzył nawet w Warszawie przy ul. Chmielnej tajny dom gry, na który policja robiła częste obławy, a niebawem go zamknęła. Umarł w 1956 roku jako człowiek całkowicie niewidomy.

## Zbrodnia z wyższych sfer

ZBRODNIA TA – PODSTĘPNE zamordowanie Władysława księcia Druckiego-Lubeckiego, właściciela majątku Teresin pod Warszawą, w parku opodal jego rezydencji – wydarzyła się 21 kwietnia 1913 roku. Dopiero jednak na początku maja 1928 roku – po 15 latach śledztwa i w wyniku kilku procesów w różnych instancjach przed sądami rosyjskimi i polskimi – główny podejrzany, oskarżony i skazany – został w końcu uniewinniony.

Sprawca mordu pozostał nieznany, jak to nieraz miało miejsce w procesach wybitnie poszlakowych, gdy władze dochodzeniowo-śledcze od początku skupiały swą uwagę na człowieku, który jako ostatni przebywał z zabitym, lekcewały zaś ślady wskazujące na innych potencjalnych zabójców, co po latach było już nie do odrobienia.

Zwłoki księcia zostały znalezione po kilku godzinach jego nieobecności w pałacu. Właściciel majątku powrócił w sobotę do swego mieszkania w Warszawie z Petersburga, gdzie załatwiał sprawy majątkowe. Już w niedzielę wyjechał do Teresina z dobrym znajomym, Janem baronem Bispingiem. Gościł go do poniedziałku; Bisping, wymawiając się pilnymi interesami, postanowił powrócić do miasta, chociaż ksiązę – znany ze swej gościnności – robił co mógł, by go zatrzymać.

Po lunchu ksiązę zażądał podstawienia powoziku z końmi, bez stangreta, gdyż lubił sam powozić. Mieli jeszcze sporo czasu do odjazdu pociągu, a do stacji było niedaleko. Udali się więc na przejażdżkę po parku.

O piątej po południu, gdy ksiązę nie wrócił do pałacu, zaniepokojona służba zaczęła go szukać. Niektórzy byli zdania, że razem z gościem udał się koleją do Warszawy. Co w takim razie stało się z końmi i powozem?

O zmroku, obchodząc park, znalazł je bażanciarz (ksiązę Drucki-Lubecki założył w Teresinie sporą bażanciarnię) przywiązane do drzewa przy wąskiej drodze przylegającej do parku. W powoziku leżało futro, a opodal pod drzewem siedział ksiązę, w pozycji jakby spał. Od razu jednak było pewne, że nie żyje. Obok zwłok znaleziono złoty zegarek z rozerwanym łańcuszkiem; w kieszeni tykał drugi. Nie był więc to mord rabunkowy.

Co do tego bowiem, że ksiązę został zabity, nie było wątpliwości. Gdy następnego dnia dokonano oględzin zwłok i ich sekcji, stwierdzono na głowie księcia kilkanaście ran tłuczono-ciętych oraz dwie rany postrzałowe: jedna kula trafiła w kręgosłup, druga zaś weszła za uchem, a wyszła okiem, wysadzając je zupełnie. Oba strzały zostały oddane z tyłu, z bliskiej odległości, i oba okazały się śmiertelne. Wyciągnięto z tego wniosek, że ksiązę został napadnięty, bronił się, a gdy usiłował uciec – zastrzelono go z rewolweru.

Przepytano kolejarzy, ale żaden z nich nie widział księcia na stacji. Widziano natomiast dwóch mężczyzn, każdego oddzielnie i w innym czasie, ubranych w czarne garnitury wizytowe. Jednym z nich był prawdopodobnie baron Bisping, drugi pozostał postacią zagadkową. Ponieważ wykluczono motyw rabunkowy, jako przyczyna zbrodni pozostała zemsta. Jednak okazało się, że ksiązę Drucki-Lubecki właściwie nie miał żadnych wrogów; tak przynajmniej wynikało z zeznań świadków, gdy doszło do procesu.

W tej sytuacji w cieniu podejrzenia znalazł się strzelec Grzela, którego niedawno ksiązę wyłał z posady. Mówiono, że miał „najgorsze instynkty i był zdolny do wszystkiego”. Na jego

odzieży znaleziono wprawdzie ślady krwi, ale tłumaczył, że pochodzi ona z upolowanych przepiórek. W kręgu podejrzanych znalazł się również baron Bisping. Na możliwość popełnienia przez niego zbrodni mocno stawiano podczas postępowania odwoławczego przed Sądem Apelacyjnym już po wojnie, jak również wskazywano zagadkowy fakt, że policja bardzo szybko przestała się nim interesować. Świadczyło to o tym – zdaniem obrony – że barona „wrobiono” ze względów politycznych, by skompromitować polską arystokrację.

Baron Bisping został bowiem dość szybko wytypowany jako ewentualny zabójca. Najbardziej obciążało go to, że był ostatnią osobą, która widziała księcia żywego. Twierdził, że ich przejażdżka trwała około półtorej godziny. Po tym czasie spotkali na drodze „dwóch jegomościów ubranych z waszecia”, z którymi właściciel Teresina wdał się w pogawędkę. Stanął wówczas z boku, a ponieważ księżę Drucki-Lubecki długo z nimi rozmawiał, zniecierpliwił się i poszedł pieszo na stację. Pociąg właśnie odszedł, a następny do Warszawy – jak wskazywał rozkład – miał przyjechać dopiero za trzy godziny. Aby się nie nudzić, udał się pieszo do następnej stacji – Błonie, odległej o 12 wiorst (niecałe 13 km).

Do domu – zeznał – wrócił wieczorem. Spędził czas ze swoim plenipotentem, a o 22.00 wyjechał do Grodna, a później do swej posiadłości położonej w niedalekiej okolicy. Gdy 23 kwietnia wysłano tam depeszę zawiadamiającą o śmierci księcia, stawił się w Warszawie do dyspozycji policji, która pragnęła go natychmiast zobaczyć i usłyszeć, co ma do powiedzenia o swojej wizycie w Teresinie.

Tymczasem pod koniec kwietnia tamtejszy pałac, starannie opieczętowany przez policję, stał się obiektem dość dokładnej penetracji przez włamywacza. Zbił on szybę w oknie, wszedł do wnętrza, a następnie wyłamał łomem drzwi do gabinetu, gdzie przeszukał wszystkie skrytki, szafki, szkatułki, a przede wszystkim biurko. Przejrzał wszystkie papiery w poszukiwaniu jakichś dokumentów. Czy je znalazł? – tego nie ustalono.

Ustalono natomiast, że zginęła cenna broń myśliwska warta sporo rubli. Dwaj stróże, którzy mieli pilnować opieczętowanego pałacu, w pewnym momencie zdrzemnęli się i oczywiście nic nie słyszeli. Po włamywaczu czy włamywaczach nie pozostały żadne inne ślady. Pies policyjny nawet nie chciał podjąć tropu. Przeszukano starannie okolicę, ale znaleziono tylko żelazny łom.

Aresztowanie barona Bispinga wywołało w Warszawie ogromną sensację. Ten 33-letni arystokrata, obdarzony przez papieża tytułem szambelana, skoligacony przez żonę z Zamoyskimi, a przez nich z wieloma dworami europejskimi – został zatrzymany pod zarzutem zabójstwa z chęci zysku. Najpierw podejrzewano, że pokłócił się z księciem i w rozdrażnieniu go zabił, ale po trwającym blisko rok śledztwie prokurator zmienił kwalifikację i oskarżył go o mord z premedytacją. U Bispinga bowiem, podczas rewizji, znaleziono 6 weksli opatrzonych podpisem zamordowanego księcia, każdy na 50 000 rubli.

Bisping wyjaśniał, że są to weksle na pokrycie pożyczek udzielonych księciu, prokurator zaś twierdził, że podpisy podrobił podejrzany, by wyłudzić pieniądze. Czy były mu aż tak potrzebne, by ryzykować zabójstwo, skoro posiadał aktywa w wysokości około 600 000 rubli, nie licząc majątków rolnych? Stan jego posiadania potwierdził potem podczas procesu szwagier barona – Michał hr. Kossakowski.

18 maja 1914 roku sprawa barona Bispinga znalazła się na wokandzie Sądu Okręgowego w Warszawie. Spodziewano się ogromnego natłoku ciekawskich i dlatego proces toczył się w reprezentacyjnej sali balowej pałacu Paca przy ulicy Miodowej (dzisiejszy gmach Ministerstwa Zdrowia), gdzie miał siedzibę sąd. Ku rozczarowaniu prasy stawiało się jednak dość mało

publiczności, dopiero na ogłoszenie wyroku przybyło jej więcej.

Akt oskarżenia zarzucał Bispingowi, że „z postanowieniem z góry powziętym pozbawienia życia Władysława księcia Druckiego-Lubeckiego celem osiągnięcia korzyści materialnych zadał mu wystrzałami z rewolweru dwie rany w okolicach pasa i w głowę, z których ostatnia spowodowała śmierć”. Drugi zarzut dotyczył sfałszowania weksli „celem osiągnięcia korzyści sprzeciwiających się prawu”, a trzeci – usiłowania otrucia księcia za pomocą strychniny wsypanej do herbaty. Fakt ten miał mieć miejsce rzekomo rok wcześniej i był niezwykle zagadkowy, ale nie do udowodnienia.

Spśród wielu świadków uwagę publiczności przyciągały zwłaszcza żony – zamordowanego i oskarżonego. Zeznająca jako pierwsza Władysława księżna Drucka-Lubecka, którą śmierć męża zastała w Paryżu, wystawiła raczej dobre świadectwo domniemanemu zabójcy. Mąż – stwierdziła – bardzo cenił barona Bispinga, ordynata na Massalanach, i żył z nim w przyjaźni. „To człowiek w głowę” – powiedział kiedyś o nim. Wyraziła jednak zdziwienie, że ów znalazł się w posiadaniu weksli, bo nigdy nie widziała ani nie słyszała, by zmarły pożyczal u Bispinga pieniądze. Zawsze twierdził, że jego stan majątkowy jest dobry i dzięki temu nie musi sobie niczego odmawiać.

Przyznała jednak, że Teresin i jeszcze inny majątek na terenie Królestwa Polskiego nie tylko nie przynosiły dochodów, ale trzeba było do nich dokładać. Kiedyś na Teresin mąż wziął pożyczkę na weksle, ale je szybko spłacił. „Przecież mam dochody” – powiedział, gdy go o to spytała. Na koniec wdowa oświadczyła, że ksiązę nie miał żadnych wrogów; przeciwnie, wszyscy byli mu bardzo życzliwi.

Ordynatowa Bispingowa, z domu hrabina Zamoyska, twierdziła stanowczo, iż widziała na własne oczy, jak kiedyś ksiązę Władysław Drucki-Lubecki podpisywał mężowi weksle w bardzo charakterystyczny sposób: „na biurku, klęcząc na podłodze”, co ją bardzo zdumiało. „Popatrz, jak ten wariat Władzio podpisuje weksle” – usłyszała wówczas od męża. Był to ważny szczegół, bo mogło to mieć wpływ na charakter pisma, a właśnie co do tego były wątpliwości, które podnosili biegli grafolodzy.

– Czy zdziwiło panią – spytał ją adwokat Papieski broniący Bispinga – gdy mąż wróciwszy 22 kwietnia do Massalan, opowiadał, że szedł piechotą z Teresina do Błonia?

– Bynajmniej. Mąż mój chodził bardzo dużo i bez względu na pogodę – usłyszał w odpowiedzi. Był to ważny szczegół, bo w czasie owej, tak istotnej dla sprawy, wędrówki padał akurat gęsty deszcz.

Liczni świadkowie potwierdzali opinię księżnej, że jej mąż nie miał żadnych wrogów. Stangret Kazimierz Kiziak mówił, ocierając łzy ze wzruszenia: „Księcia wszyscy ludzie na rękach nosili, bo mieli od niego zarobku w bród, dziś jeszcze płaczą księcia, nikt nie miał przeciwności do niego!”

Gabriel Dazwański, administrator Teresina, dawał liczne przykłady na to, że jego chlebobawca był dobry dla włościan. „Ksiązę zapowiedział mi raz na zawsze – zeznawał – że z ludźmi trzeba się obchodzić i płacić dobrze, bo to nasi pracownicy. Wszystko jedno, czy pan wydasz kilkaset rubli więcej, czy tysiąc, mówił do mnie ksiązę, dla mnie w każdym razie wystarczy. Niechaj biedni ludzie mają zarobek. Ksiązę wrogów nie miał, lecz tylko przyjaciół, i gdy umarł, to wszyscy, i starzy, i dzieci, modlili się za niego” – zakończył swój długi hymn pochwalny na cześć zabitego.

Inna grupa świadków wystawiała nie mniej pozytywną opinię oskarżonemu. Szlachetny, miły, opanowany – to najczęściej przewijające się określenia. Pan Bisping to człowiek wierzący,

głęboko religijny, sprawiedliwy, uczciwy, moralny, posiadający wyborną reputację – zachwycił się swoim parafianinem proboszcz z parafii, do której należała ordynacja Massalany stanowiąca własność podsądnego. Sławił też jego hojność: „Bogaty, ale żył raczej skromnie. Kiedy przedsięwzięłem remont kościoła, bez udziału pana Bispinga nie zdołałbym nic uczynić. Koszt ogólny wyniósł piętnaście tysięcy rubli, pan Bisping pokrył z górą połowę tej sumy. Przed swoim aresztowaniem w pierwsze święto wielkanocne pan Bisping był na mszy o godzinie szóstej z rana, gdy zaś jechałem do Massalan święcić, to wiedząc o podejrzeniach, które padły na ordynata, postanowiłem go obserwować. Pozostawałem wówczas w Massalanach cztery godziny i przyszedłem do przekonania, że pan Bisping nie może być winowajcą” – zakończył zdecydowanie ksiądz to swoiste „świadectwo moralności”.

Biegli rzeczoznawcy nie byli jednoznaczni w ocenie dowodów. Rewolwer znaleziony u Bispinga był tego samego typu, co broń, z której zastrzelono księcia, ale nie było pewności, czy to z tego właśnie egzemplarza wystrzelono śmiertelne kule. Przy dzisiejszym stanie kryminalistyki byłoby to o wiele bardziej pewne; podobnie jeśli chodzi o włosy, które znaleziono na rękawiczce denata. Pochodziły one z głowy napastnika, a biegli – przyciśnięci przez obronę – mówili tylko, że są podobne do włosów Bispinga.

Dziennikarze obserwujący oskarżonego pisali w sprawozdaniach, że na sali sądowej wyglądał bardzo źle. Cerę miał koloru ziemi, policzki i skronie zapadłe. Bardzo się postarzał, ale bronił się z determinacją. „Wiedziałem – skarżył się w oświadczeniu złożonym w toku procesu – że tu, na tej ławie, czekają mnie chwile ciężkie, ale nie wyobrażałem sobie, iż będą tak straszne. Wiem – ciągnął – że to, co mówi oskarżony, nie ma dla sądu znaczenia, ale posiadam krewnych, przyjaciół, znajomych, którzy zawsze wierzyli w moją uczciwość, a dziś pod wpływem oskarżeń usłyszanych na sali sądowej mogą zadawać sobie jakieś pytania. Więc na wiarę moją, prochy ojca, prochy pierwszej żony mojej, na wszystko, co człowiek może mieć na świecie świętego, przysięgam wobec tu obecnej żyjącej żony mojej, iż jestem niewinny”.

„Nie popełniłem – zarzekał się – żadnego z przestępstw, o które mnie oskarżono, ani morderstwa, ani fałszu weksli, ani zamachu z trucizną. Gdybym pod wpływem okoliczności nadzwyczajnych, straciwszy panowanie nad sobą, zabił człowieka, wyznałbym wszystko i los mój zniósłbym z rezygnacją. Jeszcze raz powtarzam – zakończył swe pełne pasji i emocji oświadczenie – że jestem człowiekiem niewinnym!”

Zapewnienie to powtórzył już bez takiego napięcia emocjonalnego w ostatnim słowie. Zanim je wygłosił, sala z uwagą wysłuchiwała wystąpień mecenasów Śmiarowskiego i Papieskiego, doskonałych mówców, którzy nie pozostawili suchej nitki na akcie oskarżenia, zwracając uwagę na zaniedbania śledztwa.

„Mogę tylko wyrazić żal – grzmiał ten drugi – że władza śledcza, która z takim trudem zbierała wszelkie poszlaki przeciw oskarżonemu Bispingowi, nie dojrzała w czasie właściwym zawartości książęcego biurka, nie zarządziła ścisłej rewizji u służby księcia, bo kto wie, czy ta droga nie odsłoniłaby rąbka tajemnicy”.

„Nie naszym jest zadaniem – kontynuował adwokat – przedstawiać wam, panowie sędziowie, hipotezę istotnej prawdy tej tragedii zagadkowej, jak na początku sprawy nazwał ją pan przewodniczący. Nie mieliśmy bowiem i nie mamy tych środków, jakimi rozporządzała władza śledcza. Jest to niewątpliwie wielka tajemnica, jak tajemnicą pozostanie również osoba sprawcy kradzieży w pałacu teresińskim. Być może, iż kiedyś tajemnice te będą przeniknięte”.

Sąd po 24 dniach posiedzeń uznał, że poszlaki przemawiające przeciw Bispingowi są wystarczające i skazał go za zabójstwo w uniesieniu i fałsz weksli na pozbawienie szczególnych

praw i przywilejów, praw do majątku szlacheckiego i cztery lata rot aresztanckich.

Obrona wniosła, by ze względu na zły stan zdrowia skazanego, nadwątłego 14-miesięcznym pobyciem w więzieniu, sąd wypuścił go na wolność za kaucją. Prośba ta została odrzucona. Po złożeniu skargi decyzję zmieniono i Bisping wyszedł na wolność, zapłaciwszy 100 000 rubli kaucji.

Sąd przyjął, zestawiając zeznania świadków, że zabójstwo nastąpiło nie później niż o godz. 14.00. A więc oskarżony mógłby bez trudu zdążyć na pociąg, który się spóźnił parę minut i odjechał tego dnia o 15.20. Podczas wizji lokalnej ustalono, że na przejście tego odcinka drogi potrzeba tylko 14 minut. „Jest rzeczą niemożliwą – napisano w uzasadnieniu wyroku – by książę, znany ze swej uprzejmości dla gości, miał bez istotnych powodów zatrzymać się dla rozmowy z dwoma osobnikami i pozwolić Bispingowi wędrować podczas roztopów wiosennych i przy ulewnym deszczu pieszo na stację”. Nieprawdopodobne też było, zdaniem sądu, by ów wędrował aż do Błonia.

Przyjęto więc, że tylko on mógł być obecny przy zabójstwie, a jego nienaturalne późniejsze zachowanie świadczy przeciw niemu najbardziej. Także obecność krwawych plam na rewolwerze i kapeluszu Bispinga oraz identyczność broni oraz kul posłużyły jako poszlaki przy motywowaniu wyroku.

To wszystko zanegowała obrona w skardze kasacyjnej, zwracając nadto uwagę na fakt, że ordynat był o wiele słabszy od księcia i miał ograniczoną władzę w lewej ręce po wypadku samochodowym. Książę, na co wskazywały liczne ślady, stoczył przed śmiercią zażartą walkę z napastnikiem, jest więc niemożliwe, by i on nie zadał mu żadnych obrażeń. Bisping – co stwierdzono, poddawszy go oględzinom zaraz po zatrzymaniu – nie miał żadnych sińców, zadrapań ani innych śladów po stoczonej walce.

Wybuch pierwszej wojny światowej udaremnił rozpatrzenie kasacji i dopiero po jej zakończeniu skazaniec mógł wystąpić o wznowienie procesu. Akta, liczące 17 opasłych tomów, sprowadzono z Rosji; były oczywiście pisane po rosyjsku i zaszła potrzeba ich przetłumaczenia, czego Bisping musiał dokonać własnym sumptem.

Na początku stycznia 1926 roku przed Sądem Apelacyjnym w Warszawie odbyła się na nowo rozprawa przeciwko baronowi Bispingowi. Sporą sensację wywołały zeznania zastępcy naczelnika Urzędu Śledczego, Mariana Ludwika Kurnatowskiego, który w tej instytucji pracował i za czasów carskich. Gdy polecono mu – zeznawał – prowadzić sprawę zabójstwa księcia Druckiego-Lubeckiego, oberpolicmajster Piotr Mejer wywierał na niego presję, aby w tej sprawie nie był zbyt gorliwy. Gdy zaś Kurnatowski aresztował Grzelę, prokurator zwolnił go, mimo że na kurtce strzelca wyrzuconego z pracy przez księcia znaleziono krew i to w sezonie ochronnym, gdy nie wolno było polować.

Nie mniejszą sensację wywołał wniosek jednego z obrońców barona – mecenasa Żegilewicza (obrońców było dwóch, obaj z urzędu) – złożony w piątym dniu rozprawy, aby sąd powołał w charakterze świadka archiwistę Sądu Okręgowego, Andrzeja Hryniewicza. Ów bowiem, przeglądając akta sprawy – zauważył w nich zaprotokołowany wniosek sądu o wdrożenie dodatkowego śledztwa. Naczelnik więzienia zeznał bowiem, że pewien kryminalista wyznał przed śmiercią, iż to on dokonał kradzieży w pałacu po dokonaniu zabójstwa; wskazał też współnika, który miał odsiadywać karę w Saratowie. Sąd po naradzie przychylił się do tego wniosku, zarządzając jednocześnie poszukiwanie zaginionych akt śledztwa dotyczącego włamania i kradzieży w pałacu w Teresinie; akt tych, zdaje się, nigdy nie odnaleziono.

W mowie oskarżycielskiej – żądając dla Bispinga kary 15 lat ciężkiego więzienia –

prokurator Kamiński odwołał się do innej sprawy ordynata na Massalanach, która jego zdaniem może świadczyć, iż ów jest zdolny do najcięższych zbrodni. „Dla charakterystyki oskarżonego – powiedział – muszę podnieść fakt, że kiedy w 1919 roku włościanie zrabowali mu folwark, Bisping z całą zimną krwią, stając na czele oddziału, kazał ostrzelać wieś z karabinu maszynowego, własnoręcznie zaś podpalił cztery chałupy. Na moje pytanie, ile zagród włościańskich spłonęło, Bisping odrzekł cynicznie: może 7, albo 17, tego nie wiem. Ponadto Bisping w czasie badania postrzelił jakiegoś osobnika, który potem zmarł”.

Mecenas Żegilewicz w dłuższym wywodzie zakwestionował zasadność łączenia obu tych spraw. Wystarczy sobie uświadomić ówczesne położenie kraju, aby zrozumieć całą bezpodstawność tego zarzutu – dowodził i pytał dramatycznie: „W jaki sposób Bisping miał powstrzymać ten dziki potok? Z kodeksem czy z bronią w rękach? Dziś pan prokurator podaje nam opowieść, że podobno wówczas spłonęło 17 chałup. Nie wiem, czy tyle spłonęło, lecz to wiem i rozumiem, że czynu występnego Bisping przez to nie popełnił. Jeżeli pan prokurator usiłuje w wydarzeniach tych znaleźć pomoc dla swej tezy oskarżycielskiej – to się myli, bo co innego jest czyn zbrojny, co innego skrytobójstwo. Rozumowanie oskarżyciela idzie po linii jakiegoś anachronizmu psychologicznego – kontynuował mecenas – co sprawy nie wyjaśnia, a z punktu widzenia ustawy postępowania karnego jest niedopuszczalne!”

W późniejszym czasie, w październiku 1926 roku, w związku z tymi oskarżeniami prokuratury Bispingowi wytoczono proces przed Sądem Okręgowym w Grodnie. Został oskarżony o wiele przestępstw dokonanych w okresie przelomowym dla odradzającego się państwa polskiego, tj. podczas ustępowania okupantów niemieckich, gdy kresy nie były jeszcze objęte przez władze polskie. Ordynat na Massalanach tłumaczył się, że chłopci rozzuchwaleni zbliżaniem się wojsk sowieckich zaczęli rabować majątki polskie. Proces zakończył się uniewinnieniem Bispinga.

We wcześniejszym procesie jednak został skazany. Sąd Apelacyjny, podobnie jak Okręgowy przed wojną, nie dał wiary Bispingowi, mimo iż ów – jak poprzednio – stanowczo twierdził, że nie zabił księcia. Chociaż motywy wyroku zajęły aż 132 strony, zabrakło w nich odpowiedzi na najważniejsze pytanie: dlaczego zabił?

Przyjęto, że doszło między nimi do kłótni na tle rozliczeń majątkowych i Bisping – jak napisano w akcie oskarżenia – „z całą furią wpadł na księcia i błyskawicznymi razami ogłuszył, pozbawił możliwości obrony, masakrując głowę. A bił byle bić. Może na razie nie chciał zabić. Ale widok krwi rozjuszył go i w pewnym momencie oddał do niego dwa strzały i położył trupem. Po fakcie dokonany przyszło otrzeźwienie i myśl ratowania się ucieczką, a zupełna przytomność dopiero w domu”.

Taki przebieg zbrodni nie do końca jednak wydawał się przekonujący sądowni, bo zamiast żądanych przez prokuratora 15 lat ciężkiego więzienia skazał Bispinga tylko na 4 lata pobytu w domu poprawczym, a nadto zmniejszono mu tę karę o jedną trzecią na podstawie amnestii.

Sąd Najwyższy, do którego wpłynął wniosek o kasację złożony przez obrońcę, uchylił ten wyrok, dopatrując się w nim wielu sprzeczności. Sprawa znów trafiła do Sądu Apelacyjnego, który w innym już składzie w maju 1928 roku uniewinnił Bispinga. Na rozstrzygnięciu tym zaważyła niewątpliwie opinia dwóch wybitnych medyków sądowych: profesorów Leona Wachholza i Witolda Grzywo-Dąbrowskiego.

Tym razem ogłoszone motywy wyroku były jeszcze dłuższe, bo liczyły 143 strony. „Jeżeli oskarżony sam walczył i sam zabił – czytamy w nich – to musiałyby być krwią poplamiony i musiałyby doznać uszkodzeń cielesnych, tym bardziej że był częściowym inwalidą. Brak plam



krwawych na palcie i brak uszkodzeń cielesnych przemawia silnie na jego korzyść”.

Sąd wypowiedział się też bardzo krytycznie pod adresem pierwszej instancji: „Rosyjskie sfery urzędowe – czytamy – uwierzyły w winę Bispinga. Sędzia śledczy Czerwiakowski nie chciał w tej sprawie prowadzić śledztwa wstępnego, gdyż podprokurator Werysocki już po 20 minutach pobytu w Teresinie orzekł, że sprawa jest jasna, bo zabił Bisping. Można sądzić, że w winę tę mocno uwierzył i sędzia prowadzący w tej sprawie śledztwo”.

Zgorzkniały ordynat na Massalanach zamknął się w swoim majątku i stał się ponoć odludkiem. Przeżył drugą wojnę światową. Zmarł 1 stycznia 1947 roku w wieku niespełna 67 lat.

CZĘŚĆ III  
Polska międzywojenna

## Zabójstwo prezydenta

16 GRUDNIA 1922 ROKU, wkrótce po godzinie 12.00, Eligiusz Niewiadomski, lat 53, w młodości świetnie zapowiadający się, a później raczej niespełniony artysta malarz, strzelił trzykrotnie, z bliskiej odległości, przez futro, w plecy Gabriela Narutowicza. Prezydent odrodzonej Polski tylko przez trzy dni sprawował najwyższy urząd w kraju.

31 stycznia 1923 roku, o godzinie 7.20 rano, wykonano wyrok na zabójcy przez rozstrzelanie. Cytadela, na terenie której to nastąpiło, była otoczona kordonem wojska i żandarmerii. Skazaniec, któremu w ostatniej drodze towarzyszył ojciec kapucyn, nie życzył sobie, by przywiązano go do słupka i zakryto oczy opaską. Stał wyprostowany, ustawiwszy się tak, by pluton egzekucyjny mógł łatwiej celować.

Przed śmiercią wydał okrzyk: „Umieram za Polskę, którą gubi Piłsudski!” Dlaczego więc zabił Narutowicza? Gdy niezwykle długo i zawile próbował wyjaśnić to przed sądem, przewodniczący składu parokrotnie przywoływał go do porządku, by mówił na temat i w związku ze sprawą. Z jego wynurzeń wynika tylko tyle: miał zamiar zabić Piłsudskiego, ale zmienił zdanie, gdy z kolei Narutowicz właśnie stał się dla niego symbolem zła, które trapi Polskę. Tak to zamiast Piłsudskiego prezydent stał się kozłem ofiarnym jego fobii, obsesji i spekulacji politycznych.

Fakty są powszechnie znane, ale przypomnijmy dla porządku najważniejsze. Tak ujęto je w akcie oskarżenia: „Prezydent Narutowicz przybył do gmachu Zachęty Sztuk Pięknych na otwarcie wystawy. Powitany w westybulu gmachu przez prezesa Towarzystwa Karola Kozłowskiego oraz wiceprezesa Edwarda Okunia, Prezydent w towarzystwie ich wraz z szefem kancelarii Stanisławem Carem, adiutantami i ministrami oraz niektórymi przedstawicielami ciała dyplomatycznego udał się na pierwsze piętro do sali nr 1. Orowadzany przez Kozłowskiego i Okunia, oglądał wystawione dzieła.

Gdy prezydent zatrzymał się przed obrazem Kopczyńskiego, przedstawiającym gmach Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, spośród zgromadzonej za nim publiczności padły trzy jeden po drugim strzały. Prezydent zachwiał się, upadł i po kilku chwilach zakończył życie. Wiceprezes Towarzystwa, Okuń, usłyszawszy strzały, zwrócił się w stronę upadającego prezydenta i zauważył stojącego tuż za nim artystę malarza Niewiadomskiego z rewolwerem w ręku. Okuń schwycił Niewiadomskiego za rękę, a adiutant prezydenta, rotmistrz Ignacy Sołtan, wyrwał mu rewolwer z ręki. Niewiadomski oświadczył, że do nikogo prócz prezydenta strzelać nie miał zamiaru i że chce oddać się w ręce policji”.

„Sądowo-lekarskie oględziny zwłok prezydenta Narutowicza – czytamy dalej w akcie oskarżenia – dokonane za pośrednictwem biegłych lekarzy, prof. Wiktora Grzywo-Dąbrowskiego i pułkownika Eugeniusza Piestrzyńskiego, wykazały, że prezydentowi zadano trzy rany postrzałowe od tyłu, z tych dwie w klatkę piersiową, jedną zaś w okolice lędźwiowego kręgosłupa, przy czym jedna z kul przeszła na wskroś klatki piersiowej, uszkodziwszy płuca, przebijając serce i zadając ranę bezwarunkowo śmiertelną, powodującą natychmiastową śmierć.

Niewiadomski, zbadany w charakterze oskarżonego, przyznał się do winy, oświadczając, że zamachu na życie Prezydenta Rzeczypospolitej Narutowicza dokonał z powodu przyjęcia przez niego wyboru na to stanowisko, pomimo że ten nastąpił głosami «wrogów państwa polskiego». Zamiar swój powziął wtenczas, gdy stało się wiadomym, że prezydent przyjął ofiarowaną mu przez Zgromadzenie Narodowe godność. Od tej chwili Niewiadomski szukał

jedynie sposobności do wykonania swego planu, a wiedząc, że na otwarciu wystawy w Towarzystwie Zachęty zawsze bywał Naczelnik Państwa Piłsudski, przypuszczał, że nowo obrany prezydent zachowa ten sam zwyczaj; dlatego też udał się na wystawę, zabrawszy ze sobą w celu wykonania zamachu rewolwer posiadany od 1920 roku. Jako członek rzeczywisty Towarzystwa miał prawo wolnego wstępu na wystawę. Strzelał do prezydenta z odległości 1–2 kroków z tyłu, starając się trafić w klatkę piersiową; strzelał z tyłu dlatego, że strzelając z przodu, mógł zranić kogokolwiek z publiczności ugrupowanej za prezydentem”.

„Próbował uciec, ale został ujęty” – tak o zabójcy napisał Olgierd Terlecki (*Z dziejów drugiej Rzeczypospolitej*) w krótkim akapicie poświęconym zamachowi na Narutowicza. Niewiadomskiego pewnie by mocno dotknęło takie stwierdzenie, gdyż zawsze podkreślał, że nie miał najmniejszego zamiaru ratować swojej skóry. Pragnął publicznie przedstawić swoje motywacje społeczeństwu i swoim jawnym czynem wstrząsnąć sumieniami tych, którym dobro kraju – zagrożonego przez żydostwo i bezideowość – było zupełnie obojętne.

Gdy adiutanci prezydenta posadzili go na krześle *vis-à-vis Grunwaldu* Matejki, zachowywał – jak ktoś zapamiętał – „jakiś nienaturalny, kamienny spokój”. Obojętnie patrzył na wzburzoną publiczność wystawową, na młodego księdza spośród niej, który przy zabitym prezydencie odmawiał spóźnioną modlitwę za umarłych. Pewnie mocno by się zdziwił, gdyby wiedział, że Narutowicz, okrzyczany ateista i mason, tuż przed przybyciem do Zachęty złożył półgodzinną wizytę prawnicowemu politykowi, kard. Aleksandrowi Kakowskiemu, którego prosił o błogosławieństwo; otrzymał je – jak po latach wspominał metropolita warszawski – razem z rozgrzeszeniem. Prezydent nie był widać takim niedowiarkiem, jak to po wyborze przesadnie akcentowano, by podważyć jego „swojskość”. Nie złożył także, jak umożliwiła procedura, przysięgi w Zgromadzeniu Narodowym w wersji laickiej, ale na krzyż Chrystusowy.

Naoczni świadkowie odnotowali, że siedzący przez długi czas jak kukła Niewiadomski raz tylko ożywił się, gdy zszokowany brat malarza Stanisława Witkiewicza wykrzyknął w jego stronę: „Jak mogłeś podnieść rękę na pierwszego obywatela Polski!?” – Wybranego za żydowskie pieniądze! – odkrzyknął mu na to zabójca.

W okrzyku tym została zawarta cała filozofia zbrodni, jej główny powód „ideowy”. Prawnicowa prasa podniosła bowiem po wyborze prezydenta ogromne larum, że wysunięto go i wybrano wbrew większości polskiej głosami mniejszości narodowych, zwłaszcza zaś Żydów. Było to o tyle dziwne, że gdyby obóz narodowy w zgodzie z „Piastem” poparł kandydaturę Stanisława Wojciechowskiego, to już wówczas właśnie on zostałby „prezydentem wszystkich Polaków”, a nie dopiero po wstrząsającym mordzie popełnionym na Narutowiczu. Prawica wszakże z właściwą sobie swarliwością i niechęcią do zawierania kompromisów zlekceważyła taką możliwość. Mniejszości narodowe nie miały zresztą w ówczesnym sejmie żadnej nadreprezentacji, przeciwnie – skoro stanowiły 30% ogółu ludności, a ich przedstawicielami w parlamencie było tylko 20% posłów. Pretensje zaś do Narutowicza, że dał się wybrać także ich głosami, były po prostu niepoważne.

Zaraz po zabójstwie prezydenta prasa lewicowa, i nie tylko zresztą ona, oskarżyła Narodową Demokrację o sprowokowanie tego politycznego mordu. Ofiarą bowiem nagonki na Narutowicza stał się nie tylko on sam, ale i Niewiadomski, zaciekle prawicowiec i człowiek podatny na sugestie. Oto krótkie wyimki z najbardziej charakterystycznych artykułów prasowych.

„U samego progu odnowionych dziejów państwa polskiego – pisał zaraz po zbrodni «Kurier Polski» – stanęła ohydna mara nienawiści: morderstwo polityczne. Bo choć nikczemnik

i głupiec, który wczoraj zabił pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej, nie reprezentuje żadnej politycznej myśli, choć jest tylko zwyrodniałym typem tego kabotynizmu, którego genealogia idzie wstecz do efezkiego podpalacza – to jednak płomień do jego pochodni wyszedł z tej atmosfery nienawiści i gwałtu, którą wytworzyły złe duchy Polski w dniach ostatnich”.

„Kurier Poranny” z dnia następnego dał już wyraźniejszy adres do swego oburzenia, wskazując na „bandytów pióra o rabskich duszach, którzy swoją uległość i potulność wobec rządów zaborców wetują sobie obecnie szarpaniem powagi władzy polskiej, którzy systematycznie sączą jad anarchii w nasz organizm społeczny”. „Musimy dopilnować – czytamy dalej – aby zostały zasypane te cuchnące kałuże trucizn endeckich, z których na Polskę całą rozchodzi się fetor moralny. Dlatego też pierwszym krokiem do poprawy naszych zatrwających stosunków musi być obezwładnienie i unieszkodliwienie tych łotrzyków pióra, którzy swoją podłą, pozbawioną wszelkiej odpowiedzialności działalnością dziennikarską nastawiają pugnał skrytobójstwa i zdrady między dziećmi wspólnej Matki i mnożą pośród nas Kainów”.

Podjezwano nawet prawicę o spisek zawiązany w celu zgładzenia Narutowicza; proces sądowy tego nie potwierdził. Potwierdził natomiast to, co „Przegląd Wieczorny” pisał dwa dni po zbrodni, obciążając odpowiedzialnością moralną obóz narodowy: „...morderca podaje jako pobudki te wszystkie występne kłamstwa, którymi nacjonałiści obrzucali wybór prezydenta. Jest on duchowo ich człowiekiem, uchwała Zgromadzenia Narodowego była dla niego hańbą i występkiem, tak samo jak dla nich, nie uczynił on nic więcej, jak tylko wcielił zasady w praktykę i z przesłanek wyciągnął wniosek”.

W tym duchu oskarżał też „Robotnik” następnego dnia: „Nie nawoływaliście jawnie do morderstwa Narutowicza, ale rzucaliście hasła, które musiały do mordu doprowadzić. W tej tragicznej sprawie obnażyliście tragicznie swą duszę. Spowodowaliście czyn, którego nie znaly dotąd dzieje Polski, skrytobójstwo głowy państwa w Rzeczypospolitej wolnej i praworządnej. Ciemna, niekulturalna, półdzika w swych obyczajach szlachta polska nie uczyniła nigdy rzeczy tak ohydnej, na jaką zdobyli się w XX wieku ludzie, zarażeni czarnoseciństwem”.

Endecy natomiast winili samego Narutowicza, że przyjął wybór i sprowokował zbrodniczy czyn. Ich organ – „Gazeta Poranna 2 grosze” – ubolewał po zbrodni: „Dziś wszyscy widzą, do czego prowadzi lekceważenie historycznych instynktów narodu i zastępowanie ich surogatem taktycznych posunięć. Tragedia wczorajsza jest groźną oznaką położenia, w jakie nas wpływy obce, międzynarodowe, żydowskie wpędziły, skoro zaczynamy się wbrew narodowemu charakterowi i tradycjom wzajemnie mordować. Zguba nad nami wisi. Jeśli tych wpływów nie rozpoznamy i nie skupimy się koło sztandaru narodowego, w którym jedyny ratunek przed anarchią i katastrofą – zginiemy”.

Stanisław Stroński natomiast, oburzając się na łamach „Rzeczypospolitej” na ludzi obciążających prawicę za zamach, wołał patetycznie: „Ciszej, dużo ciszej, obok tej otwartej trumny, panowie oskarżyciele! Dzisiaj nie pora na wykrywanie wszystkiego, ale przyjdzie wkrótce chwila spokojnego sądu dziejowego, który powie: Ś.P. Gabriela Narutowicza wystawili na sztych wyboru przeciw większości polskiej, a głosami tylko mniejszości polskiej z rozstrzygającym wpływem obcych narodowości, tacy, którzy sami dla siebie wyboru takiego nie chcieli i nie przyjęliby, a także głosowaniem swoim poparli to tacy, którzy sami przekonani byli o słuszności zasady większości wyłącznie polskiej”. Upraszczając ten skomplikowany wywód, w konkluzji dojść trzeba do wniosku, że za zbrodnię odpowiada sejm, który wyboru dokonał.

Sąd doraźny czy zwykły? Rząd wyraził opinię, i to już od razu na posiedzeniu w trzecim dniu po popełnionej zbrodni, że Niewiadomskiego należałoby osądzić w trybie doraźnym „ze względu na oburzający charakter jego zbrodni wymagającej stanowczej i natychmiastowej represji”. Odmienne zdanie miał sejm i ono przeważało: do osądzenia zamachowca właściwy jest Sąd Okręgowy.

Po dokładnym zapoznaniu się ze stenogramem procesu trudno się oprzeć wrażeniu, że Sąd Okręgowy pod presją czasu działał w tym przypadku jak sąd doraźny: ustalono najważniejsze fakty, obrońca nie zgłosił żadnych wniosków procesowych, wysłuchano, co miał do powiedzenia oskarżony – miał niezwykle dużo, tylko zupełnie nie na temat – a potem w pośpiechu wydano wyrok zgodny z oczekiwaniami opinii publicznej, linią obrony i życzeniem samego oskarżonego. Niezgodny tylko – bagatela! – z logiką procesu karnego i paroma zasadami podstawowymi dla sprawiedliwego wyrokowania, a zwłaszcza ustalenia stanu psychicznego oskarżonego przed zbrodnią i *tempore criminis*. Biegli wprawdzie byli – nawet sławny później medyk sądowy, Wiktor Grzywo-Dąbrowski, który zaczął być właśnie karierę uniwersytecką – ale wypowiedzieli się tylko w kwestiach balistycznych i przyczyn zgonu denata.

Ponieważ Eligiusz Niewiadomski nie zamierzał się bronić przed sądem, a pragnął tylko wykorzystać ławę oskarżonych do uzasadnienia – w swoim mniemaniu strasznego, ale nieuniknionego, bo koniecznego – popełnionego czynu, nie był zainteresowany wybraniem sobie adwokata. Do reprezentowania go w sądzie jako obrońca z urzędu adwokat zgłosił się sam; był nim mecenas Stanisław Kijeński, wsławiony za czasów carskich udziałem w procesie Wielkiego Proletariatu i innych procesach politycznych.

Teraz jako wielki sympatyk i członek Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego postanowił ze sprawy Niewiadomskiego zrobić proces *stricte* polityczny, przedstawiając zabójcę jako – wynikło to potem z jego strategii obrończej – mściciela zdrowej części narodu, której żywotnym interesom zagroził Piłsudski pospołu z Żydami, masonami i lewicą. Niewiadomski to odkupiciel i zbawca Polski – tak można byłoby najkrócej scharakteryzować jego stosunek do klienta. Żydostwo wybrało Narutowicza, żydostwo jest winne jego śmierci – oto jego logika.

Obserwującego proces mecenasa Leona Okręta najbardziej oburzył fakt, że obrońca Niewiadomskiego mord polityczny na prezydencie ciągle i konsekwentnie określał jako „incydent” bądź „zdarzenie” i czynił wszystko, co możliwe, by usprawiedliwić nikczemny czyn swego klienta wyższą koniecznością. „Jakże surowym – napisał potem Okręt – jest adwokat Kijeński dla zabitego prezydenta! A jak surowa będzie potomność dla tej surowości adwokata, jeśli, co wątpliwe, zajmie się nim kiedykolwiek”.

Wątpliwości co do poczytalności Niewiadomskiego nawet mu nie powstały w głowie, a wniosek o powołanie biegłych psychiatrów, by wypowiedzieli się w tej kwestii, nie przeszedłby mu wręcz przez gardło. To, że Niewiadomski bardzo ograniczył mu pole obrony, sprowadzając jego rolę tylko do „czuwania nad biegiem procesu”, nie może jednak przysłaniać faktu, że adwokat nie podniósł przed sądem żadnych argumentów, które przemawiałyby za zastosowaniem innego środka niż kara śmierci. Uczynił to, co stawia go w bardzo dwuznacznej sytuacji wobec kanonów etyki uprawianej profesji – nie on, ale jeden z sędziów, Jan Kozakowski, składając poprawnie prawniczo skonstruowane *votum separatum* od wyroku.

Oto do czego prowadzi sytuacja, gdy również obrońcy zależy na uczynieniu swego klienta męczennikiem.

Zaraz po zamachu nawet pravicowa prasa obwołała Niewiadomskiego szaleńcem, by zrzucić z endecji odpowiedzialność za jego zbrodnię. Ci, co go znali, też stawiali pod znakiem zapytania jego poczytalność. „Gazeta Warszawska” jeszcze tego samego dnia napisała: „Mordercą jest człowiek, którego stan umysłu od dawna budził wątpliwości i który nie po raz

pierwszy w drodze gwałtu torował drogę swoim przekonaniom. Dotąd co prawda chodziło o jego przekonania artystyczne i twórczość malarską (...)

„Robotnik” zaraz po zbrodni zarzucał endecji: „Znaleźliście dla siebie usprawiedliwienie w tym, że mordercą miał być wariat. Któż wam uwierzy, że tym wybiegiem kwestia współwiny została załatwiona? Czy człowiek, który z premedytacją obmyśla swój plan, na chłodno przewiduje okoliczności, w których będzie mógł spotkać się ze swoją ofiarą, wdziawa strój uroczysty, udając się na paradę, i chowa rewolwer do kieszeni – jest niepoczytalny?”

Nowy premier, generał Władysław Sikorski, natychmiast zapowiedział, że gdy Niewiadomski stanie przed sądem, ów zbada jego poczytalność, gdyż „robienie z zamachowców wariatów weszło w zwyczaj i nikt temu nie uwierzy”. Dlaczego tak się nie stało?

Od tej pory w opinii publicznej nastąpiła charakterystyczna zmiana. Jedni uważali, że podkreślanie nienormalności uwolni zabójcę od zasłużonej kary i zdejmie odium współwiny z prawicy, natomiast endecy chcieli mieć swego męczennika, a człowiek psychicznie podejrzany byłby wątpliwy w tej roli. Etykiety wariata najbardziej bał się sam oskarżony.

W trakcie procesu szef Zachęty opowiadał o zamachu jako jego bezpośredni świadek. Stwierdził, że nie znając przedtem Niewiadomskiego, spytał stojącego obok malarza Jana Skotnickiego, kim jest człowiek, który strzelił. Ów mu na to odpowiedział: „To Niewiadomski. To ten wariat, dlatego minister Ponikowski usunął go ze stanowiska”. Oskarżony, gdy tylko sąd udzielił mu głosu po zeznaniach tego świadka, długo go naciskał, aż doprowadził swymi pytaniami do tego, iż ów przyznał, że wypowiedź Skotnickiego zrozumiał nie w dosłownym sensie. „Wariat” znaczyło w tym przypadku dla niego nie człowiek psychicznie chory, ale tylko osoba nie zrównoważona i trudna w pojęciu.

Mecenas Kijeński też drażył ten wątek i spytał wprost Skotnickiego, gdy ów stanął za barierką dla świadków:

- Czy to pan powiedział o Niewiadomskim: „to ten wariat”?
- To dotyczyło pewnej prostolinijności, która wywołała pewne nietakty, zwane przez ludzi „narwanością”, mimo że jednak panował nad sobą. To dotyczyło pewnej bezwzględności w stosunku do ludzi, co do których miał takie, a nie inne wątpliwości. To dotyczyło tej egzaltacji, przesady, nadczołości.
- Jednym słowem „wariat” nie było określeniem jego charakteru?
- Nie.

Dalej świadek zeznał: „To jest człowiek, który szedł przez życie i był deklamatorem (...). Przyjmował on bezkrytycznie literaturę agitacyjną taką czy inną, nie rozróżniając, gdzie jest agitacja, a gdzie przedstawiony faktyczny stan rzeczy. Sądzę, że jako artysta przy pewnej wrażliwości mógł sobie sztucznie przedstawić sytuację na zasadzie literatury”.

Malarz Jan Skotnicki, znający dobrze Niewiadomskiego, jako że przez dwa lata siedzieli biurko w biurko w Ministerstwie Sztuki i Kultury, tak o nim napisał po latach: „Mam wrażenie, że stosunki osobiste i trudności życiowe po otrzymaniu dymisji zrodziły w jego głowie myśli samobójcze. Chciał jednak popełnić samobójstwo, wykorzystując je jednocześnie na wielki, efektowny, historyczny czyn. Tym czynem i jednocześnie samobójstwem stało się zabójstwo Narutowicza. Może myłę się, ale takie miałem wówczas wrażenie”.

„Był to człowiek na wskroś nerwowy, niestatecznego usposobienia, pożerany przez jakąś niezdrową ambicję” – wspominał Niewiadomskiego Ludwik Krzywicki pamiętający go jeszcze z lat studenckich. Do tych dwu opinii sformułowanych przez ludzi dobrze go znających warto dorzucić jeszcze to, co o zabójcy napisał Antoni Słonimski w swoim *Alfabecie wspomnień*: „Był

moim profesorem w Szkole Sztuk Pięknych. Wysoki, w binoklach, szczupły, sztywno chodząca normalność”. Ale i ta „normalność” mocno się wydawała podejrzana temu błyskotliwemu obserwatorowi ze skrzywieniem satyrycznym: „Chyba jedna cecha szczególna. Nie uśmiechał się. Nie miał poczucia humoru”. I pointa: „Poczucie humoru i dowcip to antybiotyki zabójcze dla wirusów fanatyzmu”. A na te wirusy był ów niespełniony malarz szczególnie nieodporny.

W swej mowie obrończej mecenas Kijeński jeszcze raz mocno podkreślił, że oskarżony to nie szaleniec, ale idealista pchnięty do zbrodni nakazem wewnętrznym. „Pan Niewiadomski nie mógł tego bólu, który go rozsadzał, ukoić. W porachunku z tym bólem, może nawet nieświadomie, uległ parciu wewnętrznego nakazu, a wolna wola jego przestała działać”. Wniosku o „zbrodni w afekcie” jednak nie wyciągnął; znalazł się on dopiero w *votum separatum* sędziego Kozakowskiego. Ustanowiony obrońca wołał natomiast inne tony, bo tak rzecz kontynuował: „Co za bezmierna tragedia w duszy człowieka, który decyduje się na spełnienie czynu, uznawanego przez niego samego, sprawcę, za czyn straszliwy! Okoliczności okropne naszego życia publicznego przedstawione przez oskarżonego, które go do czynu pchnęły, zostały wywołane tak przejrzyście, że i bez mojego uzupełnienia spowodować one muszą powszechne wgłębienie się w nie wszędzie tam, gdzie w sercach tkwi ofiarna miłość ojczyzny”.

Obrońca uciekł w patos, jakby zapomniał o tym, co powiedział tuż przed nim oskarżyciel, prokurator Kazimierz Rudnicki: „Oskarżony nie umie ogarnąć całości, tej całości nie widzi (...). I dziś w tym, zdawałoby się, logicznym opowiadaniu, kiedy oskarżony mógłby rozwinąć swoje myśli – myśl ta ciągle się rwała (...). Ujawniło się nam wszystkim, jak bardzo w jego czynie brak tej logiki wypadków i wewnętrznej spójności, brak myśli przewodniej, logiki, wiążącej fakty między sobą i dającej ostateczny wynik”. I on jednak podkreślił, że Niewiadomski to: „Nie szaleniec w sensie psychopatologicznym, ale w tym sensie, że czyn jego nie ma żadnej podstawy, jest na niczym nieoparty. Z ciekawością słuchałem – dodał z sarkazmem – przemówienia oskarżonego i mniej teraz wiem o przyczynie śmierci prezydenta niż po pierwszym przesłuchaniu”.

Jeszcze tego samego dnia, w którym rozpoczęto proces, Sąd Okręgowy w trzyosobowym składzie (!) orzekł karę śmierci. W wyroku podniesiono, że chociaż w myśl prawa karę tę można orzec tylko „w wyjątkowych warunkach danego wypadku”, to te właśnie tu nastąpiły; polemizowało z tym wspomniane już „zdanie odrębne”.

Po dwu tygodniach – zamiast wnieść apelację – skazaniec przesłał do Sądu Okręgowego pismo następującej treści: „Oznajmiam niniejszym, że wyrok przyjmuję. Wszelkie podania o ułaskawienie, o ile by takowe z czyjejkolwiek strony wpłynęły, proszę uważać za złożone bez mojej wiedzy i wbrew mojej woli. O ile by na podaniu znalazł się mój podpis, proszę uważać go za nieautentyczny”.

Z ogólnej akceptacji „normalności” Niewiadomskiego wyłamał się jedynie znany warszawski adwokat i literat w jednej osobie, popularny zwłaszcza w tej drugiej postaci – Leo Belmont. W tydzień z górą po wyroku ogłosił on w prasie list otwarty do Prezydenta Rzeczypospolitej. Stwierdził w nim, że obserwując w czasie procesu oskarżonego, doszedł do przekonania, iż jest on człowiekiem niepoczytalnym, który „chce, musi zostać męczennikiem”. Jego krew – dowodził – jeszcze bardziej podzieli społeczeństwo i zaszkodzi zarówno lewicy, jak i prawicy.

Ten głos rozsądku nie odniósł jednak skutku. Po uprawomocnieniu się wyroku nowo wybrany prezydent Stanisław Wojciechowski nie skorzystał z prawa łaski i odesłał akta z adnotacją: „Ani w aktach, ani w sumieniu nie znajduję podstaw do zmiany wyroku sądowego”.



Zagadkę swojej „poczytalności” Niewiadomski zabrał do grobu. Nawet nie zbadano jego mózgu, bo żołnierze – na jego wyraźne życzenie – mierzyli w głowę, która uległa roztrzaskaniu.

Znalazł się jednak psychiatra, który „zastąpił” biegłych sądowych. Był to dr med. Maurycy Urstein, później autor dzieła pt. *Przestępczość a psychoza*; opublikował on też inne prace, także w językach obcych, także o katatonii. Medyk ów przeanalizował osobowość Niewiadomskiego na podstawie stenogramu procesu, *Kartek z więzienia* – broszury, którą skazaniec napisał po zabójstwie, a także twórczości malarskiej i krytycznej. Wyniki swych dociekań zawarł w broszurze *Eligiusz Niewiadomski w oświetleniu psychiatri*; w sumie doszedł do wniosku, że zabójca Narutowicza był katatonikiem.

*Wielka encyklopedia powszechna PWN* definiuje katatonię jako „zespół zaburzeń psychicznych, należących zasadniczo do schizofrenii, który obejmuje osłupienie i podniecenie katatoniczne; oba te składniki zespołu są wywoływane zahamowaniem szeregu wyższych funkcji ośrodkowego układu nerwowego (...)”.

Doktor Urstein tak scharakteryzował osobę zabójcy: „całe życie jego jest wyrazem owej ciężkiej choroby [katatonii], która z żywiołową koniecznością musiała doprowadzić do owego tragicznego rezultatu. W każdym razie nie był on zdolny właściwie pokierować swoim życiem i zdobyć sobie należne stanowisko społeczne. Przy tym pozwolił się stopniowo opanować ideom, które, być może, pierwotnie wynikały jeszcze z niechęci osobistych, lecz które w następstwie rozwinęły się w tak oczywiście niedorzeczny sposób, że ich związek ze stanowiska psychologicznego wcale ująć się nie daje. Do tego dołącza się wielka nietrafność, raczej zupełny brak sądu, słaba wola, megalomania w ocenianiu własnej osoby, typowe idee reformatorskie, nieobliczalne postęпки, dziwactwa w obejściu i inne cechy charakterystyczne dla katatonii”.

Psychiatra dał sporo przykładów takich zachowań i podkreślił, że Niewiadomski, jak typowy katatonik, „łatwo ulegał wpływom i sugestii” i nie mając stałych przekonań, łatwo przejmował cudze myśli, a następnie uważał je za własne.

„Wyraźne rozprężenie procesów psychicznych – pisał doktor Urstein – widzę też w podaniu czy prośbie Niewiadomskiego, skierowanej do prokuratora, aby 5-ty pułk legionów, w którym ongi służył, oddał mu przed śmiercią honory wojskowe”.

I dalej: „Nie mniej charakterystycznym jest przesłany do prokuraturii [prokuratury] list Niewiadomskiego, zawierający szkic pomnika, jaki życzy sobie mieć na swoim grobie. W samym rysunku Niewiadomski uwzględnił najdrobniejsze szczegóły, całość zaś wykończona jest tak misternie, że na to w podobnych sytuacjach i stanach psychiki zdobyć się wyłącznie może katatonik. A napis, jakim ojczyzna na żądanie Niewiadomskiego powinna uwiecznić w kamieniu pamięć jego? Nigdy psychopata nie ujawni takiego braku krytycyzmu i tej utraty sądu. Takie koziółki logiczne spotkać można jedynie u katatoników”.

„Czyn popełniony przez chorego – przypomniał w konkluzji ów biegły na własne życzenie – może się okazać w swoich skutkach nawet niezmiernie szkodliwym, lecz nie będzie przez żadnego ustawodawcę uważany za występny”. Sam oskarżony dał też w tym względzie bardzo precyzyjną, chociaż na pewno niezamierzoną w sądowo-psychiatrycznym sensie, odpowiedź. Zapytany bowiem przez przewodniczącego rozprawie sędziego Wacława Laskowskiego: „Czy przyznaje się do winy zarzuconej przez akt oskarżenia?” – odparł z wielką pewnością siebie: „Do winy się nie przyznaję. Przyznaję się jedynie do złamania prawa i za to złamanie gotów jestem ponieść najdalej idącą odpowiedzialność”.

Mają więc rację ci „czciciele” zabójcy pierwszego prezydenta odrodzonej Polski, którzy twierdzą, że popełniono na nim mord w majestacie prawa. Wszystko wskazuje na to, że powinien

był raczej trafić do Tworek niż przed pluton egzekucyjny. Takie jednak było „zapotrzebowanie” opinii publicznej.

Broniąc się przed etykietką „wariata”, Niewiadomski wiedział, co robi. Zabiegał o pośmiertną sławę i legendę. W pierwszych przynajmniej latach, gdy emocje związane z „niesłusznym” wyborem Narutowicza jeszcze nie ostygły, ów niespełniony malarz był wręcz wielbiony przez narodowców. Najlepiej świadczy o tym zapisek wstrząśniętej Marii Dąbrowskiej w *Dziennikach*: „Grób skrytobójcy nie porósł chwastem zapomnienia, na grób ten pielgrzymowały tłumy nie mniejsze niż do trumny Narutowicza, pielgrzymowały nie dzień i nie dwa, lecz całe lata, znacząc swoje uczucia stosami kwiatów, a w dzień zaduszny – rojem świateł, którymi już z daleka jarzył się grób mordercy”.

## Zbrodnie w obronie honoru

W PIERWSZEJ DEKADZIE dwudziestolecia międzywojennego na wokandy sądów często trafiały sprawy, które brały początek z obrony obrażonego honoru. Zjawisko to nasiliło się zwłaszcza pod koniec tego okresu.

W ostatnich miesiącach 1928 roku świat plotkarzy warszawskich ekscytował się dwoma skandalami towarzyskimi. Oto w krótkim odstępie czasu miastem wstrząsnęły dwa pojedynki; oba ze skutkiem śmiertelnym.

Dość tej pojedynkomanii! – wołali moralizatorzy, oskarżając zwłaszcza kręgi wojskowe o wybujałe poczucie honoru, który skłaniał mniej lub ciężko znieważonych do sięgania w jego obronie po pistolety lub szable. Owo poczucie honoru było zresztą uwarunkowane obyczajem wojskowym i kodeksem towarzyskim: za usiłowanie uniknięcia pojedynku groziło wykluczenie z grona oficerów, a i dla cywila obwołanie człowiekiem niehonorowym miało bardzo przykre konsekwencje.

Oba pojedynki łączyło miejsce zdarzenia: ujeżdżalnia 1. Pułku Szwoleżerów przy ul. Husarskiej, okrzyknięta przez prasę „Ujeżdżalnią śmierci” natychmiast po drugim zabójstwie z kodeksem honorowym – ową encyklopedią, biblią i wyrocznią pojedynkowiczów – w rękę. Oba też skończyły się procesem sądowym; inaczej być nie mogło – wszak na miejscu walki pozostał trup.

Pierwszy proces toczył się przed warszawskim Sądem Wojskowym 1 grudnia 1928 roku. Dotyczył pojedynku, który niewiele ponad miesiąc wcześniej rozegrał się między płk. Henrykiem Budkowskim a por. Janem de Rossetem.

Podłoże zatargu było następujące: 28-letni Jan de Rosset służył swego czasu w Korpusie Ochrony Pogranicza, a później przeniósł się do 1. Pułku Ułanów Krechowickich; stąd z kolei trafił do policji politycznej. Jeden z kolegów poinformował go wtedy, że pułkownik z tego pułku, Henryk Budkowski właśnie, był tym faktem oburzony. Źle się dzieje u ułanów krechowickich – oświadczył publicznie – skoro do jego pułku należą tacy, przeciw którym toczyło się kiedyś dochodzenie prokuratorskie, a później przenieśli się do policji politycznej. Osobnicy tego rodzaju plamią honor naszego pułku.

Rosset natychmiast zwrócił się do oficerskiego sądu honorowego, a ten orzekł, że konieczny jest pojedynek. Jeden z sekundantów porucznika – jak ustalono w toku procesu – „padł do pojedynku na pistolety, a nie na szable”; miało to potem poważne konsekwencje. Gdy stanęli naprzeciw siebie, pistolet pułkownika dwukrotnie odmówił posłuszeństwa. Natomiast strzał Rosseta okazał się śmiertelny.

Prokurator, zarzucając mu „nieustępliwość”, żądał kary w najwyższym wymiarze. Obrońca z kolei, powołując się na nieodparty przymus, który odczuwał oskarżony, broniąc swego honoru kwestionowanego przez przeciwnika, prosił o uniewinnienie. Sąd skazał go na rok twierdzy, a druga instancja wyrok ten zatwierdziła. Atmosfera była bowiem wybitnie niekorzystna dla Rosseta, który zabił wyższego rangą oficera o nieposzlakowanej opinii, tym gorsza, że nim sprawa trafiła do instancji wyższej, zdarzył się drugi podobny wypadek.

W tej samej ujeżdżalni 4 grudnia 1928 roku został śmiertelnie ranny w wyniku pojedynku wicedyrektor Powszechnego Banku Kredytowego dr Aleksander Ostojka-Zawadzki, syn komendanta miasta w czasie wojny bolszewickiej, znanego generała. Trafiony w skroń, padł nieprzytomny i zmarł, zanim dowieziono go na salę operacyjną Szpitala Ujazdowskiego. Zawadzki, jak pisała potem prasa, chyba przewidywał swą śmierć, bo noc poprzedzającą pojedynek spędził na konferencji ze swym adwokatem.

Sprawcą jego śmierci stał się – ówczesnie dziennikarz, później powieściopisarz – Stanisław Strumph-Wojtkiewicz. Obaj byli rezerwistami: on porucznikiem, a jego przeciwnik kapitanem i dlatego stanęli naprzeciw siebie w mundurach. Żona pisarza była kuzynką Zawadzkiego i jakieś przedmałżeńskie związki sprawiły, że ów – dowiedziawszy się o tym po jakimś czasie – poczuł się zobowiązany do spoliczkowania go i wyzwania na pojedynek. Sekundanci uzgodnili najłagodniejsze warunki, jakie przewidywał kodeks honorowy: dystans 35 kroków i nienagwintowane pistolety bez muszek. Przypadek sprawił, że Strumph-Wojtkiewicz – niemal nie celując, jak potem twierdził – trafił tak nieszczęśliwie.

Co to znaczy wytrawny myśliwy, a za takiego właśnie nie bez kozery uchodził.

Sąd Okręgowy skazał go za to na półtora roku twierdzy (kara ta była uważana za niehańbiącą), a wyrok ten na początku 1930 roku zatwierdził Sąd Apelacyjny. Po trzech miesiącach rozstrzygnięcie – z powodu uchybień formalnych – uchylił Sąd Najwyższy; ostatecznie zabójca odsiedział miesiąc w twierdzy.

Zarówno de Rosset, jak i Strumph-Wojtkiewicz byli sądzeni w Warszawie, gdzie obowiązywał ciągle kodeks rosyjski z 1903 roku (zwany kodeksem Tagancewa). Pojedynku dotyczyły artykuły 481–488; był on uważany za występki i karany twierdzą od dwóch tygodni wzwyż. Sekundanci nie podlegali karze, chyba że warunki pojedynku z góry przewidywały, że w jego wyniku nastąpi śmierć (art. 483).

O pladze pojedynków mówiono już w pierwszych latach niepodległości i stanowczo domagano się od sejmu uchwalenia specjalnej ustawy przeciwpojedynkowej. Inicjatywa legislacyjna w tym względzie księdza dr. Kazimierza Kotuli i grona posłów podobnie myślących, z 7 grudnia 1921 roku, przebrzmiała jednak bez echa.

W parę lat później, bo 19 marca 1924 roku, Klub Chrześcijańsko-Demokratyczny wystąpił w sejmie z interpelacją skierowaną do ministra sprawiedliwości, pytając, jak faktycznie wygląda ten problem i czy zamierza się podjąć jakieś kroki przeciwko „epidemii pojedynkowej”. Wiceminister tego resortu odpowiedział sejmowi pismem z 2 sierpnia tego samego roku, w którym stwierdzał, że po przeprowadzeniu stosownych analiz trudno mówić o „pladze”, skoro w ostatnich trzech latach na obszarze kraju doliczono się tylko 10 przypadków udowodnionych pojedynków, w których ranne zostały 3 osoby, żadna natomiast nie została zabita.

Obliczenia te trzeba ocenić jako niewątpliwie zbyt optymistyczne, a przecież przypadki ciężkich ran trudno było ukryć. Z ówczesnej prasy też nie wynika, by był powód do alarmu, skoro odnotowywała ona tylko nieliczne pojedynki. Trudno przypuszczać, że wścibscy dziennikarze przepuszczali sensacyjne zdarzenia, którymi żyło „towarzystwo”.

Jako też i nie przepuszczali. We wrześniu 1921 roku „Czas” (nr 264) poinformował o zdarzeniu, w wyniku którego nastąpił pojedynek, ale bynajmniej nie pomiędzy bezpośrednio obrażonymi. Oto popularna „Gazeta Poranna” zwana „dwugroszówką” – brukowy organ narodowej demokracji – w niedzielnym wydaniu zamieściła artykuł wstępny będący, jak to oceniano, „brutalną napaścią w stosunku do rodziny Naczelnika Państwa”.

W godzinach popołudniowych tego samego dnia do redakcji zgłosili się dwaj posłowie z lewicowego „Wyzwolenia”: Julian Poniatowski i Kazimierz Bagiński. Zażądali widzenia z redaktorem Antonim Sadzewiczem (wsławił się on też sformułowaniem: „rząd nierządu”, za co wytoczono mu proces), a następnie weszli do gabinetu, zamknęli drzwi i wyciągnęli gazetę, pytając, czy jest autorem owego artykułu. Gdy potwierdził, jeden oświadczył, że uważa go za szuję, a drugi czynnie znieważył, tzn. spoliczkował. Potem obaj opuścili redakcję i dopiero wówczas Sadzewicz posłał za nimi woźnych, by ich zatrzymali. Posłowie zagrozili, że będą strzelać, i całe zajście skończyło się na komisariacie, gdzie spisano protokół.

Nieco później „Czas” (nr 287) powrócił do tego incydentu, jako że miał on

nieoczekiwany dalszy ciąg. Oto „Rzeczpospolita” potępiła zajście w redakcji „Gazety Porannej”, czym z kolei poczuł się obrażony poseł Julian Poniatowski. Wyzwał on autora, redaktora Stanisława Strzelskiego, na pojedynek i ranił dwoma cięciami szabli w bok, w wyniku czego został on uznany za niezdolnego do dalszej walki. Obaj przeciwnicy zgodnie stwierdzili, że ich spór został załatwiony w sposób honorowy i podali sobie ręce.

W następnych latach gazety nie notowały podobnych incydentów, z czego może wynikać, że informacja wiceministra sprawiedliwości przedłożona sejmowi była raczej prawdziwa. Dopiero na początku 1924 roku „Kurier Polski” (nr 6) doniósł o dwóch pojedynkach.

Powodem pierwszego była scysja, jaka wynikła na posiedzeniu magistratu Warszawy 1 października podczas dyskusji na temat opery. Gdy jej dyrektor Emil Młynarski mówił o płacach pracowników i wznowieniu przedstawień, dość obcesowo przerwał mu poseł Konrad Ilski słowami: „Pan nie masz nic do mówienia w tej sprawie!” Gdy mimo to dyrektor ciągnął dalej, Ilski zwrócił się do intendenta, by ów usunął mówcę z sali. W następstwie tego Młynarski posłał mu sekundantów i obaj panowie spotkali się gdzieś w okolicach Warszawy (pewnie w Lasku Bielańskim, tradycyjnym miejscu takich porachunków). Wymieniono bezskuteczne strzały z pistoletów i przeciwnicy pogodzili się przez podanie rąk.

Podobny przebieg i epilog miał pojedynek między posłem Władysławem Rabskim a byłym wojewodą poleskim, Stanisławem Downarowiczem. Rabski, cięty publicysta, ostro zaatakował Downarowicza na łamach „Kuriera Warszawskiego” „za tchórzowskie zachowanie się podczas napadu sowbandytów na pociąg pod Lunińcem”, za co ów zażądał satysfakcji honorowej.

Dodatkowego smaczku sprawie dodawał fakt, że prokurator Kazimierz Rudnicki jako arbiter wyraził opinię, że przepis kodeksu honorowego orzekający, iż ostra nawet krytyka osób urzędowych nie może być powodem pojedynku, w tej akurat sprawie nie ma zastosowania. Pośrednio więc doprowadził do tego, że pojedynek stał się koniecznością. I w jednym, i w drugim przypadku owe starcia zbrojne uszły płazem i żaden z uczestników nie stanął przed sądem.

Nie miał też epilogu sądowego – przynajmniej nie widać go w ówczesnej prasie – dziennikarsko-poselski pojedynek, o którym pisał PPS-owski „Naprzód” (1924, nr 88); partia ta z zasady była przeciwna rozwiązywaniu sporów honorowych bronią palną lub sieczną. Bezkrwawa wymiana strzałów nastąpiła pod miastem w sobotę 12 kwietnia 1924 roku między sprawozdawcą parlamentarnym „Expressu” i „Kuriera Czerwonego” oraz krakowskiego „Kuriera Ilustrowanego” – wiceprezesem syndykatu dziennikarzy warszawskich – Władysławem Bazylewskim a posłem endeckim Wierczakiem. Po pojedynku przeciwnicy podali sobie ręce, uznając incydent za zamknięty.

8 marca 1924 roku w lesie wawerskim płk Zygmunt Dzwonkowski pojedynekował się z red. Adolfem Nowaczyńskim. Powodem był artykuł zamieszczony tydzień wcześniej w „Myśli Narodowej”, w którym ów znany z ciętego pióra i złośliwych epitetów dramaturg i kalamburzysta zaczepił „hauptmanna von Dzwonkowskiego”, że się ongiś wysługiwał Niemcom.

Minimum dla sekundantów, których Dzwonkowski wysłał do redaktora, było zamieszczenie odwołania w tym samym miejscu czasopisma. Ten zajął postawę nieprzejednaną: jako publicysta – oświadczył – mam swój honor, który mi nie pozwala na zamieszczanie jakichkolwiek sprostowań. Wybrano pistolety gładkie, bez muszek. Dwukrotnie padły strzały panu Bogu w okno i obaj zwaśnieni podali sobie ręce.

Wszystko to było zgodne z kodeksem honorowym, stało jednak w kolizji z obowiązującym kodeksem karnym. Ponieważ prasa podała szczegóły starcia, wymiar sprawiedliwości musiał iść swoim trybem. Prokuratura sporządziła akty oskarżenia

i Nowaczyński, który odpowiadał przed sądem cywilnym, został skazany na dwa tygodnie twierdzy. Dzwonkowski zaś, po blisko siedmiu miesiącach od owego bezkrwawego zdarzenia, stanął przed Okręgowym Sądem Wojskowym.

Uchybiłbym swej godności oficerskiej, gdybym postąpił inaczej – odpowiedział, gdy przewodniczący składu płk Armiński zapytał go, czy uważał starcie z bronią za konieczne. – Czekaliby mnie dyskwalifikacja honorowa przez oficerski sąd honorowy i wydalenie z korpusu oficerskiego – dodał, gdy mec. dr Stanisław Szurlej, który go bronił, zapytał o konsekwencje, które mu groziły, w przypadku gdyby „sprawa nie została przeprowadzona w tym kierunku, jak to miało miejsce”.

„Pojedynek jest nierzadko zbrodnią, czasem głupstwem, ale czasem koniecznością” – zaczął mec. Szurlej swoją świetną mowę obrończą, której „Rzeczpospolita” (nr 270) nie pożałowała miejsca i wydrukowała ją prawie w całości. „Droga sądowa – powiedział m.in. – nie zawsze jest właściwa. Nie powinien się zgodzić żaden oficer – twierdził stanowczo – by honor jego wyciągano na targ, by roztrząsano przed forum publicznym lub kwestionowano jego honorowość, co miałyby miejsce w pewnych wypadkach przy kierowaniu sprawy na drogę sądową. Częstokroć nie można dopuścić myśli o jakimś tłumaczeniu się, opowiadaniu, kołowaniu”. W konkluzji domagał się uwolnienia.

Widocznie dobrze przekonał sąd, bo ten – jak podał „Kurier Warszawski” (nr 276, wyd. wiecz.) – przyjął „przymus nieodporny ze względu na specyficzne poczucie honoru w armii” i uniewinnił oskarżonego. Prokurator odwołał się i zyskał tylko tyle, że druga instancja, biorąc pod uwagę nienaganną służbę i doskonałą opinię, skazała pułkownika niecałe dwa miesiące później na trzy dni aresztu.

Warto dodać, że pierwsza instancja – by uniewinnić Dzwonkowskiego – dokonała istnego łamańca prawnego, bo ów „przymus nieodporny” wzięła wprost z austriackiej ustawy karnej (§ 2 lit. g). Konieczność pojedynku uznawali jednak sami wojskowi i to najbardziej miarodajni, podkreślając wszakże konieczność kary. O wadze, jaką przywiązywano do tego problemu, świadczy najlepiej fakt, że gdy w 1928 roku zaczęto wydawać „Wojskowy Przegląd Prawniczy”, periodyk ów zainaugurował sam szef Departamentu Sprawiedliwości w Ministerstwie Spraw Wojskowych i naczelny prokurator wojskowy w jednej osobie gen. bryg. dr Józef Daniec artykułem pt. *Karalność pojedynku w obowiązującym ustawodawstwie karnym*.

„W wysokim poczuciu swego honoru – czytamy w tej publikacji będącej alfą i omegą dla sądów wojskowych i kadry – oficer znajduje zazwyczaj tylko wyjście w przekroczeniu obowiązującej ustawy karno-sądowej i w pójściu po linii tradycji i zwyczajów honorowych swego stanu, w konsekwencji jednak spotkać się musi z represją sądowo-karną, której uniknąć nie może”.

„Jednym słowem ustawa zakazuje – czytamy dalej, by rzecz sobie wbić do głowy – ale oficer będzie się pojedynkował, wiedząc jednak, że go spotka za to kara, o ile się władza sądowo-wojskowa o tym pojedynku dowie. Zdając sobie z tego sprawę, oficer podda się lojalnie wyrokowi sądu, orzekającego w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej, złożonego z jego kolegów po broni i mundurze i przyjmie lojalnie wyrok, bez piniaczenia się do instancji wyższych sądowych”.

Czyż można było mieć tu jakieś wątpliwości?

Olbrzymi rozgłos wywołał pojedynek na szable, który odbył się 19 listopada 1924 roku między 57-letnim generałem broni – ongiś zawodowym oficerem austriackiego sztabu generalnego – Stanisławem Szeptyckim a 28-letnim redaktorem „Głosu Prawdy” Wojciechem Stpiczyńskim.

W tym czasie – o czym informowała „Rzeczpospolita” z 14 maja 1924 roku (nr 131, wyd.

por.) – prokuratura wytoczyła Stpiczyńskiemu aż jedenaście procesów karnych za zniesławiające napaści na łamach jego czasopisma na członków rządu. Z upodobaniem posługiwał się bowiem wobec nich takimi epitetami, jak „kauzyperda” (w stosunku do ministra spraw wewnętrznych Władysława Kiernika), „kundel”, „arcyswołocz”, „buc” itp.

W jednej ze swych publikacji odsądzał od czci i wiary gen. Szeptyckiego, nazywając go „chamem” za polecenie aresztowania jednego z wyższych oficerów za noszenie cywilnego ubrania. Stpiczyński został skazany łącznie na trzy miesiące więzienia; odwoływał się do wszystkich możliwych instancji, a gdy to nie pomogło, wystąpił do prezydenta o ułaskawienie.

To było później, ale wówczas rozeźlony Szeptycki postanowił wziąć obronę swego honoru we własne ręce i posłał do redaktora zastępców, czyli sekundantów: generała Zagórskiego i pułkownika Andersa. Jako obrażony miał prawo wyboru broni: zażądał szabel, co ślepego na jedno oko Stpiczyńskiego stawiało w dużo gorszej sytuacji, niż gdyby wybrał pistolety. Mieli się bić „aż do zupełnej utraty zdolności do walki przez jednego z przeciwników”.

Obaj panowie, nadzy do pasa, walczyli aż czterdzieści minut według wszelkich reguł sztuki pod okiem superarbitra – samego prezesa Warszawskiego Klubu Szermierczego, płk. Franciszka Arciszewskiego – w sali klubu na pl. Saskim. Obaj rębacze mieli trafienia, aż wreszcie walka została przerwana, gdy Stpiczyński otrzymał cięcie w okolicę prawego oka, które zalało się krwią. Po walce przeciwnicy uściśli sobie ręce.

Sprawa stała się zbyt głośna, by obyło się bez konsekwencji prawnych, zwłaszcza gdy Polska Agencja Telegraficzna rozesłała do dzienników komunikat o pojedynku. Stpiczyński jako cywil na polecenie ówczesnego ministra sprawiedliwości, Antoniego Żychlińskiego, został postawiony przed sądem. „Pojedynki – wołał z emfazą w ostatnim słowie – niezależnie od stosunku do nich kodeksów karnych, są bronią w walce o podniesienie na wysoki poziom poczucia honoru i moralności w społeczeństwie!”. „Pan prokurator mówił – zakończył dość długą apologię załatwiania spraw honorowych szablą – iż największym dobrem człowieka jest życie. Według szkoły, w której ja zostałem wychowany, najwyższym dobrem jest honor!” Mimo to Sąd Okręgowy skazał go na dwa tygodnie twierdzy, a Sąd Apelacyjny – jak poinformował „Kurier Warszawski” 23 grudnia 1925 roku (nr 357, wyd. por.) – wyrok ten zatwierdził.

Składowi sędzącemu Wojskowego Sądu Okręgowego, który rozpatrywał sprawę gen. Szeptyckiego, przewodniczył wspomniany już gen. bryg. Józef Daniec, który parę lat wcześniej – jeszcze jako pułkownik – sędził wielu wojskowych defraudantów z tzw. sierpniówki i wykazywał się wobec nich ogromną surowością. W sprawach honoru był bardziej wyrozumiały i uniewinnił oficera, który zastrzelił swego szwagra, gdy ów spoliczkował go w knajpie. Nic więc dziwnego, że i teraz znalazł wyjście. Przyjęto – choć prawo takiej możliwości nie dawało, o czym pisał po paru latach sam Daniec na łamach „Wojskowego Przeglądu Prawniczego”, że Szeptycki działał w stanie wyższej konieczności i dlatego zwolniono go od kary.

Prokurator oczywiście odwołał się; interweniowało też Ministerstwo Spraw Wojskowych. Sprawa w końcu kwietnia 1926 roku trafiła aż na wokandę Wojskowego Sądu Najwyższego. „Bardzo dziękuję za udzielenie mi głosu – oświadczył generał przed jego obliczem – ale nie mam nic do powiedzenia”. Ponieważ art. 481 k.k., z którego był oskarżony, przewidywał, że w przypadkach mniejszej wagi wymiar kary pozostawia się uznaniu sądu, został skazany na tydzień aresztu domowego.

W następnych latach pojedynki nie były już tak częste. Prasa odnotowywała rocznie nie więcej niż jedną, dwie „bijatyki z Boziewiczem w rękę”, jak niektórzy określali igraszki ze śmiercią pod okiem sekundantów.

I tak: 18 kwietnia 1925 roku student Uniwersytetu Warszawskiego Z. Cieszkowski pojedynkował się w lesie wilanowskim ze swym kolegą z politechniki J. Sommerem, który go

obraził. Najpierw w użyciu były pistolety, ale że obaj chybili – w ruch poszły szable i jeden został ciężko ranny w rękę. Proces odbył się przed Sądem Okręgowym w lutym następnego roku i jak poinformował „Kurier Warszawski” (nr 55, wyd. por.), obaj skazani zostali na miesiąc twierdzy.

Ta sama gazeta poinformowała w połowie lipca 1926 roku, że Najwyższy Sąd Wojskowy zmienił wówczas uniewinniający wyrok Wojskowego Sądu Okręgowego na trzy miesiące twierdzy wobec pojedynkujących się dwóch wojskowych: porucznika 3. Pułku Ułanów, który został oskarżony przez majora. Major nie tylko obraził swego kolegę, który go w następstwie tego wyzwiał na pojedynek, ale jeszcze go ranił. Sekundanci też zostali oskarżeni, ale pierwsza instancja uwolniła ich od kary.

Gazeta tego nie podała, ale rzecz dotyczyła pewnie byłego zaboru pruskiego, bo tam na zasadzie § 203 ustawy karnej pociągano zastępców honorowych do odpowiedzialności, albo austriackiego (§ 164 ustawy). Najwyższa instancja obu pojedynkującym się wymierzyła karę trzech miesięcy twierdzy, a sekundanci trafili do niej na dwa tygodnie każdy.

Również w „Kurierze Warszawskim” (1927, nr 62, wyd. por.) można znaleźć doniesienie o pojedynku, który rozegrał się 24 kwietnia 1926 roku między sławnym dowódcą 1. Pułku Szwoleżerów płk. Bolesławem Wieniawą-Długoszowskim a redaktorem „Gazety Warszawskiej i Porannej” Wacławem Drozdowskim. Pojedynek odbył się w ujeżdżalni 1. Pułku Szwoleżerów, a przeciwnicy walczyli na ciężkie szable kawaleryjskie. Redaktor został dwa razy raniony w rękę, a pułkownik – raz; lekarze nie uznali tych ran za ciężkie uszkodzenie ciała. Po pojedynku strony się nie pogodziły.

Pułkownik poczuł się dotknięty artykułem, który ukazał się w gazecie Drozdowskiego; uznał go – jak oświadczył przed Wojskowym Sądem Okręgowym 4 marca 1927 roku jeden z sekundantów, płk Antoni Szyling – „za ciężką zniewagę” i nie widział innej możliwości, tylko się bić. W ostatnim słowie oskarżony podkreślił, że nie poczuwa się do winy i że w przyszłości w ten sam sposób będzie reagował na podobne zniewagi. Mimo braku skruchy sąd skazał ozdobe stołecznych salonów tylko na pięć dni aresztu, zawieszając tę karę na dwa lata. O skazaniu Drozdowskiego nic nie wiadomo.

Najbardziej nonsensowny był pojedynek porucznika rezerwy Mieczysława Szamaka z urzędnikiem firmy „Pepege” o nazwisku Kohn. Za honor walki z oficerem zapłacił on śmiercią.

Sprawa ta – o zabójstwo w pojedynku – toczyła się, jak poinformował „Kurier Warszawski” 29 września 1927 roku, przed Izbą Karną Sądu Okręgowego w Grudziądzu i Szamak został skazany na dwa lata twierdzy, a jego sekundant – Łakiński – na pół roku twierdzy. Porucznik dostał najwyższy wymiar kary, bo kodeks niemiecki obowiązujący w Wielkopolsce traktował pojedynek jako występki zagrożony karą od jednego dnia twierdzy, która była karą niehańbiącą.

Gdy dyskutowano nad projektem nowego prawa karnego, wyrażana była opinia, żeby pojedynek był zagrożony karą hańbiącą, tzn. więzieniem. „Przepis uznający spowodowanie śmierci w pojedynku za zwykle zabójstwo stanie się martwą literą, przysparzającą jedynie sądowi trudności w wyszukiwaniu możności obejścia tych przepisów” – twierdził Mieczysław Wóycicki na łamach „Głosu Sądownictwa” w 1930 roku, pytając dramatycznie: „Czyż znajdzie się taki sędzia, który studenta korporanta, oskarżonego o zabójstwo swego przeciwnika na mecie pojedynkowej, uzna za zwykłego zabójcę i skaże go za ten czyn na ciężkie więzienie? A czy Sąd Wojskowy, posiłkujący się przy przestępstwach zwykłych normami ogólnego kodeksu karnego, będzie mógł stanąć na tym stanowisku? Czy nie stworzy to nowej trudności przy ujednostajnieniu prawodawstwa – nad tym chyba Komisja Kodyfikacyjna się nie zastanawiała”.

„Nie specjalnie surowymi rygorami – twierdził autor na koniec – zwalczać trzeba



pojedynek, nie identyfikowaniem jego skutków z przestępstwami zabójstwa czy uszkodzenia ciała. Jedynym remedium będzie praca nad wyszkoleniem społeczeństwa i opracowanie nowego zreformowanego kodeksu honorowego, który by dał możliwość każdej jednostce obrażonej na honorze poszukiwania sobie należytej satysfakcji bez uciekania się do pojedynków”.

Mimo takich głosów w rozdziale XXXV zatytułowanym *Przestępstwa przeciwko życiu i ciału* kodeksu karnego z 1932 roku znalazł się art. 238 w brzmieniu: „§ 1. Kto w pojedynku zabija człowieka albo zadaje mu uszkodzenie ciała, podlega karze więzienia do lat 5 lub aresztu. § 2. Sekundantów sąd może uwolnić od kary”.

Zapis ten, a także walka z pojedynkiem jako środkiem obrony honoru podjęta przez niektóre organizacje sprawiły, że ów relikw przesłości w drugiej dekadzie międzywojnia w ogóle nie dawał znać o sobie. Przynajmniej nie było procesów sądowych, bo jeśli gdzieś obrażeni panowie stanęli „na mecie”, to bez większego rozgłosu, a i trupów nie było.

Bywały też sprawy karne, w których do pojedynku wprawdzie nie dochodziło, ale które także wiązały się z rygorystycznie pojmowanym wówczas poczuciem honoru. Ich bohaterami byli przeważnie popędliwi obrońcy honoru, którzy w jego imieniu posuwali się nawet do zwyczajnego zabójstwa.

Wyzwany stchórzył, zabito sekundanta – tak w wielkim skrócie wyglądało tło sprawy sądowej wytoczonej niefortunnemu i przypadkowemu zresztą zabójcy. Jego proces toczył się przed Sądem Okręgowym w Wilnie 19 i 20 listopada 1926 roku, a zrelacjonowała go stołeczna „Rzeczpospolita” zaraz nazajutrz po wyroku (nr 321).

Zabójcą stał się Zygmunt Karnicki-Smoleński, urzędnik bankowy, a jego ofiarą był student prawa Uniwersytetu Stefana Batorego Janusz Badzkiewicz. Samo zajście miało miejsce na początku roku, a u jego podłoża jątrzył się zatarg między Karnickim a niejakim Bohdanem Dzierdziejewskim, ziemianinem, z którym ów miał się pojedykować, jako że obaj przymówili sobie w towarzystwie i Karnicki poczuł się obrażony.

Wskutek różnych okoliczności – jak pisała prasa – spór gmatwał się w ciągu paru miesięcy, wreszcie zakończył się jednostronnym protokołem sporządzonym przez sekundantów Karnickiego; oznaczało to, że druga strona unika pojedynku i jej honor jest pod znakiem zapytania.

Dzierdziejewski w towarzystwie dwóch siostrzeńców, braci Badzkiewiczów, wziętych – jak twierdził – w charakterze „świadków”, zaczął się na swego adwersarza na ulicy i dotkliwie obił go bambusowym kijem. W trakcie szamotaniny wywiązała się obustronna strzelanina zakończona tragiczną śmiercią jednego z braci. Zabił go Karnicki; jego kula przeszła płaszc przeciwnika i ugodziła studenta w serce.

Został oskarżony o „zabójstwo w uniesieniu”. Po mozolnym zbadaniu wielu świadków opisujących wszystkie perypetie postępowania honorowego – czytamy w „Rzeczypospolitej” – nastąpił kulminacyjny punkt procesu: orzeczenie biegłego eksperta do spraw honorowych wezwanego na wniosek prokuratora. Ekspert ów, a był nim profesor prawa miejscowej uczelni Bronisław Wróblewski, wytknął liczne błędy popełnione w trakcie postępowania honorowego. W konkluzji wyraził pogląd, że napad dokonany przez Dzierdziejewskiego był najzupełniej psychologicznie usprawiedliwiony, a z punktu widzenia kodeksu karnego powinien być zakwalifikowany jako wyższa konieczność skutkująca bezkarnością dokonanego gwałtu. Normalnie poprzestaje się na spoliczkowaniu – dowodził profesor – ale i napad we trzech powinien być uważany za zwykłe spoliczkowanie, bo taka, a nie inna była intencja napadającego.

Na sali zawrzało. Wywiązała się ostra wymiana zdań między prokuratorem a obroną.

Jeden z trzech obrońców oskarżonego (dwóch było miejscowych), mecenas Marian Niedzielski, gwałtownie zaatakował profesora, dowodząc, że taka teoria uwłacza godności nauki polskiej i może stać się źródłem zgorszenia dla młodzieży uniwersyteckiej.

Rozwijając tę tezę do końca – sierdził się mecenas, świetny krasomówca i znawca problematyki (na temat pojedynków i ochrony czci zorganizował sympozjum prawnicze i wygłosił główny referat) – dojdziemy i do rozgrzeszenia takiego człowieka, który za rzeczywistą lub domniemaną zniewagę wali swego przeciwnika kamieniem w łeb zza węgła albo majchrem wypruwa mu kichy!

Sformułowanie to oburzyło miejscowych żurnalistów, którzy zgryźliwie skomentowali wystąpienie ozdoby stołecznej palestry, że powinien pamiętać, iż „występuje w gmachu Temidy, a nie w szynku na Solcu”.

Karnicki nie przyznał się do winy. „Strzelałem w obronie życia i honoru” – powiedział w ostatnim słowie.

Sąd Okręgowy po krótkiej naradzie ogłosił późnym wieczorem wyrok, mocą którego oskarżony został skazany na trzy miesiące zamknięcia w twierdzy za zabójstwo dokonane przy przekroczeniu obrony koniecznej. Sąd Apelacyjny wyrok ten utrzymał w mocy. Zatarg między mecenasem Niedzielskim a profesorem Wróblewskim był przedmiotem rozważań Rady Adwokackiej i senatu uczelni; do pojedynku jednak z tej racji nie doszło.

Skądinąd wiadomo, że na tle tego procesu doszło do wymiany strzałów między dwoma aplikantami adwokackimi. Jeden z nich to późniejszy znany karnik, prof. Witold Świda, autor pracy doktorskiej pt. *Pojedynek ze stanowiska polityki kryminalnej*, napisanej rok wcześniej; oddał on – wbrew kodeksowi honorowemu – strzał w powietrze, a sam został ranny w pierś. Obaj uniknęli kary, bo rzecz załatwiono bez rozgłosu.

W pierwszej połowie stycznia 1927 roku przed Wojskowym Sądem Okręgowym w Warszawie toczył się proces por. Władysława Stefanowicza z 33. Pułku Piechoty z Łomży. Był on oskarżony o usiłowanie zabójstwa Jana Zielińskiego, ziemianina z okolicy tego miasteczka; prokurator dodał do tego zarzutu działanie z premedytacją.

A poszło o pojedynek, który z winy gospodarza najpierw się zawiązał, a potem trzykrotnie nie dochodził do skutku, gdyż ów po prostu bał się stanąć „na mecie”, mając za przeciwnika zawodowca od strzelania. Zaczęło się na balu, który Koło Polek urządziło w Łomży. Jego gospodarzami byli studenci, a ci mieli zadawnione anse do oficerów miejscowego garnizonu i uważali ich za nieproszonych gości na balu. Owa niechęć miała podłoże polityczne i datowała się od przewrotu majowego, gdy 33. Pułk Piechoty brał udział po stronie marszałka Piłsudskiego. Studenci wywodzący się z Łomży sympatyzowali z rządem i za nic nie chcieli wybaczyć „zdrajcom”.

Gdy oficerowie zorientowali się, że nie są pożądanymi gośćmi, w większości opuścili salę. Pozostało kilku, trochę już wstawionych, nieprzejmujących się zbytnio studenckimi animozjami. Mieli je zresztą nie tylko oni. Jeden ziemianin, właśnie ów Jan Zieliński, przemówił się ostro z porucznikiem Stefanowiczem. Gdy w odpowiedzi usłyszał epitety: opryszek i bandyta, „zareagował czynnie”, jak dyplomatycznie określono przed sądem siarczysty policzek. Porucznik wyzwiał go na pojedynek. Ziemianin jednak, mimo że szlachcic, nie miał chęci dotrzymać mu pola, czym zdenerwował swoich sekundantów i ci zrzekli się zastępstwa w prowadzeniu jego sprawy honorowej.

Zieliński zresztą za każdym razem o terminie mającego się odbyć pojedynku zawiadamiał policję, co uniemożliwiało jego odbycie, a za trzecim razem po prostu gdzieś wyjechał. Porucznik bardzo nad tym cierpiał i krytycznego dnia, zamiast pójść na umówionego preferansa, chodził bez celu po ulicach. „W dniu tym – oświadczył przed sądem – był akurat bal. Wobec

tego, że nie mogłem tam pójść z powodu niezłatwienia sprawy honorowej, czułem się niejako usunięty poza nawias miejscowego towarzystwa i dlatego byłem zdenerwowany”.

Czuł też presję kolegów i przełożonych, o czym może świadczyć dialog, jaki się wywiązał w sądzie między obrońcą porucznika a jego dowódcą, płk. Pakoszem:

- Czy pan pułkownik popierał pojedynek, czy też przeszkadzał mu?
- Staralem się przeszkodzić niedozwolonemu rozlewowi krwi, ale legalnemu załatwieniu sprawy pojedynku nie miałem zamiaru stawiać przeszkód.
- Co się stało z podaniem por. Stefanowicza o pozwolenie na odbycie pojedynku, adresowanym do ministra spraw wojskowych?
- Odesłałem je dowódcy dywizji.
- Czy pan pułkownik sprawę znieważenia por. Stefanowicza traktował indywidualnie, czy też uważał pan za znieważenie korpusu oficerskiego 33. Pułku?
- Naturalnie.
- I za znieważenie armii?
- Tak jest.

Nic więc dziwnego, że porucznik, gdy o północy ujrzał na ulicy swego adwersarza, zadziałał tak gwałtownie. Odruchowo chwyciłem rewolwer i wołając: „stój, tchórze!” zacząłem strzelać – powiedział przed sądem. Trafił w głowę, raniąc powierzchownie. Na procesie demonstrowano przestrzeloną czapkę, a rana na skroni była widoczna z daleka. Biegły psychiatra dr Jan Nelken wyraził opinię, że porucznik działał w stanie silnego wzruszenia psychicznego.

Wyroku uwalniającego porucznika od kary prokurator nie zaskarżył, o czym poinformowała „Rzeczpospolita” (nr 19) parę dni po procesie.

Głośny kilkudniowy proces Józefa Wójcika, który toczył się przed Sądem Okręgowym w Warszawie w drugiej połowie września 1929 roku, również miał w tle przewrót majowy. Józef Wójcik, były oficer, który po zamachu Piłsudskiego na własne życzenie – zgłoszone jako swoisty protest – został zdegradowany do szeregowca rezerwy, był oskarżony o usiłowanie zabójstwa dwóch oficerów 36. Pułku Piechoty. Sala rozpraw pękała w szwach – takie było zainteresowanie tą niecodzienną sprawą.

Zaczęło się od listu otwartego, który dowódca 36. Pułku Piechoty Legii Akademickiej płk Juliusz Ulrych, gorliwy piłsudczyk, później minister komunikacji, ogłosił w warszawskiej prasie. Było to tuż po incydencie, który miał miejsce 2 czerwca, podczas święta pułku. Wówczas to poczty sztandarowe młodzieży akademickiej, gdy tylko orkiestra pułkowa zaczęła grać *Pierwszą Brygadę*, demonstracyjnie wyłamały się z pochodu i odeszły na bok. W owym liście otwartym pułkownik wyraził nadzieję, że czas, który leczy wszelkie rany, „zespoli w nierozzerwalną całość 36. Pułk z młodzieżą akademicką”. Po kilku dniach pułkownik otrzymał od nieznanego mu Józefa Wójcika, byłego oficera 5. Pułku Piechoty, list, w którym ów poddał druzgocącej krytyce jego inserat prasowy. Pisał m.in.: „Ani czas, ani żadna siła ludzka nie wydrze z mózgu nikomu, kto ma duszę polską, widoku zabitych oficerów i żołnierzy w maju 1926 r. i że pojednanie może nastąpić w przyszłości jedynie w drodze innej opinii”. Pułkownik uznał, że autor musi być niepoczytalny i kazał adiutantowi odesłać list Wójcika. Ów odesłał go z notatką: „Dowódca pułku nie chce rozpatrywać listu pisanego przez człowieka chorego na umyśle”. Na to zeźlony Wójcik odpalił bez chwili wahania: „Typ urzędniczyny wojskowego, który przehandlował 13 maja 1926 r. swój honor (o ile miał ten balast), nie jest w stanie nikogo obrazić ani nie ma prawa obrażać się. Najlepiej nie prowokować społeczeństwa otwartymi listami, to nie wywoła się reakcji. Świstek wasz, jako wymowne świadectwo ubóstwa moralnego i intelektualnego, zwracam”.

Potraktowany tak haniebnie pułkownik poczuł się obrażony i wysłał do Wójcika dwóch

oficerów, aby go wyzwalać na pojedynek; tak przynajmniej twierdzili obaj na procesie. Wójcik z kolei i jego żona, zeznająca jako świadek, utrzymywali stanowczo, że oficerowie, wdarłszy się do mieszkania o 6.00 rano, chcieli go wyplazować szablami. Musiał się więc bronić i jednego postrzelił w rękę, gdy ów uderzył szablą jego żonę stojącą w jego obronie.

Obaj obrońcy – Franciszek Paschalski i Stanisław Kijeński – wyśmiali wersję oficerów. Podkreślali, że żaden kodeks honorowy nie przewiduje takich wczesnych wizyt sekundantów, a jeśli ci obawiali się, że go później nie zastaną w domu, mogli – zgodnie z kodeksem honorowym – zostawić swoje bilety wizytowe. Popelnili też inną gafę: przyszli uzbrojeni, a zastępcy honorowi powinni być bez broni. Prócz szabli jeden z napastników miał w kieszeni rewolwer. Że ma go i Wójcik, tego się nie spodziewali.

Mecenas Kijeński, czołowy endek, już na początku procesu wnioskował o powołanie nowych świadków odwodowych: posła Stanisława Strońskiego, byłego ministra Mariana Zdziechowskiego, dziennikarza Tadeusza Dołęgę-Mostowicza oraz byłego marszałka senatu Wojciecha Trąmpczyńskiego. Wszyscy oni zostali ciężko pobici przez „nieznanych sprawców”, którzy nigdy nie zostali wykryci, a powszechnie wiadano, że zrobili to oficerowie. Wójcik więc miał prawo mniemać, że i jego poranni goście nie przyszli bynajmniej jako zastępcy honorowi Ulrycha w sprawie ustalenia terminu i zasad pojedynku. Wniosek obrońcy sąd jednak odrzucił.

Kijeński znaczną część swego wystąpienia poświęcił na udowodnienie tezy, że Wójcik działał w obronie koniecznej. To on zawiadomił policję o napadzie, bo oficerowie się nie kwapili, mimo że jeden został ranny.

W czwartym dniu procesu o godzinie 8.00 wieczorem wśród niezwykle napięcia na sali – co odnotowała prasa – sąd ogłosił wyrok. Wójcik został skazany na trzy miesiące więzienia za obrazę 36. Pułku Piechoty, a za usiłowanie zabójstwa dwóch oficerów – na dwa lata więzienia; łącznie wymierzono mu karę dwóch lat z zaliczeniem aresztu zapobiegawczego.

Niemal po roku od zajścia Sąd Apelacyjny zmniejszył mu karę do roku więzienia, zaliczając areszt prewencyjny. W 14-stronicowych motywach sąd wprawdzie wytknął oficerom nieznaną kodeksu honorowego, ale przyjął, że Wójcik „uroił sobie napad i znalazł się w stanie urojonej obrony koniecznej”. „Subiektywne wrażenie napaści, nieodpowiadające obiektywnemu stanowi rzeczy – czytamy – może służyć za dowód błędu i jako błąd może wpływać we właściwych granicach na karalność, nie może jednak usprawiedliwiać obrony koniecznej”.

Na początku listopada 1930 roku „Kurier Warszawski” (nr 305, wyd. por.) poinformował, że Sąd Najwyższy odrzucił wniosek kasacyjny w sprawie Józefa Wójcika.

Wojskowy Sąd Okręgowy rozpatrywał w połowie maja 1933 roku niezwykle ciekawą i bulwersującą nie tylko kręgi wojskowe sprawę. Oskarżonym był major Jerzy Stawiński. Akt oskarżenia zarzucał mu, że w nocy z 22 na 23 marca tego samego roku zastrzelił w „Ziemiańskiej” inż. Adama Jankowskiego. *Cherchez la femme* – pisały nazajutrz po tym zabójstwie gazety, podkreślając, że oficer ów był trzeźwy w chwili zajścia.

Inżynier poprosił do tańca jego znajomą, pannę Jakubowską, która siedziała sama przy stoliku, podczas gdy major tańczył z żoną. Po pierwszej bezskutecznej prośbie Jankowski powrócił do swego stolika, ale widząc, że panna uśmiecha się do niego i nuci przy tym tango, podszedł i ponowił propozycję. Wówczas major Stawiński wtrącił się do rozmowy i najpierw odepchnął, a potem spoliczkował intruza. W odpowiedzi ów położył na stoliku swój bilet wizytowy. Major rzucił go na podłogę, na co rozeźlony już na dobre inżynier uderzył go w twarz. Wówczas oskarżony chwycił mufkę panny Jakubowskiej, w której schowany był jego rewolwer, wyjął broń, zarepetował i z bliskiej odległości strzelił do Jankowskiego, kładąc go trupem na miejscu.

Żywe poruszenie na sali wywołały zeznania powołanego w charakterze świadka fordansera z „Ziemiańskiej” – Murzyna z Somalii Augusta Browna. Gdy przewodniczący składu sądownego spytał go – zgodnie z procedurą – czy nie jest krewnym oskarżonego, na sali rozległy się głośne śmiechy, aż trzeba było uspokajać publiczność. Major – zeznał fordanser czystą polszczyzną – często przychodził na dancing do tego lokalu i zazwyczaj tańczył z panną Jakubowską, a on w tym czasie zabawiał na parkiecie jego żonę. W krytycznej chwili Jakubowska siedziała sama przy stoliku; gdy tańczący z żoną Stawiński zobaczył, że ktoś zbliża się do jego stolika, zmienił się na twarzy, zostawił małżonkę i podbiegł do intruza. Powiedziałem wtedy głośno: „Tu coś będzie nie w porządku!” Jakubowska wołała: „Jureczku, uspokój się, ten pan mnie nie obraził”. Świadek widział, jak inżynier kładł swój bilet na stoliku i powiedział: „Jestem do usług pana majora”. Gdy ten bilet stracił, Jankowski końcem palców dotknął policzka oskarżonego. Widział też, jak major strzelił. Rzecznicy rusznikarze ustalili, że zrobił to z odległości około 30 cm.

Prokurator, oceniając czyn zarówno od strony kodeksu karnego, jak i honorowego, dowodził, że wina jest niewątpliwa. Nie było to bynajmniej zabójstwo popełnione w afekcie; oskarżony znajdował się w stanie wzruszenia, lecz było ono wywołane jego właściwościami psychicznymi.

Obrońca adw. Sobotkowski natomiast był zdania, że z punktu widzenia kodeksu honorowego major był w porządku. Kodeks karny natomiast przewiduje w art. 21, że odparcie bezpośredniego zamachu nie podlega karze; nawet jeśli było przekroczenie granic obrony koniecznej, to na zasadzie § 2 art. 22 k.k. sąd może w szczególnych wypadkach uwolnić oskarżonego od kary. W konkluzji wnosił o uniewinnienie.

Po dwugodzinnej naradzie sąd skazał mjr. dypl. Jerzego Stawińskiego na podstawie art. 225 § 2 k.k. na dwa lata więzienia, przyjąwszy, że działał on pod wpływem silnego wzruszenia psychicznego. W motywach podkreślono, że nie działał z premedytacją; został znieważony, a obowiązkiem oficera jest obrona najwyższego dobra, jakim jest honor. Jako okoliczność łagodzącą wzięto pod uwagę bardzo dobrą opinię oskarżonego, nieskazitelną służbę i działalność niepodległościową. Jak wynikało bowiem z zeznań świadków, był on pierwszym oficerem, który w 218. Pułku rosyjskim na Kaukazie złożył po detronizacji cara raport swemu dowódcy, że uważa się za zwolnionego od przysięgi i pragnie wstąpić do formacji polskich.

Wyrok, jak odnotowała prasa, wywarł na majorze wstrząsające wrażenie; spodziewał się pewnie uwolnienia. Zaskarżył go i prokurator, który domagał się wydalenia z wojska, i obrońca oskarżonego. Najwyższy Sąd Wojskowy, który rozpatrywał sprawę w końcu sierpnia, zatwierdził karę, ale zastrzył ją wydaleniem z korpusu oficerskiego. W związku z tym Stawiński został przeniesiony do więzienia zwykłego, cywilnego.

Zmieniała się bowiem stopniowo obyczajowość i dawna pobłażliwość dla wybujałego poczucia honoru mającego usprawiedliwić nawet pospolitą zbrodnię stopniowo szła do lamusa. Pojedynki – zagrożone teraz dość surowo kodeksem karnym – też stawały się rzadkością. „Kurier Polski” (nr 86) pisał pod koniec marca 1937 roku: „Moda, mania pojedynków minęła. Zdarzają się one dziś rzadko, tylko wyjątkowo; w olbrzymiej większości tzw. zatargów honorowych sprawę likwidują bezkrwawo zastępcy, unikający roli sekundantów. Nawet i wśród młodzieży uniwersyteckiej, gdzie – niesławnym wzorem zwłaszcza niemieckich «burszów» – bezsensowna moda pojedynków do tzw. pierwszej krwi utrzymywała się przez długie lata, zwyczaj te weszły w stadium szczytowe. Nawet i w sferach wojskowych, gdzie pojęcie obrony honoru z bronią w rękę z natury rzeczy mocniej było zakorzenione, zwyczaj ten ograniczono do minimum, a przynajmniej taka jest tendencja”.

CZEŚĆ IV  
Czasy PRL

## Sądowe rozliczenia kolaborantów

DŁUGO PO WOJNIE SĄDY rozliczały ludzi, którzy w czasie okupacji współpracowali z hitlerowcami, czasem nawet realizując ich politykę eksterminacyjną. Jeden z takich procesów toczył się jeszcze w latach siedemdziesiątych, najpierw przed Sądem Wojewódzkim w Łodzi, a potem przed Sądem Najwyższym.

Sądzono w nim Eugenię Pol vel Genowefę Pohl, która przez ćwierć wieku z górami skutecznie ukrywała swe okupacyjne wcielenie złowrogiej funkcjonariuszki obozu karnego dla dzieci i młodzieży w Łodzi (Polen-Jugendverwahrlager der Sicherheitpolizei in Litzmannstadt).

Do dziś pamiętam tę dość drobną, szczupłą kobiecinę o pospolitych rysach, wymizerowaną po długim areszcie. Nie wzbudzała jednak współczucia, gdy siedziała na ławie oskarżonych w asyście milicjantów, chociaż nie przyznawała się do winy i usiłowała przedstawić się sądowi jako dobry duch więzionych dzieci, niemal ich anioł opiekuńczy. Gdy wprowadzano ją na salę sądową, na korytarzu słychać było wzburzone głosy i wrogie okrzyki: „Folksdojczka! Sługus hitlerowski! Esesmanka! Sadystka! Nigdy jej tego nie zapomnę, co robiła!”

Zanim 48-letnia Eugenia Pol została aresztowana 17 grudnia 1970 roku i trafiła 8 lutego 1972 roku po raz pierwszy przed sąd, mieszkała przez te wszystkie lata w Łodzi w tym samym domu, z którego wychodziła w czasie wojny, by pełnić swą haniebną służbę w obozie na Przemysławej. Sąsiedzi nie wiedzieli, czym się zajmowała, bo w domu nie pokazywała się w mundurze. Z faktu, że się nie ukrywała, jej obrońcy – dwaj łódzcy adwokaci – robili potem koronny dowód jej niewinności.

Po prostu miała szczęście lub ktoś ją chronił, a może było to tylko zaniedbanie: szukano jej pod nieco zmienionym imieniem i nazwiskiem. W każdym razie nie stanęła przed Specjalnym Sądem Karnym, który w 1945 roku sądził i skazał na śmierć dwoje funkcjonariuszy tego samego obozu, równie jak ona okrutnych: Sydonię Bajer i Augustina. Jej zbrodnicza działalność w obozie nie została też ujawniona podczas procesu rehabilitacyjnego za odstępstwo od narodu polskiego i przyjęcie niemieckiej folkslisty, który rodzina Pohlów vel Polów przeprowadziła w 1946 roku. Udało się jej nawet dostać pracę – o gorzka ironio losu – w jednym z łódzkich przedszkoli czy też żłobków.

Urodzona w 1923 roku Eugenia Pol od wybuchu wojny mieszkała w Łodzi razem z rodzicami i bratem. Wkrótce ojciec zgłosił przynależność do narodowości niemieckiej i stali się folksdojczami. Teraz już Eugenia Pohl otrzymała nowe dokumenty i zgłosiła się do Arbeitsamtu – dano jej skierowanie do policji kryminalnej. W rok później skierowano ją do obozu na Przemysławej, który wówczas został zorganizowany. Był przeznaczony dla sierot po Polakach, których Niemcy wymordowali podczas akcji pacyfikacyjnych, a także dla dzieci, które złapano na szmuglu, zebranie, handlu ulicznym, włóczęgostwie lub po prostu z łapanek.

Przeciętnie w obozie przebywało 1500 dzieci, z tego około 1200 chłopców i około 300 dziewcząt. Pochodziły one głównie z województwa poznańskiego, część z katowickiego i łódzkiego, niektóre dzieci trafiały tu nawet z Warszawy, Lublina i Krakowa. W sumie przez obóz na Przemysławej i jego filię na folwarku w Dzierżąni przewinęło się około 15 000 dzieci; ile z nich zmarło, nigdy nie ustalono, bo ewidencje fałszowano; była to jednak liczba znaczna, gdyż w obozie panowały ciężkie warunki. W zasadzie obóz był przeznaczony dla dzieci w wieku od 12 do 16 lat, ale w 1943 roku dolną granicę wieku obniżono do lat 8; w wielu przypadkach trafiały tu także dzieci młodsze, nawet dwulatki.

Dzieci były okrutnie bite, a przede wszystkim głodzone; stąd częste choroby i przypadki zgonów z powodu braku opieki lekarskiej. Na śniadanie otrzymywały kromkę chleba i pół litra

czarnej kawy, na obiad – chochlę zupy z brukwi, a kolacja była taka sama jak śniadanie. Wygłodzone dzieci kradły, gdzie mogły, i za to aufseherki nieludzko je karały; wyróżniała się w tym – jak zgodnie zeznawali świadkowie, których w procesie stanęło kilkudziesięciu, a właściwie blisko setka – właśnie Eugenia Pol.

– Pol była bardzo okrutną wachmanką, chodziła zawsze z bykowcem, strasznie biła, znęcała się. Ja Pol bardzo dobrze pamiętam, bo wiele od niej dostałam batów – zeznawała jedna ze świadków.

– Po wymierzeniu mi przez Pol kary chłosty nie mogłam chodzić przez dwa tygodnie i koleżanki robiły mi okłady z wody. Do dzisiejszego dnia mam ślady po jej biciu – mówiła inna.

– Pewnego razu, niosąc nieczystości do latryny – opowiadał przed sądem inny świadek, dziś ruina człowieka – rozlaliśmy trochę. Wtedy Pol i Augustin bili nas, mazali nam w tym twarze i wreszcie odesłali do karcu. Kolega od pobicia zmarł, a ja miałem złamane dwa żebra.

Inny świadek: – Pol budziła nas w nocy, kazała biec na bosaka do studni i myć nogi. Oczywiście wracając, znów je brudziłam, trzeba było tak biegać w kółko, dopóki jej się to nie znudziło.

Świadkowie – podsumował ten etap procesu ktoś z prasowej ławy – są trudni, bardzo trudni, zwłaszcza dla oskarżyciela, bo przecież w sądzie liczą się fakty, tylko fakty. A oni podekscytowani, zdenerwowani, myślą się, płaczą, nie wszystko pamiętają, im bardziej peszy ich obrona, tym więcej chcą mówić. Stąd sprzeczności i nieścisłości, stąd trudność udowodnienia zarzutów objętych aktem oskarżenia. Poza tym są to ludzie prości, przeważnie bez wykształcenia, co jest również wynikiem obozowej przeszłości, nie zawsze rozumieją podchwytliwe pytania obrońcy i dociekliwe sądu.

Wiarygodność zeznań świadków – wbrew wątpliwościom zgłaszanym przez obronę – potwierdziły opinie trzech biegłych psychologów. Nie dopatrzyli się oni prób konfabulacji lub nierzetelności. Podkreślali, że dzieci w wieku 8–12 lat trwale rejestrują w pamięci wiele faktów i zdarzeń ze względu na duży ładunek emocjonalny: lęku, grozy i strachu. Oczywiście mogą mylić fakty, pory roku, ale nie najważniejsze zdarzenia, których byli świadkami – mówili biegli.

Obroncy dążyli do zmiany kwalifikacji prawnej oskarżenia: szło im o to, by Pol została skazana tylko za znęcanie się. Wtedy objęłaby ją amnestia. Oskarżenie kwalifikowało jej czyny w stosunku do kilkorga dzieci z art. 1 pkt 1 dekretu z 31 sierpnia 1944 roku o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy wojennych winnych zabójstwa i znęcania się nad ludnością cywilną i jeńcami oraz zdrajców Narodu Polskiego, który to dekret jeszcze obowiązywał. Stanowił on, że „kto brał udział w dokonywaniu zabójstw spośród ludności cywilnej albo osób wojskowych lub jeńców wojennych, podlega karze śmierci”. Tylko wyjątkowo – na podstawie art. 30 pkt 3 kodeksu karnego – sąd mógł orzec bardzo wysoką karę więzienia i o to właśnie wnioskowała prokuratura.

Sąd dopatrzył się wielu luk w 7-tomowych aktach i zwrócił je prokuraturze w celu uzupełnienia śledztwa, tak aby pewne fakty i zdarzenia uściślić i zebrać dodatkowe materiały. Sąd Wojewódzki zalecił też analizę wszystkich dokumentów, jakie uda się odnaleźć w sprawie obozu dla dzieci i młodzieży w Łodzi.

– Dobro sprawy wymaga – mówił sędzia przewodniczący – byśmy osądzili Eugenię Pol w realiach obozowych jak najściślej, byśmy dowiedzieli się jak najwięcej o warunkach, w jakich żyli i umierali wszyscy więźniowie obozu na Przemysłowej.

W sumie Sąd Wojewódzki w Łodzi rozpoznawał sprawę Eugenii Pol aż trzy razy i ostatecznie 25 czerwca 1975 roku skazał ją – po udowodnieniu, że bezpośrednio przyczyniła się do śmierci co najmniej dwóch dziewczynek (gdy z rany jednej z nich wydobywały się wnętrzności, zagłębiła w ranie pejcz i kręciła nim; ojcu oświadczone, że córka zmarła na



zapalenie płuc) – na 25 lat pozbawienia wolności. Od szubienicy uratowało ją to, że była wówczas młodą dziewczyną ulegającą wpływowi otoczenia, a po wojnie prowadziła nienaganne życie. Podkreślił to sąd, punktując okoliczności łagodzące. W końcu stycznia następnego roku wyrok ten utrzymał w mocy Sąd Najwyższy.

Rozliczanie osób współpracujących z okupantami zaczęło się natychmiast po zakończeniu wojny. Pierwsza publiczna sesja Specjalnego Sądu Kryminalnego w Warszawie odbyła się już 15 maja; przed sądem tym – jak pisało „Życie Warszawy” – „stają renegaci, wysługujący się okupantowi, podli sprzedawcykowie Narodu Polskiego, ludzie bez czci i sumienia – by ponieść zasłużoną karę”.

Jako pierwszy był sądzony Leon Brzozowski vel Berezowski, lat 41, były sierżant 36. Pułku Piechoty. W czasie wojny pracował jako „werkschutz” (straż przemysłowa) w fabryce „Avia”; świadkowie pamiętali, że znęcał się nad pracownikami tego zakładu, bijąc ich przy lada okazji. W 1943 roku wstąpił do ochotniczej formacji SS Polizei Galizien, składającej się wyłącznie z Ukraińców, i dosłużył się stopnia leutnanta. Formacja ta była używana do łapanek, pilnowania obozów więziennych, do ekspedycji karnych przeciwko partyzantom i pacyfikacji. Do niewoli Brzozowski dostał się pod Złoczowem, w mundurze SS; następnie uciekł do Warszawy, gdzie został schwytany.

– Nie potrzebuję tu mówić – wołał w swej mowie oskarżycielskiej prokurator Zabłocki, dowodząc, że oskarżony działał na szkodę Polski – co robiło SS Galizien! Mówią o tym tysiące mogił pomordowanych braci, żon, matek i dzieci naszych, świadczą o tym zgłiszcza popalonych wsi. Człowiek ten, całkowicie pozbawiony moralności, wyzuty z zasad etycznych, wykorzystuje wszelkie okoliczności, aby żyć kosztem i ze szkodą dla ogółu. Musi być ze społeczeństwa usunięty. Żądam najwyższego wymiaru kary.

Taki też wyrok: kara śmierci oraz pozbawienie praw obywatelskich na zawsze – wydał Specjalny Sąd Karny RP, a prośba skazańca o łaskę została odrzucona.

Kilka dni później „Życie Warszawy” donosiło o innym procesie przed Specjalnym Sądem Karnym. Tym razem stanął przed nim 49-letni Józef Kędzia, emerytowany podoficer Wojska Polskiego, w czasie okupacji kierownik kina „Club” przy ulicy Białoleńskiej na Bródnie. Świadkowie potwierdzili, że występował on jako Niemiec, a w klapę ostentacyjnie wpinał swastykę. Najbardziej obciążał go fakt, że zatrzymał i wydał Niemcom młodą dziewczynę, która kolportowała ulotki nawołujące do bojkotu niemieckich filmów; wszelki ślad po niej zaginął. Obciążało go wiele innych faktów, m.in. czynny udział w łapanek, bicie i kopanie Polaków i obrzucanie ich wyzwiskami w języku niemieckim. Jako folksdojcz otrzymywał wyższą emeryturę i zwiększone racje żywnościowe. Wyrok: kara śmierci.

Takich wyroków musiało zapadać sporo, zwłaszcza w pierwszych dniach funkcjonowania tego sądu, skoro – jak wynika z gazet – prezydent KRN w okresie między tymi dwoma procesami aż dziesięć razy nie skorzystał z prawa łaski wobec innych osób. Byli między nimi konfidenti gestapo, którzy wydawali Niemcom ukrywających się Polaków bądź Żydów lub też sami wyróżniali się szczególnym okrucieństwem.

Podobny epilog – już później – miała sprawa konfidentki „Wandy”, której udowodniono wydanie gestapo dwóch drukarni i ponad setki osób. Losy innej kobiety, która też została skazana na śmierć, mogłyby stać się kanwą filmu sensacyjnego. Jej rola w nim byłaby wybitnie negatywna, gdyż w sumie, chociaż pomagała wielu Polakom, bardzo zaszkodziła Państwu Podziemnemu. Irena Chmielewiczowa, o której procesie pisano w 1946 roku, występowała w nim w podwójnej roli kobiety szpiega. Z jednej strony jako maszynistka i protokolantka

kapitana Wenera z warszawskiego gestapo bezinteresownie przyczyniła się do wyrwania z rąk tej ponurej instytucji kilkudziesięciu osób, a także uprzedzała o łapankach i dostarczała wiadomości o konfidentach, z drugiej jednak przyczyniła się do aresztowania wielu asów podziemia, bo mając tak dobrą opinię, tym skuteczniej mogła działać na rzecz okupanta. Nawiązała współpracę już w 1939 roku, służąc gestapowcom jako przewodnik po obcym dla nich mieście. Oświadczyła wówczas dozorczyńni domu przy ul. Nalewki 4, gdzie mieszkała: „Polski już nie będzie, wybijcie to sobie z głowy!”

W 1948 roku, jak donosił „Wieczór”, został skazany na śmierć niejaki Ireneusz Wysocki z Pragi, który w czasie okupacji współpracował z gestapo i zastawiał na akowców perfidne pułapki. „Wystawił” m.in. trzech swoich kolegów szkolnych – mówił im, że ma broń do sprzedania i umówił się z nimi w restauracji. Podczas spotkania wyszedł na chwilę, pod pozorem, że przyjdzie ktoś w celu sfinalizowania transakcji. Natychmiast podjechały budy i gestapo otoczyło lokal. Jeden z akowców nie posłuchał okrzyku *Hände hoch!* i wyskoczył na ulicę; zastrzelono go na miejscu. Drugi nie przeżył obozu, a trzeci, który przeżył – był na procesie głównym świadkiem. Po tym incydencie ze „sprzedażą broni” Ireneusz Wysocki stał się powszechnie znanym w swoim środowisku agentem gestapo; szczycił się tym i pokazywał przy różnych okazjach legitymację ozdobioną swastyką.

Spośród licznych spraw wytaczanych różnym osobom za współpracę z Niemcami i działania na szkodę narodu polskiego uwagę zwraca kazus niejakej Bronisławy Brzezińskiej, która prześladowała nienawiścią jedną ze swoich znajomych. Po wkroczeniu Niemców oskarżyła ją, że wydawała władzom polskim dywersantów strzelających z okien; miała też podpalać niemieckie czołgi. Gdy nie dawano jej wiary, w gestapo na Szucha przysięgła na portret Hitlera, że mówi prawdę. Niemcom to wystarczyło i oskarżoną kobietę postawili przed plutonem egzekucyjnym. Została tylko postrzelona, udała zabitą i jakoś wyszła cało z opresji. Cóż z tego, kiedy jej prześladowczyni spotkała ją w 1941 roku przypadkiem na ulicy i znów oddała w ręce gestapo. Tym razem wywieziono ją do Ravensbrück; jednak i tam przeżyła. Dla Bronisławy Brzezińskiej prokurator Sądu Specjalnego zażądał kary śmierci; skazano ją na dożywocie.

Niekiedy byłem współpracownikiem gestapo i innych agend hitlerowskich udawało się skutecznie uniknąć odpowiedzialności, najłatwiej wtedy, gdy przechodzili na gorliwą służbę powojennego reżymu. Mazurkiewicz, wielokrotny morderca, który nawiązał współpracę z krakowskim gestapo, prowadząc różne ciemne interesy, po wojnie związał się z resortem bezpieczeństwa i nadal handlował walutą oraz bezkarnie mordował.

Najbardziej błyskotliwą karierę w krakowskiej bezpiece w latach powojennych zrobił autentyczny kolaborant niemiecki Władysław Hartman, który nawet szefował tamtejszej prokuraturze.

Był – jak pisało „Życie Literackie” – wywiadowcą MO, współpracownikiem SB, potem oficerem śledczym KBW. Po takim przeszkoleniu jednoroczna szkoła prawnicza wystarczyła już, aby zostać szefem Prokuratury Okręgowej w Krakowie i... sekretarzem POP. W okresie gdy żołnierze podziemia z lat okupacji coraz liczniej zapelniali polskie więzienia, szpicel SS-owski był oskarżycielem – dziwił się dziennikarz.

Jak czytamy dalej, w roku 1952, gdy wyszła na jaw przeszłość Hartmana, późniejsze zasługi, za które dostał Złoty Krzyż (!), przeważyły widać dawne grzechy, skoro zadowolono się zwolnieniem go z prokuratury i pozwolono swobodnie działać. Kumpie chcieli go ulokować na radcostwie prawnym bądź w adwokaturze, nie zdążyli jednak, bo razem z nim stanęli przed sądem za łapówki brane od rzeźników, złodziei i chuliganów. „Być może łapówkami, którymi

kryminaliści płacili im za swoją bezkarność, oni premiowali swe zasługi w procesach politycznych?” – pytał odważnie reporter „Życia Literackiego”. Panowała wszak popaździernikowa odwilż i piętnowano wszelkie „błędy i wypaczenia”. Niedługo jednak cenzura na nowo przykręciła śrubę i podobne afery nie wychodziły już na światło dzienne.

W toku procesu okazało się, że Hartman ma skłonności do mitomanii: podawał się za Niemca, ale był rodowitym Polakiem i niewiele miał wspólnego z Abwehrą czy SS, czym się szczylił. Kolaborantem był jednak niewątpliwie jako członek Schutzmannschaftbattalion; gdy się to wydało w 1952 roku, został wyrzucony z prokuratury, ale karnie z tego tytułu nie odpowiadał. Zagadkowe jest to, że jego proces – i kolegów – o korupcję był tylko szczątkowo relacjonowany i dziś nie da się go odtworzyć na podstawie ówczesnej prasy. Sprawy więc jako skandalicznej dla wymiaru sprawiedliwości zbytnio nie nagłaśniano.

Jedną z najgłośniejszych spraw „rozliczeniowych” z okresu okupacji stał się proces aktorów, których Niemcom udało się zwerbować do występowania w filmie *Heimkehr* („Powrót do ojczyzny”). Była to wyjątkowo paskudna propagandówka – zrobiona jednak z pewnymi ambicjami artystycznymi, bo w okupowanej Europie utrzymywała się na ekranie kilka lat – budziła nienawiść do Polaków rzekomo znęcających się nad Niemcami tuż przed wojną.

Aktorzy ci, wbrew zakazowi ZASP-u oraz organizacji podziemnych, zarejestrowali się w Propaganda-Abteilung i otrzymali tzw. Erlebnis-Karte, co umożliwiało im występowanie w teatrykach komediowych i rewiach. Do udziału w filmie *Heimkehr* zwerbował ich osławiony Igo Sym, który niebawem zginął z rąk członków ruchu oporu.

18 października 1948 roku na ławie oskarżonych w sali nr 2 (później sala nr 200) Sądu Okręgowego zasiedli aktorzy: Michał P., Juliusz L., Stefan G. i Wanda Sz. Główny oskarżony Bogusław S. był sądzony zaocznie, jako że przebywał w Ameryce. Zmarł – jak wspominał mecenas Henryk Nowogródzki, który go bronił – w Brazylii; był tam podobno klaunem cyrkowym.

Film ukazywał m.in. zniszczenie w pewnym miasteczku niemieckiej szkoły przez tłum rozwydrzonych uczniów Polaków, z cichym przyzwoleniem burmistrza, którego grał Bogusław S. Ów przedstawiciel władz obojętnie też patrzył na pogrom, jaki w kinie urządzili Niemcom polscy widzowie, gdy ci nie chcieli przyłączyć się do śpiewów i patriotycznej manifestacji podczas sceny defilady wojskowej.

„Tumult – streszczał *Heimkehr* dziennikarz, który oglądał jego fragmenty wyświetlane jako dowód podczas procesu – nie cichnie. Dyrekcja wzywa policję. Na salę wkracza butnie sierżant polskiej policji – Michał P. Jest wściekły, brutalny, każe wyrzucić z sali wszystkich Niemców. Młoda Niemka zwraca się o pomoc dla rannego w bójce narzeczonego, ale policjant odmawia z krzykiem. Przed kinem czeka na rannego dorożka, otoczona przez złorzeczących Polaków. Nagle ktoś wybiega z tłumu, wdrapuje się na dorożkę, bije umierającego Niemca po głowie. Stefan G. rzeczywiście wszedł w swą rolę”.

A oto następne sceny: „Kilka miesięcy później wybucha wojna. Polscy żołnierze wtłaczają wszystkich Niemców do więziennych piwnic zalanych wodą. Ustawione w wąskich oknach piwnic zaczynają terkotać karabiny maszynowe, masakrując więźniów. Przychodzi odsiecz. Wałą się bomby z nurkowców. Brama więzienna pęka pod naporem hitlerowskich czołgów. Nad drogą i ciągnącym tłumem wracających po wojnie do swych «odwiecznych» siedzib Niemców króluje olbrzymi portret uśmiechającego się Führera...”

„Oskarżeni – notował swe wrażenia sprawozdawca sądowy «Życia Warszawy» – przyglądają się filmowi dość obojętnie. Szeptem dzielą się uwagami. Zachowują się jak aktorzy po premierze swego filmu, który ma zapewnione powodzenie. Na sali panuje milczenie. Milczenie przepelnione wrogością”.

Aktor Michał P. grający rolę policjanta utrzymywał, że nie znał treści filmu, gdyż mówił w nim wyłącznie po niemiecku; później, gdy właśnie wyświetlono urywki filmu – okazało się to nieprawdą. Juliusz L., posiadacz Erlebnis-Karte, grywający w teatrze „Komedia”, twierdził z kolei, że o zakazie rejestrowania się w Propaganda-Abteilung nigdy nie słyszał, a w filmie był tylko statystą: widzem na sali kinowej. Stefan G., który również grał rolę widza, też do winy się nie poczuwał, mimo że scena, w której występował, bijąc po głowie ciężko rannego Niemca, była bardzo drastyczna. Oskarżona Wanda Sz., która grała rolę bileterki, organizowała wyjazd aktorów Polaków do Wiednia, gdzie film kręcono, i była ich łączniczką z reżyserami niemieckimi. Zapytana, dlaczego zarejestrowała się u Niemców, wymieniła nazwisko wybitnego aktora, który też to zrobił.

Wszyscy sądzeni aktorzy przyznawali, że nie stosowano wobec nich żadnego przymusu, natomiast kilku zeznających w charakterze świadków opowiedziało, jak stosując różne uniki, wykręcili się od proponowanych im ról w filmie *Heimkehr*. Zakaz rejestrowania się – zgodnie twierdzili – był powszechnie znany w całym środowisku aktorskim. Jedna ze świadków, wywieziona na roboty do Berlina, widziała ten film w 1944 roku. Zauważyła, że publiczność była silnie wzburzona okrucieństwem Polaków. Uciekła z kina, bo bała się samosądu, gdyby się wydało, że jest Polką.

Jako biegli przed sądem wystąpili: prezes ZASP-u Dobiesław Damięcki i znawca sztuki filmowej Jerzy Toeplitz. Ten drugi wyraził opinię, że *Heimkehr* należał do najbrutalniejszych filmów propagandowych, przewyższając w wyrazie nawet antyżydowski *Jud Süß*, bo pokazywał Polaków jako zbrodniczą bandę degeneratów. Twórca filmu, hitlerowiec Uschnitzky, był jednym z najzdolniejszych reżyserów niemieckich, główne role zaś zostały obsadzone czołowymi aktorami, jak Paula Wessely. Dzięki występom polskich aktorów i dwujęzyczności film uzyskał pozory prawdziwości.

– Celem hitleryzmu – podkreślił w mowie oskarżycielskiej prokurator – było wyniszczenie narodu polskiego, a niemieckie filmy stały się takim samym środkiem walki, jak nowoczesna broń. Zadanie swe spełniały przez podsycanie nastrojów zemsty i odwetu w stosunku do podbitych narodów.

Bogusławowi S. Sąd Okręgowy wymierzył zaocznie karę dożywotniego więzienia. Michał P. został skazany na pięć lat, Juliusz L. na trzy, a Stefan G. na tyle samo; Wanda Sz. została skazana na 12 lat więzienia. Uzasadniając wyrok, sąd stanął na stanowisku, że oskarżeni aktorzy zasłużyli na najwyższy wymiar kary, bo pośrednio brali udział w niszczeniu Polaków.

Aktorów grywających w teatrzykach przeważnie podkasanej muzy bądź w jedynym w Warszawie poważnym Stadt-Theater (drugi był w Krakowie), a liczono ich około dwustu, piętnowała – jak już o tym była mowa – prasa podziemna. Robiło to też po wojnie „Życie Warszawy”, raz w 1946, drugi raz w 1947 roku, wymieniając z nazwiska co sławniejszych, niekiedy nawet wybitnych kolaborantów spośród ludzi teatru. Najbardziej surowo potępiano aktora komicznego, bardzo popularnego przed wojną, który rozśmieszając okupacyjną, szemraną głównie publikę, zarabiał krocie, podczas gdy aktorzy patrioci nieraz przymierali głodem. Niektórych kolaborantów aktorów ZASP ukarał tuż po wojnie zakazem pokazywania się na scenie przez rok czy dwa, co nie było represją zbyt surową<sup>2</sup>.

Procesów karnych, prócz opisanego wyżej, wytaczano chyba niewiele; prasa donosiła jeszcze o jednym: Tadeusza W. i Haliny R., aktorów i autorów antyżydowskiej sztuki *Kwarantanna*. Trzecim oskarżonym był niejaki H., powojenny impresario teatralny, który owo sztuczdyło wystawił i jeździł z nim – z trupą objazdową – po całej Generalnej Guberni.

*Kwarantanna* zdobyła nagrodę w wysokości 5000 zł w konkursie rozpisany przez

Propaganda-Abteilung, którym w Warszawie rządził Horwath. Celem konkursu było wyłansowanie sztuki teatralnej, w której negatywną postacią miał być „Żyd roznoszący zarazki tyfusu i zarażający aryjskie otoczenie”. Tadeusz W. został skazany na 5 lat więzienia, Helena R. – zaocznie, bo przebywała w Londynie – na 10 lat, na tyle samo impresario. Prasa najbardziej oburzała się na Tadeusza W., który przed sądem miał czelność powiedzieć: „Uważam, że właśnie w tych czasach występowanie na scenie było wielce wskazane i uważałem je nie tylko za objaw zdrowej tężyzny naszego społeczeństwa, lecz wręcz za bohaterstwo”.

W warszawskim Sądzie Okręgowym rok 1949 – od razu 3 stycznia – zaczął się procesem jedenastu byłych współpracowników prasy gadzinowej: „Nowego Kuriera Warszawskiego”, „7 dni” oraz miesięczników „Fala” i „Co miesiąc powieść”. Akt oskarżenia zarzucał im, że „w czasie okupacji niemieckiej, począwszy od jesieni 1939 roku do klęski Niemiec, idąc na rękę okupantowi, uczestniczyli w redagowaniu wymienionych czasopism niemieckich w języku polskim”.

Zebrane w toku dochodzenia materiały mówią – stwierdzał akt oskarżenia – że prasa gadzinowa miała wytknięte następujące cele: wytworzenie i utwierdzenie w społeczeństwie polskim mitu o niezwyciężonej potędze Rzeszy i jej armii, o doskonałości i nieodwracalności nowego porządku niemieckiego, wpojenie społeczeństwu polskiemu mniemania o jego niższości w stosunku do Niemców i wytworzenie przekonania, iż jedynie pod opieką i ochroną Rzeszy Polacy mogą egzystować dalej, że represje dotyczą wyłącznie tych, którzy występują przeciw niemieckiemu porządkowi i niemieckiej władzy i że wojna nakłada na Polaków obowiązek pracy w Rzeszy i dla Rzeszy, podczas gdy Niemcy prowadzą walkę w imię wspólnych interesów.

Tworzenie wrogiego klimatu wobec Związku Radzieckiego, wywoływanie nastrojów antysemickich, demoralizacja społeczeństwa, a zwłaszcza młodzieży – oto środki do zwalczania ruchu oporu przez te pisma według aktu oskarżenia. Podkreślono też w nim, że organizacje Polskiej Podziemnej, widząc w tych pismach perfidne narzędzie polityki niemieckiej, potępiały polskich współpracowników „prasy gadzinowej” i publikowały ich nazwiska na łamach prasy podziemnej, obiecując postawić ich po wojnie przed sądem.

W wyjaśnieniach oskarżeni pomniejszali swoją rolę, powołując się niekiedy na polecenie organizacji podziemnych, by podjęli pracę w „szmatławcach”. Żaden z nich nie mógł jednak podać konkretów w tym względzie. Inni twierdzili, że wykonywali tylko prace techniczne, do których skierował ich Arbeitsamt.

Świadkowie mocno obciążali oskarżonych. Prof. Stanisław Lorentz – działacz Polskiej Podziemnej – powiedział, że już od pierwszych momentów okupacji stosunek społeczeństwa polskiego i organizacji konspiracyjnych do niemieckiej prasy w języku polskim był zdecydowanie negatywny. W 1940 roku organizacje podziemne ogłosiły zakaz pracy w tych redakcjach jako instytucjach szczególnie niebezpiecznych dla społeczeństwa.

Zapytany przez sąd, czy przypomina sobie, aby organizacja delegowała któregoś ze swych członków do pracy dziennikarskiej w „szmatławcu”, oświadczył, że nie zna ani jednego takiego przypadku. Istniała bowiem zasada, że punkty wywiadowcze w propagandzie niemieckiej powierzano pracownikom technicznym, jak drukarze, palacze itp., których praca na rzecz okupanta byłaby jak najmniej produktywna. Natomiast wszelacy kolaboranci z prasy i teatrzyków szukali kontaktów z pojedynczymi konspiratorami, by uzyskać jakieś podstawy rozpowszechniania fałszywych pogłosek o rzekomej pracy w podziemiu, mających służyć jako osłona przed konsekwencjami spodziewanej klęski Niemiec. Takie układy „restauracyjno-towarzyskie” były przez organizacje ścigane.

Na zapytanie prokuratora prof. Lorentz odpowiedział, że jest mu znany tajny okólnik rządu Generalnej Guberni nakazujący propagandzie niemieckiej, a więc prasie gadzinowej

i teatrykom, prowadzenie szerokiej akcji zmierzającej do zdemoralizowania i złamania ducha oporu narodu polskiego. Teatryki i redakcje – dodał – też były punktami wywiadu niemieckiego.

Inni świadkowie – znani dziennikarze – potwierdzali fakt, że środowisko prasowe traktowało Polaków współpracujących z prasą gadzinową jako wyrzutków społeczeństwa i zdrajców narodu. Przytaczali też przykłady szczególnie szkodliwych publikacji oskarżonych, bo chociaż ci ukrywali się niekiedy pod pseudonimami, bywały one rozpracowane. Dziennikarz Dunin-Wąsowicz, mówiąc o haniebnym roli niektórych swych byłych kolegów z przedwojennych redakcji, wspominał, że 300 dziennikarzy znalazło się na bruku, ale tylko jednostki zahańczyły się współpracą z okupantem, chociaż wszyscy żyli w niezwykle ciężkich warunkach. Nie było przymusu – dodał – rejestrowania się dziennikarzy u Niemców i każdy, kto współpracował z prasą gadzinową, czynił to z własnej woli.

Występujący w charakterze biegłego płk Jan Rzepecki oświadczył, że do współpracowników „Nowego Kuriera Warszawskiego” AK zawsze odnosiła się negatywnie i piętnowała ich w prasie konspiracyjnej. Inny biegły – a było ich jeszcze kilku – dyrektor Departamentu Badania Historii Najnowszej Stanisław Płoski przypomniał, że w okresie gdy na Lesznie powieszono kilkunastu działaczy ruchu oporu, w „szmatławcu” ukazał się artykuł „o potrzebie walki z bandytyzmem”. Oświadczył, że organizacji podziemnej nie udało się pozyskać pracowników „Nowego Kuriera Warszawskiego” do wydania specjalnego numeru służącego celom ruchu oporu. Numer taki – ku uciesze mieszkańców stolicy – został wydany wyłącznie dzięki własnym środkom organizacyjnym.

Dla najbardziej obciążonego Antoniego S. prokurator zażądał 15 lat więzienia, dla innych od 12 do 5. Sąd Okręgowy 11 stycznia skazał go na 10 lat, pozostałych w granicach od 5 do 8 lat pozbawienia wolności, a dwóch oskarżonych od kary uwolnił.

Zdarzało się, że przed sądem stawali ludzie niewinni, na których padł tylko cień podejrzenia, iż wysługiwali się okupantom. Musiało to być szersze zjawisko, skoro na początku 1947 roku prasa aż kilka razy opisała takie przypadki.

„Nikczemne oskarżenie. Oczyszczona z hańbiącego zarzutu. Prokurator kazał uwięzić świadków” – donosił „Kurier Codzienny” na początku lutego o finale procesu przeciwko Alfredzie P. oskarżonej przez prokuratora Sądu Specjalnego o współpracę z okupantem i działanie na niekorzyść narodu polskiego. Była ona w czasie okupacji właścicielką restauracji na Pradze, do której – prócz Polaków – przychodzili również Niemcy; napis *Erlaubt für Deutsche* wręcz ich do tego zachęcał. Alfredę P. oskarżono nie tylko o współpracę, ale i o to, że wiedząc, iż w jednym z mieszkań ukrywa się Żyd, zmusiła go do ucieczki, grożąc wydaniem w ręce Niemców. Przesiedziała w areszcie 7 miesięcy.

Proces wykazał, że oskarżona pracowała na rzecz podziemia, a w jej lokalu – pod parasolem ochronnym przebywających w nim Niemców – odbywały się konspiracyjne zebrania. Przechowywała też kilka osób narodowości żydowskiej, chroniąc je przed aresztowaniem. Tak zeznawało kilkudziesięciu świadków; trójkę, w tym małżeństwo, świadków upierających się nie wiedzieć czemu, że było inaczej – prokurator kazał uwięzić. Oskarżona została zrehabilitowana i uwolniona.

„Uniewinniona z zarzutu korzystania z pomocy Niemców” – informowała ta sama gazeta w drugiej połowie lutego o procesie Janiny K. Janinę N. z kolei – o czym można było wyczytać nieco wcześniej w tej samej gazecie – oskarżono, że handlarzom żądającym paskarskich cen groziła, iż wyda ich Niemcom. Świadczyli jej bardzo pozytywną opinię, gdyż jej synowie działali w konspiracji; też została uniewinniona.

Największe jednak zainteresowanie i sporą sensację wywołał proces oficera AK toczący

się najpierw przed Specjalnym Sądem Karnym, a potem Okręgowym od sierpnia 1946 do końca kwietnia następnego roku; sprawa bowiem była odraczana ze względu na trudności ze znalezieniem świadków z okresu konspiracji.

„Zdrajca czy bohater?” – pytała jedna z gazet; Aleksy M. stanął bowiem przed sądem pod zarzutem, że wydał władzom niemieckim tajną radiostację. Ów porucznik WP, uczestnik kampanii wrześniowej, dał się poznać w konspiracji i w czasie powstania jako dobry patriota i żołnierz. Podejrzenia o zdradę opierały się na tym, że po aresztowaniu porucznik z dziwną łatwością uciekł z rąk gestapowców, którzy po miesięcznym przetrzymywaniu na Pawiaku wieźli go na przesłuchanie. Podchorążemu, aresztowanemu wraz z nim, a następnie zwolnionemu – udowodniono zdradę. Władze Polski Podziemnej wydały nań wyrok śmierci, który został wykonany. Aleksego M. Sąd Okręgowy uniewinnił, gdyż nie potwierdziły się zarzuty wysuwane przeciwko niemu.

Łączniczka wywiadu o pseudonimie „Mila” potwierdziła fakt, że brał czynny udział w Powstaniu i za wybitne zasługi bojowe otrzymał Krzyż Walecznych i *Virtuti Militari*. Cały czas – co ustalił sąd – pracował w kontrwywiadzie.

Ciekawe, jak potoczyły się jego dalsze losy właśnie z tego powodu. Najhaniebniejszym bowiem rozdziałem „pookupacyjnych rozliczeń” było oskarżanie i skazywanie na śmierć ludzi akowskiego podziemia pod fałszywym zarzutem współpracy z gestapo. Procesów takich było wiele, przebadane przez historyków zostały jednak tylko niektóre.

„Było to – piszą Janusz Wróbel i Marek Słojewski, autorzy opracowania *Zbrodnie sądowe z oskarżenia o kolaborację z nazistami* – oskarżenie perfidne, okrutne, groźne w swych konsekwencjach, pozbawiało bowiem dawnych żołnierzy Państwa Podziemnego zaszczytnej miana obrońców Ojczyzny i narażało na drakońskie kary. W swych zamysłach komuniści zmierzali do upodlenia i psychicznego załamania oskarżonych, jak również do zohydzenia ich w oczach opinii publicznej”<sup>3</sup>.

Komuniści w walce o władzę uciekali się i do takich haniebnych metod. Mieli wszak nauczyciela w Stalinie, który po ujawnieniu zbrodni katyńskiej zaatakował „polskich współpracowników Hitlera”, a w Teheranie oświadczył Churchillowi i Rooseveltowi, zresztą nie spotykając się z ich sprzeciwem, że „polski rząd na uchodźstwie jest ściśle związany z Niemcami i jego agenci w Polsce mordują partyzantów”.

W moskiewskim procesie szesnastu gen. Leopoldowi Okulickiemu postawiono zarzut kolaboracji, a w stalinowskiej Polsce w procesie Okręgowego Kierownictwa Walki Podziemnej (m.in. Kazimierza Moczarskiego) i Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa „Start” sądzonych akowców skazywano m.in. za współpracę z gestapo. Jak wspominał w swych *Zapiskach* K. Moczarski, płk Józef Różański bez ogródek powiedział mu w czasie przesłuchania: „My zawsze potrafimy udowodnić dokumentami, że pan był agentem gestapo, gdyż jesteśmy w posiadaniu blankietów, oryginałów stempli, pieczęci itp. z gestapo, a ponadto mamy w swym ręku takich b. gestapowców, którzy chętnie podpiszą dzisiaj pańską, zrobioną przez nas, kartę agenta gestapo”. Żeby go zgnębić moralnie, ppłk Józef Dusza wsadził Moczarskiego do jednej celi z generałem SS J. Stroopem.

Wszyscy oskarżeni w tych dwu procesach po 1956 roku zostali uniewinnieni, a prokurator generalny PRL Kazimierz Kosztirko musiał przyznać, że materiał dowodowy został spreparowany „bez liczenia się z prawdą obiektywną”. „Dotyczy to w szczególności – napisał – spraw karnych przeciwko osobom, które w czasie okupacji prowadziły działalność w ramach ugrupowań politycznych lub organizacji, stojącej na innej aniżeli ruch robotniczy platformie ideologicznej”.

Nie przywróciło to jednak życia bohaterom podziemia akowskiego, takim chociażby jak

legendarny Witold Pilecki, zabitym metodą wypróbowaną w Katyniu i w lochach NKWD – strzałem w tył głowy.

1 Na podstawie dekretu PKWN z 31 sierpnia 1944 roku o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy winnych zabójstw i znęcania się nad ludnością cywilną i jeńcami wojennymi oraz dla zdrajców Narodu Polskiego sądy skazały w latach 1946–1956 na karę śmierci 1212 osób, na dożywocie 392, powyżej 10 lat – 1218, a do lat 10 – 13 944 osoby. Por. Andrzej Pasek, *Przestępstwa okupacyjne w polskim prawie karnym z lat 1944–1956*, Wrocław 2002.

2 O sytuacji w środowisku aktorskim podczas okupacji piszą m.in.: J. Hera, *Dlaczego ob. Korzeniowski kłamię?* „Zeszyty Historyczne” 1996, z. 115, s. 165–192; A. Chojnacka, *Leon Schiller. Losy wojenne i powojenne oskarżenia*, „Pamiętnik Teatralny” 1997, z. 1–4, s. 127–184; J. Hera, *Życie artysty w niewoli. Rzecz o Andrzeju Szalawskim*, „Pamiętnik Teatralny” 1999, z. 2, s. 137–176; J. Hera, *Życie artysty w niewoli. Rzecz o Marii Malickiej*, „Pamiętnik Teatralny” 2001, z. 3–4, s. 296–330.

3 J. Wróbel, M. Słojewski, *Zbrodnie sądowe z oskarżenia o kolaborację z nazistami*, w: praca zbiorowa, *Przestępstwa sędziów i prokuratorów w Polsce lat 1944–1958*, wyd. IPN pod red. W. Kuleszy i A. Rzeplińskiego, s. 85–121.



## Proces Giedroycia *per procura*

W CIĄGU DWUNASTU DNI lutego 1970 roku w Wydziale Karnym stołecznego Sądu Wojewódzkiego toczył się proces – jak napisano na wokandzie wywieszanej na drzwiach największej sali „Leszna” (tak się jeszcze wówczas mówiło na budynek sądów), noszącej numer 252 – przeciwko Maciejowi Kozłowskiemu i innym. Kręgi prokuratorsko-sądowe, a za nimi dziennikarze, ochrzciły go mianem „procesu tatarników”, mimo że prócz głównego oskarżonego i Krzysztofa Szymborskiego nikt z pozostałych tatarnikiem nie był, a stykał się z Tatrami Wysokimi jedynie jako turysta.

Związek z turniami łatwo się jednak kojarzył, bo przez nie właśnie szmuglowano publikacje paryskiego Instytutu Literackiego i panagiedroyciową „Kulturę”. Jej redaktor i samo to pismo stało się właściwie przedmiotem procesu i głównym oskarżonym *per procura*, młodzi zaś ludzie z ławy oskarżonych współnikami w niecnym procederze szkalowania Polski Ludowej. Było to jasne dla wszystkich: głównym oskarżonym jest pan Jerzy Giedroyc i jego centralna grupa z Maisons-Laffitte – pisał Władysław Machejek w „Życiu Literackim”; zatytułował nawet swój artykuł *Proces przeciwko Giedroycowi*.

W ciągu procesu udało mi się – dzięki „Srebrnej Reni” z sekretariatu „czwórki” – przeczytać kilka interesujących publikacji Instytutu Literackiego, a zwłaszcza głośną *Operę za trzy lata* Szpotańskiego. Owe książki – dowody rzeczowe w sprawie – mimo że przewodniczący wydziału trzymał je w panczernej szafie, cieszyły się wielką poczytnością wśród pracowników sądu.

Oskarżeni: Maciej Kozłowski (1943), centralna postać procesu, właściwie już emigrant mieszkający na Zachodzie. Absolwent Wydziału Archeologii UJ, dziennikarz, członek Klubu Wysokogórskiego. Jego ciekawość świata była w pełni zaspokojona; jeździł po Europie spokojnie i bez przeszkód – podkreślał oskarżyciel.

Maria Joanna Tworowska (1939) – jedyna na ławie oskarżonych, która nie ukończyła studiów wyższych. W Paryżu jednak, gdzie przez ostatnie lata mieszkała, kształciła się w znajomości języka francuskiego. Pozwoliło jej to podczas niedługiego wprawdzie pobytu w Polsce pracować w charakterze lektorki na UW. Powróciła potem do Francji i odwiedzała kraj już tylko sporadycznie.

Kolejni oskarżeni: Krzysztof Szymborski (1941), starszy asystent w Katedrze Biofizyki Instytutu Fizyki Doświadczalnej. Nieżyjący już (zmarł w 2003 r.) Jakub Światopełk (krewniak przedwojennego poety satyrycznego o tym imieniu) Karpiński (1940), asystent Wydziału Nauk Społecznych UW; Maria Małgorzata Szpakowska (1940), magister polonistyki, doktorantka filozofii.

Całą piątkę – jak wynika z opracowania akt śledczych autorstwa Bartosza Kaliskiego (*Przerzut od Giedroycia*, „Karta 40”, nr 1/2004) – straszono podczas śledztwa artykułem dawnego kodeksu karnego przewidującego za działalność dywersyjno-szpiegowską karę śmierci. Stosowano też wyrafinowane metody, by wymusić ich zeznania, wykorzystując do tego konfidentów – więźniów siedzących w tej samej celi aresztu śledczego. „Maciek jest bardzo przywiązany i kocha matkę – jest to instrument, na którym można grać” – pisał jeden z nich w raporcie.

Małgorzata Szpakowska skarżyła się przed sądem, że w śledztwie bardzo na nią krzyczano i stosowano na dużą skalę blef. Grożono jej, że będzie się przesłuchiwać jej 87-letnią babkę, co – jak dawano jej do zrozumienia – może się skończyć dla starszej pani tragicznie, gdyż osoby w tym wieku nie wytrzymują stresujących przeżyć. Bardzo też gruntownie zajmowano się

moim życiem osobistym – dodała, niemal płacząc. Sądu to jednak nie obeszło: „Proszę mówić na temat” – uciął jej żale zniecierpliwiony sędzia przewodniczący rozprawie, jako że były to przecież normalne metody śledcze.

Po latach Jakub Karpiński wspominał (*Taternictwo nizinne*, 1988), że „w śledztwie przesłuchujący wyłudzały informacje w rozmaity sposób. Na przykład w myśl zasady, że zagrożenie większym prowokuje, żeby przyznać się do mniejszego («ja nie zabiłem, ja tylko kradłem»). Przesłuchujący oświadczał: – Przecież to sprawa szpiegowska i w dodatku wchodzi w grę przemyt. Przesłuchiwany bronił się: – Ależ skąd, myśmy tylko przynosili książki. Przesłuchujący: – No to musi pan dokładnie opowiedzieć, bo nie wiem, czy sąd panu uwierzy”. Karpiński jednak konsekwentnie odmawiał wyjaśnień, podobnie w sądzie ograniczył się tylko do polemiki merytorycznej z aktem oskarżenia.

Akt oskarżenia – z pewnymi personalnymi modyfikacjami faktograficznymi i czasowymi – zarzucał czworgu z podsądnych wejście „w porozumienie z występującym w imieniu obcej organizacji Jerzym Giedroyciem w celu działania na szkodę Państwa Polskiego, a następnie w ramach realizacji tego porozumienia uczestniczenie w inspirowanej przez imperialistyczne ośrodki ideologiczno-dywersyjne działalności kierowanego przez tegoż Giedroycia Instytutu Literackiego w Paryżu, zmierzającej przez szkalowanie ustroju i naczelnych organów PRL do podważenia socjalistycznych zasad ustrojowych, wykonując zleczone działania w zakresie:

W stosunku do M. Kozłowskiego: sporządzania względnie uzyskiwania od osób znajdujących się w Polsce lub w Czechosłowacji materiałów i wiadomości o treści szkalującej ustrój i władze tych państw w celu opublikowania w wydawnictwach Instytutu Literackiego w Paryżu; uczestniczenia w nielegalnym przewożeniu do Polski przez terytorium Czechosłowacji, w celu kolportowania wydawnictw tego Instytutu i innych tekstów zawierających m.in. wiadomości o treści szkalującej ustrój i władze tych państw; podejmowania innych czynności o charakterze organizacyjnym zmierzających do rozszerzenia wyżej opisanej działalności, jak również mających na celu zbieranie wiadomości dla prowadzenia dywersji ideologicznej.

W stosunku do M. Tworowskiej: uczestniczenia w nielegalnym przywożeniu do Polski przez terytorium Czechosłowacji w celu kolportowania wydawnictw tegoż Instytutu i innych tekstów zawierających wiadomości o treści szkalującej ustrój i władze tych państw; spełniania innych czynności o charakterze organizacyjnym zmierzających do rozszerzenia wyżej opisanej działalności, jak również mających na celu zbieranie wiadomości dla prowadzenia dywersji ideologicznej.

W stosunku do K. Szymborskiego: sporządzania względnie uzyskiwania od innych osób materiałów i wiadomości o treści szkalującej władze i ustrój PRL, a następnie przekazywania w celu opublikowania w wydawnictwach Instytutu Literackiego w Paryżu; przyjmowania nadesłanych do Polski w celu dalszego rozpowszechniania wrogich ustrojowi PRL publikacji wymienionego Instytutu Literackiego.

W stosunku do J. Karpińskiego: sporządzania osobiście względnie uzyskiwania od Marii Małgorzaty Szpakowskiej lub innych osób materiałów o treści szkalującej władze i ustrój PRL, które przekazywał za pośrednictwem Krzysztofa Szymborskiego i innych osób za granicę celem opublikowania i kolportażu w wydawnictwach Instytutu Literackiego w Paryżu; przyjmowania szeregu nadesłanych do Polski w celu dalszego rozpowszechniania, wrogich ustrojowi PRL, publikacji wymienionego Instytutu Literackiego”.

Natomiast ostatniej z grupy – M. Szpakowskiej – urząd prokuratorski postawił zarzut, że „w okresie od marca 1968 roku do marca 1969 roku w Warszawie w celu rozpowszechniania opracowywała, sporządzała, a następnie kolportowała teksty i ulotki zawierające fałszywe

wiadomości głównie o tematyce społeczno-politycznej, nawołujące do przeciwstawiania się władzom państwowym i administracyjnym, mogące wyrządzić istotną szkodę interesom Państwa Polskiego i obniżyć powagę jego naczelných organów”.

Niektóre z jej opracowań – co ją dodatkowo obciążało – zostały opublikowane przez Giedroycia. „Materiały te – czytał oskarżyciel – zawierały w swej treści opisy poszczególnych wydarzeń, tendencyjne i szkalujące naświetlenie ich przyczyn i tła, wysuwane pod adresem władz prowokacyjne postulaty określonych grup studenckich, apele o pomoc w antypaństwowym działaniu do innych środowisk itp. Opisywane w tych tekstach fakty były często przedstawiane w sposób fałszywy lub naświetlane w sposób tendencyjny i szkalujący władzę i ustrój PRL”. Przekazywano na Zachód „teksty polemiczne, przedstawiające fałszywie stosunki społeczno-polityczne i ekonomiczne w Polsce, jak również oceniające w sposób szkalujący działalność organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości oraz przebieg toczących się procesów”.

Akt oskarżenia był tak długi i monotony, że oboje prokuratorzy oskarżający w procesie: Edmund Górski i Maria Pancer, musieli się podzielić czytaniem. Ten pierwszy opowiadał po latach Barbarze N. Łopieńskiej („Res Publica” 1989, nr 6), że pisał go dniami i nocami, żeby zdążyć na czas przed Wigilią. „Dziś uderzyło mnie to, że tak szybko udało mi się go napisać – zwierzył się dziennikarce. Ale – dodał – praca była łatwa, bo fakty przestępcze były niewątpliwe i nie pozostawiały cienia wątpliwości co do winy”.

Osią procesu stał się obszerny elaborat dr. Janusza Kolczyńskiego, który zaczął wyrastać na czołowego politologa PRL. Przed rokiem wydał sporą książkę poświęconą „Wolnej Europie”, miał też na swym koncie drobniejsze publikacje o dywersji ideologicznej w krajach socjalistycznych. Wchodził w skład redakcji „Prawa i Życia” oraz wykładał na kursach partyjnych.

Powołany jako biegły przez urząd prokuratorski miał za zadanie zdemaskować i ukazać prawdziwe oblicze „Kultury” i jej powiązania z wywiadem amerykańskim. Instytut Literacki – twierdził m.in. – miał od swego powołania pełnić rolę ośrodka skupiającego emigracyjnych intelektualistów polskich, zatrzymać ich na Zachodzie, przeciwdziałać ich powrotom do kraju, a – z drugiej strony – stać się ogniwem dywersji przeciwko Polsce Ludowej, swoistym ideologiczno-kulturalnym zapleczem „władzy polskiej na wygnaniu”.

Działalność wydawnicza Instytutu – kontynuował – pochłaniała pieniądze. Wiele z licznych pism emigracyjnych powstałych tuż po wojnie z pomocą ośrodków polonijnych ekswojskowych ugrupowań szybko zakończyło swój żywot z powodu braku funduszy. Od 1952 roku również „Kultura” miała poważne trudności finansowe, ale już w dwu następnych latach sytuacja zmieniła się radykalnie na tyle, że Giedroyc mógł kupić dom w Maisons-Laffitte, zwiększyć zakres działalności edytorskiej i fundować doroczne nagrody literackie i plastyczne.

Kolczyński wyraził opinię, że stało się to na skutek tego, iż Giedroyc przeszedł na utrzymanie Amerykanów, którzy właśnie wówczas rozbudowywali swój aparat wojny psychologicznej. Organizacją, przez którą wpływały amerykańskie pieniądze dla „Kultury”, było Międzynarodowe Stowarzyszenie Wolności Kultury, a powiązania tej instytucji z CIA wykazała sama prasa amerykańska.

Wyższą rangę w systemie amerykańskiej wojny psychologicznej – dowodził ów „znawca przedmiotu” – zyskała „Kultura” od 1961 roku, kiedy podjęto realizację nowego kursu taktycznego w polityce wobec państw socjalistycznych określanego mianem „rozmiękczenia” i „pokojowego zaangażowania”.

Metody prowadzenia wojny psychologicznej – pisał w swej opinii biegły – wskazują

amerykańscy eksperci antykomunistyczni. Tu rodzimy politolog podparł się opinią kolegi z drugiej strony barykady ideologicznej, A. Forwarda: „Jeżeli zdołamy z powodzeniem wymierzyć wrogowi całą serię ciosów psychologicznych na jego własnym terenie, to zdobędziemy, choć pośrednio, olbrzymie korzyści dla wolnego świata. Stany Zjednoczone powinny skoncentrować się w swych największych wysiłkach propagandowych na samym bloku komunistycznym (...) Trzeba będzie odwołać się do pomysłowości amerykańskiej, aby opracować sposoby i metody wykorzystania słabych i czułych stron w świecie komunistycznym, aby narzucić mu problemy, kłopoty i kryzysy, zamiast czekać na przeciwdziałanie kryzysom, powodowanym przez komunistów (...) Z tego właśnie powodu należałoby podjąć większe wysiłki, aby przeniknąć przez żelazną kurtynę” (*Strategy for America*, 1961).

Jak te zabiegi „Kultury” wokół uplasowania się w centrum sił skierowanych przeciwko socjalizmowi są doceniane przez samych inspiratorów? – pytał gwiazdor socjalistycznej politologii. – Wielce wymowna jest tu opinia – opowiadał – zawarta w publikacji Jamesa Burnhama, czołowego teoretyka antykomunistycznego. Ocenia on działalność tego miesięcznika jako wypróbowaną i ważną operację walki politycznej, jakich jest niewiele w tej kategorii. Pisz bowiem: „«Kultura» działała więcej niż agencje, na które nasz rząd wydaje dziesiątki milionów dolarów”.

Obrona starała się wykorzystać sążnisty elaborat doktora politologii, podkreślając fakt, że skoro się tyle nad nim napracował, by dojść do takich konkluzji – to oskarżeni, którzy nie ukończyli takich jak on studiów, nie mogli zdawać sobie sprawy z prawdziwego oblicza „Kultury”. Pismo to może jest wrogiem, ale nie obce – stwierdził jeden z adwokatów. Owa dystynkcja była bardzo istotna dla kwalifikacji czynu, bo w artykule k.k., z którego oskarżał prokurator, wyraźnie napisano o „obcej organizacji”. Sądu jednak nie interesowały podobne niuanse jurydyczne.

Oskarżenie podkreślało perfidię Giedroycia, który stopniowo usidlał swoich emisariuszy do kraju. Wysyłając Marię Tworowską po raz pierwszy, dał jej niewiele zleceń: nawiązanie kontaktów i zorientowanie się w możliwościach zwerbowania nowych ludzi do rozprawiania wydawnictw Instytutu Literackiego. Zlecenia spraw do załatwienia w czasie następnej podróży, którą odbyła razem z M. Kozłowskim w maju 1969 roku, były już bardziej konkretne. Było ich tyle, że Giedroyc zawarł je w trzystronicowym maszynopisie. Pismo to nosiło, według prokuratora, „cechy instrukcji dywersyjno-szpiegowskiej z jej wszystkimi elementami wywiadowczymi”.

„Droga Pani – pisał redaktor «Kultury» w liście wysłanym na paryski adres M. Tworowskiej tuż przed jej wyjazdem do Polski. – Przesyłam swój «testament». W pierwszym rzędzie proszę zaraz po przyjeździe zadepeszować w sposób umówiony do domu czy do nas, bym wiedział, że dojechaliście Państwo bez kłopotu. To naprawdę jest dla mnie ważne”.

Autor listu polecał nawiązać kontakty w Pradze i Bratysławie ze wskazanymi osobami w związku z planowanym utworzeniem radiostacji w Jugosławii nadającej programy dla krajów demokracji ludowej niezależnie od „Wolnej Europy”. Na liście zleceń znalazła się również sprawa utworzenia międzynarodówki młodzieży z Europy Wschodniej, a także wskazówki, jak zorganizować kanały przetrwania i poszerzyć krąg czytelników wydawnictw Instytutu. Giedroycia interesowały też nastroje i rozmieszczenie wojsk radzieckich na terenie Czechosłowacji, co urząd prokuratorski mocno potem eksponował.

W kraju zwracał się o: „Pomoc przy opracowywaniu przez «Kulturę» «czarnej listy».

Przysyłanie ocen ludzi wyjeżdżających na emigrację z kraju. Z kim warto, a kogo należy się wystrzeżać... Atmosfera przedwyborcza. Ew. artykuł o wyborach. Robotnicy, nastroje. Namawianie ludzi, by szli do fabryk. I próbowali tam coś robić”. Reportażystkę „Prawa i Życia” najbardziej zdenerwował fakt, że Giedroyc prosił o rozszyfrowanie pseudonimu „Rodaka ze Szmulek”, pod którym ukrywał się autor pisujący w tym dwutygodniku.

Umieszczony w celi razem z J. Karpińskim „Wojciech” informował śledczego: „Po usłyszeniu ode mnie relacji na temat instrukcji Giedroycia, jaką przekazał mi Mackiewicz, Karpiński jest bardzo zaniepokojony i powiada, że władze polskie byłyby głupie, gdyby nie skorzystały z tego dokumentu do rozprawienia się z «Kulturą» paryską i do dotkliwego poderwania autorytetu tej placówki w wielu środowiskach, które są niechętne socjalizmowi, ale jeszcze bardziej niechętne wszelkim agenturom wywiadu. Zdaniem Karpińskiego, na bazie tego dokumentu można imputować Giedroyciowi działalność o charakterze wywiadowczym” (cyt. za opracowaniem Bartosza Głowackiego).

To władze wiedziały i bez tego donosu od razu, gdy list razem z nielegalnymi książkami wpadł w ręce policji czechosłowackiej. Na granicy poddano ich bowiem rewizji i skontrolowano bardzo starannie citroëna, którym adresatka listu razem z Kozłowskim wracała z Paryża do kraju. Nie pomogła przestroga Giedroycia: „Ni pucha, ni piera”, to mogłoby mieć niedobre skutki.

Maciej Kozłowski rozpoczął wyjaśnienia przed sądem od gorącej filipiki obrończej paryskiej „Kultury”. Pismo to jest wolną trybuną, publikuje artykuły różnorodne, jest niezależne, niezwiązane – wbrew temu, co mówił biegły – z jakąś obcą, amerykańską organizacją. To są – kontynuował – po prostu Polacy, którzy wyjechali z Polski ze względu na swoje przekonania polityczne i choć są one sprzeczne z linią obowiązującą w Polsce, wcale to nie świadczy, że są przez kogokolwiek inspirowane czy od kogokolwiek zależne.

– Cała moja działalność obracała się wyłącznie w sferze wymiany poglądów – stwierdził w innym miejscu – a to polityką nie jest. Polityka, jak wiadomo, jest sztuką realizacji praktycznej pewnych idei, natomiast zajmowanie się nimi w sensie abstrakcyjnym jeszcze polityką nie jest. „Sialście ferment”, powiedział do mnie oficer śledczy. – Ależ tak, o to przecież chodziło, odpowiedziałem na to – relacjonował przed sądem fragmenty śledztwa, długo dowodząc, że tylko przez ferment można wypracować nowe wartości.

Widać było, że nie trafia to do sądu, bo swobodna wymiana idei nie mieściła się w obowiązującym porządku; znalazło to później wyraz w uzasadnieniu wyroku. Nie podobało się i wielu kolegom w Klubie Wysokogórskim. W aktach śledztwa znalazł się anonim jednego z nich wysłany pod wiadomym adresem: „(...) Trzeba skończyć z tym środowiskiem, a wy dajecie im paszporty i zezwalacie na to, aby poza granicami kraju prowadzili wrogą nam działalność. Wybaczcie, że piszę o tym anonimowo, ale chcę żyć i wspinać się w Tatrach w dobrej atmosferze. Gdyby się koledzy z Klubu dowiedzieli, że to ja pisałem, wówczas nie mógłbym nigdy już iść na wspinaczkę, nie lękając się o życie – a o wypadek w Tatrach nietrudno. Oddany Wam szczerze taternik. Zróbcie coś, Panowie, w imię dobra naszego Kraju”.

To ów anonim napawał pewnie optymizmem Marię Osiadacz z „Prawa i Życia”, że poczynania „komiwojażerów obcego przedsięwzięcia” nie znajdą szerszego odzewu. To „budzi uczucie spokoju i bezpieczeństwa. Społeczeństwo nasze jest uodpornione na propozycje, które ludzie tego pokroju mogą wysuwać” – taka pozytywna konkluzja kończy pierwszą część jej reportażu zatytułowanego po prostu: *KULTURYści*.

Równie niezłomny, jak Kozłowski, okazał się Jakub Karpiński, który już w śledztwie stanowczo odmówił składania wyjaśnień. Nie uważam – oświadczył – aby śledztwo albo

rozprawa sądowa musiały być dla podejrzanego lub oskarżonego okazją do informowania o jakichś faktach dotyczących własnej osoby lub bliźnich. Nie odczuwam – dodał – potrzeby poszukiwania konfesjonału, a już w szczególności nie umieszczam w nim funkcjonariuszy MSW.

Proces ten jest – powiedział nieco później – procesem przeciwko książkom, przeciwko słowu i paryskiej „Kulturze”. Nie można jednak posadzić na ławie oskarżonych ani książek, ani Jerzego Giedroycia. Posadzono na ławie oskarżonych nas, książki są na stole sędziowskim.

Wcześniej pozwolił sobie na jawne drwiny: Prokuratura uważa, że według nowego kodeksu karnego musi uznać, iż książki i artykuły mogłyby wyrządzić szkodę państwu polskiemu. W świetle siły państwa polskiego teza taka jest fałszywa. Jestem zmuszony stwierdzić, że głosząc taką tezę, prokurator rozpowszechniałby fałszywe wieści mogące obniżyć powagę autorytetu państwa. Nie znaczy to, bym twierdził, że prokuratura popełnia tu przestępstwo z art. 23 małego kodeksu karnego. Przed takim zarzutem jestem gotów prokuratury bronić.

Stanowczo zaprzeczył, by ktokolwiek z oskarżonych działał w interesie obcej organizacji: Jeśli ktoś chciałby – drwił w żywe oczy – działać na szkodę państwa polskiego, to nie może tego czynić z dowolnej pozycji społecznej. Pozycja zwykłego obywatela – cały czas streszczam jego wywody – jest na to zbyt mizerna. Aby wchodzić w porozumienie w celu działania na szkodę państwa polskiego, należałoby najpierw wejść w skład zespołu wydającego wiążące decyzje państwowe i na przykład zawierać, w porozumieniu z obcym rządem lub obcą organizacją, niekorzystne dla Polski umowy gospodarcze albo uwikłać państwo polskie w niekorzystne dla niego akcje militarne.

Sędzia przewodniczący mu nie przerwał, choć pewnie aż go skręcało, gdy słyszał takie czytelne aluzje do interwencji w Czechosłowacji. Zmilczał też, gdy Karpiński określił jako paranoję myślenie, że wszystko nam zagraża i że wszystkiego można zabronić, oraz zaraz dodał, że słowo niejednym raz chciano wypalić żelazem, wyplenić mieczem albo otoczyć kratami. W mowie końcowej prokurator zżymał się na stosowanie przez oskarżonego inwektyw zamiast przeprowadzenia rzeczowej analizy niepodważalnych faktów swej przestępczej działalności.

Nie zdzierzyła też Maria Osiadacz i poświęciła najbardziej zjadliwe fragmenty swego reportażu właśnie Karpińskiemu. „Jego sformułowania – oburzała się – pełne były arogancji. Odpowiadały w pełni temu, co powiedział o niektórych oskarżonych jeden ze świadków: gromada snobistycznych bufonów”. Przedstawiła też jego pełne *dossier*, znane jej z procesu „komandosów”. Tamten też opisała, korzystając z materiałów MSW, bo nie były to informacje, które dało się usłyszeć na sali sądowej.

A w ogóle cały proces odbywał się w takiej atmosferze, jakby oskarżonych sądzono za ciężkie co najmniej świętokradztwo, że ośmielili się wystąpić przeciwko swej socjalistycznej ojczyźnie, mimo że zawdzięczali jej wszystko. „Należą do pokolenia trzydziestolatków, wychowanego już w Polsce Ludowej, korzystającego z tych niemałych przecież możliwości, które ustrój stworzył temu pokoleniu. Nie mieli problemów, będących udziałem wcześniejszego pokolenia, które studia musiało niejednokrotnie łączyć z pracą, niekiedy ciężką pracą w warunkach pierwszych powojennych lat. Szli spokojnie na uczelnie, wybierając stosowne kierunki studiów zgodne z ich zainteresowaniami, mogli dać upust swoim ambicjom naukowym. I nie tylko naukowym. Także swoim hobby. Uprawiali alpinistykę, wyjeżdżali za granicę na atrakcyjne wyprawy”. Ten fragment reportażu Marii Osiadacz najlepiej oddaje sposób myślenia oskarżycieli, sądu, no i oczywiście, autorki. Pretensje, że okazali się takimi niewdzięcznikami, powtarzano ciągle jak mantrę.

„Prawie wszystko należało do państwa, które pozwalając się uczyć studentom, było ich dobrodziejem i świadczyło im łaskę. Mówiło się, że studentom Polska Ludowa daje wykształcenie” – słowa te napisał Jakub Karpiński po prawie dwudziestu latach (*Taternictwo nizinne*). Tak to zderzały się dwa różne sposoby myślenia, dwie różne mentalności. Dobrodzieje i niewdzięczni.

Przewodniczący rozprawie sędzia Ryszard Bodecki, choć miał i godne momenty, pytania stawiał zgryźliwie i niekiedy złośliwie komentował odpowiedzi oskarżonych. Ograniczony aktem oskarżenia, stanem faktycznym i kodeksem, robił po prostu swoje bez większego wstępu, czasem tylko dawał odczuć, że sprawia mu to wyraźną przyjemność. Sala była bowiem przepełniona przedstawicielami wiadomych służb, a i Wydział Administracyjny KC PZPR także licznie reprezentowali instruktorzy. Nie bez znaczenia pozostawał też fakt, że ławnicy zostali starannie dobrani i z ich zdaniem również musiał się liczyć. A towarzysze dziennikarze z bratnich krajów socjalistycznych, którzy gęsto obsiedli ławę prasową? A telewizja, która co rusz włączała reflektory i terkotała kamerami?

Wyraźnie lekceważono obrońców, choć w tej roli występowały same tuzy stołecznej palestry: Kazimierz Łojewski, Zygmunt Branicki, Władysław Pociąg, Stanisław Szczuka, Witold Ferfet. – Co ja tu mogę – powiedział mi wyraźnie przybity mecenas Łojewski, przyjaciel „Gazety”, gdy go na korytarzu podczas przerwy indagowałem o szanse obrony. Podnosili więc palestranci takie wątki, jak naiwność młodych idealistów, którzy nie zdawali sobie sprawy, w co się wplątują. Że dali się omotać i wykorzystać, ale przecież nie są wrogami Polski Ludowej i nie zamierzali obalać jej ustroju. Że nie wolno im odbierać szansy pracowania z pożytkiem dla kraju. I tak dalej, i tak dalej...

Oskarżony Kozłowski odcierpiał już – mówił jego obrońca – winy owego tragicznego starca z Maisons-Laffitte, odcierpiał winy tych wszystkich, którzy w glorii i sławie wykładają w Kanadzie czy Izraelu, wszystko jedno gdzie, w aureoli męczenników. Oskarżonych trzeba ratować, bo karanie ich nie leży ani w interesie wymiaru sprawiedliwości, ani w interesie socjalistycznego państwa. Chodzi o to, żeby z nieprzejednanych wrogów stali się nieprzejednanymi wrogami naszych wrogów. Powołując się na wiersz Norwida o popiele i diamencie, wołał dramatycznie, że w oskarżonym jest spopieląły z wierzchu, ale czysty diament.

Taki też był *timbre* mów pozostałych obrońców. Gdy jednak jeden z nich wspomniał, że emigracja od paru wieków była nieszczęściem dla Polski, ale też i nosicielką wartościowych dla kraju idei i poglądów, reportażystka „Prawa i Życia” pozwoliła sobie w swym tekście przywołać nobliwego palestranta do porządku: obrona ma obowiązek zachowania pewnego umiaru, jeśli oczywiście chce być traktowana poważnie...

Sąd uznał oskarżonych za winnych popełnienia zarzuconych im czynów i skazał z mocy art. 132 k.k. (wejście w porozumienie z osobą działającą na rzecz obcej organizacji w celu działania na szkodę interesów politycznych PRL) w zw. z art. 2 § 1 k.k. Macieja Kozłowskiego na 4 lata i 6 miesięcy pozbawienia wolności, łagodząc orzeczoną karę na zasadzie ustawy o amnestii o jedną trzecią; Marię Tworowską na 3 lata i 6 miesięcy, łagodząc orzeczoną karę o połowę; Krzysztofa Szymborskiego na 3 lata i 6 miesięcy, łagodząc karę o jedną trzecią; Jakuba Karpińskiego na 4 lata pozbawienia wolności, łagodząc orzeczoną karę o jedną trzecią.

Maria Szpakowska została skazana z mocy art. 270 § 1 w zw. z art. 273 § 1 i w zw. z art. 2 § 1 k.k. (publiczne lżenie, wyszydzanie lub poniżanie narodu polskiego, PRL, jej ustroju i naczelných organów – zagrożenie do 8 lat; używając druku lub środka masowej informacji – do

lat 10) na 3 lata, złagodzone o połowę.

– To mniej, niż żądał prokurator – syknął ktoś siedzący obok.

–I tak dostali za swoje – odburknął jego sąsiad.

Uzasadniając wyrok, sędzia Bodecki podkreślił, że oskarżeni związali się z Giedroyciem, zaciekle wrogiem Polski Ludowej i socjalizmu. Kierowany przez niego Instytut Literacki i „Kultura” są obcym ośrodkiem działającym w imieniu i na rzecz imperialistycznych organizacji prowadzących wojnę psychologiczną przeciwko komunizmowi. Faktu tego – dodał – nie mogą zmienić żadne spekulacje filozoficzne, gdyż wszystkie elementy instrukcji świadczą o jej typowo dywersyjno-szpiegowskim charakterze.

„W procesie niniejszym – stwierdził sąd w motywach ustnych – nie można mówić o działaniu przypadkowym czy bez rozeznania politycznego sprawców. Wszyscy oskarżeni to ludzie inteligentni, dojrzały, o ukształtowanych poglądach politycznych i społecznych, poza oskarżoną Tworkowską zaangażowani od dłuższego czasu w walkę polityczną z władzą ludową. Ich cele i wola działania pokrywały się z działalnością paryskiej «Kultury» i jej redaktora Jerzego Giedroycia. Dlatego też ich współdziałanie w szkodzeniu interesom politycznym PRL było łatwe w sensie stosunku psychicznego, a jeśli nie było owocne zgodnie z założeniami inspiratorów, to w każdym razie nie ich w tym zasługa, a więc wina wszystkich oskarżonych nie budzi żadnych wątpliwości”.

„Podkreślić należy – stwierdził sąd w zakończeniu uzasadnienia – że w myśl dawnych przepisów tego rodzaju czyn ustawodawca traktował jako zbrodnię zagrożoną karą nie niższą niż 5 lat więzienia, a obecnie jest występkiem zagrożonym karą pozbawienia wolności do lat 5. Za tymi zmianami w prawie stoi bowiem polityczna, gospodarcza i moralna siła oraz humanitaryzm ludowego państwa. Zostały one uwarunkowane wzrostem świadomości społecznej i dyscypliny społeczeństwa, przywiązaniem i oddaniem dla naszego ustroju i dobrze byłoby, gdyby oskarżeni fakt ten uwzględnili na równi z tym, że Polska Ludowa dała im wykształcenie i stworzyła pełne możliwości stosowne do niego pracy i dalszego rozwoju. Samo bowiem tylko korzystanie z pracy klasy robotniczej i późniejsze obracanie swej działalności przeciwko niej i jej ustrojowi musi się spotkać z represją karną ustanowioną z woli właśnie tej klasy”.

By nie kończyć tej relacji „drętwą mową” socjalistycznej Temidy, oddajmy jeszcze głos jednemu z bohaterów tego procesu, Jakubowi Karpińskiemu. W *Taternictwie nizinnym* napisał on, że w takich jak ten przypadkach „wymiar sprawiedliwości służy władzy przede wszystkim do wyrównania rachunków, czyli do dania po głowie komuś, kto się naraził”. Godny też uwagi jest jego komentarz, bardziej jurydycznie poprawny niż zacytowane „ostatnie słowo” przewodniczącego rozprawie.

„Taki proces – pisał w 1988 roku w swej książce, myśląc o wszystkich procesach politycznych – nie zawsze jest skupiony wokół określonego czynu, bo czyn bywa nieuchwytny; przepis prawny i zarzut opisują przestępstwo w sposób rozwodniony, luźno, niejasno. Niezbyt wiadomo, po czym miałyby się poznać, że czyn popełniono. Mówi się o zmierzaniu do czegoś, o przygotowaniach, działaniach wyróżnianych przez domniemany cel, a nie przez przebieg i skutki. Sąd rozpatruje zagadnienia znacznie mniej określone niż w przypadku zwykłych czynów kryminalnych: opisuje zamysły, plany, chęci, o których mają świadczyć zeznania składane w więzieniu, zasłyszane rozmowy, przejęte listy, znalezione notatki. Policja, prokuratura i sąd nie tyle zajmują się stosunkiem rzeczywistości do prawa, co uprawiają zaangażowaną publicystykę na tematy z psychologii politycznej – w złym niestety gatunku i bez należytych wiadomości z psychologii i wiedzy o polityce”.



## Specjalność PRL: przemysł

POŻYCZAŁEM W WARSZAWIE PARĘ ZŁOTYCH – wspominał Janusz Głowacki (*Z głowy*) jedną ze swoich «handlowych tras» – kupowałem kryształowe wazy, które dobrze szły w Czechach, oraz bieliznę pościelową i trójzęrdowe plastikowe grzebyki, na które był popyt w Budapeszcie. I jeżeli celnicy przymykali oko, upłynnialiśmy towar na ulicach, a także chodząc po domach”.

„Następnie – czytamy dalej w tej autobiograficznej opowieści – udawaliśmy się do sklepów w Pradze. Najlepiej się do tego nadawał legendarny dom towarowy Biały Łabędź. Tam nabywaliśmy francuskie składane fajki marki Briar, które w Polsce wstawiało się do komisju na Nowym Świecie przy Chmielnej za dwieście pięćdziesiąt złotych sztuka, oraz niedostępną w Polsce luksusową politurę do mebli, która się w Czechach nazywała pozłotka, i jakiś chyba klej, szelak się nazywał czy coś takiego. To z kolei się upychało w stolarskich zakładach rzemieślniczych na Bagnie”.

Iluż ludzi starszego pokolenia, żyjących w peerelowskiej rzeczywistości, ma podobne wspomnienia? Takich detalistów były tysiące, hurtowników – liczonych na setki – jeśli nie mieli szczęścia lub nie zdołali przekupić celników, wsadzano za kratki na całe lata.

We wczesnym PRL-u mało kto miał możliwość wyjazdu za granicę, stąd też zjawisko „turystyki handlowej” narodziło się dopiero w momencie szerszego otwarcia granic. Ale i przedtem byli szczęśliwcy, którym udało się w ramach służbowych wyjazdów zagranicznych, odbywanych pod łada pretekstem, ciągnąć profity finansowe.

W 1957 roku na fali „odwilży” i związanej z nią rzekomej, bo starannie reżyserowanej „jawności życia publicznego” „Trybuna Ludu” (nr 213) opisała przypadek dwu dygnitarzy: dyrektora Centralnego Zarządu Aptek oraz dyrektora gabinetu prezesa GUS, którzy zorganizowali sobie taki mocno naciągany (rzecz nadawała się na jeden telefon) wyjazd służbowy do bratniego i przodującego ZSRR. Pierwszy zaopatrzył się w kilkanaście sztuk kompletów bielizny damskiej, męskich koszul, kilka garniturów, kilka pluszowych kap, parę swetrów i dwa płaszcze gabardynowe. „Spylił” to wszystko w Moskwie za 8000 rubli, ale nie kupił nic za tę kwotę, bo już go celnicy odnotowali. Szef gabinetu prezesa GUS miał jeszcze większego pecha. Wywiózł wprawdzie tylko 500 serwetek z plastyku, które mu skonfiskowano; nie byłoby w tym nic strasznego, gdyby nie to, że w Odessie, gdzie poleciał z Moskwy, by kupić platynę i indyjskie szmaragdy – znaleziono za podszewką jego walizki ponad 93 000 rubli i 4 złote damskie zegarki. Tamtejszy sąd skazał go na siedem i pół roku więzienia.

Wszyscy wiedzieli, dlaczego kwitnie przemysł – rynek był ogołocony z podstawowych artykułów konfekcyjnych. Mało kto tak właśnie ośmielał się bronić tych – pożałuj Boże! – żalonych „przemysłowców”. Uczyniło to – właśnie w okresie wspomnianej „odwilży” – „Prawo i Życie” (1957, nr 15), nim stało się organem wyprzedzającym linię partyjną. Józef Hibner napisał tam, że pragnął żonie i dzieciom kupić obuwie i musiał to uczynić aż w Pradze czeskiej. „U nas – żalił się – wszystko rarytasem: sztuczna gąbka, guma do żucia, nylonowe skarpetki, sztuczna biżuteria – jednym słowem – ów cały kram komisju i «ciuchów», za który sprzedający osiągną niewspółmiernie wysokie ceny”.

Inni widzieli rzecz inaczej. Najpopularniejsze u nas hobby to szmuglowanie – konstatował dwa lata później Jerzy Putrament na łamach „Przeglądu Kulturalnego” (1959, nr 38). „Można powiedzieć: dzieci z mlekiem matki wchłaniają w siebie tę namiętność. Znany jest fakt,

że wyjeżdżającym na kolonie do ZSRR miłe mamusie pakowały do plecaków komplety damskiej bielizny”. Dla pewności dodał, że to było kiedyś, bo teraz „u naszego sąsiada produkcja majtek także skoczyła do góry”.

Z jego tekstu wynikało, że nie będzie miał kto wyjeżdżać na zawody sportowe za granicę, bo w mafii szmuglerskiej uczestniczą nie tylko czołowi zawodnicy, ale i trenerzy i organizatorzy. Czołowy socrealista nawoływał więc całkiem poważnie, by „zrobić czarną księgę szmuglerską. Osobom, które zajmują się przemytem, nie dawać więcej paszportów”. „Bo przecież – grzmiał – rozmiary szmuglu są tak olbrzymie, że skuteczniają go ludzie wielokrotnie jeżdżący za granicę, znający wszystkie chody itd. itd.”

I recepta najważniejsza: „Skoro prywatna inicjatywa i sprzymierzone z nią rejony tak handlują, może by trochę zmienić asortyment, hm, społeczny wyjeżdżających? Może by trochę pchnąć robotników? Oczywiście, oczywiście, nie będą tacy eleganccy. Nie będą takie eleganckie, modne, wypięte. Ale może mniej będą handlować?” Odnotujemy ów *signum temporis*, znak czasu, bez komentarza jako jeszcze jeden hołd złożony klasie robotniczej.

Tymczasem zjawisko narastało. Przemysł turystyczny definiowała „Polityka” w 1967 roku (nr 38) jako lżejszy. „Zaczyna się on w momencie, gdy ktoś, płacąc za wycieczkę, postanawia część albo całość wyłożonych pieniędzy odzyskać”. „Przemysł normalny – gdy chce na wyjeździe zarabiać”. „To ci – pisano – przetarli barani szlak z Bułgarii, kosmetyczno-odzieżowy do Rumunii, kryształowo-dewizowy do Jugosławii, lniany na Węgry. Dawni pionierzy zesłali już z tych dróg, dokonują teraz albo operacji bardziej wyrafinowanych, albo zmienili geografie swoich podróży. Ale pierwsze ich rozpoznanie było celne”.

Powiadano, że pluszem wywiezionym przez naszych zaradnych rodaków można byłoby wyłożyć wszystkie drogi wiodące nad Morze Czarne, a kryształy ustawić po bokach, jak słupki drogowe. Od czasu do czasu pojawiał się nowy przebój przemysłowy. W pewnym momencie takim hitem stały się globulki „Zet”. W kraju ich paczka kosztowała 7 zł, w Jugosławii dostawano za nią 10 nowych dinarów, a 13 dinarów wymieniano na jednego dolara.

Co najbardziej zdumiewało celników? „Hity” jednego tylko 1967 roku: mieszkaniec Śląska wracający z zagranicy, w którego pasku znaleziono zaszyte 22 złote dwudziestodolarówki i jedną dziesiątkę, a on oświadczył, że nic o tym nie wie; pani, która wiozła z Bułgarii 15 kożuszków „na własne potrzeby”, facet zażerający się na granicy pieczoną kurą – okazało się, że jest nafaszerowana złotymi monetami. Nadziewanie nimi kielbas – to banał.

Czasem celnicy konfiskowali towar, czasem trzeba było zapłacić grzywnę, rzadziej odsiedzieć areszt. W 1958 roku władze celne ukarały 800 osób, które wyjeżdżały służbowo lub prywatnie. Dziesięć lat później ujawniano rocznie 10 000 przestępstw celnych, a ich sprawcy byli wpisywani – kłania się Putrament! – do kartoteki Głównego Urzędu Ceł. Niewiele to dawało, bo komputery – zwłaszcza u nas – były pieśnią dalekiej przyszłości.

A oto dwa przykłady z końca lat 50., wybrane z prasy: sportowiec Andrzej L., wracający z zawodów, usiłował przemycić 45 000 żyletek – wymierzono mu 69 000 zł grzywny. Z kolei dyrektor poważnego przedsiębiorstwa śląskiego, któremu na granicy odebrano 114 jedwabnych apaszek, miał zapłacić 20 000 zł grzywny; odwołał się i prosił o anulowanie tej kary, jako że zarabia tylko 4500 zł, a ma do spłacenia samochód, co gazeta odnotowała z przekąsem.

Handlowali zresztą nie tylko Polacy, zwłaszcza w drugiej połowie lat 60., gdy szerzej otwarto granice. W Katowicach, gdzie koncentrowały się trasy przejazdowe, turyści z krajów ościennych, i nie tylko, rozpoczynali wycieczki po Polsce właśnie od tamtejszego dworca. „Przed moimi oczami – notował reporter «Kierunków» (1968, nr 36) – kłębił się i falował tłum ludzi. Ci

stamtąd – siedzieli spokojnie pod ścianami; ci – nasi, nerwowo przebierali, mieli w rękach koszulki polo, sweterki, z namaszczeniem oglądali pod światło olśniewające non-irony. Sprzedający – Węgrzy, Czesi, Jugosłowianie, Austriacy – znakomicie byli poinformowani o aktualnych cenach. Wiedzieli, że za ładne polo można dostać 800–900 zł, że non-irony stale lecą w dół, że za dobre pończochy można dostać i 100 zł”.

Autor ten opisał również szajkę cudzoziemskich przemytników. Kursując pomiędzy Wiedniem a Polską, dokonywali zakupów właśnie nad Dunajem. Paczki, których zawartością były pończochy damskie, koszulki polo, długopisy oraz inne przedmioty dobrze sprzedające się w Polsce – nadawali w Austrii na swoje własne nazwiska. Na opakowaniu, aby uniknąć pomyłki, umieszczali rysunek kwiatów lub owoców.

Zgodnie z przepisami paczki te miały być clone we właściwych urzędach celnych w kilku miastach, lecz nigdy do nich nie trafiały. Przemytnicy bowiem (głównie Jugosłowianie) weszli w porozumienie z pracownikami ekspedycji kolejowej w Katowicach i ci przechwytywali tak oznaczone paczki. Na trop szajki udało się wpaść tylko dlatego, że nadawcy nigdy nie reklamowali faktu zaginięcia ani nie dochodzili odszkodowania, co wynikało z odpowiednich wykazów. Przy odbieraniu paczek w Katowicach milicja zatrzymała trzech Jugosłowian.

W milicyjnym piśmie („Służba MO” 1969, nr 6) można było z kolei przeczytać, że w pociągach pospiesznych relacji Wiedeń – Warszawa zamontowano pod kanapami specjalne schowki, do których wiedeńscy wspólnicy wkładali towary zamówione listownie lub telefonicznie. Na granicy wsiadał odbiorca przesyłki, który po znakach kredą lub ołówkiem na drzwiach przedziału orientował się, gdzie jest schowek. Podobne schowki robiono w ubikacjach, przewodach grzewczych lub pod wagonami. Sposoby te miały przed sobą ogromną przyszłość, gdy zmienił się kierunek przemytu.

Więcej jednak towarów szmuglowali marynarze podczas zagranicznych rejsów. To samo pismo (1965, nr 6) informowało, że na statku MS „Gdańsk” w lookerze pod sufitem i w workach z trocinami znaleziono towary wartości 44 840 zł; w gaśnicy przeciwpożarowej MS „Monte Cassino” – wartości ponad 64 000, a w akumulatorni MS „Skrzata” wykryto 360 zegarków o wartości blisko pół miliona zł itd., itd. Oczywiście nikt się do tych rzeczy nigdy nie przyznał.

Czasem tylko, gdy władzom udało się złapać niemal za rękę autora większego przemytu, karano go niezwykle srogo, zwłaszcza gdy czynił to niejednokrotnie. Siatkę przemytników działającą we współpracy z powojennymi emigrantami opisał w 1966 roku „Świat” (nr 44). Zamieszany w aferę kapitan MS „Krutynia” został skazany na 5 lat więzienia i 300 000 zł grzywny, a jeden z jego wspólników – warszawski lekarz – otrzymał wyrok 3,5 roku więzienia i 200 000 zł grzywny. Ryzyko było więc duże.

Krystyna Świątecka alarmowała na łamach „Prawa i Życia” (1966, nr 20), że marynarski przemyt na statkach może się kiedyś zakończyć katastrofą. Przytoczone przez nią przykłady mówiły same za siebie: celnicy ujawnili towary schowane w zaworze awaryjnym głównego silnika, znaleźli zegarki w oliwie w maszynie sterowej, płaszcze ortalionowe w gaśnicach, pompach balastowych i w jeszcze bardziej niebezpiecznych miejscach. Egzekutywa PLO KZ PZPR podjęła wtedy uchwałę *O politycznym i organizacyjnym zabezpieczeniu walki z przemytem oraz nadmiernym przywozem w celach handlowych*.

Narada partyjna i odpowiednia uchwała były też epilogiem ujawnienia faktu, że załoga MS „Dęblin” – jak podały gazety – w 1968 roku wwiozła nielegalnie 26 kilometrów ortalionu, wartości ponad 20 milionów złotych, z którego można byłoby uszyć ponad 13 000 płaszczy. Inny fakt: załoga MS „Warszawa” pobrała 1794 \$ dodatku dewizowego, a kupiła i przywozła do kraju towary wartości 7288 \$, co oznaczało, że ową nadwyżkę w dolarach wywozła nielegalnie z kraju. Na owej naradzie omawiano też przypadek kapitana MS „Olkusz”: przemycił dewizy,

a przywiózł nielegalnie złoto i biżuterię za około 400 000 zł. Nie tylko stracił stanowisko, ale sąd wymierzył mu karę dwóch lat więzienia z zawieszeniem ze względu na wiek, a także 500 000 zł grzywny.

Pod rządem starej ustawy karnoskarbowej z 1952 roku zostałyby ukarani niewątpliwie znacznie surowiej, ale prawo dotyczące tej sfery zostało złagodzone w 1960 roku, gdy kontakty zagraniczne nie były już tak źle widziane. Przedtem nawet drobne wykroczenia były zagrożone dotkliwymi karami, a „zbrodnie” o „poważnej szkodliwości społecznej” nawet dożywociem. Teraz górna granica kary za przestępstwa popełniane w szczególnie obciążających okolicznościach sięgała pięciu lat aresztu. Nowa ustawa dawała za to większe niż poprzednio możliwości karania grzywną i innymi karami fiskalnymi.

Niektórzy widzieli w tym pozytywny przejaw nowej polityki karnej, inni zaś przestrzegali, że spadek zagrożenia wysokimi karami będzie sprzyjać nasilaniu się przemytu. Jako też sklepy „Jubitera” ledwie nadążały w tym czasie ze skupem sztabek złota i takichż monet. W tych latach oceniano, że w ciągu roku na rynku znajdował się nielegalnie sprowadzony towar za miliard złotych (bez zapłacenia 30% cła), co przysparzało państwu 300 milionów złotych strat. Inni szacowali, że tylko co piąty dolar wpływał do kraju legalną drogą.

„Masówka” sądowa tych czasów to nie wielkie afery przemytnicze – tymi zajmujemy się w dalszym ciągu – ale „drobnica” sądzona z art. 64 ustawy karnoskarbowej. Przewidywał on za przemyt karę grzywny w sześciokrotnej wysokości cła, które powinno być uiszczone. Jeśli zaś sprawca działał w celach oczywiście handlowych, groziła mu kara do dwóch lat aresztu lub grzywny w wysokości do dziesięciokrotnej wysokości cła albo obie te kary łącznie. Przemycane rzeczy przepadały.

„Przechwytną oni wartości, które powinny służyć społeczeństwu, a nie zamkniętemu w złodziejskim kręgu, solidarnemu na swój sposób, klanowi przemytników i waluciarzy” – pisała o takich ludziach „Trybuna Ludu” (1971, nr 129). Inni dostrzegali, że rzecz jest bardziej złożona.

Omawiając jeden z takich typowych procesów na łamach „Życia Warszawy” (1966, nr 160), sędziowie Michał Kulczycki i Jerzy Zdunczyk, którzy podobne sprawy znali z praktyki, napisali jakże słuszne słowa: „Pozostaje wciąż otwarta prawda, że istotnym regulatorem są nie tylko sankcje, ale także taka oficjalna wymiana handlowa, która sama przez się uczyni bezprzedmiotowe kombinacje pieniężne i celne”.

Tak uważali wszyscy i dlatego do przemytu mieli stosunek pobłażliwy od początku PRL. Z tego też powodu jedną z bardziej błyskotliwych „przemytniczek” opinia publiczna skłonna była określać jako najlepszego kandydata na ministra handlu zagranicznego. Chodzi o Stefanię Husiatyńską; w tym akurat przypadku nie ma potrzeby zmieniać nazwiska, było bowiem wówczas powszechnie znane i jest pamiętane do dziś.

Przeszło ono zresztą do historii PRL jako jaskrawy przykład surowej represji karnej wobec osoby obdarzonej inicjatywą i smykałką do interesów, która w innych warunkach ustrojowych zrobiłaby majątek i to w całkiem uczciwy sposób. Padła też ofiarą zagmatwanego ustawodawstwa regulującego przywóz towarów z zagranicy i rozliczeń finansowych związanych z tego typu operacjami. Interpretatorzy ustawy karnoskarbowej z 1952 roku skrzywdzili ją tak, jak dziś skarbowcy Romana Kluskę; tyle tylko, że nikt nie przyznał jej racji, panował wtedy bowiem socjalizm, a w tym ustroju urzędnicy zawsze mieli rację.

Kim jest właściwie Stefania Husiatyńska? – zastanawiał się ktoś z ławy prasowej. – Niebezpieczną aferzystką o niezwykłych talentach handlowych, jak sądzą niektórzy? Kobiętą niedocenioną, którą należałoby czym prędzej uczynić dyrektorem którejś z central handlu

zagranicznego lub banku PKO, jak utrzymują inni? Czy jest może zwykłą kobietą wplątana wskutek niecodziennych okoliczności w sytuację, która ją przerosła?

Twierdząco należałoby odpowiedzieć na ostatnie pytanie, bo Husiatyńska – „skromna blondynka o bezbarwnej twarzy” – nie wyróżniała się niczym szczególnym, a na nią właśnie była zwrócona powszechna uwaga, choć oskarżonych było kilkunastu. „Przepełniona sala sądowa – notowała swe wrażenia Wanda Falkowska, która zdobywała dopiero swą późniejszą sławę – publiczność przysłuchująca się rozprawie z napięciem, pełna ława prasowa, kronika filmowa, telewizja, światła i reflektory, dwóch prokuratorów, dwudziestu trzech obrońców, czternaście tomów akt. A na ławie oskarżonych, obok czternastu innych osób, «królowa nylonu», «konkurentka polskich central handlu zagranicznego», głośna milionerka ze Skawiny, najsłynniejsza kobieta w Polsce w roku 1957 – Stefania Husiatyńska”.

O co chodziło w całej tej aferze, którą warszawski sąd rozpatrywał w kwietniu 1958 roku? Najkrócej rzecz ujmując, Husiatyńską odnalazł listownie tuż po wojnie gdzieś pod Wrocławiem jej szwagier, którego losy rzuciły do USA. Najpierw przysłał hojne prezenty dla niej, jej męża i sześciorga dzieci; w 1955 roku w przesyłce znalazła się pierwsza sztuka nylonu, którą miała sprzedać – część pieniędzy zatrzymać sobie, a resztę przekazać pod podane adresy.

I tak się zaczęło: szwagier słał coraz więcej nylonu, ona brała sobie 20–40 zł od metra, większą zaś część pieniędzy wysyłała odbiorcom wskazanym listownie. Odcinki przekazów zwracała szwagrowi, ten zaś na ich podstawie rozliczał się z klientami swego przedsiębiorstwa Gift Parcel Service (paczki z podarunkami), które założył w Long Island. Intensywnie reklamował je w prasie polonijnej, gwarantując duży zysk korzystającym z jego usług. Oto – twierdził – Bank PKO daje 24 zł za jednego „bagaś”, on zaś blisko 100 złotych! Interes kwitł w najlepsze: Husiatyńska kupiła sobie wkrótce dom w Skawinie; jak ekscytowano się na procesie – za trzy kilometry nylonu, który był wówczas materiałem supermodnym.

Wszystko zawaliło się, gdy wpadli pracownicy LOT-u i urzędu celnego na Okęciu, którzy brali łapówki za przepuszczanie niektórych przesyłek bez płacenia cła. Wydali swych klientów, a najpoważniejszym z nich okazała się Husiatyńska właśnie, która – jak zarzucał jej akt oskarżenia – oszukała Skarb Państwa na 360 000 zł, a celnikom „odpaliła” w sumie 150 000 zł. W czasie procesu jej osoba przyćmiła wszystkich oskarżonych.

Sąd Wojewódzki skazał ją na 6 lat więzienia oraz 300 000 zł grzywny za przekupywanie urzędników portu Okęcie. Miała też zapłacić czterokrotną wysokość tych opłat celnych, których uniknęła. Wbrew stanowisku Ministerstwa Finansów sąd uwolnił ją od zarzutów stawianych na podstawie ustawy karnej dewizowej, co prokurator zakwestionował w rewizji złożonej do Sądu Najwyższego. Rewizje wnieśli też obrońcy, wnioskując o obniżenie orzeczonej kary.

Sąd Najwyższy uchylił wyrok pierwszej instancji. Rozpatrując sprawę ponownie, Sąd Wojewódzki uznał Husiatyńską za winną przestępstwa dewizowego i skazał ją za nie na dwa lata więzienia i 300 000 zł grzywny; orzekł też konfiskatę ponad 3 milionów zł oraz dolarów i złotych monet, które znaleziono u oskarżonej.

Prawnicy zaś ciągle mieli wątpliwości: „Czy słusznie Ministerstwo Finansów, które określiło działalność Husiatyńskiej jako przestępczą, równocześnie opodatkowało ją podatkiem obrotowym i dochodowym, tak jak się opodatkowuje normalną działalność gospodarczą?”

Równie głośny, a może jeszcze głośniejszy, był proces dewizowy, który toczył się przed Sądem Powiatowym dla m.st. Warszawy w sali nr 17 „na Lesznie” od 19 marca 1962 r. i trwał ponad trzy tygodnie. Na ławie oskarżonych zasiadło 14 osób, w tym dwóch pracowników naukowych; z pozostałych jeszcze cztery osoby legitymowały się wyższym wykształceniem, a inni też wykonywali zawody powszechnie szanowane: redaktor, dyrektor, doktor chemii itp. Słowem: przedstawiciele stołecznej elity.

Oskarżano ich o „szkodnictwo o nieprzeciętnej wadze dla naszego kraju” – jak to określił już na początku procesu Bohdan Czeszko w „Przeglądzie Kulturalnym” (nr 14). Pod koniec okazało się ono całkiem przeciętne, ale tego ów znany pisarz już nie podał do wiadomości publicznej. Z milionowych strat dla Skarbu Państwa opisanych w akcie oskarżenia wniesionym przez prokurator Marię Pancer zrobiły się bowiem tysiące, chociaż grube, w wyroku.

– Wysoki Sądzie! Czy ja jestem jakąś zbrodniarką!?! – zdenerwowała się pierwsza z oskarżonych, gdy przyszło jej składać wyjaśnienia. Opadli ją bowiem operatorzy kroniki filmowej i telewizyjni ze swoimi reflektorami i kamerami, a fotoreporterzy raz po raz błyskali fleszami.

– Tu nie może być mowy o zbrodni, oskarżona odpowiada jedynie za występki karnoskarbowy – zachnął się wiceprezes Sądu Powiatowego, który przewodniczył rozprawie. Nie przerwał jednak tego całego cyrku, bo z Wydziału Administracyjnego KC PZPR przyszło zalecenie, by proces maksymalnie nagłośnić.

Ci, którzy zorganizowali ową „szajkę przemytniczo-dewizową”, pozostali bezkarni: cała trójka wyemigrowała z Polski i miała obywatelstwo austriackie. Robili tam różne interesy: a to mieli jakąś hurtownię, a to fabryczkę skarpet itp. W Polsce pozostawili dużo znajomych i wciągnęli ich do przemytu dolarów w jedną stronę, a różnych towarów i złota – w drugą. Jeden przysłał nawet swemu znajomemu maszynę do zamykania puszek z konserwami. Po opróżnieniu uzupełniano jej wagę pieniędzmi i odsyłano. Wpadka nastąpiła, gdy jeden z „kurierów”, Austriak – rozwoziciel mleka w Wiedniu wysłany na atrakcyjny pobyt do Polski – został zatrzymany przez celników w Kunowicach ze złotymi dwudziestodolarówkami o łącznej wadze 14 kg. Reszta to już wynik śledztwa: szukanie kontaktów, powiązań, dowodów rzeczowych i innych.

Chociaż ustawa karnoskarbowa z 1960 roku, z której oskarżał prokurator, była – jak już wcześniej wspomniano – łagodniejsza, obrońcy twierdzili, że ich klienci popełnili swe przewinienia dewizowe pod rządem ustawy z 1952 roku i powinni być sądzeni na jej podstawie. Jej art. 9 przewidywał bowiem, że w przypadkach przestępstw dewizowych małej wagi – a tego dowodzili – sąd może zastosować nadzwyczajne złagodzenie kary, a nawet od niej uwolnić, co sędziowie często robili, by w ten sposób „obejść” tę drakońską ustawę. Przypadki małej wagi były też zagrożone poprzednio karą więzienia lub aresztu do lat dwóch, a teraz karą aresztu do lat trzech, a czasem nawet do pięciu. Do nowej ustawy wprowadzono też pojęcie grupy przestępczej, co nie było korzystne dla oskarżonych.

Ostatecznie sąd przyjął za podstawę skazania nową ustawę, ale też nie ocenił oskarżonych zbyt surowo – już w czasie rozprawy uwolnił czterech oskarżonych z aresztu. Najwyższy wymiar kary otrzymał ów austriacki mleczarz – dwa lata aresztu. Pozostali – nawet dziewięćka uznanych za działających w zorganizowanej grupie – zostali potraktowani łagodniej, w granicach średniego zagrożenia. Łącznie grzywny wyniosły 3 miliony złotych.

Te procesy – a w Sądzie Wojewódzkim w Krakowie i powiatowych w Zakopanem i Nowym Targu było ich kilka powiązanych ze sobą niektórymi oskarżonymi i świadkami – miały początek w doniesieniu na milicję, czego jak sądzili sprawcy zdarzenia, nie będzie. Obrabowali bowiem z dolarów człowieka, który – jak uważali – powinien milczeć ze strachu, że wyjdą na jaw jego przewiny związane z handlem obcą walutą, która zgodnie z przepisami i tak ulegnie przepadkowi. Mieszkaniec podhalańskiej wsi tak się jednak oburzył na jawny rabunek, że poszedł na Komendę Powiatową MO w Nowym Targu i wskazał sprawców.

Byli oni związani z właścicielem „Szaflarzanki” niedaleko Nowego Targu przy „Zakopiance”. Oficjalnie była to kawiarnia, faktycznie można się tu było „nieźle zaprawić”

alkoholem podawanym nielegalnie przez żonę Walczaka, tak nazwijmy owego właściciela. Nic dziwnego, że okoliczni górale powszechnie nazywali ów lokal „Pod klinem”, a gaździny gorszyły się, że to „istny burdel”, bo pokoiki na górze pełniły rolę jakiejś praagencji towarzyskiej na niewielką skalę.

Gdy śledztwo rozwinęło się już na dobre, milicja nadała sprawie kryptonim „Czerwona Oberża”, co bardzo podobało się dziennikarzom i tak pisali o tej aferze przemytniczo-dewizowej, chociaż pogłoski, że Walczak ma coś wspólnego z zamordowaniem taksówkarza z Nowego Sącza i Anieli K., handlarki złotem, której zwłoki wyłowiono z Jeziora Rożnowskiego, okazały się fałszywe. Związki więc z popularnym filmem pod takim tytułem, w którym główną rolę grał Fernandel, były dość słabe; mimo to tak już zostało – podhalańska „Czerwona Oberża” stała się głośna w całej Polsce dzięki prasie, radiu i telewizji, bo wszystkie te środki przekazu długo trąbiły o operatywności milicji.

Walczak okazał się szefem mocno rozbudowanego gangu waluciarsko-przemytniczego, który „mokrą robotą” raczej się nie zajmował, pozostając przy tradycyjnych metodach. A to od Jugosłowian „kupił” złoto, wciskając im paczki niby to dolarów, faktycznie zaś pociętego papieru z prawdziwymi dwudziestkami na wierzchu, a to spił do nieprzytomności klienta, który pragnął „spylić” ulubione przez wszystkich ciulaczy złote „czworaki” (monety, za które w „Jubilerze” płacono blisko 2800 zł za sztukę) i ordynarnie go okradał itp.

„Okazało się – pisał o procesie sędziego Andrzej Zachuta na łamach «Gazety Sądowej» (1973, nr 12) – że nie jest to typowa afera waluciarska: w tej sprawie handel zagranicznymi środkami płatniczymi przenikał się z przemysłem dewiz i szlachetnych metali, przemysł tych walorów łączył się z przemysłem koniczyny, wełny, koni i bydła, a nawet dzieci. Wszystko to mieszało się z rozbojami, pobiciami, wymuszeniami, oszustwami itp. Sprawa, którą nazwano sprawą «Czerwonej Oberży», ujawniła wielosettysięczne nielegalne obroty dewizami i złotem, które odpowiednio wybranymi szlakami wędrowało w jedną i drugą stronę granicy, ale ujawniła też zupełnie błahе incydenty, jak przerzucenie przez granicę jednego worka koniczyny”.

Najważniejsze jednak były przemycane przez zieloną granicę z Wiednia owe „czworaki” i „małe dukaty” oraz złoto w sztabkach. Analfabeta Walczak odłożył sobie z handlu nimi pokaźne ilości złota, które milicja za pomocą wykrywacza metali znalazła zakopane bądź ukryte w różnych miejscach na jego posesji.

Akt oskarżenia zarzucał mu, że kupił lub sprzedał ogromne ilości złotych monet (blisko 7000) wartości ponad 12 milionów złotych po oficjalnym kursie. Został za to skazany na 15 lat więzienia i milion złotych grzywny. Jeden z jego współników dostał tyleż lat, tylko wymierzono mu niższą grzywnę, inny – 12 lat, pozostali od 9 do 2 lat oraz kary grzywny.

W tym czasie, czyli we wczesnych latach 70., wielu ludzi, którzy wcześniej przemycali różne elastiki, ortaliony, kryształki, kozuszki i aparaty fotograficzne, doszło do wniosku, że zamiast zajmować się taką kłopotliwą drobnicą – lepiej przerzucać owe „czworaki” i inne złoto do kraju. Tu kupowali za to dolary i walutę szmuglowali, dajmy na to, do Wiednia przez zieloną granicę lub bezpośrednio, przy wyjeździe. I tak na okrągło: jeden z naszych kajakarzy 600 dolarów pomnożył w kilkanaście dni do 3500 „zielonych”.

Powiedział o tym znanej zakopiańskiej narciarce, która już od wielu lat dzięki swym licznym wyjazdom zarabiała sporo na owej drobnicy; teraz kupiła pomysł, by osiągać dużo więcej. Nawiązała kontakty zagraniczne, ustaliła różne hasła i poszukała odpowiednich ludzi do przenoszenia złota i waluty przez zieloną granicę. Tak trafiła na ludzi Walczaka. Ci zaś nie byliby sobą, gdyby nie spróbowali przekrętów. Jeden nawet kazał koledze przestrzelić sobie

ramię, by upozorować ucieczkę przed strażą graniczną i porzucenie torby turystycznej z „czworakami”. W ten sposób sprawa narciarki stała się odpryskiem procesu „Czerwonej Oberży”.

Prokurator oskarżył ją, że przemyciła do kraju 25 kg złota, 4 kg włoskiej biżuterii i kilkaset monet dukatowych. Z kraju zaś wywozła ponad 50 000 dolarów i 47 kg srebra, a przedtem kożuchy, kryształy itp., bo przemytem trudniła się od połowy lat 60. W październiku 1973 roku Sąd Wojewódzki w Krakowie skazał ją na 6 lat więzienia, konfiskatę całego mienia i ponad 800 000 zł grzywny, a także pozbawił na 4 lata praw trenera sportowego.

Słynna narciarka nie była jedyną sportsmenką skazaną w tym czasie za przemyt. Nim przed sądem krakowskim skończyła się jej sprawa, która trwała dość długo, przez stołeczne wokandy przewinęły się procesy koszykarzy i piłkarzy, działaczy bokserskich i brydżystów, nie licząc drobnych spraw już bez większego rozgłosu.

Sportowcom szary ludek się nie dziwił;ienne kieszonkowe polskiego zawodnika wynosiło w tym czasie od pół dolara do dwu. Jak w tych warunkach nie dorobić sobie drobnym przemytem, by za granicą nie „dziadować”? Oficjalnie jednak wymagano od nich więcej niż od zwykłych zjadaczy chleba, ci socjalistyczni herosi reprezentowali bowiem PRL.

„Dla kibica, dla człowieka, który utożsamia się z tym zwyciężającym na torze, na bieżni – szokujący jest fakt, że to właśnie jego bohaterom celnicy przed wyjazdem wyciągają ze zbiorników wiezionych na zawody rajdowe maszyn – całe kilogramy srebra, a innej ekipie, tym razem PZMot-u 154 płaszcze ortalionowe, przemyślnie ukryte w oponach samochodów i motocykli (powrót z Austrii 23 maja 1966 r. – przejście graniczne w Kudowie). Takich czynów dokonują nie jacyś Kowalscy czy Pipsztyccy, ale ludzie będący, bez przesady, bożyszczami milionów” – świętoszkowato oburzały się „Kierunki” (1968, nr 15).

Zakłamanie i wyraźnie sterowane oburzenie wybuchło, gdy po zimowej olimpiadzie w Grenoble (1968) zawodnicy wrócili bez medali i bez... kożuszków, w które je ubrał PKOl. Posprzedawali je bowiem za 180–200 dolarów. Wspomniane „Kierunki” gromko wołały, by sprawą zajęła się prokuratura. „Nasi handlarze olimpijscy – pisano – popełnili bowiem przestępstwo dewizowe polegające na zawarciu, bez zezwolenia, transakcji kupna-sprzedaży w obrocie z zagranicą, pomiędzy krajowcem dewizowym a cudzoziemcem. I nieistotna jest tutaj wysokość sumy zaangażowanej w takich transakcjach. Tego rodzaju postępowanie, na podstawie art. 49 § 1 ustawy karnej skarbowej, podlega karze pozbawienia wolności do lat 5 i grzywnie w wysokości do miliona złotych”.

Prokuratorzy okazali się jednak chyba bardziej wyrozumiali od dziennikarza „katolickiego” tygodnika, bo o procesie nie było słyhać.



## Kara „podwyczajna” profesora T.

23 KWIETNIA 1957 ROKU ZACZAŁ SIĘ przed Sądem Wojewódzkim dla m.st. Warszawy proces przeciwko profesorowi Kazimierzowi T. oskarżonemu o otrucie swojej żony. Proces ten przyciągał jeszcze większą uwagę opinii publicznej niż o rok wcześniejsza sprawa krakowskiego mordercy, Mazurkiewicza. Głośny stał się nie tylko dlatego, że przed sądem stanął człowiek dość dobrze znany w stołecznym świecie naukowym, ale i dlatego, iż w grę wchodziła najbardziej niepokojąca ogół zbrodnia – otrucie bliskiej osoby z przyczyn „romansowych”.

Sprawy tego typu zawsze poruszały środowisko prawnicze oraz świat ludzi naukowo i praktycznie zajmujących się zbrodniami, a więc kryminalistów i kryminologów, znawców prawa karnego, a także sprawozdawców sądowych. Kryły się bowiem za nimi zagadki trudne do rozwiązania oraz kontrowersje jurydyczne charakterystyczne dla procesów poszlakowych, a także trudne do rozwikłania problemy winy i kary.

Wszyscy ci ludzie, zwłaszcza starszego pokolenia, mieli w dość świeżej jeszcze pamięci, mimo że przyćmionej wojną, głośną – bo szeroko opisywaną przez całą ówczesną prasę – sprawę sprzed dwudziestu paru lat rzekomego truciciela żony i dwojga dzieci, Grzeszolskiego. Zbrodnię tę miał popełnić jakoby dlatego, by ożenić się z dawną kochanką. Sąd Okręgowy skazał go na karę śmierci, ale Sąd Apelacyjny oskarżonego uniewinnił, powołując się na zasadę *in dubio pro reo* (wątpliwości należy rozstrzygać na korzyść oskarżonego). Rozstrzygnięcie to zakwestionował prokurator i wystąpił o kasację wyroku. Po całodniowej rozprawie, 2 lutego 1937 roku, Sąd Najwyższy postanowił kasację prokuratora uwzględnić, uchylając wyrok uniewinniający i przekazać sprawę do ponownego rozstrzygnięcia Sądowi Apelacyjnemu w innym składzie. Nakazał też aresztować Grzeszolskiego. Ów jednak już tego nerwowo nie wytrzymał i otrul się razem ze swą nową żoną. Samobójca zabrał tajemnice swej poprzedniej rodziny do grobu. Na cmentarz odprowadzały go tysiące ludzi zupełnie zdezorientowanych, czy uczestniczą w pochówku truciciela, czy człowieka zaszczutego.

O sprawie tej ludzie może zapomnieli, ale świat prawniczy, a zwłaszcza starsi wiekiem sędziowie i mecenasowie dobrze pamiętali tamten przedwojenny, dramatyczny kazus, bo można było dostrzec wiele analogii. Jak w przypadku Grzeszolskiego, tak i na profesora podejrzenia rzuciła matka ofiary i ona też naciskała, by wznowiono śledztwo po umorzeniu go z braku dowodów winy. Tu też za kulisami krył się cień tej drugiej, dla której rzekomy zabójca miał się posłużyć trucizną.

Kroił się więc proces, który – niezależnie od wyroku: czy oskarżony zostanie skazany, czy też uniewinniony – i tak wejdzie do annałów sądowych i stanie się jednym z ciekawszych rozdziałów kryminalnych pitawali.

Publiczność, tłumnie zgromadzoną w dużej sali nr 17 „na Lesznie”, jak to się wówczas jeszcze mówiło, mocno ekscytował fakt, że oto na ławie oskarżonych zasiadł kierownik Zakładu Ekologii (co to jest ta „ekologia”? – zapytywano wtedy powszechnie, bo owa dyscyplina naukowa była wówczas nowinką) Polskiej Akademii Nauk, jednocześnie profesor Uniwersytetu Warszawskiego. Denatka też była pracownikiem naukowym, nic więc dziwnego, że w środowisku akademickim stolicy aż wrzało od plotek i domysłów, zwłaszcza iż Eliza D., z którą profesor miał podobno romans, pracowała w zakładzie kierowanym przez podejrzanego

o zbrodnię. Naukowiec pospolitym zbrodniarzem? To się nikomu nie mieściło w głowie...

A jednak prokurator oskarżał go ni mniej, ni więcej o otrucie żony cyjankiem, który denatka – na prośbę, o ironio! swego zabójcy – przyniosła ze swej placówki naukowej, Zakładu Weterynarii SGGW, w którym była zatrudniona. Mąż twierdził bowiem, że cyjanek jest mu potrzebny do sporządzenia zatrutowaczek na owady, a w macierzystym zakładzie chwilowo go zabrakło.

Do tragedii doszło przed północą 21 stycznia 1955 roku w małym mieszkaniu przy Nowym Świecie 52. Wieczorem tego dnia 25-letnia Teresa przygotowała uroczystą kolację dla uczczenia zdanego właśnie egzaminu na „kandydata nauk”, jak wówczas sowieckim wzorem przechrzczono doktorantów. Zaprosiła dwóch zaprzyjaźnionych profesorów i podczas przyjęcia była w dobrym humorze. Ciekawa rzecz: nie wiadomo z czyjej inicjatywy rozmowa w pewnym momencie zesłała na pożyczony cyjanek, co świadkowie wspominali przed sądem.

Goście wyszli około 21.00, a wkrótce potem w mieszkaniu pojawiła się matka profesora – szło o niewielką pożyczkę dla jej znajomej. Gdy małżonkowie zostali sami z dwójką śpiących dzieci, Teresa – jak twierdził w śledztwie profesor – poprosiła go o proszek od bólu głowy. Podał go jej w opłatku, który nosił w kamizelce; potem się okazało, że podobne proszki znajdowały się w nocnej szafce. Dochodziła 22.00; profesor – pod pozorem omówienia z matką sprawy pożyczki – poszedł na pobliską ulicę Warecką, gdzie mieszkała. Dość długo go nie było; gdy wrócił, zastał żonę leżącą na tapczanie. Zorientował się, że jest nieprzytomna; miała bladą, spoconą twarz. Próbował ją cucić i zastosował sztuczne oddychanie, a gdy to nie pomogło – pobiegnął do sąsiadki (telefony nie były tak powszechne), by ta zadzwoniła po pogotowie.

Sam czekał przed bramą i wszedł do mieszkania wkrótce po lekarzu. Ten zastał chorą – jak opowiadał przed sądem – leżącą na wznak na tapczanie z głową dotykającą wałka służącego za oparcie. Była ubrana w bluzkę, spódnicę i roboczy fartuch; nogi zwisały nad podłogą. Stwierdził zgon, przeprowadzając dla pewności próbę lakową. Jego uwagę zwrócił „kamienny spokój” męża.

Gdy sanitariusz zabierał swą torbę, lekarz ujrzał mały słoiczek na nocnym stoliku.

– To cyjanek – zdziwił się profesor. – Skąd się tutaj wziął, skoro stał w łazience na parapecie okna, z dala od dzieci?

W tej sytuacji medyk kazał wezwać milicję.

Prokuratorowi przesłuchującemu nazajutrz profesora ów też nie umiał wyjaśnić, dlaczego pojemniczek z cyjankiem znalazł się przy łóżku denatki. Samobójstwo zdecydowanie wykluczył; musiał się zdarzyć jakiś trudny do wytłumaczenia nieszczęśliwy wypadek – utrzymywał.

Sekcja zarządzona przez prokuratora potwierdziła zatrucie cyjankiem. Nie przeprowadzono jednak badania treści żołądka, co uniemożliwiło ustalenie dawki trucizny w organizmie; zaważyło to potem bardzo ujemnie na postępowaniu sądowym we wszystkich instancjach.

Wykluczono nieszczęśliwy wypadek i przyjęto, że młoda kobieta pod wpływem jakiegoś impulsu sama sięgnęła po truciznę. Śledztwo zostało umorzone, ale potem pojawiły się poważne wątpliwości i po dwóch latach z okładem podjęto je na nowo. Stało się to w kwietniu 1957 roku, ale teraz profesor występował w nim już w charakterze podejrzanego, chociaż pozostawał na wolności. Prokurator przesłuchał go po raz pierwszy w czerwcu, a we wrześniu zastosował areszt.

W akcie oskarżenia prokurator Bogusław Miernik wykluczył hipotezę nieszczęśliwego wypadku. Denatka – twierdził – jako przyrodnik i aspirantka Zakładu Parazytologii SGGW

musiała zbyt dobrze znać działanie cyjanku, by zatruć się przypadkowo. Cyjanek zażyła w opłatku, na co wskazywał brak poparzeń jamy ustnej i przełyku.

Wykluczył też samobójstwo: Teresa T. była kobietą o pogodnym usposobieniu, entuzjastką nauki, odnoszącą pierwsze sukcesy w wybranej przez siebie dziedzinie, wreszcie wierzącą katoliczką, gorąco kochającą męża i dwie maleńkie córeczki. Czyż można wyobrazić sobie, by targnęła się na życie, gdy dziewczynki spały spokojnie obok? Jej postępowanie w ciągu ostatnich dni przed śmiercią absolutnie nie świadczyło o zamiarach samobójczych.

Czy profesorowi T. mogło zależeć na pozbyciu się żony? – pytał oskarżyciel. Przyjmował, że tak. Z pierwszą żoną, z którą miał także dwójkę dzieci, rozwiódł się dużo wcześniej. Niełatwo by mu było ponownie dostać rozwód celem zawarcia trzeciego małżeństwa, gdyż sąd by się na to nie zgodził ze względu na dobro małoletnich dzieci. Nawet zgoda Teresy niewiele by tu dała.

Tymczasem od lata 1954 roku profesor wyraźnie interesował się jedną z pracownic kierowanego przezeń zakładu. Po śmierci żony sondował nawet kolegów, jak widzą jego ewentualne małżeństwo z tą młodą osobką. Był człowiekiem – twierdził prokurator – nieprzebierającym w środkach. Na dowód tego przytoczył fakt, że gdy pierwsza żona usiłowała w 1946 roku przeszkodzić jego miłostkom ze studentką, zaczął czynić starania, by umieścić ją w zakładzie psychiatrycznym.

Dodał też znamienny szczegół, który uznał za jeszcze jeden dowód obciążający: kilka dni przed śmiercią Teresa T. opowiadała w pracy, że o mało nie zatruła się gazem na skutek zalania palnika kipiącym mlekiem. Profesor postawił garnek na ogniu i wyszedł, zostawiając śpiącą żonę. Tłumaczył jej później, że sama go o to prosiła, widocznie w półśnie, czego w rozmowie z kolegami nie mogła sobie przypomnieć. „Cudem uniknęłam śmierci” – miała wówczas powiedzieć.

Na koniec prokurator zostawił argument koronny. Ustalono, że w słoiku, który Teresa wypożyczyła dla męża i który znaleziono przy tapczanie, brakowało zaledwie 1,5 grana cyjanku, a dawka śmiertelna w tym przypadku – bo cyjanek był częściowo rozłożony – to co najmniej 4 grany. Tymczasem asystentka Zakładu Ekologii PAN stwierdziła, że około 20 stycznia dała profesorowi słoik z cyjankiem o 97% mocy, a on zabrał go do swego gabinetu, gdzie robił zatruwaczki na owady; nigdy ich nie odnalaziono. Słoik wypożyczony przez żonę, o którym tyle mówiono przy gościach i który stał na szafce, miał tylko upozorować samobójstwo – twierdził oskarżyciel.

Prosząc żonę o przyniesienie cyjanku z SGGW, a następnie mówiąc o nim przy gościach i przy nich wręczając pokwitowanie na tę truciznę – dodał prokurator – chciał po prostu stworzyć pozory, iż popełniła ona samobójstwo lub że zdarzył się nieszczęśliwy wypadek. W rzeczywistości miał przygotowany inny cyjanek, wzięty z Zakładu Ekologii, i nim z całą premedytacją otrul żonę, za co powinien otrzymać dożywotnią karę pozbawienia wolności.

Profesor T. nie przyznał się do winy. Podczas trwających blisko 9 godzin wyjaśnień i odpowiedzi na zadawane pytania (częściowo przy drzwiach zamkniętych) najczęściej zasłaniał się niepamięcią. Swe pożycie z żoną przedstawiał jako niezwykle szczęśliwe i wciąż powtarzał, że musiał się zdarzyć jakiś nieszczęśliwy wypadek, bo samobójstwo nie mogło wchodzić w grę.

Świadkowie charakteryzowali profesora zależnie od swoich sympatii czy antypatii. Jedni widzieli w nim wybitnego naukowca, gorliwego patriotę w czasie okupacji, inni krytykowali go za postępowanie wobec pierwszej żony, a nawet dostrzegli w nim krętacza, wręcz „zimnego drania”. Pracownicy macierzystego zakładu profesora też go nie szczydzili. Rzekomo

zapracowany, jednak znajdował czas na rozrywki: kawiarnie, teatr i to zawsze z młodzieżą, zwłaszcza żeńską; nigdy w towarzystwie żony. Broniła go sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej: owszem, dużo się mówiło w zakładzie o romansie profesora z asystentką Elizą D. Plotki te jednak uznała za bezpodstawne i złośliwe. Powołano bowiem w celu ich wyjaśnienia Komisję Moralności, a ta właśnie tak orzekła, gdyż osoby przesłuchiwane nie umiały podać źródła informacji.

Największe wrażenie zrobiły zeznania teściowej; nie powiedziała nic, co mogłoby świadczyć, że zięć jest mordercą jej dziecka, ani nie używała mocnych sformułowań. Jej wystąpienie było jednak „jednym wielkim aktem oskarżenia przeciwko T.”, jak napisał ktoś po procesie. Walczyła jak lwica o dobre imię córki, o to, że nie popełniła ona samobójstwa. Domagała się zresztą – reprezentowana w tym żądaniu aż przez dwóch adwokatów – zasądzenia od oskarżonego symbolicznej złotówki za cierpienia moralne.

Trzech biegłych profesorów, psychiatrów – na podstawie badań oskarżonego w czasie śledztwa i rozprawy oraz obserwacji w czasie procesu – nie znalazło u oskarżonego żadnych objawów, które mogłyby wskazywać, że jest on niepoczytalny. Stwierdzili tylko pewne cechy, które wskazują, że jest osobnikiem psychopatycznym; nie cierpi też na zaniki pamięci ani zaburzenia psychiczne. Inni biegli, głównie toksykolodzy, skupili się na przyczynie zgonu i sporach o śmiertelną dawkę częściowo już rozłożonego cyjanku.

Obrońcy: mec. Edmund Biejat, mec. Halina Krzysztofowicz i mec. Mieczysław Maślanko, podkreślając niewinność oskarżonego, sięgali po liczne argumenty przemawiające za możliwością samobójstwa. Pod wpływem ich wystąpień oskarżony zmienił zdanie i też opowiedział się za tezę o samobójstwie; on jednak odpowiedzialnością za nie obarczył nie siebie, ale teściową, z którą jego żona miała ponoć jakieś nieporozumienia.

27 maja 1957 roku zapadł wyrok: 15 lat więzienia za podstępne otrucie żony cyjankiem potasu podanym jej w opłatku od proszku od bólu głowy. Karę obniżono, biorąc pod uwagę okoliczności łagodzące, m.in. patriotyczną postawę oskarżonego w czasie okupacji i niewątpliwe zasługi naukowe. „Nie sprawdziły się przewidywania tych – ekscytowała się sprawozdawczyni sądowa «Ławnika Ludowego» – którzy twierdzili, że Teresa T. tajemnicę swej śmierci zabrała do grobu. Wyrok sądu udzielił definitywnej odpowiedzi na pytanie, kto otruił tę młodą kobietę, matkę dwojga dzieci. Niemały wkład – dodała – w wyjaśnienie tajemnicy tej tragicznej śmierci włożyli ławnicy, których jeden z pełnomocników powodów cywilnych nazwał «głosem sumienia narodu»”.

Prokurator wniósł rewizję od wymiaru kary; skargę rewizyjną do Sądu Najwyższego złożyli też obrońcy, domagając się uniewinnienia oskarżonego.

Sąd Najwyższy, rozpoznając 1 lutego 1958 roku obie te rewizje, uchylił wyrok pierwszej instancji i przekazał sprawę Sądowi Wojewódzkiemu do ponownego rozpoznania. Zalecił wyjaśnienie pewnych kwestii, m.in. dotyczących cyjanku.

Sąd Wojewódzki, rozpoznając sprawę ponownie, teraz w składzie pięcioosobowym: dwóch sędziów zawodowych i trzech ławników (skład taki w przypadku zbrodni zagrożonych karą śmierci umożliwiały zmienione w marcu 1958 roku przepisy procedury karnej), wyrokiem z 24 listopada 1958 roku ponownie uznał profesora T. za winnego zarzucanej mu zbrodni i na podstawie art. 225 § 1 k.k. skazał go na surowszą karę – dożywotniego więzienia. Zostało też uwzględnione powództwo cywilne matki ofiary.

Wyrok nie zapadł jednomyślnie; dwoje ławników złożyło *votum separatum*, uznawszy, że profesor został skazany niewinnie. W swym zdaniu odrębnym zakwestionowali wartość badań

przeprowadzonych przez biegłych toksykologów; uznali, że cyjanek znajdujący się w mieszkaniu T. wystarczał do samobójstwa Teresy, pozornie tylko szczęśliwej. Zakwestionowali też miłosny motyw zbrodni: T. zbliżył się do Elizy D. dopiero po śmierci żony; przedtem miała ona narzeczonego. Aż dziw bierze, że dwaj „sędziowie ze społecznego zaciągu” – Maria Wawrońska i Bogusław Lubański – wykazali więcej jurydycznego wyczucia niż zrutyinizowani zawodowcy. Ich argumenty wzbogacił potem Sąd Najwyższy; „głos sumienia narodu” przemówił teraz zupełnie inaczej, bo zaczął mieć wątpliwości.

Obrońcy wnieśli rewizję, a Sąd Najwyższy w jej wyniku uchylił zaskarżony wyrok (12 stycznia 1960 r.) i uniewinnił oskarżonego z braku dostatecznych dowodów winy. Powództwo cywilne o ową symboliczną złotówkę pozostało nieuwzględnione. Od tego prawomocnego już wyroku rewizję nadzwyczajną założył prokurator generalny. Wnosił o uchylenie go i przekazanie sprawy Sądowi Najwyższemu do ponownego jej rozpoznania w innym składzie.

Tak więc sprawa profesora, która stawiała się coraz głośniejsza i wywoływała zaciekle spory nie tylko wśród prawników (do Sądu Najwyższego wpływały liczne listy, m.in. petycja około dwustu pracowników naukowych), po raz piąty trafiła na wokandę sądową; teraz rozstrzygnięcie mogłoby być już tylko ostateczne. Wywołujące napięcie posiedzenie Sądu Najwyższego w składzie siedmiu sędziów, dotyczące dalszych losów profesora, odbyło się 8 października 1960 roku. Obecni na sali słuchali z zapartym tchem: rewizja nadzwyczajna nie została uwzględniona, a wyrok uniewinniający profesora utrzymany w mocy. Mógł spokojnie wrócić do pracy i kontynuować karierę naukową.

Motywuując wyrok, „siódemka” podkreśliła, że istotne znaczenie dla rozstrzygnięcia miała kwestia ilości i mocy cyjanku potasu brakującego w słoiku, który znaleziono przy zwłokach. O ile Sąd Wojewódzki przyjął, że ilość brakującego cyjanku wynosiła 1,54 grana/gram o mocy 2,55 procent, co stanowiłoby 39 miligramów czystego cyjanku potasu, to Sąd Najwyższy nie wykluczył, iż ilość tego cyjanku mogła być większa, a jego moc silniejsza. Opierając się na wyliczeniach biegłych, sędziowie Sądu Najwyższego nie wykluczyli, że ilość brakującego w słoiku cyjanku wynosiła 118 mg, a nawet więcej czystego cyjanku potasu. Tak więc z łańcucha poszlak, na których oparto wyrok skazujący, wypadło istotne ogniwo. Wypadły i dalsze, skoro teraz przyjęto, że owe 118 mg czystego cyjanku mogło spowodować nagłą śmierć Teresy T., oraz podkreślono, że Zakład Chemii Toksykologicznej i Sądowej, otrzymawszy słoje z narządami ciała denatki, zainteresował się tylko problemem rodzaju trucizny, a nie jej ilością.

W motywach Sąd Najwyższy podkreślił też, że samobójstwa nie można ująć w żadne reguły i bywa ono w wielu wypadkach zaskakujące. Nie wykluczył więc, opierając się na zeznaniach wielu świadków – w przeciwieństwie do Sądu Wojewódzkiego – że w pewnym momencie mógł nastąpić kryzys psychiczny, który nagle skłonił Teresę T. do rozpaczliwego i nieodwracalnego kroku.

Aby uznać winę na podstawie dowodów pośrednich, poszlak – konkludowała „siódemka”, co tutaj podaje się w dużym skrócie – jest konieczne, aby materiał dowodowy tworzył tak powiązany i nieprzerwany łańcuch poszlak, przy którym wszystkie inne rozsądne hipotezy, z wyjątkiem winy oskarżonego, byłyby wykluczone. Natomiast tu, przy bliższym zbadaniu, okazuje się, że fakty, przytaczane przez oskarżenie jako poszlaki przemawiające za winą oskarżonego, mogą równie dobrze świadczyć o jego niewinności. W tych warunkach – przy tylu wątpliwościach, które w myśl zasady *in dubio pro reo* należy tłumaczyć na korzyść oskarżonego – zaskarżany wyrok, który uniewinnił Kazimierza T. z braku dostatecznych dowodów jego winy, należało uznać za prawidłowy.

Warto jeszcze wspomnieć na zakończenie, że w postępowaniu rewizyjnym obrona powoływała się na opinię chemika, dr. Jana Robla, kierownika Zakładu Medycyny Sądowej

w Krakowie, który stwierdził, że gdyby nawet cyjanek odsypany ze słoja dla Teresy T. w jej macierzystym zakładzie był częściowo zwietrzały, to jednak mogła się w nim znaleźć grudka czystego cyjanku wystarczająca do spowodowania śmierci.

Obrona była skuteczna i z tego względu nic jej nie powinno się zarzucić; trudno jednak zrozumieć, że tak wytrawni palestranci, jakimi bez wątplenia była cała trójka adwokatów, nie wysunęli tezy, iż denatka, wiedząc dobrze, że trucizna jest słaba i zwietrzała, użyła jej do demonstracyjnego samobójstwa (takich nieudanych prób praktyka medyczna zna bardzo wiele!) – „samobójstwo nie do końca”, aby zwrócić uwagę męża na swoje problemy. A było ich przecież tak wiele: wyczerpująca praca naukowa, egzaminy, dwie córki – dwuletnia i ośmiomiesięczna, na dodatek dziesięciometrowa klitka ze ślepą kuchnią, w której musieli się gnieździć (wybitny naukowiec niepotrafiący załatwić sobie mieszkania!), konflikt między ukochanym mężem a równie kochaną matką, ciągłe nieobecności męża i podejrzenia o zdradę oraz dochodzące na ten temat plotki, obawa przed porzuceniem przez męża – czyż to było mało, by młoda kobieta załamała się psychicznie? A małżonek akurat wyszedł późnym wieczorem pod lada pozorem i długo nie wracał...

Dziś, gdy istnieje odrębna gałąź wiedzy o samobójstwach – suicydologia – i ogromna literatura naukowa na ten temat, taka hipoteza nabiera większego prawdopodobieństwa niż przed półwieczem. Profesor T. twierdził od początku, że to był nieszczęśliwy wypadek. Pewnie rzeczywiście był. Nie chciał za nic przyjąć, że było to samobójstwo, musiałby bowiem przyznać sam przed sobą, iż nastąpiło ono z jego winy.

Uniewinnienie profesora T. ówczesnej pierwszej damie reportażu sądowego Wandzie Falkowskiej, mającej ogromne wyczucie prawne, wydawało się „jedynym możliwym do przyjęcia zakończeniem tego niezmiernie długiego i męczącego procesu, w myśl pięknych i humanitarnych zasad polskiego procesu karnego, z których wszyscy jesteśmy dumni”. Nawet autorka „Ławnika Ludowego” zmieniła diametralnie ton, pisząc w swym sprawozdaniu: „Czas wreszcie, by zaniechać komentowania wyroków w tej sprawie, i czas zrozumieć, że w Polsce Ludowej wyrok skazujący może zapaść jedynie w oparciu o niebudzące wątpliwości dowody”.

Ostateczny wyrok Sądu Najwyższego najbardziej entuzjastycznie skomentował znany pisarz Jerzy Andrzejewski w *Notatkach* drukowanych na łamach „Polityki” (1960 nr 43): „Rzadko się przytrafia – pisał – aby sztywne zdanie sędziowskiego werdyktu miało w sobie tyle mądrej i rozległej treści humanistycznej”. I nieco dalej: „W swoim czasie bardzo uważnie śledziłem proces prof. T. i chyba nawet dla laika korzystającego tylko ze sprawozdań prasowych było sprawą aż nadto oczywistą, jak wiele w tym ciemnym procesie niejasności, niedomówień, a także rozjątrzonych uczuć.

Zdumiewali mnie ludzie – oburzał się – którzy z tak lekkim sercem, a niekiedy z fanatyzmem okrutnej satysfakcji bezapelacyjnie osądzali oskarżonego winnym zbrodni. Myślę czasem, że istnieje gatunek ludzi, którym, jak powietrze, potrzebne jest zgnojenie drugiego człowieka. Normalnie tłumione, dopiero przy procesach poszlakowych te wstydlive namiętności rozkwitają swobodnie w cieniu prawa, by poprzez wołanie o sprawiedliwość zaspokoić własną krwiożerczą zbrodniczość. Może przejęskrawiam, lecz częstokroć, kiedy słyszę głosy domagające się kary śmierci – słyszę w nich także potrzebę zbrodni”.

Głęboko humanistyczna zasada *in dubio pro reo*, głosząca, że w wypadku wątpliwości wyrokuje się na korzyść oskarżonego, na którą powołał się Sąd Najwyższy w sprawie profesora

T., była znana już starożytnym Rzymianom. Na naszych ziemiach jej stosowanie datuje się dopiero od reformy sądowej w 1876 roku, gdy w zaborze rosyjskim w miejsce bardzo sformalizowanej pruskiej ordynacji kryminalnej wprowadzono nową procedurę karną.

Procedura pruska była tak skonstruowana, że podsądny nie miał wielkich szans na uwolnienie się od zarzutu przestępstwa. Jeśli istniało prawdopodobieństwo, że mógł popełnić czyn przestępczy, i uznano go „za silnie poszlakowanego”, wymierzano karę w pełnym wymiarze. Jeśli stopień prawdopodobieństwa był mniejszy, stosowano na podstawie paragrafu 391 ordynacji kryminalnej tak zwaną karę podzwyczajną, inaczej ekstraordynaryjną, łagodniejszą o jeden lub kilka stopni od przewidzianej za dany czyn. Ten paragraf – dający duże możliwości karania podejrzanych, z którymi policja chciała się rozprawić – brzmiał: „Podzwyczajną karę wyrzec trzeba, gdy przeciw obwinionemu znakomicie świadczą dowody, lecz nie są tak dokładne, aby go można uważać za zupełnie o czyn przeświadczony”.

Rozwiązanie to atakowali liczni nasi prawnicy; „kara podzwyczajna nadzwyczajnie boli” – napisał jeden z palestrantów. Po skasowaniu jednak tej kary jeszcze na kilkanaście lat przed reformą sądową (ukazem z 30 sierpnia 1864 roku) padały głosy, że dawny stan znacznie ułatwiał skuteczne zwalczanie przestępczości. Głosy te nasilały się, gdy przestępczość narastała, a jednocześnie w sądach zwiększał się procent uniewinnień. Rzadko jednak wyciągano z tego faktu wnioski właściwe, a mianowicie o kierowaniu do sądów spraw wątplych dowodowo, a także – po prostu – o nieudolności aparatu śledczego.

O tym jednak nie pozwalała pisać srożąca się cenzura carska, dlatego też wyroki, jakie zapadały w takich sprawach, wydawały się ogółowi jedynie słuszne. Podobnie było w PRL.

Niezwykłe ciekawy pod tym względem był kazus Władysława Ostrowskiego. Jego proces stał się zmiennym świadectwem niedostatków ówczesnej kryminalistyki i techniki śledczej w konfrontacji z wprowadzoną właśnie procedurą karną. Dawała ona większe niż dotychczas uprawnienia oskarżonemu, który mógł wreszcie, chociaż w ograniczonym jeszcze stopniu, korzystać z dobrodziejstwa właśnie zasady *in dubio pro reo*.

Zdarzenie, które stało się następnie przedmiotem tego procesu, absorbującego przez ponad trzy lata aż trzy instancje sądowe i ekscytującego całą Warszawę nie mniej niż potem proces profesora T., nastąpiło na początku listopada 1873 roku. Niejaki Heliodor Krajewski przybył wówczas ze swą żoną Lucyną do stolicy celem odnowienia kontraktu dzierżawy. Zatrzymał się jak zwykle w zajeździe „Dziekanka”. Po wypiciu herbaty najpierw rozboleła go głowa, później dostał skurczów i zmarł w cierpieniach.

Okoliczności śmierci wydały się podejrzane, toteż sąd policji prostej zarządził sekcję zwłok. Analiza trzewi, przeprowadzona różnymi metodami, nie wykazała śladów trucizny. Było to dziwne, bo organizm miał Krajewski silny i zdrowy, rzadko chorował, natomiast wszystkie objawy towarzyszące jego śmierci, o których mówili świadkowie, wskazywały na otrucie strychniną. Zaczęto o to podejrzewać Władysława Ostrowskiego, przyjaciela żony, zwłaszcza gdy ten w jakimś czasie po tym wydarzeniu zamieszkał z wdową.

Uznano, że jest to ważna poszlaka, brak zaś śladów trucizny we wnętrznościach tłumaczono jakimiś nieprawidłowościami przy pieczętowaniu słoików, czego nie omieszkali eksponować prokurator. Sąd Kryminalny uznał te poszlaki za wystarczające i skazał Ostrowskiego w maju 1875 roku na 16 lat ciężkich robót na Syberii i następnie osiedlenie się tam na zawsze.

Skazaniec odwołał się od tego wyroku, prosząc o uniewinnienie, gdyż – jak twierdził – padł ofiarą pomyłki sądowej. Tak też rozstrzygnął Sąd Apelacyjny, który w końcu 1875 roku

uwolnił go z powodu „niebytu czynu przestępnego”. Z kolei rozstrzygnięcie to nie zadowoliło prokuratora i zaskarżył je do Senatu. Ten odesłał sprawę do Izby Sądowej jako ostatniej instancji mającej ją rozpatrzyć *in merito*.

Na tym etapie zastała ją reforma sądowa, która wprowadziła do procesu karnego zasady kontradyktoryjności, ustności i bezpośredniości. O tym, jak wątle były poszlaki, najlepiej świadczyła mowa prokuratora, który wyczerpująco rozprawił się z nimi i w konkluzji wnioskuje o uwolnienie oskarżonego. W tej sytuacji adwokat przysięgły Roman Wierzchlejski został pozbawiony możliwości błysnięcia erudycją i kunsztem oratorskim, z czego był znany. Mógł tylko oświadczyć krótko: „Po mowie pana prokuratora cóż mi mówić pozostaje? Jedyne tylko wypada poprzeć wywód oskarżenia w obranym przez nie kierunku”. Po dziesięciominutowej naradzie Izba Sądowa ostatecznie rozstrzygnęła sprawę na korzyść Ostrowskiego.

Sprawa – na każdym etapie – przyciągała sądową publiczność, która szczelnie wypełniała salę i tłoczyła się na korytarzach. Wiele pisała o niej prasa, nie tylko miejscowa. Obszernie relacjonowała ją prasa prawnicza z zaboru austriackiego, co było ewenementem, a „Gazeta Sądowa Warszawska” drukowała w odcinkach protokoły rozpraw z sądów wszystkich instancji. Uniewinnienie komentowano, jak później w sprawie profesora T., jako zwycięstwo sprawiedliwości, chociaż pewnie było wielu takich, którzy uważali, że Ostrowski był winien, gdyż pozbył się rywala.

Trucizny bowiem – zwanej najniebezpieczniejszą bronią – bano się od wieków najbardziej. Posługiwano się nią podstępnie, często bez pozostawienia jakichkolwiek śladów, dlatego też truciele traktowano niezwykle surowo, ulgowo za to zbierając dowody, zwłaszcza gdy podejrzewano romans „na boku”.

Prawo magdeburskie – obowiązujące w dawnej Polsce – stanowiło: „ma być spalony (...) kto by komu jad zadał”. Nie mniej okrutnie postulował w latach siedemdziesiątych XVIII wieku Andrzej Zamoyski w swym projekcie praw sądowych: „Kto by trucizną kogo zabił, ręka jego najpierw prawa rozpalonymi cęgami szarpana, a potem kołem bity na śmierć będzie”.

Grozą kary – nie tylko zresztą w tym przypadku – usiłowano nadsztukować małą wykrywalność i trudności dowodowe. Ileż osób tracono niewinnie, bo przemawiały przeciw nim tylko podejrzenia! Przeświadczenie, że lepiej skazać niewinnego, niż wypuścić na wolność zbrodniarza – może utajone – także dziś często dochodzi do głosu, a i kara „podzwyczajna” też by pewnie znalazła wielu zwolenników.



## Temida z socjalistycznym mieczem

CZY ŚWIŃSKA, A NAWET SZLACHETNIEJSZA skóra cielęca warta jest tego, żeby zabić człowieka? Każdy normalny człowiek powie, że nie, nawet gdyby tej skóry były całe metry, kilogramy, a nawet setki kilogramów. A jednak przed takim pytaniem stanęli na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych sędziowie Sądu Wojewódzkiego dla m.st. Warszawy: czy mają skazać na śmierć ludzi uwikłanych w „afere skórzaną”?

Takiej kary domagał się i Gomułka, i Komitet Centralny PZPR roszczący sobie prawo kształtowania polityki karnej. Kary śmierci żądał nawet – o zgrozo! – ówczesny redaktor naczelny „Prawa i Życia”, periodyku transmitującego politykę partii do środowisk prawniczych. A przecież już sam tytuł oblił, aby to czasopismo opowiadało się za życiem, nawet gdyby drakońskie prawo żądało kary śmierci.

Proces 23 oskarżonych (w aferę zamieszanych było znacznie więcej osób, ale sądzono je w innych procesach) odbywał się w trybie doraźnym i zaczął się 27 lipca 1960 roku. Początkowo wzbudzał duże zainteresowanie; zaczęło słabnąć, gdy sąd zajął się szczegółami przestępczego procederu oskarżonych: same ich wyjaśnienia zabrały miesiąc. Zainteresowanie nasiliło się znacznie, gdy prokuratorzy zgłosili swe żądania: dwie kary śmierci, trzy dożywocia, dla pozostałych kary od 15 do 9 lat pozbawienia wolności.

Na sali zawrzało: ktoś szlochał, ktoś zemdlał; szmer umilkł wreszcie po surowym napomnieniu sędziego przewodniczącego, że każe opróżnić salę. Owszem, spodziewano się surowych wyroków, ale nie aż takich. Gazety trąbiły wprawdzie o ogromnej szkodliwości czynów oskarżonych dla gospodarki, ale żaden spośród ponad trzydziestki zaangażowanych w obronę mecenasów nie był aż tak pesymistyczny. Teraz uspokajali swoich klientów gestami i szeptanymi do ucha argumentami, że przecież nie wszystko jeszcze stracone, że przecież sędziowie...

Prokuratorzy żądali kary śmierci dla głównego organizatora nadużyć w zakładach garbarskich, dyrektora Eugeniusza G., oraz dla człowieka, który był głównym ogniwem zbytu kradzionych masowo skór. Nikt nie miał wątpliwości, że trudno będzie ich wybronić, wszak szło o nadużycia idące w miliony złotych i o wyraźną przestrożę dla innych potencjalnych aferzystów. Władzę najbardziej musiał drażnić fakt, że „mafia skórzaną” działała długo, była doskonale zorganizowana, a jej wykrycie nie było zasługą kontroli wewnętrznej czy zewnętrznej, ale zwykłego przypadku, i dlatego naciskały na najwyższy wymiar kar.

Oto bowiem pewnego wieczoru, a był to koniec września 1959 roku, dwaj milicjanci patrolowali ulicę podwarszawskiego Anina. Ich uwagę zwróciły dwie kobiety wychodzące z willi; były obarczone pakunkami i zachowywały się podejrzanie. Gdy otworzyli jedną z paczek, znaleźli blisko 10 kg skóry twardej oraz dwie skóry miękkie.

Przeprowadzono więc rewizję w willi należącej, jak się okazało, do Józefa K., z zawodu kierowcy. W piwnicy natrafiono na schowek, doskonale zamaskowany ścianką na rolkach; znaleziono w nim prawie 4,5 tony skóry twardej oraz 119 skór miękkich: czarnych, brązowych i wiśniowych. Wszystkie były odciskane stemplami Warszawskich Zakładów Garbarskich nr 1 i 4. Był to kamień, który pociągnął lawinę: kontrola w tych zakładach wykryła milionowe nadużycia.

Dyrektor – Eugeniusz G. – zdążył uciec tuż przed aresztowaniem. Wydano natychmiast list gończy, ale i tutaj o jego schwytaniu zadecydował – podobnie jak w ujawnieniu całej afery –

przypadek. Pewien milicjant szukał w podwarszawskiej miejscowości kogoś innego i gdy się natknął na zbiega (nie mając pojęcia, z kim los go zetknął), dyrektor natychmiast ujawnił swoją tożsamość. Jeszcze raz potwierdziła się słuszność przysłowia, że na złodzieju czapka gore...

W akcie oskarżenia, liczącym blisko 130 stron maszynopisu, straty poniesione w latach 1953–1959 przez Państwowe Zakłady Garbarskie na skutek kradzieży skór miękkich (przeszło 5000 m<sup>2</sup>) i twardych (ponad 30 ton) szacowano na ponad 8 milionów ówczesnych złotych. Skala nadużyć była więc gigantyczna.

Przed sądem stanęli przedstawiciele dwóch światów: przemysłowcy państwowi wytwarzający skóry – towar reglamentowany, skąpo przydzielany tylko koncesjonowanym zakładom, a z drugiej – kombinatory rozprowadzający kradzione skóry wśród ludzi podziemia gospodarczego; produkowali oni w sposób nielegalny obuwie i galanterię skórzaną sprzedawaną przeważnie na bazarach. Duży popyt i mała podaż – ta prawidłowość socjalistycznej gospodarki nieodmiennie tworzyła również socjalistyczną, bo zagrożoną niewspółmiernie surowymi karami, przestępczość na styku sektora prywatnego z państwowym.

Nadużycia na szerszą skalę w Warszawskich Zakładach Garbarskich datowały się – jak to ustalili prokuratorzy – co najmniej od 1953 roku. Kradzieże skór zdarzały się tu już przedtem; miał im przeciwdziałać człowiek specjalnie do tego wydelegowany – Wiktor O.; został zatrudniony jako majster w wykańczalni Garbarni Skór Miękkich. On jednak, zamiast przemyśliwać nad taką organizacją produkcji, by nic nie wydostawało się „na lewo”, wynalazł sposób, by skóry z garbarni wyprowadzać bez ryzyka i to od razu w większych partiach.

– Można by u nas – zwrócił się z propozycją do dyrektora technicznego, który później awansował i został zastępcą Eugeniusza G. – garbować liche skóry, zakupione za nasze pieniądze i „przekręcać” je przez wszystkie działy garbarni. Ten nasz surowiec, bez pozostawienia śladu w dokumentacji, zamienilibyśmy potem na skóry wysokiej jakości. Wywozilibyśmy za lewymi papierami i spylali prywatnym warsztatom. Byleby tylko zgadzała się ilość i waga skór.

W rzeczywistości było to wszystko bardziej skomplikowane. Skóry raz dzielono na pół, innym razem przeprowadzano machlojki wagowe, zależnie od sposobu rozliczeń. Faktem jest, że sam mechanizm był prosty. „Mafia skórzana” rozrastała się, zwłaszcza gdy wciągnięto do niej samego naczelnego dyrektora zakładów, Eugeniusza G. Osiągał on duże sukcesy produkcyjne i ciągle podnosił jakość skór produkowanych przez podległe mu zakłady. Nie kontrolowano więc ich zbyt intensywnie. Taki dyrektor był świetną przykrywką dla członków grupy przestępczej, którzy coraz śmielej organizowali wywóz nielegalnego towaru przez fabryczną bramę, jak i jego zbyt u handlarzy z warszawskiego bazaru Różyckiego.

Nielegalny proceder udoskonalał się, a nadużycia były dla kontroli wewnętrznej i zewnętrznej niezwykle trudno uchwytne. Poradzono sobie nawet wręcz wzorcowo z problemem robocizny przy „lewym” garbunku. Rozliczano ją skrupulatnie, nie wzbudzając podejrzeń pracowników. Ci nie wnikali zresztą zbyt w pozycje kart płacy, zwłaszcza gdy wynagrodzenie było zadowolające. Dużo więcej powodów do zadowolenia mieli ci wszyscy, których wciągnięto w przestępczy proceder, bo nielegalnymi zyskami dzielono się skrupulatnie i bez „oszustw”.

„Mafia – mówił oskarżyciel – tak się rozruchowała, że przyjmowała od odbiorców konkretne zamówienia i wywoziła z zakładów skóry poszukiwane na rynku. Żądali oni np. skóry grubej, gdy na bazarze sprzedawały się dobrze męskie mokasyny na takich właśnie zelówkach. Potem znów – gdy moda się zmieniała – «lewa produkcja» zakładów przedstawiała się zgodnie z jej trendami”.

Sąd Wojewódzki dla m.st. Warszawy w składzie: prezes tego sądu, przewodniczący składu sądownego Michał Kulczycki oraz sędziowie Jadwiga Borowska i Jerzy Zduńczyk, uznał wszystkich oskarżonych za winnych zarzucanych im czynów w całości lub części. Dyrektor zakładów oraz dwaj organizatorzy kradzieży i zbytu zostali skazani na dożywotnie więzienie, 300 000 złotych grzywny, utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na zawsze oraz przepadek całego majątku. Pozostali oskarżeni zostali skazani na kary od 15 do 6 lat pozbawienia wolności i wysokie grzywny. Wyroki te, ze względu na to, że proces toczył się w trybie doraźnym, natychmiast stały się prawomocne.

Nie tego spodziewali się decydenci partyjni, którzy mieli ambicje rządzić wymiarem sprawiedliwości. Żadnych kar śmierci? Wkrótce potem prezes Michał Kulczycki został zesłany „na wieś”, jak się mówiło na Lesznie o sędzie dla województwa warszawskiego (mieszczącym się zresztą w tym samym gmachu), jako zwykły sędzia; zbyt łagodny wyrok w „aferze skórzanej” – zdaniem towarzyszy z KC – ciążył zresztą na jego karierze zawodowej przez wiele lat.

Sędzia Jerzy Zduńczyk, dzisiaj mecenas, któremu względna przecież łagodność w tej sprawie na długo zablokowała awans, podobnie jak sędzi Jadwidze Borowskiej, do dziś wspomina wściekłość towarzyszy Moczara i Wichy w reakcji na owe wyroki: To po co wprowadziliśmy dekrety marcowe w 1953 roku i zaostrzyliśmy je ustawą z 22 stycznia 1958 roku? – pytali gniewnie partyjni notable.

Ówczesny redaktor naczelny „Prawa i Życia” Kazimierz Kąkol poświęcił procesowi komentarz na czołówce „Przeciw i za” (1960, nr 20), opowiadając się zdecydowanie za karą śmierci. „Kontrola nie zawsze jest możliwa i skuteczna” – dowodził, dodając, że ustawodawca miał to właśnie na względzie, gdy wprowadzał karę śmierci, „jeśli interesy gospodarcze Polski Ludowej zostaną narażone na znaczną szkodę”. „Trudno nie dostrzec – pisał z pasją – społecznego sensu kary śmierci, jakiej zażądał prokurator w procesie G. Jego istota tkwi w oczywistej dziś dla każdego zdecydowanej woli partii i władz państwowych położenia kresu panowaniu się niepowołanych współników społecznej własności”. „Tam gdzie wyższa świadomość, tam bardziej surowa odpowiedzialność. I to jest zgodne z poczuciem sprawiedliwości mas”.

Na koniec iście makiaweliczna rekapitulacja długiego wyводу. „Nie ma chyba człowieka w Polsce, który byłby w stanie lekko przejść ponad naturalnymi odruchami przeciw karze śmierci. Jeśli jednak przychodzi odruchy te powściągnąć i podporządkować je racjom, trzeźwym ocenom, to dzieje się to w imię uruchomienia takich procesów społecznych, które zapobiegają na zawsze powstawaniu sytuacji, kiedy trzeba sięgnąć po taki środek, jak kara śmierci”.

Proces dyrektora zakładów garbarskich wywołał w tym piśmie szerszą dyskusję o potrzebie zaostrożenia represyjnej ochrony mienia społecznego. Otworzył ją duży artykuł ówczesnego sekretarza Gomulki, Walerego Namiotkiewicza, który postulował częstsze stosowanie trybu doraźnego. Ten „surowy oręż” – dowodził – umożliwia „szybkie wymierzanie surowych kar, aż do najwyższego wymiaru włącznie”.

Na taki wyrok nie trzeba było długo czekać, gdyż znaleźli się posłuszni sędziowie, którzy orzekli „śmierć za skórę”. Ledwie skończył się bowiem proces warszawski, a już w niecały miesiąc później – podobny zaczął się przed Sądem Wojewódzkim w Kielcach.

W piwnicznym schowku willi w Aninie, od której zaczęła się cała „afera skórzana”, znaleziono bowiem nie tylko skóry twarde i miękkie ze stemplami Warszawskich Zakładów Garbarskich, ale i kilkaset metrów kwadratowych skór miękkich ocechowanych pieczęciami

radomskiej spółdzielni „Przyszłość”.

Prowadzący śledztwo nie mieli łatwej roboty, bo zamieszani w aferę ludzie kryli jeden drugiego, ale w końcu stopniowo rozpracowano całą radomską szajkę, która 27 października 1960 roku – łącznie 17 osób – zasiadła na ławie oskarżonych. Zarzut: kradzież ponad 50 000 m<sup>2</sup> skóry miękkiej o wartości ponad 20 milionów złotych. W sumie w całej „aferze skórzanej” aresztowano ponad 100 osób na terenie całego kraju.

Radomska „mafia skórzana” działała blisko 10 lat, od chwili gdy w 1948 roku trzech współwłaściciele garbarni „Przyszłość” założyli spółdzielnię o takiej samej nazwie. Cała struktura tego nowego tworu, wymuszonego polityką gospodarczą państwa, od początku była tak pomyślana, by umożliwić nadużycia polegające na wyprowadzaniu nadwyżek produkcyjnych i upłynnianiu ich paserom. Wygarbowane skóry także kradziono, a w ich miejsce – w porozumieniu z magazynierami – wprowadzano skóry surowe.

W porównaniu z pierwszymi latami, gdy nadużycia były stosunkowo niewielkie, w następnych latach ich skala zwielokrotniała się. Wciągano też w działalność przestępczą coraz więcej osób, także kontrolerów, którym „odpalano” spore łapówki, by nie widzieli braków. Oczywiście najwięcej brali dla siebie ci, którzy stanowili czteroosobowy trzon gangu. Prokuratura zarzuciła im, że zarobili „na lewo” po milionie złotych (oskarżony D. skubnął swoich współników jeszcze dodatkowo, o czym nie mieli pojęcia, na kilkaset tysięcy), jedna z paserek zaś zarobiła nawet 1 700 000 złotych (na poczet poniesionych strat zabezpieczono dwie jej wille).

Najbardziej obciążony był kierownik techniczny spółdzielni Bolesław D. Udowodniono mu, że był głównym organizatorem i jako takiemu sąd wymierzył najwyższy wymiar kary – karę śmierci (zamieniono mu ją potem na dożywocie), inni też otrzymali wysokie kary, ale już nie tak drakońskie.

„Pamiętam jak dziś – mówił więzień Bolesław D. dziennikarzowi po ośmiu latach odbywania kary. – O północy 22 grudnia wszedł komplet sędziowski. Serce biło jak oszalałe. Jeszcze na pół godziny przedtem przybiegł adwokat z wiadomością: „kaesu nie będzie!” Trochę nas uspokoił. Ale na krótko. Właśnie wszedł sąd. Słuchałem pierwszych zdań, całego początku piąte przez dziesiąte, chociaż i to pozbawiało mnie powietrza. Ale dajmy spokój. Po bardzo długim wyliczeniu moich przewinień, po przytoczeniu różnych artykułów, paragrafów, ustaw, które wszystkie znałem na pamięć, padły dwa tylko słowa: kara śmierci! Mój Boże. Usiadłem (...) niczego już nie słyszałem, nic do mnie nie docierało, prócz tego dzwonu w uszach, tego szumu, że to koniec, że na zawsze. Nieodwołalnie. I nic ponadto...”

Io to właśnie szło. Żeby społeczeństwo uświadomiło sobie, że za aferowe zagarnięcie mienia społecznego grozi nawet najwyższy wymiar kary. Potem, po cichu, bez rozgłosu, ten drakoński wyrok złagodzano. Następnym razem jednak, gdy to nie odniosło spodziewanego skutku, Gomułka – choć formalnie zależało to od Rady Państwa, ale to on faktycznie trzymał wszystkie nici w ręku – nie był już tak łaskawy. Władze partyjne nauczyły się też, na przykładzie krnąbrnego składu sędziowskiego w procesie dyrektora Eugeniusza G. i jego kolegów, dobierać sędziów wykonujących posłusznie polecenia towarzyszy z Komitetu Centralnego.

Wyrok śmierci zapadł też w innej aferze – tym razem mięsnej. Mięso bowiem, od chwili gdy w Polsce już na dobre rozpanoszył się system narzucony siłą przez Moskwę, stało się towarem najbardziej deficytowym.

Mięsa zaczęło brakować, gdy zaopatrzenie w ten strategiczny towar wzięło w swe ręce państwo i jego skupem oraz zbytem zaczęło sterować przez ustawy i okólniki. Już w 1951 roku

wprowadzono kartki na mięso. W tym czasie wśród ludzi krążył dowcip: „Przed wojną na szyldach pisano «rzeźnik», a w środku było mięso; dziś na szyldach pisze się «mięso», a w środku jest rzeźnik...” Powszechnie psioczono na „nagie haki” rzucające się w oczy w sklepach masarskich. Opowiadano też dowcip o tym, że Polacy wynaleźli nową metodę uboju: „Pod świnie mianowicie podkłada się minę przeciwczołgową i powoduje wybuch. Szylna i bekon lecą na zachód, reszta na wschód, a miejscowych zalewa nagła krew”. Rozpowszechnianie takich kawałów UB kwalifikowało jako szerzenie wrogiej propagandy ustnej (tzw. szeptanki) i można było za to na podstawie art. 22 dekretu z 13 czerwca 1946 roku (tzw. mały kodeks karny) spędzić za kratkami nawet 5 lat!

Na szeroką skalę rozwinęła się spekulacja mięsem, chociaż wydawano mnóstwo przepisów różnej rangi przeciwko temu zjawisku. Najbardziej represyjna była ustawa „czerwcową” (z 18 VI 1959 roku) zaostrzająca odpowiedzialność karną za przestępstwo przeciw mieniu społecznemu, a za takie uznano właśnie mięso. Przez wokandy sądowe całego kraju przewalały się tysiące spraw o nadużycia ujawniane w handlu mięsem.

Najgłośniejszy był proces przeciwko pracownikom Miejskiego Handlu Mięsem w Warszawie toczący się w trybie doraźnym przed stołecznym Sądem Wojewódzkim na przełomie 1964 i 1965 roku. Okazało się – jak to ujęto w akcie oskarżenia biurokratycznym żargonem – że co najmniej od dziesięciu lat działały w handlu uspołecznionym i przetwórstwie mięsnym „grupy aferzystów, którzy systematycznie, w sposób przemyślny dokonywali w wysoce zorganizowanych formach różnych przestępstw na szkodę mienia społecznego i szerokich rzesz konsumentów”.

I tu o ujawnieniu afery zadecydował przypadek: wiosną 1964 roku zatrzymano kierownika sklepu mięsnego przy ulicy Żelaznej pod zarzutem spowodowania manka. Zaczął się tłumaczyć, „sypiąc” przełożonych, i wkrótce w areszcie znalazło się około 300 pracowników Zakładów Mięsnych z Żerania i przedsiębiorstwa handlu mięsem.

Nadużycia powstawały głównie w sklepach Miejskiego Handlu Mięsem, w których dokonywano różnych manipulacji, aby „wygospodarować” nadwyżki towarów i pieniędzy. Nadwyżki te powstawały rozmaicie, a więc przez zawyżanie limitów ubytków naturalnych, przez oszustwa przy rozbiórce mięsa – tańsze było kwalifikowane jako droższe. Tu poszkodowani byli klienci sklepów, których oszukiwano także na wadze. W sklepach sprzedawano ponadto wędliny i mięso pochodzące z kradzieży w przetwórnich, rzeźniach, chłodniach i w czasie transportu.

Kierownicy sklepów dokonywali rozliczeń; uzyskane nadwyżki przekazywali personelowi bądź w formie towaru, bądź pieniędzy, a także opłacali się pracownikom dyrekcji i kontrolerom. Przekupieni dyrektorzy przedsiębiorstwa MHM, którzy patronowali nadużyciom dokonywanym w sklepach, dbali o to, by ich profity były jak największe, dając wyższe przydziały itp.

Podobna sytuacja – jak ustaliła prokuratura – istniała w zakładach przemysłu mięsnego, przetwórnich, rzeźniach, składach i chłodniach, w których również osiągnano nadwyżki surowcowe, nieprawidłowo wykorzystując normy zużycia surowców i pogarszając jakość wyrobów. Uzyskane nadwyżki przekazywano sklepom do sprzedaży „na lewo” lub prywatnym wytwórcom wyrobów wędliniarskich.

Udział w zyskach mieli prawie wszyscy: poczynając od dyrekcji, na strażniku przy bramie i konwojencie przewożącym towar kończąc. Dlatego też ów prywatny interes w uspołecznionym przemyśle i handlu mógł kwitnąć tak długo. Straty dla „gospodarki uspołecznionej” oszacowano w sumie na około 40 milionów złotych. U głównego oskarżonego zabezpieczono domek za pół miliona, 98 złotych dwudziestodolarówek, złoto i biżuterię wartą 800 000 zł oraz 325 000 złotych gotówką.

Od lat było wiadomo, że „w mięsie” są popełniane nadużycia na szeroką skalę. Władze partyjne powołały więc na „linię frontu” walki z tym zjawiskiem czterech aktywistów – wprawdzie bez zawodowego przygotowania, ale sprawdzonych towarzyszy: Stanisława W. – na dyrektora przedsiębiorstwa Warszawa Praga; Henryka G. – Warszawa Północ, Kazimierza W. – Warszawa Południe i Tadeusza S. na dyrektora Stołecznego Zjednoczenia Przemysłu i Handlu Artykułami Spożywczymi.

W procesie, który zaczął się 20 listopada 1964 roku (wyrok zapadł 2 lutego 1965 r.) stanęli pod zarzutem zagarnięcia 3,5 oraz 2,3 i 1,5 miliona złotych, a czwarty – przyjęcia 340 000 złotych łapówki. Oskarżono jeszcze sześć innych osób: Mieczysława F., naczelnika Wydziału Inspekcji Handlu Artykułami Mięsnymi, czterech kierowników sklepów mięsnych i jednego prywatnego masarza.

Wyrok, jak zażyczył sobie Gomułka, miał wstrząsnąć aktywnym partyjnym. Prokuratorzy Eugeniusz Wojnar i Alfred Policha zażądali więc dla Stanisława W., Kazimierza W. i Mieczysława F. kary śmierci, a dla pozostałych od 13 do 15 lat więzienia. Sąd w składzie: przewodniczący Roman Kryże delegowany z Sądu Najwyższego oraz sędziowie Faustyn Wołek i Kazimierz Gerczak, orzekł karę śmierci dla Stanisława W., dożywocia dla czterech oskarżonych oraz od 9 do 12 lat więzienia dla pozostałych; orzeczono też oczywiście konfiskatę mienia i inne dodatkowe kary.

Tym razem Rada Państwa nie skorzystała z prawa łaski, za czym niewątpliwie stał Gomułka, choć są i tacy, którzy pomniejszają jego rolę, jeśli chodzi o represyjność ówczesnego wymiaru sprawiedliwości. Nie miała co do tego wątpliwości ówczesna minister sprawiedliwości Zofia Wasilkowska, która w jednym z wywiadów powiedziała, że chociaż po 1956 roku naciski wywierane przez partię na sądy były delikatniejsze, to Gomułce właśnie przypisuje się powiedzenie: „Wystarczy, jak powiesimy kilku aferzystów i afery gospodarcze się skończą”. Dla wielu była to wyraźna dyrektywa. Pewnie i dla Rady Państwa, która nawet nie odpowiedziała na prośbę w sprawie łaski. Pismo w tej sprawie z gorącym protestem skierował pod tym samym adresem Daniel Passent z „Polityki”, ale i on nie otrzymał odpowiedzi.

W prasie wyroku nie kwestionowano, choć wielu uważało go za drakoński; niewątpliwie nie pozwoliłaby na to cenzura. Jednak znakomita dziennikarka Barbara Seidler z „Życia Literackiego”, której słów potępienia tego wyroku na pewno nie „puściłby” Machejek (ówczesny redaktor naczelny), znalazła doskonałe rozwiązanie. W swoim reportażu z sali sądowej przytoczyła mianowicie głosy „różnych ludzi”: „Za pieniądze – kara śmierci?” „W cywilizowanym państwie za przestępstwo przeciw własności?” „Ojej, jak surowo, ojej!” „Można zapobiegać, ostrzegać, ale kara śmierci?” Przytoczyła też pełen ekspresji fragment mowy obrończej mecenasa Krzysztofa Łady-Bieńkowskiego: „Panowie sędziowie, jeśli po wszystkim, co zostało tu powiedziane, z ust waszych padło słowo «śmierć» – tu wyciągnął przed siebie rękę, rozcapierzył palce i trwając w tym geście obrony i sprzeciwu, schrypniętym głosem wykrzyczał: – to pamiętajcie, że ja byłem przeciw! Przeciw! Przeciw!”

Wyrok na Stanisława W. był przez lata krytykowany i podawany jako przykład dyspozycyjności sędziów wobec władz partyjnych. Przewodniczący składu sądu już i tak miał zszarganą opinię w sprawach politycznych, skoro orzekł karę śmierci dla członków AK, m.in. Witolda Pileckiego; dla niego nie było to więc nic nadzwyczajnego. Po latach, w III Rzeczypospolitej, wyrok w aferze mięsnej uznano wręcz za haniebną.

Sprawiedliwość została jednak wymierzona dopiero po prawie czterdziestu latach: Sąd Najwyższy 27 lipca 2004 roku – na skutek kasacji wniesionej przez rzecznika praw

obywatelskich – uchylili poprzednie wyroki, uznając, że zapadły one z rażącym naruszeniem prawa. Były bowiem wydane na zamówienie władz politycznych, a zastosowanie trybu doraźnego pozbawiło oskarżonych prawa do obrony, uniemożliwiając im m.in. rozpoznanie orzeczenia przez drugą instancję. Tymczasem żaden z czynów przypisanych Stanisławowi W. nie uzasadniał wymierzenia mu kary śmierci i jej wykonania, podobnie jak innym kar dożywotniego więzienia.

– Obecny wyrok Sądu Najwyższego – powiedział sędzia, uzasadniając to precedensowe rozstrzygnięcie – nie może służyć pełnej rehabilitacji skazanych, gdyż nawet kasacja nie podważyłaby ich winy. To bardziej rehabilitacja wymiaru sprawiedliwości, który przed czterdziestu laty nie zapewnił im rzetelnego i sprawiedliwego procesu.

## Zbrodnie z banalnych motywów

ZBRODZIA, KTÓRĄ MIAŁA PODYKTOWAĆ wielka miłość do kobiety, faktycznie została zainspirowana głodem pieniędzy żulowatego fatyganta nieumiejącego dojść do nich własną pracą i zdolnościami. Wyszło na to, że i romans był kiepski, i kryminał niezbyt udany. Żmudne bowiem śledztwo – dużo staranniejsze, niż dyktowały normy przy podobnych zabójstwach zwyczajnych zjadaczy chleba – już po paru miesiącach przygwoździło zabójcę niezbitymi dowodami. Także jego współnika, który tymczasem trafił do kryminału za całkiem inne przestępstwo.

„Wszystko w tej sprawie, tak zdawało się sensacyjnej i tajemniczej – napisał ktoś po procesie obu sprawców tego mordu – okazało się zadziwiająco proste: typowy sposób działania przestępców, konwencjonalne narzędzie zbrodni, pospolite motyw. Zagadką pozostaje specyficzna psychika sprawców”.

Zwłoki Jana Gerharda, literata i posła na sejm PRL, zostały znalezione 20 sierpnia 1971 roku około godziny 19.00, gdy zaniepokojone jego nieobecnością w redakcji tygodnika „Forum” sekretarki zdecydowały się wreszcie zawiadomić milicję o dziwnym zachowaniu szefa: wbrew swoim zwyczajom nie przyszedł o stałej porze do swego gabinetu ani nie zadzwonił, z jakiego powodu będzie nieobecny. Jego telefon milczał. W pogotowiu, gdzie chciały zyskać informację, czy nie było jakiegoś wypadku, jako że naczelny czasem jeździł własnym autem, niczego się nie dowiedziały.

Wysłany do mieszkania redaktora na pierwszym piętrze nowoczesnego blokowca przy ul. Matejki 4, róg Alej Ujazdowskich, redakcyjny kierownik nie stwierdził, by spod drzwi wydobywał się gaz, na dzwonek do drzwi zaś nikt nie odpowiadał. Gdyby chodziło o kogoś gorzej zorganizowanego, nie byłoby powodów do niepokoju: dzień był piękny i kusił do wyjazdu na zieloną trawkę, zwłaszcza że żona wyjechała do sanatorium, a i córka była dłużej nieobecna w domu, o czym wiadano w redakcji. Gerhard był jednak znany ze swego zamiłowania do porządku, a jego postępowanie zawsze było w pełni przewidywalne.

Milicjanci z wysłanego radiowozu znaleźli ciało leżące na podłodze ze sztyletem w plecach. Pogotowie Ratunkowe nie miało tu już nic do roboty.

Śledztwo – ze względu na wagę sprawy – natychmiast zostało zlecone Biuru Śledczemu MSW; kierował nim pułkownik Zbigniew Pudysz i wiceprokurator Prokuratury Wojewódzkiej Wiesław Krassowski. Doszedł też prokurator Prokuratury Generalnej Józef Gurgul, fachowiec najwyższej próby, specjalizujący się naukowo w skomplikowanych zabójstwach. Śledztwo od pierwszych chwil ruszyło z niespotykaną w innych tego typu przypadkach sprawnością i starannością. Już sam protokół oględzin miejsca zbrodni, liczący ponad pięćdziesiąt stron maszynopisu, ilustrowany kolorowymi zdjęciami, co nie było wówczas zwyczajne, oraz wykresami i szkicami, świadczył o niezwykle sumiennym podejściu do sprawy.

Miało to potem duże znaczenie przy dalszym biegu zarówno śledztwa, jak i postępowania sądowego, bo dowody przeciwko sprawcom zbrodni zebrano niezbite. „Sukces organów ścigania – podsumowała potem ich wysiłki Marta Miklaszewska w „Literaturze” – nie jest rezultatem ani przysłowiowego szczęścia, ani detektywistycznej intuicji. Jest po prostu logicznym podsumowaniem wszechstronnie i precyzyjnie prowadzonego śledztwa”.

Śledcze badanie miejsca przestępstwa z udziałem ekspertów z zakresu kryminalistyki trwało kilkadziesiąt godzin. Ustalono, że sprawca lub sprawcy weszli drzwiami wejściowymi



z klatki schodowej, nie naruszając bardzo skomplikowanego francuskiego zamka. Z opisu wynika, że na drzwiach, ścianach i podłodze były widoczne ślady krwi; jej rozpryski znaleziono nawet na żyrandolu. Zwłoki, twarzą do podłogi, leżały w kałuży krwi w pokoju. W plecach tkwił nóż z ozdobną rękojeścią, na szyi zadzierzgnięty był pasek od spodni, a na głowie stwierdzono rozległe rany tłuczone zadane przedmiotem, którego nie znaleziono. Obok zwłok leżał zegarek doxa, wyraźnie uszkodzony; wskazówki zatrzymały się na godzinie 11.30. Potem miało się okazać, że zostały cofnięte celem wprowadzenia w błąd organów śledczych.

Pokój był splądrowany, dokumenty z szuflad biurka porozrzucane; prawdopodobnie niektóre z nich zostały zabrane. Nie stwierdzono jednak, by zostały zabrane jakieś bardziej wartościowe przedmioty, co stawiało pod znakiem zapytania motyw rabunkowy. Na miejscu przestępstwa znaleziono też dwa różne włosy: jeden należący do jasnego szatyna, a drugi do jasnego blondyna; sprawców więc było co najmniej dwóch.

Uznano za bezsporne, że niektóre uderzenia w głowę przedmiotem tępokrawędziastym zostały zadane już w przedpokoju, w pobliżu drzwi wejściowych. Ciało zostało następnie przewleczone do pokoju, gdzie zadano Gerhardowi kilka ciosów sztyletem; wszystko to się potem potwierdziło z dużą dokładnością, gdy sprawcy odtwarzali przebieg mordu.

Przesłuchano wielką liczbę świadków: w sumie 1850; niektórych kilkakrotnie. Jeden z sąsiadów zeznał, że o godz. 9.00 słyszał jęki oraz odgłosy uderzeń z mieszkania nr 17, które zajmował pisarz. Dwoje innych z kolei widziało między 9.00 a 9.30 leżące na wycieraczkę przed tym mieszkaniem okulary i jakiś mały przedmiot (była to legitymacja Garbackiego, jak się potem okazało), które później stamtąd zniknęły.

Ponadto ustalono, że z parkingu przed domem zniknął samochód redakcyjny, fiat 125p, którym jeździł Gerhard; jeszcze tego samego dnia znaleziono go na parkingu koło domu przy ulicy Bagno 7. Nic to jednak nie dało.

Rozpatrywano różne wersje śledcze. Duże prawdopodobieństwo miał polityczny motyw zbrodni: ktoś gwałtownie szukał jakichś dokumentów i część z nich zabrał. Gerhard miał liczne znajomości: wielu przyjaciół, ale też wrogów, gdy w czasie wojny walczył we Francji, a potem z bandami UPA. Dostawał anonimy z groźbami i wyraźnie się czegoś bał. Komuś opowiadał, że „spotkał ducha”; w Szczecinie natknął się bowiem na człowieka, który dawno nie powinien żyć. Sprawdzone, że wcześniej wówczas wyjechał i skrócił swój pobyt w tym mieście. Ustalono też, że autor *Lun w Bieszczadach*, *Niecierpliwości* i *Zwycięstwa* przed rokiem z górą otrzymał anonim zmyślnie powyklejany z tytułów jego książek. „Wybierz sobie godzinę śmierci” – ten tekst dawał dużo do myślenia.

Za motywem rabunkowym, również rozważanym, przemawiało mniej przesłanek. Z mieszkania – co wynikało z zeznań żony i córki – zginęło wprawdzie kilka pierścionków i trochę cennych drobiazgów, ale sprawcy nie obszukali kieszeni denata, który miał przy sobie sporą gotówkę; pozostawili też na miejscu liczne wartościowe przedmioty.

W przeddzień – co ustalono w śledztwie – Gerhard wykupił czeki podróżne, gdyż wybierał się na urlop do Bułgarii. W mieszkaniu ich nie znaleziono. W Banku Handlowym SA, który je wystawił, ustalono numery; był to już jakiś ślad, bo przecież ktoś mógł je zrealizować. Po jakimś czasie, gdy wszystkie czeki z okresu urlopowego zaczęły spływać do banku, a było ich prawie dwa miliony! – zaczęto je sprawdzać w szkole milicyjnej, bo któż inny mógłby wykonać tak gigantyczną pracę. Chociaż wydaje się to niewiarygodne – 18 marca 1972 roku natknięto się na pięć poszukiwanych czeków!

Dwa – opatrzone wyraźnym podpisem kobiety, którą odnaleziono aż w Białymstoku –

okazały się nieprzydatne; po prostu osoba ta nie była w stanie wskazać, od kogo je nabyła, bo kupiła je w Budapeszcie „od kogoś, kto mówił po polsku”. Pozostałe trzy, chociaż niezbyt wyraźnie podpisane, naprowadziły na właściwy ślad. Udało się odcyfrować nazwisko Wandy Koluckiej mieszkającej w Warszawie. Przyciśnięta do muru kobieta, która formalnie – w chwili realizacji czeku za granicą – przebywała na zwolnieniu lekarskim, z zaleceniem, że ma leżeć w łóżku, wskazała wreszcie osobę, od której kupiła owe fatalne trzy czeki. Okazało się, że to niejaki Andrzej Sojczyński; 4 kwietnia 1972 roku siedział już na „dołku” u Mostowskich.

Gdy przedstawiono mu zarzut współdziałania w zabójstwie Jana Gerharda, natychmiast podał nazwisko Zygmunta Garbackiego, od którego otrzymał w celu „spylenia” pierścioneł i czeki.

Z Zygmuntem Garbackim milicja miała już do czynienia w tej sprawie: przesłuchiowano go, ale sprokurował sobie alibi na czas mordu. Zapewniła mu je siostra, z którą o tej właśnie godzinie rozmawiał telefonicznie rzekomo z Włoch pod Warszawą, gdzie ponoć malował mieszkanie. Był jednak narzeczonym Małgorzaty, córki Jana Gerharda i od początku poddano go rutynowej obserwacji.

Kryminalistykom znany jest fakt, że zabójca niekiedy uczestniczył w pogrzebie swej ofiary; czasem też – jak to było w przypadku Petera Kurtena, „wampira z Düssseldorfu”, odwiedza ich groby. Dlatego też i pogrzeb, i miejsce pochówku pisarza obserwowali tajniacy.

W aktach śledztwa znalazła się bardzo charakterystyczna fotografia: centralne miejsce zajmuje na niej Zygmunt Garbacki, zaraz obok żony pisarza i jego córki; twarz ma odwróconą od grobu, jakby nie chciał patrzeć w tamtą stronę. Na pogrzebie wydawał się przejęty; takie wrażenie odnosili też ci, którzy oglądali film z jego przebiegu kręcony przez dziennik TV.

Potem już – podczas procesu – miało się okazać, że poszedł na grób w kilka dni po pogrzebie; pewnie zrobił to, by wyrzucić wrażenie na narzeczonej, a może coś go tam ciągnęło, jak owego Kurtena? Gdyby ktoś go wówczas obserwował, doszedłby niewątpliwie do interesujących wniosków na temat jego osoby, a zwłaszcza cechującego go cynizmu. Oto bowiem – jak ze śmiechem pochwalił się Sojczyńskiemu, a ten powtórzył to w sądzie – złożył na mogile niedoszłego teścia wiązankę kwiatów, którą przedtem „zwędził” z pobliskiej płyty nagrobnej.

Kim był Garbacki? W chwili zbrodni liczył sobie 27 lat. Matka aktorka, ojciec też aktor; zginął w Powstaniu, jeszcze nim urodził się Zygmunt i jego brat bliźniak, dający sobie dobrze radę w życiu; ze starszą siostrą też nie było problemów. On natomiast je stwarzał. Zaliczył IV semestr Politechniki Warszawskiej, a Małgosi, która to powtórzyła rodzicom, oświadczył, że już uczelnię kończy. Jadł w domu, ale inne swe niemałe potrzeby – choć otrzymywał prywatne stypendium od koleżanki matki – zaspokajał w sposób przestępczy, razem ze swoistą „szajką”. Zgrupował ją wokół siebie, imponując oglądą towarzyską i wdziękiem dobrego kumpla. „Rosły brunet, nieostrzyżone włosy, czarny sweter pod brodą, egzemplarz elitarny, nie do wkomponowania w ponurą scenerię budek z piwem i podrzędnych knajp” – scharakteryzowała go reporterka „Literatury” Marta Miklaszewska, której opis zbrodni i procesu wyróżniał się spośród wielu konkurencyjnych wysokim profesjonalizmem i walorami pisarskimi.

Władze śledcze – gdy został zatrzymany pod zarzutem zabójstwa przyszłego teścia – obciążyły też jego konto 21 zarzutami popełnienia różnych przestępstw, których dokonał w ciągu pięciu lat sam lub wspólnie z koleżkami. Kradł portfele i portmonetki ze studenckiej szatni, samochody z parkingu, włamywał się do mieszkań lub dorabiał klucze do drzwi swoich znajomych, by ich potem okraść, napadł ze współnikami na znanego piosenkarza, innym razem –

tancerza, chociaż były to „skoki” wyjątkowo nieudolne. Porwał też z Wojtasikiem i Sojczyńskim kasjerkę z kwestury Politechniki, myśląc, że ma ona klucze do sejfu z większą gotówką. Pytanie, co zamierzali z nią potem zrobić, cały czas wisiało w powietrzu...

Wakacje w 1969 roku spędzał w Kołobrzegu jako opiekun dzieci cudzoziemców zamieszkałych w stolicy; dorabiał tak sobie i przedtem, kradnąc swym podopiecznym drobne przedmioty, a raz – bardzo cenny aparat fotograficzny. Poznał tam Małgorzatę Gerhard; spotkał ją potem po jakimś czasie w Warszawie. Zaprzyjaźnili się, a później pokochali. W czerwcu 1971 roku dziewczyna poinformowała rodziców, że zamierzają się pobrać. Matka знаła przyszłego zięcia tylko przelotnie, a ojciec, który go nigdy nie widział, oświadczył, że do ślubu może dojść jedynie wtedy, gdy oboje skończą studia.

Ona kończyła właśnie filologię francuską, on – jak pamiętamy – był dopiero na drugim roku architektury i stracił do niej zainteresowanie, myśląc raczej o dużo łatwiejszej historii sztuki, bo zwędził właśnie w jakimś kościółku dwa kandelabry. Nie wyglądało więc na to, że wkrótce zostanie spodziewanym inżynierem; zaczął się bać, że Gerhard – człowiek przecieź błyskotliwy i inteligentny – łatwo się zorientuje, iż pod pozorami intelektualisty kryje się knajacka tożsamość. Zamarzyły mu się też pieniądze przyszłego teścia; gdy się go pozbędzie – kombinował – po małżeństwie z córką, która go kocha, w co nie wątpił, dobrze mu się będzie żyło ze spadku po pisarzu. Ułożył więc plan i poszukał współnika do zbrodni. Sam był nerwowy i łatwo wpadał w panikę, opanowany natomiast, twardy i tak samo głodny gotówki był jego kumpel od drobnych przestępstw, dawny kolega jeszcze z podstawówki, obecnie bezrobotny kierowca samochodowy – Marian Wojtasik.

Garbacki najpierw długo musiał go przekonywać do udzielenia pomocy w pozbyciu się niewygodnego przyszłego teścia. Uległ wreszcie, bo Garbacki obiecał mu 50 000 zł. Twierdził jednak, że ważniejsze były motywy bardziej idealne: przyjaciel był mu człowiekiem najbliższym i jednocześnie życiowym mistrzem.

„Byłem zawsze samotny – mówił potem przed sądem swym barwnym stylem, który dziwił ludzi z ławy prasowej i jednocześnie ich fascynował – żyłem w nędzy, czas upływał, a ja do niczego nie dochodziłem. Czułem się jak żaglowiec na oceanie, w miejscu gdzie panuje cisza. Garbacki był tym wiatrem, który mógł mnie wypchnąć. Myślałem, że jeśli nie skorzystam z wiatru, będę stał w miejscu. Jeśli źle wysteruję, mogę zatonać. Imponował mi swoim dowcipem, wiedzą. Wierzyłem mu. Dziś rozumiem, że z każdym miesiącem stawałem się coraz bardziej bezwolnym narzędziem w jego rękę”.

Przyjaciel był w potrzebie i tylko to się liczyło w tym „sztamackim” środowisku. „Garbacki mówił – kontynuował swe wyjaśnienia współnik w zbrodni – popatrz, jemu się wszystko w życiu udawało, a nam się nic nie udaje. Z nazwiskiem Gerhard spotkałem się wtedy pierwszy raz. Nic nie wiedziałem o tym człowieku”.

Nawet gdy „nakreślił mu bliżej tę sylwetkę”, Wojtasik nie pozbył się swych wątpliwości; przeciwnie, nabrał jeszcze większych. „Garbacki mówi: chciałbym go usunąć i się go pozbyć. Dziwię się, co go do tego skłania i czemu ma to służyć. Podaje mi motywy niejasne, że Gerhard stoi na drodze jego perspektywom życiowym”. I dalej: „W sierpniu Garbacki wspominał, że Gerhard pozytywnie ustosunkował się do jego małżeństwa, że mieli początkowo mieszkać z rodzicami, że Gerhard wpłacił im na książeczkę mieszkaniową [40 000 zł]. To ja nie rozumiałem, proszę Wysokiego Sądu. Nie zabija się kury, która znosi złote jajka, no nie? Uważałem, że więcej będzie miał z Gerharda żywego niż umarłego. Bo największym majątkiem Gerharda były jego stosunki. Mógł zięcia dobrze urządzić. Wysłać nawet za granicę”.

Argumenty przyjaciela odbijały się jak groch o ścianę od zawziętości Garbackiego; ciągle przedstawiał Gerharda jako swego wroga. Pytanie „czy” pozostawało bezdyskusyjne, należało tylko ustalić „jak”. Fantazjowali na temat, jak pozbyć się Gerharda: wsypać cyjanek do stojącej pod drzwiami butelki z mlekiem? zepsuć układ kierowniczy w jego samochodzie? spowodować wypadek z windą? Wybrali wariant najprostszy, bandycki.

Wersja śledcza pokrywała się jota w jotę z obrazem, jaki wyłonił się z zeznań obu oskarżonych. Zgodnie z ustalonym planem Garbacki zadzwonił do drzwi Gerharda. Być może umówił się z nim wcześniej przez telefon, bo w notatniku pisarza znaleziono zapis „zgmt”; nawet jeśli tego nie zrobił, to i tak wiedział, że chociaż pisarz jest nieufny wobec obcych – jemu właśnie otworzy, gdyż pozna go przez wizjer ze zdjęć, które – jak wiedział – pokazywała mu córka. Pod pachą trzymał rulon kalki technicznej, wewnątrz którego znajdował się łom. Powiedział, że chciałby się dowiedzieć czegoś o Małgosi, bo nie ma od niej wiadomości.

Gerhard otworzył drzwi, zamknął je i po chwili dzwonek rozległ się na nowo. To Wojtasik pytał, czy ten pan, który właśnie wszedł – nie zgubił legitymacji studenckiej, którą znalazł na schodach. Pisarz wpuścił go do przedpokoju i w chwili gdy stał odwrócony tyłem, niedoszły zięć uderzył go dwukrotnie łomem w lewą skroń. Potem zadał dalsze ciosy, a gdy ranny ciągle jęczał, Wojtasik, by z nim skończyć i „uciszyć go” – wbił mu czterokrotnie sztylet w plecy. Następnie wspólnie zadzierzgnęli pasek wokół szyi nieżyjącego już chyba denata.

Gdy Gerhard padł na podłogę, legitymacja wypadła mu z ręki i potoczyła się na wycieraczkę podobnie jak okulary. Ale tego zabójcy nie dostrzegli; zamknęli drzwi, a kompromitujące ich dowody zabrali dopiero, gdy opuszczali mieszkanie. Przedtem je splądrowali i przebrali się w znalezione części garderoby, gdyż ich własna była zaplamiona krwią.

„Technika tej zbrodni – pisała cytowana już tu Marta Miklaszewska w «Literaturze» – stanowi dziwny koktajl brutalnego sadyzmu, naiwnego wyrachowania i «specjalistycznej» wiedzy rodem z powieści kryminalnych. Obaj podejrzani zakładają rękawiczki, aby nie zostawić śladów linii papilarnych, ale mieszkanie opuszczają przebrani w odzież swojej ofiary. Zabierają z biurka nic nieznaczące papiery, aby skierować śledztwo na fałszywe tory, ale jeden z nich odjeżdża z miejsca zbrodni samochodem Gerharda. Zmywają z twarzy i rąk ślady krwi, ale dowody swej zbrodni w postaci zachowanych łupów przekazują w ręce całego łańcuszka paserów”.

W sprawie tej jest godne podkreślenia nie tylko doskonałe przygotowanie materiału dowodowego, ale i niezwykła szybkość postępowania: już 12 maja 1972 roku, a więc niewiele ponad miesiąc od zatrzymania głównego podejrzanego, do Sądu Wojewódzkiego dla m.st. Warszawy wpłynął akt oskarżenia przeciwko Garbackiemu i Wojtasikowi. Po paru dniach wpłynęły dalsze, bo w sprawę było zamieszanych jeszcze parę innych osób wiedzących o zbrodni i pomagających im „spylić” łupy: Sojczyński, matka Wojtasika i jego była dziewczyna.

Termin rozprawy został wyznaczony jeszcze szybciej – na 25 maja! Od śmierci ofiary upłynęło nieco ponad 9 miesięcy. Sala 252, w której odbywały się zawsze najgłośniejsze rozprawy, z trudem mieściła ciekawskich, chociaż sekretariat sądu wydawał ściśle reglamentowane karty wstępu; ława prasowa też była przepełniona, bo proces obsługiwało kilkudziesięciu dziennikarzy.

Prokuratura zarzucała obu oskarżonym popełnienie wspólnie i oddzielnie wielu przestępstw, ale zbrodni z art. 148 § 1 – zabójstwo popełnione z niskich pobudek – zagrożona najwyższym wymiarem kary przysłała wszystko i ona skupiała zainteresowanie wszystkich

obecnych na sali. Garbacki nie zaprzeczył, że zabił, ale – być może pod wpływem „specjalistów” z aresztu śledczego, których zawsze jest tam wielu – postanowił walczyć o swoją skórę i uzyskać kwalifikację czynu z § 2 tego artykułu, gdzie jest mowa o zabójstwie pod wpływem silnego wzburzenia usprawiedliwionego okolicznościami; tu przewidziana kara pozbawienia wolności wynosiła tylko od roku do 10 lat.

Ledwie przyznał się do zabójstwa Jana Gerharda, poprosił sąd, by mógł składać wyjaśnienia przy drzwiach zamkniętych. Pragnie bowiem przedstawić motywy swego czynu, a tego nie może zrobić publicznie. Mimo opozycji oskarżenia sąd przychylił się do tej prośby. Po jakimś czasie w kuluarach sądowych rozniosła się wieść, o co mu naprawdę chodziło.

Inspiracje kolegów z celi wyobrażających sobie, że w świecie artystycznym różne wynaturzenia są bardziej niż gdzie indziej prawdopodobne, widać było wyraźnie. A może to sam oskarżony popisał się bujną wyobraźnią? Małgorzata – brzmiała jego teza – była niegodnie wykorzystywana przez swego ojca. On zaś, kochając ją pierwszą i gwałtowną miłością, nie miał innego wyjścia, jak tylko wymierzyć mu sprawiedliwość.

Nic więc dziwnego, że wszyscy z niecierpliwością czekali na zeznania Gerhardówny szóstego dnia procesu. „Smukła dziewczyna o czarnych włosach, ciemne okulary, ładna, o drobnych rysach, duże podobieństwo do ojca. Widzę, ile nerwów kosztuje ją zeznawanie za barierką dla świadków pośrodku sali” – odnotował reporter „Kierunków”. W miarę pytań uspokajała się, a gdy przyszło to najważniejsze, była już całkiem spokojna. Odpowiedziała zdecydowanie w sposób niepozostawiający żadnych wątpliwości.

– Świadkowi jest znane – spytał przewodniczący rozprawie sędzia Ryszard Bodecki – twierdzenie Garbackiego co do powodu dokonania zabójstwa. Czy pani zwierzała mu się kiedyś z jakiegoś tragicznego wydarzenia?

– Wiem, że oskarżony Garbacki wysnuwał kłamliwy zarzut pod adresem mego ojca. Nigdy taki fakt nie zaistniał, nigdy na podobny temat z Garbackim nie rozmawiałam – odpowiedziała stanowczo córka pisarza.

Oskarżony milczał. Nie skorzystał z okazji, by swymi pytaniami do świadka zasiał choćby cień wątpliwości w umysłach sędziów. Wiedział, że jego kłamstwo się nie ostoi wobec prawdy mówionej przez kobietę, którą ponoć kochał nad życie. Ona jego na pewno bardziej, bo na pytanie sądu odpowiedziała zdecydowanie: „Kochałam Garbackiego i sądziłam, że on mnie kocha. Mogłabym to określić jako wielką miłość... Motywy tej zbrodni są dla mnie zupełnie niezrozumiałe”.

Obaj oskarżyciele, zarówno wiceprokurator wojewódzki Wiesław Krassowski, jak i prokurator Prokuratury Generalnej Józef Gurgul skupili się na motywach oczywistych, bo rabunkowych, i spodziewanych korzyściach perspektywicznych. Zygmunt Garbacki – mówił prokurator Gurgul – cynicznie nadużył najpiękniejszego z ludzkich uczuć, by przez odebranie życia innemu człowiekowi wygodnie urządzić życie własne. Teraz z równym cynizmem nadużywa go, by złagodzić odpowiedzialność za popełnioną zbrodnię. Gdyby przynajmniej los zesłał im skruchę! Nie dajmy się zwieść pozorom bajronicznego kochanka – skonkludował i zażądał wymierzenia oskarżonym kary najwyższej, kary śmierci.

Obrońca Garbackiego, mecenas Ludwik Białobłocki, usiłował uprawdopodobnić wersję przedstawioną przez Garbackiego przy drzwiach zamkniętych. Psychiatrzy – mówił – patrzą na problem miłości inaczej niż laicy. Laik odrzuca możliwość zgodnej koegzystencji wzniesłego uczucia i niskich czynów. Psychopatologia – kontynuował myśl – wyodrębnia z kategorii pojęcia miłości stan nazywany potocznie zakochaniem. W świetle nauki ten stan łączy się z fizjologiczną ostrą psychozą, z objawami zawężenia świadomości. Dominantą staje się jeden cel i jedna myśl. Najbardziej odrażające czyny przestępcze, czytamy w podręczniku psychiatrii klinicznej,

popelnia się często nie z braku uczuć wyższych, lecz z ich nadmiaru. Zarzucił też powierzchowność i zdawkowość ekspertyzie psychiatrycznej, która według niego została dokonana w nieodpowiednich warunkach.

Na wniosek sądu bowiem obaj oskarżeni zostali poddani badaniu specjalistycznemu w Szpitalu Psychiatrii Sądowej w Grodzisku Mazowieckim. Teraz, w toku procesu, lekarze z tego szpitala potwierdzili swoją opinię, że po zapoznaniu się z danymi osobopoznawczymi i po przeprowadzeniu niezbędnych badań ambulatoryjnych nie stwierdzili u Garbackiego odchylenia od normy psychicznej, u Wojtasika natomiast rozpoznali jedynie pewne cechy psychopatyczne niemające wpływu na ocenę poczytalności.

W ostatnim słowie, już nie robiąc żadnych aluzji do „mścielskich” motywów, Garbacki powiedział: W pełni zrozumiałem znaczenie swojego czynu i odczuwam głęboką, szczerą skruchę. Proszę o taki wyrok, który pozwoliłby mi w pełni odkupić swoją winę i powrócić do życia w społeczeństwie nawet po najdłuższym pobycie w więzieniu. Wojtasik też wyraził skruchę i prosił o darowanie życia.

Sąd, podkreślając w uzasadnieniu wyroku cynizm Garbackiego, który nie zawahał się zelżyć pamięci zamordowanego, a także motywy rabunkowe oskarżonych, 16 czerwca skazał obu na karę śmierci. Sąd Najwyższy wyrok ten utrzymał w mocy, a Rada Państwa nie skorzystała z prawa łaski.